PIĘKNA MELUZYNA I KRÓLEWNA WANDA

przez

JANA KARŁOWICZA.

I.

Podanie o Meluzynie.

Roku 1822 przedrukowano w Warszawie książeczkę pod napisem „Meluzyna, romans historyczny, z niemieckiego na język polski przełożony, roku 1768 powtórnie, a teraz po raz trzeci z poprawą i niektóremi odmianami wydany.“ Na końcu jéj (str. 165) czytamy: „Tym sposobem kończę historyą z łacińskiego języka na francuzki 1456 roku przełożoną, potém zaś z niemieckiego na polski przetłómaczoną, roku 1569 drukiem pierwszy raz ogłoszoną.“ Nie mogąc znaleźć wydań z XVI i XVIII wieku, ani też wzmianki o nich w Wiszniewskiego i Maciejowskiego dziejach piśmiennictwa nie umiem powiedzieć czytelnikowi, jakie mianowicie „poprawy i odmiany“ ostatni wydawca téj ramoty poczynił, jak niemniéj kto przetłómaczył pierwsze jéj wydanie z r. 1569 (1). Tyle tylko mogę zapewnić, że język i styl najpóźniejszego wydania noszą cechy ckliwie nadętych romansów XVIII wieku, a w opowiada-

(1) W Bibliografii Polskiéj XV–XVI stulecia professora Estreichera, na str. 49, znajduje się wprawdzie sam tytuł: Meluzyna, zapisany pod r. 1569, ale w dalszym spisie abecadłowym druków, które się dochowały po bibliotekach, Meluzyny nie ma. Szanowny autor téj bibliograficznéj pracy na listowne zapytanie moje o zajmującéj mnie książeczce, raczył odpowiedzieć objaśnieniem, że zna wydania jéj tylko z XVIII wieku, jak np. lwowskie bez daty, krakowskie z r. 1768, inne znowu bez oznaczenia miejsca i drukarni, z r. 1787 i jeszcze jedno, na poły gockim drukiem, str. 143. Wszystko to są, powiada, rzadkości, bo książki te zczytano kompletnie. W każdéj edycyi jest wzmianka o wydaniu z r. 1569, więc ani wątpić, iż takowe istniało.

niu razi brak prostoty, odznaczającéj średniowieczne tego rodzaju powieści francuzkie i niemieckie.

Zobaczmyż treść saméj legendy, która żywo zapewne zajmowała przodków naszych w trzech wiekach ostatnich, gdy w tak wielu ukazywała się wydaniach; aby zaś dać wyobrażenie o sposobie, w jaki jest opowiedziana w ostatniéj edycyi, przytoczymy w cudzysłowach wybitniejsze ustępy, pozwalając sobie umieścić naprzód dzieje rodziców pięknéj Meluzyny, a potém dopiero jéj saméj, a to z powodów, które się niżéj wyjaśnią.

Niegdyś lud norwezki, mówi podanie, nie mając prawowitego następcy po zmarłym władcy, przywołał króla albańskiego Helmesa, który, po przybyciu do Norwegii, ożenił się z Perseną, panną z tegoż kraju, ale wkrótce nierad był już z niéj, bo same córki na świat wydawała; „a lubo przy ślubie musiał jéj przysiądz, że nigdy nie postanie w jéj pokoju w czasie słabości,“ gdy jednak trzecią córkę powiła, wszedł niespodzianie do jéj komnaty i „zobaczył ją w stanie obrzydliwym jemu.“ Coby to był za stan, legenda nie mówi. W inném jéj miejscu sama Persena o tém zajściu powiada, że „król wszedł do mojego pokoju i zobaczył moję ułomność, którą ukryć przed nim chciałam.“ Po takiém naruszeniu przysięgi, Persena z córkami znikła bez śladu. Po kilku latach, gdy osamotniony król z urzędnikami swoimi w pałacu siedział, „przychodzą jego trzy córki i z pośród zgromadzenia porywają ojca, wylatują z pałacu i unoszą go niejako (!) z sobą w powietrze.“ W dalszym ciągu opowieści dowiadujemy się, że nie uszedł bezkarnie lekkomyślny postępek mszczących się na ojcu córek. „Ukarałam je (powiada Persena), jako wierna i przywiązana żona męża swego, mocą, jaka mi od wyższych istot udzielona została. Meluzynę, najmłodszą córkę, jako sprężynę postępku tego, wskazałam, aby w każdą sobotę od pasa aż do nóg ogonem smoka oszpeconą być się zdawała, a przez to dręczona była. W tych chwilach powinna się ukrywać w zdroju pragnących nazwanym, aby od nikogo nie była widziana; nawet poszedłszy za mąż, gdyby ją małżonek zobaczył w takim stanie, a drugim wyjawił, wówczas do sądnego dnia dręczoną tym sposobem będzie.“ Los dwóch młodszych sióstr Meluzyny mniéj nas obchodzi: czytajmy, co z nią się działo.

Otoż „za panowania Komoda, ośmnastego cesarza w Rzymie Odomar był dziewiątym królem francuzkim, u którego Emerych, hrabia z Potieru, mąż biegły w astronomii, piastował urząd senatora.“ Hrabia ten miał brata, hrabiego Podlaskiego, uboższego od siebie, obarczonego liczną rodziną, i aby mu ulżyć, wziął do sie-

bie na wychowanie jego dwoje dzieci, Rajmonda i Klarę. Stryj z Rajmondem często polował; pewnego razu zdarzyło się, iż wyjechał z nim i licznym orszakiem w knieje kolumberskie, obfitujące w zwierzynę. Hrabia z synowcem goni za dzikiem, oddalają się od orszaku, brną w głąb lasów i błądzą; noc zapada; stają i patrzą w niebo z zachwyceniem; lecz stryj z zachwycenia przechodzi w smutek i tak proroczo mówi do Rajmonda: „Synowcze! zbliż się do mnie, przypatrz się temu odwiecznemu porządkowi niebieskich planet, czytaj przeznaczenie śmiertelnych, czytaj wyrok nieochybnéj śmierci Pana, który padnie dzisiejszéj nocy ofiarą od ciosu własnego sługi.“ Poczém idą daléj, i gdy już są na brzegu puszczy, rozjuszony dzik rzuca się na nich; hrabia Emerych uderza weń oszczepem, zwierz unika razu i rzuciwszy się na łowca obala go; Rajmond śpieszy na pomoc, wymierza dwa ciosy, drugim powala dzika, ale pierwszym, niestety, zabija swojego opiekuna. „O nieszczęśliwy, zawołał Rajmond, cóżem dobrego uczynił! Takąż to wdzięczność okazałem mojemu dobroczyńcy? Gdzie się teraz schronię przed ścigającą mię sprawiedliwością, przed udręczeniem sumienia? O zbrodnio nieporównanéj kary! O niecnotliwy Rajmondzie, niegodny miłosierdzia ludzkiego! Idź! gdzie cię poniosą oczy, aby tém więcéj przedłużyć cierpienia wewnętrzne; idź! oddal się z tych miejsc, które są świadkami okrutnego zabójstwa!“ Wygłosiwszy ten ustęp, dosiada konia, przedziera się przez lasy, przypadkiem trafia na „zdrój pragnących,“ siedlisko „przyjemnéj Meluzyny;“ zatopiony w smutku, nie widzi ani jéj pięknego orszaku, ani jéj saméj, aż go nieznajoma przywołuje do porządku mówiąc: „Rycerzu! zdajesz się być niepospolitego urodzenia i wychowania, a przecież zaniedbujesz uszanowania, jakie się płci naszéj należy.“ Rajmond „jakoby z latargu (tak) obudzony,“ stanął jak wryty na widok wdzięków pięknéj nieznajoméj, a „po niejakiéj chwili padł jej do nóg, mówiąc: „O nieoszacowana pani, bogini piękności, władczyno (tak) serc ludzkich“ i t. d. Ona go za to naucza, jak ma zataić mimowolne morderstwo, jak wyprosić potém od brata stryjecznego ziemi około zdroju pragnących tyle, ile obejmie skóra jelenia, i przepowiada mu wielkość. Rajmond żąda gwałtownie, aby została jego żoną, ona się zgadza, ale pod warunkiem, że w dni sobotnie nie będzie jéj widywał. Wróciwszy do domu stryja, Rajmond spełnia zalecenia Meluzyny i dostaje od osieroconego brata żądany kawał ziemi, a używszy podstępu Dydony, porzniętą na paski skórą, zagarnia sporą część puszczy. Poczém udaje się do zacisza pięknéj Meluzyny. Gdy przybył, „była ona na modlitwie porannéj w kaplicy (!); biegnie i on tam,

a uprzedzony od Meluzyny i do świątyni wprowadzony, przekonał się, iż w tém nic złego być nie może, gdy się tak przykładnie i świątobliwie nabożeństwo kościelne odbywa.“ Po modłach oprowadza go Meluzyna po swych pałacach, przedstawia jako pana swoim poddanym i w kilka dni poślubia go uroczyście wobec krewnych i sąsiadów, ma się rozumieć w kościele; autor legendy wie nawet, że ślub dawał biskup i że się odbył w poniedziałek, a we wtorek Meluzyna „poszła do wywodu;“ szkoda, że nie umie wskazać nazwiska biskupa, miesiąca i roku. Po pewnym czasie, staraniem i kosztem Meluzyny, na miejscu dawnych ostępów wzniosło się miasto; „chcąc zaś Rajmond uwiecznić choć w części imię drogiéj swéj Meluzyny, nazwał miasto to Luzynią.“ Niezadługo też piękna córa Perseny powiła syna, nazwanego Uryonem, potém drugiego, Gedona, potém trzeciego, czwartego... wreszcie dziesiątego, Rajmonda. Pierwsi ośmiu mieli niezwykłe wady lub piętna cielesne: Uryon miał „różnofarbne oczy, szerokie usta i jakby zgniecione lica“; Gedon był „zbyt rumiany;“ trzeci miał krzywe oczy; czwarty odznaczony był „plamą podobną do lwiéj łapy, tudzież zbyteczném porastaniem i paznogciami;“ piąty był jednooki, siódmy miał troje oczu i t. d. Rodzice ich niezrażeni temi ułomnościami, ile że wszyscy byli dzielni i czynni, podczas ich dorastania zabudowywali pustą dotąd okolicę; staraniem ich stanęły: „zamek Fawent z obronną wieżą Mawem zwaną, klasztor melezeński, miasto Portene z zamkiem obronnym Roszela, most pod miastem Zonit i t. d.“ Starsi synowie poszli w świat szukać przygód obyczajem rycerskim: legenda nasza szczegółowo opisuje ich wyprawy i powodzenia. O Gedonie, drugim z kolei synu, powiada naprzykład, że gdy do kraju Ormuskiego przybył, aby tameczną królewnę Florę poślubić, „powitał go w imieniu senatu, ziemstw i całego państwa wykwintną, ozdobną i prawdziwie uczoną mową kanclerz W. K., ofiarując mu rękę królewny wraz z koroną ormuską.“ Jeszcze pierwéj Uryon został królem Cypru. Młodsi szukali szczęścia i znaleźli je w różnych krajach na łonie różnych księżniczek. Dowiadujemy się mimochodem od autora legendy, że książę lucelburski graniczy z królem czeskim, naówczas księciem edelzelskim, że Turcy Pragę oblegali i że Rajnhard, piąty syn Meluzyny, zostawszy królem czeskim, roz szerza granice państwa tego aż „pod Leflandyą“ i t. p. Czytamy też wiele świetnych mówek to synów Meluzyny do senatów i ziemstw, to na odwrót.

Ale pomyślność tę zakłóca brat Rajmonda, hrabia Fortski zwany przez autora pierwéj Podlaskim. Przybywszy pewnego

razu w odwiedziny do małżonka pięknéj Meluzyny i to właśnie w sobotę, kiedy ona nie dawała się widywać, oczernia ją, powtarzając plotkę sąsiedzką, że Meluzyna na to jakoby soboty sobie wymówiła, aby z kim innym w dni te się bawić, i radzi aby Rajmond raz przecie naocznie się o tém przekonał. Niepomny na swą przysięgę, przejęty zazdrością mąż bieży do ukrycia Meluzyny, wpada niespodzianie i „spostrzega na jéj żywocie plamę, a bardziéj wyrost podobny do wężowego ogona;“ domyśla się, że chcąc co sobota swobodnie się wykąpać i ukryć tę drobną ułomność przed oczyma męża, wymagała, aby w te dni z nią się nie widywał: żałuje, że idąc za poszeptem brata złamał przyrzeczenie, gniewnie go wyprawia, nagle zachorowywa z obawy złych następstw swéj ciekawości, gdyż jakkolwiek nie był przez żonę dostrzeżony, domyśla się, że ona wie o jego przekroczeniu, jako istota wyższa nad ludzi. Wiedziała istotnie, ale nic o tém nie mówiła; lecz wkrótce zaszedł wypadek, który rozwiązanie przyspieszył. Jeden z synów Rajmonda, ku wielkiemu niezadowoleniu rodziców, został mnichem w Malerzu; dowiedziawszy się o tém, starszy brat jego Gofroim przybywa rozgniewany ze stron dalekich, gdzie z olbrzymem miał walczyć (autor twierdzi, że wielkolud ten miał ośm łokci wzrostu), i otoczywszy klasztor swoją drużyną, pali go razem z mnichami i bratem. Ten czyn nieludzki oburza Rajmonda, i gdy się Meluzyna cieszy z męztwa Gofroima, ojciec jego temi słowy do żony wybucha: „Ach, nieszczęśliwy ja człowiek! żem doczekał zamiast pociechy, tak okrutnych skutków z potomstwa twego, tego robaczego narodu (!), nad czém ty zamiast ubolewać i tym zębatym wylęgą pogardzać, cieszysz się z jego zbrodni.“ Meluzyna zaczęła płakać i „padłszy na ziemię, umdlała (tak).“ Ocucona, wyrzuca mężowi złamanie przysięgi, i chociaż ten gorzko żałuje swéj porywczości, ona żegna zgromadzonych wassalów, męża, i gdy ten mdleje, znika, a potém, gdy przychodzi do zmysłów, słyszy już tylko głos jéj z gęstych obłoków, a patrząc tam, „nie ową piękną Meluzynę, ale okropną poczwarę w postaci długiego węża unoszącą się w górne krainy zdawał się widzieć.“ Późniéj Meluzyna czasami już tylko przylatywała, aby nakarmić piersią najmłodsze dzieci lub przepowiedzieć zmianę władcy Luzynii: mąż jéj skończył smutne swe życie jako pustelnik w Hiszpanii.

Legenda dużo jeszcze opowiada o losach synów Meluzyny: opuszczamy te epizody, jako do zamierzonéj rzeczy nienależące.

Zauważał zepewne czytelnik, że podanie to, jak jest w naszéj książeczce opowiedziane, igra sobie z historyą, geografią i logiką,

a imiona własne prawie wszystkie przekręca. Porównywając wersyą polską z francuzkiemi i niemieckiemi oraz z atlasem, dostrzegamy że hrabia Podlaski lub Fortski, brat Rajmonda, ma to być hrabia de la Forêt francuzkiéj legendy; że Luzynia jest owym sławnym w podaniach Francyi zamkiem Lusignan; Gofroim syn Meluzyny, Godfrydem; król Helmes nazywa się właściwie Helmasem, a żona jego Persena, Persiną lub Pressiną; hrabia z Potieru ma być hrabią z Poitiers; miasto Portene jest miasteczkiem Parthenay w departamencie Deux Sèvres; lasy kolumberskie, puszczą Columbiers; klasztor Malerz nazywa się po francuzku Malliers; zamek Fawent, Favent; klasztor malezeński, Maillezais i t. d. Takich przekręceń dopuszczał się zresztą nietylko nasz polski tłómacz: w każdym przekładzie i wydaniu niemieckiém, holenderskiém i in., coraz to nowe ukazują się przekształcenia imion własnych legendy; tak np. Parthenay znajdujemy w formie Portenach, Meluzynę w postaci Melyssina, Melosina i t. d. Oczywiście wydawcom i tłómaczom tego podania nietyle chodziło o ścisłość, ile o rzecz samą, tak jak Samowi Wellerowi starszemu w Klubie Pickwicka.

Rodzina Lusignanów albo Lesignenów istniała rzeczywiście we Francyi i pozyskała rozgłos w wiekach średnich. Najpierwszy wiadomy jéj potomek żył w X wieku, a w XII wyszedł z niéj znany Gwido (właściwie po polsku Wit), nieszczęśliwy i nierycerski król jerozolimski, który zmuszony był pod koniec owego wieku zamienić ten tytuł na skromniejszy króla Cypru; potomkowie jego długo jeszcze nosili obadwa. Inny znowu Gwido z tegoż domu dał początek krótkotrwałéj dynastyi królów armeńskich w XIV wieku. Kilka też było kobiet w tym rodzie, które nosiły imiona: Melisena, Melisenda, Melizenta; jedna z nich, córka Amalryka, Melisenda, poślubiła Rajmunda z Poitiers, księcia Antyochii, hrabiego Trypolisu; bardzo być może, iż ją to upoetyzowało podanie, przerabiając nieco imię, aby brzmiało bliżéj Lusignanu i przypisując jéj założenie zamków i miast w okolicy siedliska jéj rodu. Tak mniema Moréry w swojéj encyklopedyi (1), i zdaje się mnie, iż taki wywód imienia bohaterki naszego podania więcéj ma prawdopodobieństwa od innych; drudzy zaś wyprowa-

(1) Le grand dictionnaire historique, w 8ce-, 1698 t. III str. 396. Dzieło to jest właściwie rozszerzeniem szczuplejszéj pierwotnéj pracy doktora teologii Moréry'ego, dokonaném po jego śmierci. Stanowiło ono w swoim czasie bardzo wzięty podręcznik w rodzaju naszych encyklopedyi.

dzają je z połączenia nazw miejscowych Melle i Lusignan, miasteczek owéj okolicy blizko od siebie położonych; ale przeciwko temu da się powiedzieć, że Melle nie należało nigdy do rodziny Lusignan, nazwisko zaś téj ostatniéj częściéj w dawniejszych czasach brzmiało Lezignen. Inni przypuszczali, że wyrazy Mère Lusignan utworzyły imię Meluzyny; inni wreszcie szukają źródła jego w nazwie semickiéj bogini Mylitto, przyjętéj przez Greków w formie Melitty lub Melissy i przeniesionéj przez osadników greckich do Marsylii, a ztamtąd do całéj Gallii.

Jakkolwiekbądź, zamek Lusignan stał aż do końca XVI wieku, a najznakomitsze rodziny francuzkie: de Sassenage, d'Archiac, de Rohan i inne, oraz dom Luksemburski, nie cofając się nawet przed fałszowaniem swych drzew rodowodowych, przypisywały się do pokrewieństwa z Lusignanami, aby mieć zaszczyt niezwykłego pochodzenia od półbozkiéj założycielki tego zamczyska; i cesarzowi niemieckiemu Henrykowi VII (w XIV wieku), jako Luksemburczykowi, nie odmawiano tego honoru. Francuzi i cudzoziemcy podziwiali wspaniałość zamku Lusignan i smucili się niepomału, gdy pod koniec XVI wieku, podczas wojen hugonockich z ziemią go zrównano. Przytaczam tu ustęp z Brantôme'a, który nam te uczucia odmaluje i pokaże, jak w wieku XVI. zapatrywano się na podanie o Meluzynie.

W pochwale Ludwika II Burbona, księcia Montpensier, tak się ten autor wyraża: „Oblężenie Lusignanu było bardzo długie i zacięte. Został nareszcie zdobyty, i książę Montpensier, dla uwiecznienia swéj pamięci, tyle się uprzykrzał i tak nalegał na świeżo z Polski przybyłego króla, że zgodził się na zburzenie do szczętu tego zamczyska, tak wspaniałego i starożytnego, iż rzec można, że był najpiękniejszym zabytkiem w rodzaju warowni starożytnych i najszlachetniejszą ozdobą dawnéj Francyi, zbudowaną przez niewiastę wysokiego rodu i cnót niezwyczajnych, Meluzynę... Cóż za smutne teraz zwaliska na tém miejscu! Słyszałem od starego miejscowego żołdaka lat ze czterdzieści temu, iż gdy cesarz Karol V przybył do Francyi, wieziono go przez Luzignan dla zabawienia polowaniem na daniele tamecznego parku, jednego z najpiękniejszych i najstarszych we Francyi; że cesarz nie mógł się nachwalić wspaniałości i piękności tych gmachów, dźwignionych przez kobietę, o któréj kazał sobie opowiadać obiegające tam podania bajeczne, powtarzane nawet przez stare pomywaczki piorące bieliznę u źródeł tamtejszych, których i królowa matka wypytywała się i słuchała. Jedni mu opowiadali, iż ją (Meluzynę) widywali czasem przychodzącą do źródła dla kąpania się, w po-

staci bardzo pięknéj niewiasty, w stroju wdowieńskim; inni twierdzili, iż pokazywała się bardzo rzadko i to tylko w Soboty około nieszporów, gdyż unikała wzroku ludzi będąc rozebraną, mając połowę ciała pięknéj kobiety, a drugą węża; inni znowu, że ukazywała się na szczycie wielkiéj baszty w postaci bardzo pięknéj, choć wężowéj i że gdy zagrażała jaka klęska królestwu, zmiana panującego, śmierć albo nieszczęście jego krewnych oraz innych magnatów Francyi, trzy dni przedtém słyszano krzyk jéj straszny i przenikliwy, powtarzający się po trzykroć; upewniają, że to prawda, a wiele osób słyszało to na własne uszy i przekazało potomkom; a szczególnie po oblężeniu, gdy wydano wyrok zburzenia murów, wydawała najokropniejsze krzyki i jęki, tak przynajmniéj powiadają bardzo uczciwi ludzie. Odtąd nie słyszano już jéj; lecz niektóre staruszki twierdzą, iż się ukazywała, ale bardzo rzadko. Koniec końców, prawdę mówiąc, była to swojego czasu bardzo mądra i cnotliwa białogłowa, od któréj poszli owi dzielni i szlachetni książęta Luzignańscy."

Pod koniec XIV wieku podanie o Meluzynie opisał niejaki Jan z Arras, sekretarz księcia Berry, na rozkaz swojego pana oraz króla francuzkiego Karola V, dla rozrywki siostry tego księcia; miał on zaczerpnąć dużo z rękopisu jednego z Luzignanów, Wilhelma; po nim miał pisać o Meluzynie drugi Luzignan, mnich Stefan; ale oba te manuskrypta zaginęły. W sto lat po Janie z Arras, rękopis jego wydrukowano w Genewie (1478) pod napisem „Le liure de Melusine en fracoys" i odtąd bez przerwy aż do najnowszych czasów przedrukowywano go, przerabiano i tłómaczono na różne języki europejskie; niemieckiego przekładu dokonał (zapewne z rękopisu francuzkiego, bo przed jego wydaniem w Genewie) niejaki Thüring von Ringoltingen r. 1456 i wydrukował w Augsburgu r. 1474; z niemieckiego tłómaczenia wydano czeskie 1555 r. (a może nawet znacznie wcześniéj) w Prostiejowie p. n. „Kronika kratochwilná o ctné a szlechetné pannie Meluzinie," a wkrótce potém polskie, o którém na wstępie mówiłem. Były nadto przekłady: duński, szwedzki, hiszpański, holenderski i t. d. (1).

Ci którzy dotąd mówili o Meluzynie, twierdzą iż Jan z Arras pierwszy tę legendę zapisał. Najnowsze jednak poszukiwania dowiodły, że na parę wieków przed Janem myt o naszéj wodnicy znany był już we Francyi i Niemczech, nie będąc przywiązany jeszcze do imienia Meluzyny i zamku Luzignan; bo oto kanclerz

1) Grässe, Die grossen Sagenkreise des Mittelalters. Drezno 1842 str. 384 i dal.

cesarza Ottona IV, na początku XIII wieku, w dziele swém Otia imperialia pisze (1): „W prowincyi Lingoneńskiéj (około Langres Chaumont) pewien szlachcic znalazł w głębi lasów niewiastę piękną, w kosztowne szaty przystrojoną, którą pokochał i zaślubił. Często ona się kąpielą rozkoszowała, a razu pewnego dostrzegła ją jakaś dziewczyna pluskającą w postaci węża. Doniesiono o tém mężowi, a gdy ją tak zastał w kąpieli, nigdy potém się nie ukazała i znikła, lecz potomstwo jéj dotąd istnieje.“ Że mit ten znano i po za granicami Francyi, dowodzi wzmianka w jednéj bajce niderlandzkiéj o Meluzynie, niewymienionéj zresztą po imieniu: pewien rycerz, pan Rocher (Roger) von Ronselcasteele w prowincyi Ary (może Arles?) napotkał wodnicę (een alvinne, elf żeńskiego rodzaju), która zgodziła się być jego żoną, ale z warunkiem, iż nigdy naga nie będzie widziana (2). Trudno rozstrzygnąć jednak, czy to ostatnie podanie pochodzi z drukowanéj legendy o Meluzynie, czy też sięga dawniejszych czasów. Lecz nie wątpię, że następne wyrażenie i zabobon utworzyły się po rozpowszechnieniu książeczek o naszéj bohaterce. I tak Lacroix świadczy, że we Francyi wszelkie bolesne narzekania nazywają „krzykiem Meluzyny“ (cri de mélusine, tu już imię Meluzyny ukazuje się jako imię pospolite) (3); w Czechach zaś powiadają, że w wichrze siedzi Meluzyna i podczas silnego wiatru wrzucają do pieca mąkę i sól „ dla Meluzyny, oblubienicy Wichra“ (4).

Powyższe wyjątki i fakta okazują, że podanie o Meluzynie nie jest wyłącznie umiejscowione w Lusignan; że mit ten, przed zapisaniem i ubarwieniem jego przez Jana z Arras, opowiadano sobie w różnych okolicach Francyi i Niemiec, przyczepiając go do rozmaitych okolic; czyli że jedném słowem, tak jak każde podanie miejscowe, był z początku luźnym, bujającym, że tak powiem, pokąd pewne sprzyjające okoliczności nie przykuły go raz na zawsze do pewnego miejsca.

Gdy zaś zapytamy siebie: zkąd się wziął? To na to tymczasem tyle tylko odpowiedzieć zdołamy: że nietylko w Lusignan ale i gdzieindziéj od XIII wieku, ile wiemy, opowiadano podanie

---

(1) Des Gervasius von Tilbury Otia imperialia, wydanie F. Liebrechta, Hanower 1856, str. 66.

(2) Mone Niederl. Volkslit. 75, przytoczony w Kuhna Herabkunft des Feuers str. 92.

(3) Bibliophile Jacob, Curiosités de l'histoire des croyances, 49.

(4) Wuttke der deutsche Volksaberglaube, wyd. 1869, str. 150 i 275.

zupełnie podobne, w którém już znaleziono imię i miejsce dla bohaterów jego.

Gdzieindziéj starałem się przedstawić najnowszy pogląd mitologii porównawczéj na początek, czas i sposób tworzenia się mitów (1). Przypomnę tu tylko, że skrystalizowane i zlokalizowane podania zawierają w sobie większe lub mniejsze cząstki odwiecznych, przeddziejowych mitów, wspólnych całym szczepom ludzkości. Oczywiście więc i podanie o Meluzynie musi być późném stosunkowo umiejscowieniem prastarego jakiegoś mitu lub jego ułamku. Powyższe wyjątki przekonały już zapewne czytelnika, że legenda luzignańska ma rodzone siostry daleko starsze i gdzieindziéj się gnieżdżące. Z góry uprzedzam jednak, że jak w innych podaniach, tak i w tém, nie powinniśmy przy porównawczém poszukiwaniu śledzić zupełnie tych samych wypadków i w takim samym porządku ułożonych, lecz musimy się ograniczyć odnalezieniem *podobnych* wątków, to jest nietyle w *formie*, ile w *treści* szukać podobieństwa. Idąc tą drogą przez Rzym, Grecyą i inne kraje Europy, dojdziemy aż do starożytnych Indyi, a tam aż w Wedzie dopatrzymy pierwszych rysów naszego podania. Bo też ztamtąd, ze Wschodu, wszystkośmy przynieśli lub nam przyniesiono: i język, i wiarę, i pierwsze zarodki uobyczajenia. Ex oriente lux.

II.

Ogólne uwagi porównawczo-podaniowe.—Eros i Psycha.—Latawiec.—Trojan.—Królewicz smok.—Zeus i Semele.—Numa i Egerya.—Podania indyjskie.—Dramat Kalidasy.—Różne wykłady mitu greckiego i indyjskiego.

Podania pod wielu względami można porównać do roślin, a naukowe ich badanie, wchodzące w skład mitologii porównawczéj, do botaniki. Jak rośliny dają się zgromadzać w pewne skupienia, tak samo i bajki klassyfikować można w gruppy: w obu razach jednak, chcąc postępować naukowo, trzeba podział opierać nie na pozornych, lecz na istotnych cechach. Czém w roślinie jest układ i postać organów, ich obecność lub nieobecność, rozwinięcie jednych, a stan zarodkowy lub zanikanie innych, tém dla podania są przeobrażenia jego części składowych, które nazywamy motywami czyli wątkami.

---

(1) Biblioteka Warszawska 1873, tom III, str. 220 i dal.

Na pytanie, która z roślin należących do pewnéj rodziny botanicznéj jest typem lub prototypem całego skupienia, trudno nieraz odpowiedzieć, bo w ciągu wieków osobniki roślinne uległy tylu przekształceniom, zależnym od mnóstwa przyczyn, że my co czytamy ostatnią kartę ich dziejów, nie zdołamy początków i całéj genezy odgadnąć. Pewne cechy wydatniejsze są na jednym osobniku, inne na drugim; i tylko ogólna summa cech całéj gromady daje nam wyobrażenie o zbiorowym charakterze jéj typu. Tak samo i w podaniach. Czy pochodzą one od pewnéj liczby pierwotnych mitów i gdzie ich szukać, dzisiaj nie wiemy. Ale widząc niezaprzeczoną nieraz wspólność dwóch odległych czasem lub przestrzenią podań, powiadamy o nich, że płynąć muszą z jednego źródła; nieraz bywamy w położeniu archeologów, którzy wykopawszy jakąś cząstkę starożytnego posągu, nie wiedzą, lecz domyślają się tylko, do jakiéj całości mógł należeć.

Rośliny mają nieraz prześliczne kształty i barwy; podania świecą poezyą lub zaletami moralnemi. Lecz gdyby botanika chciała na kolorach lub kształtach kwiatów układać swą klassyfikacyą, powiedzielibyśmy o niéj, że nie trzyma się drogi naukowéj, nie wyszukuje istotnych cech pokrewieństwa, ale opiera się na pozornych. To samo winnibyśmy wyrzec i o badaniu, któreby główną baczność kierowało ku poetycznéj lub moralnéj stronie bajek: dla mitologa jest to ich stroną nieistotną, podrzędną; chodzi mu o sam mit tylko, nie pytając czy piękny, czy moralny.

Lecz jak pomiędzy roślinami są pewne uprzywilejowane przez historyą gatunki, które odegrały i odgrywają ważną rolę w cywilizacyi, jak np. nasze zboża, winorośl, drzewa budowlane, ryż i t. d., tak i z pomiędzy legend wyróżniło się niemało takich, które w pierwotnych dziejach ludzkości odegrały potężne posłannictwo cywilizacyjne, stanowiąc przez długi przeciąg czasu jedyne utwory umysłu, będąc zarazem religijną pobudką do moralności, artystyczną podnietą do oderwania się od codziennych materyalnych trosk życia, jedyném narzędziem pedagogiczném, a nawet jedyną encyklopedyą naukową, jedyną odpowiedzią na pierwsze zapytania człowieka o pochodzeniu i naturze wszech rzeczy. Wedy, pieśni homeryczne i t. p. były dla mnóstwa pokoleń pierwszemi zbiorami literatury tak zwanéj podaniowéj i pierwszemi podręcznikami, które, jak z pomiędzy roślin palma daktylowa, ryż, sosna i t. d., odegrały w dziejach ważną rolę pomocy i podpory dla człowieka: bez nich nie byłby tém, czém jest dzisiaj.

W oczach mitologii porównawczéj przecież te zalety nie stawią owych pierwotnych podań wyżéj nad inne; dla dziejopisa lub

estetyka mogą mieć ważniejsze znaczenie, lecz dla mitologa tyle są warte, co każde inne, jak dla botanika równie zajmującym jest dąb jak chwast, drobna trawka jak drzewo chlebowe.

To samo powiemy i o *pięknych* roślinach i o *pięknych* podaniach. Lubimy żywe barwy kwiatów, piękne kształty drzew; są ludzie, którzy przepłacają pewnéj barwy lub postaci georginią albo tulipan; lecz w oczach przyrodnika stulistna róża jest tylko sztuczną modyfikacyą polnéj, a pszenica uszlachetnionym potomkiem jakiéjś nędznéj trawy stepowéj. Tak samo i mit, wyniesiony sztuczną hodowlą poety na wyżyny Iliady lub tragedyi Eschilowéj, zachwyca nas swą artystycznością, lecz gdy nań zwrócimy oko z myślą naukową, nie zyska więcéj wartości od pierwszego lepszego skromnego bajania, wzgardzonego przez bardów, a tulącego się pod ubogą strzechę wieśniaczą.

Rozwijając daléj porównanie roślin z podaniami, przypomnijmy sobie, jak byliśmy zdziwieni, gdyśmy się poraz pierwszy dowiedzieli ucząc się botaniki, że naprzykład skromny a użyteczny szparag należy do téj saméj rodziny co wonna konwalia, że chmiel jest rodzonym bratem pokrzywy, rumbarbarum gryki, sałata rodzoną siostrą cykoryi, cebula i czosnek białéj lilii i tulipana, bławatek i nogietek łopianu i karczocha, rumianek georginii i t. d. Dowiadując się o tych dość niespodzianych pokrewieństwach, mówimy: jakże to do siebie niepodobne! Ale musi być tam coś wspólnego, skoro ludzie naukowi podciągnęli to pod jedną rubrykę; szukamy daléj i we wspólności istotnych cech, znajdujemy zaspokojenie naszych wątpliwości. Podobnież i w mitologii porównawczéj przychodzi nieraz wywoływać uśmiech niedowierzania na usta czytelnika, gdy się zestawia naprzykład dzisiejszego diabła z jakiémś potężném bóstwem pogańskiém, chłopa naszéj baśni z przebiegłym Odyssejem, legendę o Madeju z podaniem o Jefcie i Ifigenii, Twardowskiego z mistrzem Wirgiliuszem i t. d. A jednak przypatrzmy się bliżéj, pomyślmy, oderwijmy się na chwilę od warunków miejsc i czasu, weźmy nie dwa, ale dziesięć, sto odmianek jednego wątku, a ujrzymy, że pokrewieństwo jest i jest niezaprzeczone. Trzeba tylko się oswoić z nową metodą,—a to nie łatwo, bo czytelnikowi brakuje zwykle materyału w pamięci, a często ufności w pewność nowych dróg i sposobów.

Często jeden i ten sam wątek wchodzi w skład podań bardzo od siebie odległych w czasie i przestrzeni. Często znowu z pewnego skupienia legend, bujnie rozrosłego w któréjś okolicy lub epoce, wydziela się jeden drobny motyw i gdzieś daleko rozwija się w obszerny mit, służący potém za treść do poematu lub tra-

gedyi; inne znowu wątki zbijają się w jedno z różnych odrębnych gdzieindziéj całości, splatają się w nową i rozwijają daléj, zupełnie jak cząsteczki chemiczne pod działaniem ciepła. Takie naprzykład podanie nasze o Madeju, oczywiście złożyło się z kilku odrębnych części: sprzedaży istoty, o któréj istnieniu nie wiedziano, wędrówki do piekła i bajek o zbójcach pokutujących. Chcąc dojść źródeł téj legendy, trzeba ją rozłożyć na pojedyncze wątki i każdy oddzielnie badać porównawczo, szukając rysów pokrewnych chociażby w najdalszych i najdawniejszych sferach. Bo i w tym względzie podania można porównać z roślinami: wędrują nieraz przez dalekie morza i lądy, uczepią się nowéj ojczyzny, rozrosną w niéj bujnie i sprawiają złudzenie, jakoby odwiecznie tu żyły. Niejednemu podróżnikowi po Włoszech zdaje się naprzykład, że tak częsta tam agawa jest rodzimą włoską rośliną, rodzoną siostrą również tam obfitych aloesów; lecz po bliższém poznaniu rzeczy, dowiaduje się, że piękna ta strażniczka zagród wiejskich niedawno przywędrowała z za Atlantyku i nie ma nic wspólnego z aloesem w układzie naukowym.

Przystępując do zamierzonego rozbioru podania o Meluzynie, na zasadzie wyżéj wyłożonego poglądu, rozkładamy je na wątki i poszukiwać będziemy nasamprzód najbliżéj z niemi spokrewnionych żywiołów, a późniéj zastanowimy się nad dalszemi, choć niewątpliwemi powinowactwami.

Legenda nasza należy do cyklu podań, którego schemat w najogólniejszém streszczeniu tak można przedstawić:

Istota ziemska łączy się miłością z nadziemską, ale pod pewnym warunkiem; dopóki ten się zachowuje, trwa zgoda, rodzi się potomstwo; z czasem jednak istota ziemska przez zapomnienie, ciekawość, oburzenie lub czyjąś namowę łamie warunek: wtedy następuje rozerwanie związku.

Na tym planie mnóstwo jest osnutych podań u wszystkich ludów aryjskich i nawet niearyjskich. Każde z nich różni się od drugiego mniéj lub więcéj, stosownie do religijnych i społecznych pojęć, warunków miejscowych, zwyczajów i geniuszu plemienia. W szczegółach więc zachodzą często różnice, a nadto skrócenia i rozszerzenia, opuszczenia, wstawki, ale główny szkielet przy bacznėm śledzeniu daje się wszędzie odnaleźć.

Podania te opierają się na wierzeniu pierwotnych religii, że bóstwa mają dusze i ciała ludzkie, tylko bardziéj udoskonalone i nieśmiertelne, oraz że wędrując po ziemi, wchodzą w związki miłosne ze śmiertelnikami i miewają z nimi potomstwo, a gdy zechcą, mogą unieśmiertelnić ludzi.

Schemat w formie powyższéj ogarnia zbyt wiele podań, abyśmy jednym rzutem je objąć mogli; zacieśnijmy więc plan i szukajmy nasamprzód najbliższych Meluzynie bajek, układając wątki w następny sposób:

1. Istota ziemska, najczęściéj mężczyzna, spotyka istotę nadziemską, często mianowicie bóstwo wodne zachwycającéj piękności.

2. Chce się połączyć z tą niebiańską istotą związkiem miłości; ta na to się zgadza, ale pod pewnemi warunkami, które jeśli nie będą dochowane, związek się rozerwie. Warunki te bywają: niewidywanie zgoła lub w pewne dni, albo w pewnych okolicznościach, np. w stanie nagim, niewypuszczanie z domu lub nad wodę, niepytanie o imię, dobre obejście się i t. p.

3. Ze związku tego rodzą się dzieci; ale je spotyka coś nadzwyczajnego: albo są potworne, albo cudowne, albo mają jakieś piętna, albo je matka topi, zjada i t. d.

4. Istota ziemska przez niebaczność, ciekawość, gniew lub inne powody, najczęściéj za czyjémś poduszczeniem nie dotrzymuje przyrzeczonego warunku; istota nadludzka grozi porzuceniem, ziemska stara się ją zatrzymać i gorzko żałuje swojego postępku. Tu następuje rozstanie albo na zawsze, albo czasowe; w pierwszym razie opuszczony lub opuszczona nie może się w smutku pocieszyć i ginie z miłości i tęsknoty; w drugim także umiera, ale tylko na chwilę, poczém zmartwychwstaje za sprawą niebieskiego kochanka lub kochanki i przeszedłszy różne próby, przy pomocy znikłéj istoty nadziemskiéj łączy się z nią na nowo i pozyskuje nieśmiertelność.

Oprócz tych głównych momentów bywają dodatkowe: w niektórych podaniach znajduje się wątek wstępny, niby prolog, okazujący dla czego istota nadludzka skazana jest na szukanie pary pomiędzy śmiertelnikami (najczęściéj bywa to karą bogów za jakieś przewinienie); w wielu bajkach po rozstaniu wyższa istota przylatuje nocami popieścić i nakarmić swe niemowlęta. W legendzie o Meluzynie pojawia się nadto wątek podstępu ze skórą, oczywiście zkądinąd zapożyczony: w dalszym ciągu zastanowimy się i nad nim.

Nietylko te podrzędne, ale i jeden lub więcéj z głównych wątków, mogą być lub nie być w podaniu; jeden rys może być więcéj od innych rozwinięty, a czasami domyślać się go tylko można, lub poznać po pewnych cechach i wskazówkach. Podania bowiem jednego cyklu, tak jak potomstwo jednego ojca, mogą

ze wspólnym rodzicem mieć pewne tylko rysy podobne, lecz w każdém rys ten może być inny.

Opuszczając kilkanaście podań europejskich, które są albo odmiankami meluzynowego, albo mniéj zajmującemi, rozpocznę przegląd porównawczy od pięknego mitu o Amorze i Psysze. Dla nieobeznanych z mitologią grecką, przytaczam w skróceniu treść jego, jak ją podał Fulgencyusz (1). „Król i królowa mieli trzy córki. Dwie starsze wyszły za mąż, a trzecia, Psycha, była tak cudownie piękna, iż nikt nie śmiał o nią się starać, lecz owszem cześć, a nawet ofiary jéj składano. Rozgniewana tém Wenera, kazała Kupidowi ją ukarać. Lecz ten pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Tymczasem wyrocznia Apollina nakazuje, aby Psychę z orszakiem pogrzebowym zaprowadzono na górę i tam oddano wężowi w zamęźcie. Tak się też staje. Rodzice zostawiają ją samą na górze. Wtedy Zefir unosi ją do złotego domu, gdzie jéj tylko niewidomych istot głosy odpowiadają i gdzie w ciemnościach nocy odwiedza ją niewidzialny małżonek, opuszczając przed świtem. Siostry opłakują śmierć jéj na górze. Psycha, wbrew zakazowi ojca, nakazuje Zefirowi sprowadzić je do siebie. Zazdroszczą one jéj szczęścia i doradzają zabić śpiącego męża (smoka). Ogląda więc go przy blasku lampy, i ze zdumienia nad niebiańską pięknością uśpionego Amora, wylewa nań kroplę oleju i budzi tém boskiego kochanka. Wtedy on ją opuszcza, wyrzucając ciekawość. Niepocieszona Psycha chce się w rzece utopić, a potém szuka go we wszystkich świątyniach. Wreszcie przybywa do pałacu Wenery. Tam musi wytrzymać trzy kary téj bogini, trzy próby na ziemi i trzy pokusy w piekle. Odbywa dwie pierwsze pomyślnie; ale gdy jéj kazano dostać od Persefony skrzyneczkę napełnioną jakoby kosmetykiem, otwiera ją wbrew zakazowi, a wypływająca z niéj zabójcza para odbiera jéj przytomność. Lecz Amor litością i miłością natchniony, przywraca ją do życia, godzi z Wenerą i wyprasza od Zeusa wyrok obdarzający ją nieśmiertelnością i oddający mu ją na wieczne czasy za małżonkę. Uroczyste wesele wieńczy jéj cierpienia, a tegoż dnia zazdrosne siostry odbierają sobie życie skacząc ze skały.“

Podanie to przedstawia jednę z najpiękniejszych wersyi

(1) Przywiedziony w Creuzera, Deutsche Schriften IV. od str. 173. Dzieje Amora i Psychy opisał Apulejusz w II wieku po Chr. W piśmiennictwie naszém posiadamy mało znany, a wcale pięknym wierszem skreślony poemacik, naśladujący Apulejusza, p. n. Psycha, powieść oryginalna, przez G. Szepielewicza, Petersburg, 1843, stronnic 120.

w obranym przez nas cyklu; tylko wątek o potomstwie jest tu prawie zaniedbany, bo Psycha daje życie dziecięciu dopiero po powtórném połączeniu z Erosem w krainach niebiańskich; wystawienie na pożarcie przez smoka, ciężkie próby do przebycia i wędrówka do krain podziemnych przypominają podobne wątki w naszych podaniach, o czém poniżéj. Najbardziéj zajmuje ta okoliczność, że według wyroczni Psycha ma być oddana smokowi czy wężowi i że długo uważa Erosa za takiego wodnego potwora: niezaprzeczone w tém podobieństwo do półwężowatéj postaci Meluzyny.

Dalekiém echem brzmi taka sama osnowa w naszych podaniach o latawcach. Kilka z nich podał p. Wójcicki w Kłosach (tom I od str. 181); oto treść ich: W okolicach gór Świętokrzyzkich lud opowiada, że gdy niebieski Latawiec wypatrzy na ziemi piękną kobietę zrywa złote ogniwo, wiążące go do nieba i spuszcza się z obłoków w postaci gwiazdy spadającéj; zbliżając się do ziemi, traci blask i skrzydła, zmienia się w dorodnego młodzieńca i widokiem swym a dotknięciem ręki tak ziemianki czaruje, że porzucają rodzinę, biegają w miejsce gdzie go ujrzały, i zapatrzone w niebo czekają jego powrotu. To samo prawi i lud naddnieprzański. Mazowieckie zaś podanie dodaje, że gdy Latawiec przybywa do dziewicy, rozpuszcza swój złoty warkocz, co mu nadaje niezwykłą piękność, któréj żadna kobieta oprzeć się nie może. Bywa, że Latawiec, któremu w nocy tylko wolno nawiedzać kochankę, zbyt długo przy niéj zabawi i doczeka wschodu słońca, wtedy traci warkocz i skrzydła, a po siedmiu dniach i trzech godzinach umiera; dusza jego wraca do nieba, ale już Latawcem zostać nie może. Płacze wtedy, póki żyje kochanka, a łzy jego spadają w postaci rosy o cudownym zapachu, po którym kochanka tęsknotę poznaje i sama wreszcie umiera także ze smutku, na miejscu gdzie go pierwszy raz ujrzała.

Jakże to piękne, a zarazem jak podobne do greckiéj baśni o Psysze i jéj nocnym gościu!

Wiele punktów stycznych z powyższemi ma podanie serbskie, przywiązane do zwalisk Trojanowego grodu (1); opowiada ona, że król Trojan jeździł do kochanki, ale tylko w nocy, bo od słońca mógłby zginąć. Raz gdy za długo u niéj zabawił, w powrocie do domu,

(1) Znajdzie czytelnik w Klechdach Wójcickiego, wyd. 1851, tom I. od str. 23, i cokolwiek inaczéj opowiedziane w Karadżycza Srpskim Rjeczniku (Wiedeń, 1852), pod wyrazem *Trojan*.

słońce weszło; położył się na ziemi i płaszczem nakrył, a gdy mu go zerwano, stopniał.

Bajka zapisana przez Glińskiego w jego Bajarzu tomie II, o królewiczu smoku, bardzo się zbliża główną treścią z podaniem o Psysze: córka leśnika poślubia smoka, ten ją unosi do swojego cudownego pałacu i tylko nocami przy niéj bywa jako królewicz, ale widzieć siebie nie pozwala; za namową rodziców, żona pewnéj nocy zaświeca ogień, przypatruje się uśpionemu młodzieńcowi dziwnéj piękności, ale skra spada ze świecy i budzi go, kochankowie muszą uciekać, pałac ich zapada, a na miejscu jego rozlewa się jezioro; małżeństwo się rozłącza, biedna żona przebywa ciężkie próby i znajduje wreszcie męża aż za krwawém morzem. Domyśla się czytelnik, iż smok jest tu wodnikiem, pałac jego zamienia się w jezioro, jego żywiół; krwawe zaś morze jest, zdaniem mojém, ową znaną w mitologii rzeką, oddzielającą świat nasz od tamtego, to jest od piekła; wędrówka więc opuszczonéj królewiczowéj jest jednoznaczna z bytnością Psychy, Orfeusza i innych bohaterów w Hadesie.

Z mitów greckich jeszcze jeden tu należy, mianowicie o Zeusie i Semeli. Tę ostatnią kochał Zeus, Hera zaś przez zazdrość namówiła ją, pod przybraną postacią jéj piastunki, aby uprosiła swojego gromowładnego kochanka, iżby do niéj przybył w takiéj postaci, w jakiéj go Hera zwykle ogląda. Zeus przyrzekł, nie wiedząc wprzódy, o co prosić będzie; stawił się przeto w całéj swéj okazałości i spalił Semelę gorącem piorunów. Późniéj syn jéj Dyonizos przeniósł ją z Hadesu na Olimp (Owid. Metam. ks. III w. 267—328). Inne wersye tegoż podania wzmiankują i o dwóch siostrach Semeli.

W powyższéj legendzie tajemniczy kochanek także przez ciekawość kochanki daje się widzieć w swéj piękności i tak samo skutkiem tego następuje rozstanie, a późniéj powrót do szczęścia, tutaj z piekieł na Olimp. Dodajmy, iż według innych podań, Dyoniz miał być synem Persefony (Prozerpiny) i Zeusa, który łącząc się z nią przywdział postać węża. Znowu więc nadziemska istota w formie wodnego ducha: podanie o Semeli zapomniało o téj przemianie Zeusa.

Do cyklu naszego należy niezaprzeczenie i mit o Numie i Egeryi. Bajeczny ten król rzymski miewał z nią w poświęconym gaju tajemne schadzki, na których nimfa uczyła go urządzenia czci bogów, sprowadzenia Jowisza, wymożenia na nim, aby się zrzekł ofiar ludzkich i w ogóle była mistrzynią Numy w sprawach wiary

i pokoju. Gdy po długiém panowaniu umarł, nic nie mogło tęsknoty Egeryi utulić i łzami rozpłynęła się w źródło.

Egerya podług wyobrażenia Rzymian była duchem wodnym i wieszczym, z rzędu tak zwanych Kamen czyli Nimf, co ją właśnie z Meluzyną i innemi wyżéj rozpatrywanemi postaciami zbliża; podanie rzymskie opowiada jeszcze, iż pewnego razu Numa, jak Rajmund na ślub z Meluzyną, zaprosił gości do swéj kryjówki w gaju i zdumił ich obfitością i okazałością przyjęcia.

Podanie o Egeryi zresztą, jak wszystkie dziejowe lub umiejscowione, cząstką jest tylko typu, który badamy: kilka zaledwie rysów wiąże je z mitami pokrewnemi, ale styczność jest niezaprzeczona (1).

Przenosimy się teraz do krainy cudownych bajań i marzeń, do Indyi starożytnéj. W ogromnym zbiorze legend sanskryckich, Mahabharacie, napotkałem niejednę, na któréj wielkie podobieństwo do Meluzynowéj i innych z nią pokrewnych nikt, ile wiem, nie zwrócił dotąd uwagi. Przytaczam nasamprzód podanie o związku króla Çantanu z Gangą. Tłómaczę je w całości, choć jest przydługie. Przez wzgląd, iż bajania indyjskie tak mało są u nas znane i że sposób ich opowiadania nader jest charakterystyczny, może mi nie wezmą za złe czytelnicy, iż tutaj i w dalszym ciągu pozwolę sobie podawać w całości te próbki bajarstwa starożytnego Wschodu.

Dla łatwiejszego zrozumienia téj pierwszéj legendy indyjskiéj, przypomnijmy, iż według wyobrażeń religijnych bramińskich i buddyjskich (Wedy nie znają jeszcze metempsychozy), życie człowieka jest jedném z licznych przerodzeń, na które prawie bez końca skazana jest dusza ludzka. Dla bóstwa być skazaném na odrodzenie się w postaci człowieczéj jest ciężką karą, człowiek zaś pokutuje za grzechy, wcielając się po śmierci w jakiekolwiek zwierzę, roślinę i t. p. Kilka słów przekleństwa z ust zagniewanego bóstwa lub ascety czyli świętego dostatecznemi są, aby bóg, który się jakiego przewinienia dopuścił, musiał się odrodzić i pokutować w ludzkiém ciele pewną liczbę lat, albo do pewnego oznaczonego wypadku. Wolno jednak przeklętemu czasami wybrać sobie ojca i matkę, z których ma się na ziemi urodzić. Według tych pojęć wyobraźnia bajarza indyjskiego upowodowała w poniższém poda-

---

(2) Schwegler. Römische Geschichte wyd. 1853 r., str. 539 — 568 rozbiera krytycznie i nader zajmująco mit powyższy.

niu spotkanie i stosunek króla z Gangą. Gdy czytelnik zechce w myśli odrzucić z niego to, czém specyficznie indyjski pogląd na rzeczy je zabarwił, otrzyma schemat pierwotny, bardzo blizki z ogólną tu rozbieraną osnową. Nadmieniam, iż bogini Ganga jest bóstwem rzeki Gangesu, któréj nazwa brzmi po sanskrycku Ganga i jest żeńskiego rodzaju. Inne objaśnienia zamieszczę w nawiasach pośród samego tekstu.

„Był król, władca ziemi, powiada Mahabharata (1), pochodzący z rodu Ikszwaku. Mahabhisza, takie nosił imię, nie wyrzekł nigdy słowa kłamliwego; miał bohaterstwo prawdy. Pan ten nasycił władcę nieśmiertelnych seciną radżasujów i tysiącem açwamedhów (rodzaj ofiar), które mu zapewniły przyjęcie do swargi (nieba).

Pewnego dnia bogowie przyszli w odwiedziny do Brahmy; a byli tam radżarszowie (święci) i król Mahabhisza.

Podczas gdy Ganga, królowa rzek, zbliżała się ku praojcowi stworzenia, wiatr podniósł jéj szatę, podobną do blasku księżycowego. Wnet orszak nieśmiertelnych spuszcza oczy na ziemię; ale radżarszy Mahabhisza śmiał zuchwale popatrzeć na piękną rzekę. Czcigodny więc Brahma rzekł do świętego króla, ulegającego temu roztargnieniu: „Odrodzisz się wśród śmiertelnych; a potém wrócisz do naszych światów."

Wówczas Mahabhisza, przeszedłszy myślą wszystkich królów zamożnych pokutą, wybrał Pratipę o niezmiernym blasku na ojca dla siebie.

Najświętsza zaś z rzek, widząc monarchę zachwianego w stałości, rozmarzona sama, myśleć zaczęła o nim.

Powracając spotkała Wasuów, bogów niebiosa zamieszkujących, pokaleczonych na ciele i pogrążonych w wielki upadek ducha. Ujrzawszy ich w tak opłakanym stanie, zapytała: „Dlaczego piękność wasza tak podupadła? Czyżby niebiańską pomyślność spotkała jaka przeciwność?"—„Zostaliśmy przeklęci, szanowna rzeko, odpowiedzieli bogowie, przez wspaniałomyślnego Waçiszthę, który się o niewielką rzecz obraził. Pewnego dnia, wieczorem, siedział on, a myśmy nierozważnie poprzeskakiwali przezeń, nie widząc go. Odrodźcie się, krzyknął gniewnie, z przeklętego łona! Niepodobna

---

(1) Tłómaczę dosłownie z wybornego przekładu francuzkiego Fauche'a: Le Mâha-Bhârata, Paryż, 1863—1870, tom I, str. 411 – 428. Tłómacz umarł doprowadziwszy przekład Mahabharaty do tomu 10, z 16 zamierzonych. Nadmieniam tu, że ç wymawia się jak ch'.

przeszkodzić temu, co raz wyrzekł święty, którego usta objaśniają Wedy. Przemień się więc w córkę Manua (mybyśmy powiedzieli Adama) i wydaj na świat Wasuów jako synów swoich. Obroń nas, rzeko przezroczysta, od wchodzenia do łona córek Manua!" Na te słowa Wasuów odrzekła ona:—„Tak!" i w ten sposób ciągnęła: „Któryż z ludzi, o najcnotliwsi ze śmiertelników, będzie tam waszym ojcem?"—„Będzie na świecie człowieczym, odrzekli Wasuowie, pewien król, syn Pratipy, który rozsławi na ziemi imię Çantanua: on to będzie naszym ojcem."—„Uczucia moje, o bogowie bezgrzeszni, odparła Ganga, zgadzają się z tém, czego odemnie żądacie: uczynię więc rzecz tę, miłą dla niego i przez was pożądaną."—„Racz więc, rzekli Wasuowie, powrzucać zaraz po urodzeniu twoje dzieci do wody, aby dług nasz prędko się uiścił na tym świecie, około którego krążą dwa inne."—„Uczynię tak, odpowiedziała Ganga; potrzeba jednak, aby mu choć jeden syn pozostał, żeby nie był zawiedziony w małżeństwie ze mną, które przecież zmierzać będzie do osiągnięcia potomstwa." — „Każdy z nas, odparli Wasuowie, udzieli dziecięciu temu ósmą część swéj własnéj siły. Syn więc, którego żąda, taką będzie miał dzielność. Lecz nie urodzi się zeń potomstwo pomiędzy śmiertelnikami; ów syn tak potężny nie będzie miał syna." Tak się ułożywszy z Gangą, Wasuowie z radością w duszy odeszli, gdzie ich myśli kierowały.

Król Pratipa osypywał dobrocią wszystkie stworzenia; przyszedł do bram Gangi i siedział tam kilka lat, szepcząc modlitwy Ganga, przywdziawszy postać niewieścią, odznaczającą się pięknością i nieprzepartym urokiem, wyszła z wód swoich z czarującém obliczem, pełna dowcipu i wdzięków niebieskich, zbliżyła się do świętego króla, zajętego czytaniem Wed, i usiadła na prawém jego kolanie, podobna do drzewa çala. Pratipa, wszechwładny pan ziemi, rzekł do przesławnéj bogini:—„Czém mogę służyć, szlachetna pani, coby było przedmiotem twoich życzeń?"—„Kocham cię, odrzekła niewiasta; oddaj mi królu, miłością za miłość. Odtrącać kobiety przejęte miłością, jest rzeczą potępianą przez mędrców."

— „Nie mogę okazywać miłości cudzéj małżonce, rzekł Pratipa, ani też kobiecie, która nie jest z mojéj kasty: taki jest mój obowiązek i ślub taki."

— „Nie jestem gminną kobietą, do któréj nie należy chodzić i do któréj nigdy przemówić nie wolno, odrzekła niewiasta. Kocham cię, królu, kochaj i mnie, która jestem szlachetną niewiastą, boską dziewicą." Pratipa odrzekł: „Muszę się wstrzymać od rzeczy, do któréj mnie zachęcasz; inaczéj śmiercią opłaciłbym rozkosz doznaną w zaniedbaniu obowiązków. Przyszłaś i usiadłaś, o ty,

którą trzymam w objęciu, szlachetna niewiasto na mojém prawém biodrze; wiedz, o bojaźliwa, że to jest miejsce przeznaczone dla dzieci i synowych. Siedzenie na lewém biodrze tylko kochankom jest dozwolone; a tegoś właśnie nie zajęła: nie mogę więc, szlachetna niewiasto, zakosztować z tobą miłości! Bądź moją synową, śliczna kobieto; wybieram cię za narzeczoną dla mojego syna: bo doprawdy, piękna wodnico, przyszedłszy, zajęłaś na moich kolanach stronę synowych."

— „Niechże i tak będzie! o ty, co znasz powinność, odpowiedziała niewiasta; przez poświęcenie dla ciebie wstąpię do przesławnéj rodziny Bharatydów. Wy, co jesteście książętami ziemi, kierujecie kroki wasze nie mijając drogi cnót, którychbym nie zdołała wyliczyć przez całe wieki. Sławne są cnoty twojego rodu; lecz ja zalety jego podniosę do wyższéj jeszcze potęgi, święty królu, pod warunkiem, że syn twój nigdy się o tém wszystkiém nie dowie. Tak więc pozostając w takiéj rodzinie, nasycę twojego syna rozkoszami, a otrzyma on prawdziwe niebo (Swarga) w synach miłych i cnotliwych." Pratipa się zgodził; Ganga znikła natychmiast, a król oczekiwał urodzenia się syna, rozmyślając nad tą przygodą.

W tymże czasie, ta latorośl Kurua, ten władca kszatryów nałożył na siebie i małżonkę wielką pokutę celem otrzymania syna. Odrodził się więc (t. j. urodził się) Mahabrysza, syn dwojga tych starych i jako zrodzony z męża uśmierzającego namiętności (çanta), naznany został Çantanu. Nie zapominając, że czynami swemi zdobył już światy nieznikome, Çantanu, najcnotliwszy z Kuruidów, oddawał się świętym uczynkom. Gdy wyrósł na młodziana, Pratipa rzekł do niego: „Przychodziła niegdyś do mnie kobieta w sprawie dotyczącéj twego szczęścia. Jeżeli odwiedzi cię pokryjomu, synu mój, owa szlachetna niewiasta, owa niebiańska kobieta, pełna miłości, bogata pięknością, a wiedziona chęcią otrzymania syna, nie należy zadawać jéj takich pytań: Kto jesteś, śliczna niewiasto? Czyją jesteś córką? nie wypada też zapytywać jéj o niczém, cokolwiekby czyniła. Dość będzie oddać jéj tylko miłością za miłość. Taka jest wola moja, bezgrzeszny młodzieńcze." Rzekł i dawszy nauki synowi swojemu Çantanuowi, król Pratipa ukoronował go na następcę tronu i usunął się w głąb lasów na pustelnika.

Mądry monarcha Çantanu, wspaniałością równy bogom, lubił namiętnie łowy i ciągle lasy przebiegał. Najcnotliwszy ten król zabijał bawoły i dzikie kozy; błąkał się bez orszaku na brzegach Gangi, uczęszczanych przez Siddhów i Czaranów (pustelników i duchy). Pewnego dnia ten potężny władca ujrzał tam ko-

bietę znakomitą, jaśniejącą w całéj postaci, taką, iż rzekłbyś druga Lakszmi (małżonka Wisznua), widoma na ziemi. Wszystko w niéj było czarujące: miała śliczne zęby, ustrojona była niebiańskiemi ozdobami, w szatę z wybornéj tkaniny, jaśniała blaskiem kwiatu lotusowego; była sama. Na widok jéj włosy mu się najeżyły z rozkoszy. Podziwiając tak doskonałą piękność, król pił ją oczami i nie mógł ich pragnienia nasycić. Piękna niewiasta, przejęta czułością na widok króla przechadzającego się w całéj okazałości, również nie mogła się nasycić tak miłym widokiem. Król przemówił, pieszcząc ją słodkim głosem: „O ty piękna, o cudnéj kibici, bogini czy danawi, gandharwi może, lub apsara, ktokolwiek jesteś, jakszi, pannagi lub córka Manua (człowiecza), błagam cię, czarowna kobieto, o ty, coś tak podobna do córy bożéj, bądź moją małżonką!" (1) Na te słowa króla, wyrzeczone ze słodkim i czarującym uśmiechem, zachwycająca niewiasta zbliżyła się, bo pamiętała na to co przyrzekła Wasuom, i głosem napełniającym radością serce monarchy rzekła: „Będę twoją małżonką, woli twéj poddaną, o władco ziemi. Lecz cokolwiek czynić będę, królu, czy dobrze, czy źle, przyrzecz nie przeszkadzać mi i nic nie mówić, coby mnie mogło być niemiłe. Jeżeli wiernie dotrzymasz tych warunków, nie przestanę mieszkać u ciebie; lecz jeśli przeszkodzisz mi jaki czyn lub wyrzeczesz do mnie przykre słowo, opuszczę cię, nie wątp o tém!" — „Niech tak będzie!" odpowiedział Çantanu. Wówczas, dostawszy największego z królów, uczuła niezrównaną radość. Mądry Çantanu zbliżył się do niéj i zakosztował miłości w jéj objęciu. „Nie trzeba zadawać jéj pytań, nic nie trzeba jéj mówić", myślał sobie.

Radował się tedy władca ziemi z jéj posług, przymiotów, wspaniałomyślności, piękności, stałości w dobrém postępowaniu. Jakoż gdy rzeka, któréj wody płyną trzema łożami, bogini Ganga niebiańskiéj piękności, stworzyła sobie czarowne ciało ludzkie i stała się kobietą kasty szlachetnéj, była pilną małżonką męża swojego, króla królów, księcia blasku równego z królem bogów Çantanua, którego miłość nie oddalała się nigdy od rozkoszy. Król cieszył się wszystkiém, co robiła, aby go zabawić zachwycającemi tańcami, zalotnością, wybiegami miłości i uciech.

Ani się spostrzegł najwyższy z władców, wśród namiętnych uniesień, jak dużo miesięcy, pór roku, lat minęło. Wśród tych

---

(1) Powyższe wyrazy sanskryckie są nazwami rozmaitych duchów, złych i dobrych, mieszkających w miejscach odludnych.

igraszek miłosnych, król ludzi uczynił ją matką ośmiu synów, podobnych do bogów nieśmiertelnych. Po urodzeniu każdego, wrzucała ona każde dziecię do wody; mówiąc „kocham cię!“ zanurzała jedno po drugiém do rzeki. Niemiłe było owo topienie królowi Çantanuowi; lecz potężny monarcha nie śmiał nic mówić, tak się obawiał, aby go nie porzuciła! Wreszcie po urodzeniu ósmego syna, król, chcąc dziecię swoje ocalić, rzekł uniesiony boleścią do małżonki, która już się śmiała: „Nie zabijaj go! bo powiedzą:—Ktoś ty taka i czyjaś ty córka? Po co dzieci swe gubi? — Spełniałaś czyn bardzo naganny, dzieciobójstwo; dopuszczałaś się wielkiéj zbrodni!“ — „Tkliwy ojcze, odparła kobieta, nie zabiję twojego syna, o najlepszy z ojców! Niech więc będzie przerwane mieszkanie moje u ciebie! bo zniewaga, którąś mi uczynił, zrywa wszystko. Jestem Ganga, córka Dżahnua, nawiedzana przez grona wielkich świętych; mieszkałam z tobą dla pomyślności pewnéj sprawy dotyczącéj bogów. Te dzieci są to ośmiu Wasuów, bóstwa znakomite, o sile potężnéj, strącone na świat człowieczy przekleństwem Waçiszthy. Nie mają prócz ciebie ojca na ziemi, a żadna prócz mnie kobieta nie była ich matką na tym świecie. Przyjęłam postać ludzką, aby zostać matką tych ośmiu Wasuów; ty zaś, zasługą dania im życia na téj ziemi, zdobyłeś sobie światy nieznikome. Przyrzekłam owym bogom, że zachowam warunek: „Zaraz po przyjściu na świat, wyrzekłam, uwolnię każdego nowonarodzonego z natury człowieczéj.“ Otoż wolnymi są od przekleństwa wspaniałomyślnego Apawy (t. j. Waçiszthy). Żegnaj! odchodzę; opiekuj się tym synem, przeznaczonym do wielkich pokut. Odtąd zamieszkam przy Wasuach: wiedz, że syn ten, ze mnie zrodzony, przez Gangę ci jest dany....“ (Opuszczam epizody nie należące do ciągu tego opowiadania). Ten bohater, nazwany Dewawratą, syn Gangi i Çantanua, przewyższający zaletami samego Çantanua, ciągnie daléj Mahabharata, był przeto Wasuem zwanym Djau...

Pewnego dnia goniąc na brzegach Gangi za gazellą, którą ranił, król (Çantanu) spostrzegł, że woda w niéj zawrzała. Co widząc począł myśleć: „Zkąd to wrzenie? Czy nie ukaże się mnie najpiękniejsza z rzek teraz jak to dawniéj czyniła?“ Poczém gdy nad przyczyną się zastanawiał, ujrzał wychodzącego z wód wysokiego młodzieńca, obdarzonego pięknością i czarowną postacią. Potrząsał on, jak bóg Purandara (Indra) łukiem niebieskim i w postawie bohaterskiéj całą Gangę okrywał swojemi ostremi strzałami. Na widok rzeki zasutéj pociskami, na widok tego nadludzkiego czynu, monarcha stanął przed nim przejęty zdumieniem. Mądry Çantanu widział syna chwilę tylko, wówczas gdy się urodził, i nie zapamiętał

go tyle, iżby teraz mógł poznać potomka w tym młodzianie. Nieznajomy na widok ojca wprawił go w osłupienie za pomocą czarów i znikł natychmiast. Gdy ujrzał to dziwo król, począł się domyślać, że to syn jego i wołać na Gangę: „Ukaż się!“ Ganga wnet się pojawiła, jaśniejąca najwyższą pięknością, trzymając prawą ręką owego młodego księcia, wspaniale przybranego. Ale Çantanu, choć ją widywał niegdyś, teraz nie poznał ustrojonéj w szaty boskie i suknie bez kurzu. „Oto, rzekła, ten ósmy syn, któremu niegdyś, królu, dałeś życie w mojém łonie; stał się on, potężny władco, najzręczniejszym ze wszystkich umiejących władać orężem. Weź tego syna, któregom wychowała, królu; przyjm go, panie, i zaprowadź do twego pałacu, o tygrysie ludzi...“ I Çantanu wrócił do miasta w towarzystwie syna jaśniejącego jak słońce.“

W tym samym zbiorze podań sanskryckich znajdujemy drugą klechdę, niezaprzeczonéj blizkości z poprzedzającą. Brzmi ona następnie (1):

„W Ajodhii (dzisiaj Oude) był król z rodu Ikszwakua, zwany Parykszyt. Poszedł on raz na polowanie. Jechał konno i gonił za gazellą, która go daleko za sobą pociągnęła. W drodze opanowało go znużenie: zwyciężony głodem i pragnieniem, ujrzał w pewném miejscu część lasu gęstą i cienistą. Wjechał tam i oczy jego znalazły wśród tego ostępu rozkoszne jezioro. Zanurzył się w niém wraz z koniem. Bez żadnéj obawy, narzucał koniowi liści lotusowych i rozciągnął się na brzegu jeziora. Leżąc usłyszał śpiew pełen słodyczy. Jak tylko posłyszał, pomyślał zaraz: „Nie widać tu drogi ludzkiéj; czyjże to być może głos, który się rozlega?“ I ujrzał dziewicę rzadkiéj piękności, zachwycającą, która zrywała kwiaty i śpiewała. Zbieranie kwiatów doprowadziło ją aż do króla. Rzekł więc: „Czyjaś ty, dziewo czarowna? kto jesteś?“ Ona odpowiedziała: „Jestem dziewicą!“ A on na to: „Zakochałem się w tobie.“ Młoda dziewczyna odrzekła: „Oddam ci się, jeżeli wymogę na tobie pewny warunek; inaczéj nie!“ Król zapytał, co to za warunek? a ona odpowiedziała: „Taki, abyś mi nigdy wody nie pokazywał na oczy.“—„Dobrze!“ odrzekł król, zaślubił ją (oczywiście sposobem tak zwanym gandharwów, to jest bez obrzędów) i po ślubie oddał się rozkoszom, pełen radości, nic o sobie nie dając znać i mieszkał z nią. Tymczasem wojsko jego nadeszło tam, gdzie przebywał idąc jego śladami. Żołnierze rozło-

(1) Tamże tom IV, str. 237—241.

żyli się naokoło króla, a on, witany przez nich, wrócił (do miasta) z młodą niewiastą, niesioną w lektyce. Po przybyciu do stolicy, zamieszkał z nią w odosobnieniu.

Gdy tak z nią przebywał, nikt nie miał do niego wstępu, tak iż minister, pierwszy z jego orszaku, musiał wypytywać kobiety służebne jego małżonki: „Co to się takiego dzieje?“ a niewiasty te mu odpowiadały: „Uważamy teraz wodę za dziw nieznany. Niech tu wody nie przynoszą! taki nam rozkaz dano.“ Wówczas minister ów kazał urządzić gaj bez wody, pełen wielkich drzew o licznych konarach, kwiatach i owocach. We środku i z brzegu była wyspa sporządzona z mnóstwa pereł, starannie ukryta i otoczona wodami, które jéj marmury zwilżały. Poczém zbliżył się na osobności do króla i rzekł mu: „Otoż i wielki gaj bez wody: bawże się teraz tutaj!“ Na te słowa, monarcha wszedł do gaju z królową.

Pewnego dnia gdy swawolił z nią w tym lasku przecudnym, znużony pragnieniem i głodem, wszedł do altany z atymuktaków; wstąpiwszy tam z królową, ujrzał ową wysepkę z marmuru, czystą zupełnie, napełnioną wodą. Zachwycony widokiem jéj, zatrzymał się z królową na brzegu. „Dalejże, powiedział małżonce, wstąp do wody tej wyspy.“ Ona posłuszna wezwaniu małżonka, zeszła na wysepkę, zanurzyła się w wodę, lecz nie wróciła już na powierzchnię. Nadaremnie król szukał, nie znalazł jéj wcale. Kazał więc wszystkę wodę oblewającą wyspę spuścić i ujrzał żabę na brzegu nory. Rozgniewany, wydał rozkaz: „Niech wszędzie zabijają żaby. Ktokolwiek będzie, potrzebował mnie widzieć, niech się do mnie zbliża, ale nie inaczéj jak przynosząc w darze zabitą żabę!“

Gdy tedy niesiono śmierć żabom na wszystkich miejscach przestrzeni, przerażenie ogarnęło je, więc strachem przejęte pobiegły oznajmić o tém władcy żab. Wtedy ten król żab, przywdziawszy szaty pokutne, udał się do króla, i zbliżywszy się ku niemu rzekł:—„Nie poddawaj się, panie, pod władzę gniewu: zwróć nam twą łaskę i nie każ śmierci zadawać niewinnym żabkom!“ Wodnoziemnemu monarsze, orędzie to przynoszącemu, Parykszyt, którego duszę dręczyła tęsknota po ukochanéj małżonce, takiemi wyrazy odpowiedział:—„Nie! nie przebaczę: będę zabijał! Małżonkę moją pożarły te stworzenia złośliwéj duszy. Muszę śmiercią karać żaby: mędrcze, daj mi pokój.“ Otrzymawszy taką odpowiedź, król żab znów zaczął, mając duszę i zmysły wzruszone:—„Przebacz, władco; nazywam się Ajusz, jestem królem żabim: mam córkę imieniem Suçobhana. Ma ona zły charakter: oszukała dawniéj

niejednego króla." —„Mniejsza o to! kocham ją, odpowiedział król! daj mi ją za żonę!" Więc ojciec oddał ją królowi, mówiąc jéj: Pamiętaj być posłuszną temu królowi!" Co powiedziawszy, przeklął córkę z gniewem: „Ponieważ wielu królów oszukałaś, za to więc i za twój charakter kłamliwy przyszli twoi synowie nie będą brahmami!"

Odkąd otrzymał to młode dziewczę, serce mając ujęte zaletami rozkoszy, jakie w niéj znajdował, król pozdrowił Ajusza, oddał mu cześć wielką i głosem drżącym z radości, jakby dostał władzę nad trzema światami, powiedział mu: „Wyświadczasz mi łaskę!" Po oddaniu córki, żabi król wrócił zaraz jak przyszedł. Niedługo potém urodziło się królowi z łona téj kobiety troje bliźniąt: Çala, Dala i Bala. Według zwyczaju, ojciec ukoronował najstarszego na następcę." Nie potrzebuję zdaje się dodawać, że owa córka żabiego króla była właśnie tą samą zaginioną w wodzie żoną Parykszyta.

I w tém ostatniém podaniu nadludzką istotą jest wodnica: król spotyka nad wodą piękną dziewicę; każe mu ona nie dopuszczać siebie do swego właściwego żywiołu — wody; zamienia się w żabę, ojciec jéj zaś jest królem żab; a właśnie żaba, wąż, smok są w bajkach zwykłemi odmianami duchów wodnych.

Podanie to zawiera prawie wszystkie wątki, któreśmy za główne w rozbiorze naszego cyklu przyjęli: związek śmiertelnika z istotą nadludzką, warunek przy związku, złamanie warunku, chwilową śmierć nadludzkiéj istoty, która się tu przemianą jéj w żabę wyraża i połączenie z nią nanowo.

Zakaz zbliżania się do wody przypomina jedno bardzo stare i ciekawe podanie, w którém zresztą wątek ten podrzędną gra rolę; nie mogę nie wspomnieć tu o niém choć kilku słowami.

Przeszło dwadzieścia lat temu wschodoznawca francuzki Rougé wyczytał z papirusa podanie egipskie o dwóch braciach; wydał je późniéj w swojém tłómaczeniu Niemiec Brugsch, znany egiptoznawca (obecnie Brugsch-Bej) i nazwał „Najstarszém w świecie podaniem," dowodząc iż zapisane było w XIV wieku przed Chr. Opowiada ono o dwóch braciach rolnikach, którzy się poróżnili o żonę jednego z nich; młodszy Batau, opuszcza starszego i oddaje się łowom. Bogowie, litując się nad nim, dają mu cudownéj piękności małżonkę, z tym jednak warunkiem, aby do wody się nie zbliżała. Raz wszelakoż gdy była na przechadzce, ujrzało ją morze i nastąpiło rozstanie; potém piękna wodnica została żoną Faraona i t. d.

Ku wielkiemu zdziwieniu mojemu, przed kilku laty, w Lidz-

kiém, pewna włościanka opowiadała mi bajkę bardzo podobną do téj egipskiéj, ale szczegółowy rozbiór obu odłożyć muszę do oddzielnego artykułu, gdyż, jak powiedziałem, legenda hieroglificzna jednym tylko rysem łączy się z naszym cyklem podań.

Wracając do legend indyjskich, zastanówmy się jeszcze nad poniższym ustępem z Mahabharaty, na którego pokrewieństwo z cyklem Meluzynowym nie zwrócono dotąd uwagi. Podaję go tutaj skracając ile można rozwlekłe opowiadanie sanskryckie (1).

„Dżaratkaru, pustelnik wielkich umartwień, przebiegłszy całą ziemię, przybył do miejsc, gdzie mieszka Sajangriha (pałac wieczorny t. j. królestwo zmarłych, kraj zachodni, senny naszych bajek). Samotnik ten wysokiéj świetności błąkał się tam i owdzie, kąpiąc się w świętych stawach, zadając sobie umartwienia, niedostępne dla dusz niedoskonałych, odmawiając sobie pokarmu, żyjąc samém powietrzem i usychając z dnia na dzień. Ujrzał tam zwłoki wiszące do góry nogami w jaskini, trzymające się na krzaczku wirany, któréj zaledwie źdźiebełko pozostało, a i to podgryzał szczur zamieszkujący pieczarę. Cienie te były chude, zgłodniałe, smutne, pożądające ratunku. Zbliżył się do tych biedaków i rzekł ze smutną twarzą:—„Kto są wasze świątobliwości, o wy, co się trzymacie zawieszeni na krzaczku wirany, któréj szczur, gospodarz téj jaskini, ogryza korzenie?“ — „Wasza świątobliwość chcesz nas uratować (odrzekli wiszący), bogaty jesteś umartwieniami i oddanym wstrzemięźliwości; lecz, o największy z brahmów, pokuta nic nie poradzi na nasze wyswobodzenie... gdyż jeśli wpadniemy do nieczystéj Nirai (piekła), to będzie to skutkiem wygaśnięcia naszego potomstwa... A jednak żyje dziś jeszcze syn nasz, albo raczéj nie żyje; bo niebaczny, o biada nam! za jedyny cel swój uważa pokutę. Nazywa się Dżaratkaru... nie ma ani żony, ani syna, ani żadnego sprzymierzeńca...“ Na te słowa Dżaratkaru, pogrążony w głęboki smutek, odpowiedział dziadom swym głosem stłumionym łzami boleści:—„Wasze wielebności jesteście moimi przodkami, ojcami i dziadami moimi... Jestem Dżaratkaru, grzeszny syn waszych świątobliwości! Przeznaczcie mi karę, mnie nędznemu szaleńcowi!“ — „O! cóż za szczęście, synu, odrzekli ojcowie jego, żeś z własnego natchnienia przybył tutaj! Z jakiéj przyczyny, brahmo, nie wybrałeś sobie jeszcze żony?“ — „Dlatego, odparł, iż serce moje zajęte jest ciągle myślą: jeżeli zachowam wstrzemięźliwość, dostanę ciało na tamtym świecie. Nie wezmę więc małżonki.

(1) Tamże tom I, str. 194—202.

Ta myśl napełniła moję duszę. Lecz dziś, ujrzawszy wasze wielebności zawieszone jak ptaki, zrzekam się postanowienia wstrzemięźliwości: uczynię co wam będzie miłém, ojcowie moi; zaślubię kobietę bez odrazy, wierzcie mi. Jeżeli kiedykolwiek spotkam jakąkolwiek młodą dziewczynę tego samego co ja imienia, ofiarowaną mi bez przymusu, jako jałmużnę, przyjmę ją; ale karmić jéj nie chcę. Jeżeli zawrę małżeństwo, to tylko na takich warunkach. Inaczéj nie ożenię się: te słowa moje są prawdą, ojcowie moi. Urodzi się przeto syn ku zbawieniu waszych wielebności. Niech żyją wiecznie przodkowie moi! na wieki!"

To powiedziawszy dziadom, pokutnik począł przebiegać ziemię; ale nigdzie nie dostał żony: „Za stary!" powiadano. Wpadł w zniechęcenie, ale znów przez ojców podniecony, wszedł do lasu i począł krzyczeć, pełen gorzkiéj boleści. Przybywszy do tego lasu, dokąd go wiodła chęć przysłużenia się ojcom, uczony pustelnik wymawiał wolno te dwakroć trzy słowa: „Uczyńcie mi jałmużnę z młodéj dziewczyny!" I dodawał: „O wy wszelkie istoty, tu będące, ruchome lub nieruchome, albo skryte, słuchajcie słów moich!

„Dręczone smutkiem, cienie ojców moich napierają mnie, żyjącego w surowéj pokucie: „Ożeń się, powiadają, z pragnieniem zrodzenia potomstwa!" Po całéj ziemi prosiłem o jałmużnę z młodéj dziewicy w małżeństwo. O, biedny jestem, charakter mój jest przykry, ulegam tylko rozkazowi dziadów! Do kogokolwiek należy dziewica, o którą błagam tą prośbą, dajcie ją mnie, co chodziłem za nią tam i owdzie, po wszystkich miejscach przestrzeni. Trzeba aby nosiła moje imię i oddana mi była przez jałmużnę: a do tego karmić jéj nie będę. Przez miłosierdzie, o dziewicę proszę!"

Jak tylko usłyszały wieść tę węże, które czuwały nad młodą Dżaratkaruą, pobiegły oznajmić ją Wasukiemu (królowi węzów). Dowiedziawszy się od nich o tém, bierze król tę dziewicę pięknie ustrojoną i udaje się z nią do lasu ku pustelnikowi. Tam Wasuki król węzów, oddał dziewicę jako jałmużnę temu wspaniałomyślnemu mężowi; ale żebrak nie przyjął jéj. „Nie ma ona tego samego imienia, co ja," rzekł w duchu; i nie marząc o posagu, myśl kierując ku zamiarowi ratunku ojców, wahał się czy ma ją przyjąć za małżonkę. Poczém zapytał Wasukiego o imię młodéj dziewczyny:—„Uważaj, rzekł mu, że nie chcę jéj karmić." Wasuki odparł świętemu pokutnikowi Dżaratkaruowi:—„Ta młoda dziewica, siostra moja, nazywa się tém samém imieniem co ty; uprawia także pokutę. Będę ją karmił, o największy z brahmanów: bierz więc ją za małżonkę; dostarczę na jéj utrzymanie z całych

sił, o człowieku bogaty pokutą: dla ciebie ją chowałem, o najwznioślejszy ze wszystkich pustelników." Święty odrzekł:—„Dobrze! nie będę jéj żywił; lecz oto jeszcze warunek:—nie powinna nic czynić coby mnie się nie podobało; inaczéj odprawię ją." Po przyrzeczeniu króla wężów, iż będzie żywił jego siostrę, Dżaratkaru poszedł do pałacu gadu. Tam ów bogacz pokuty, najuczeńszy z badaczy mantrów (hymnów), człowiek sprawiedliwy o wielkich ślubach, wziął za rękę młodą dziewicę po odprawieniu modłów przepisanych przez zakon. Poczém udał się w towarzystwie małżonki, wśród pochwał wielkich świętych, do pałacu czcigodnego rozkosznego, który król wężów przeznaczył mu na mieszkanie. Ustawiono łoże, osłonione okryciami najbardziéj godnemi zazdrości, i tam przebywał Dżaratkaru w towarzystwie małżonki. Tam też ów najcnotliwszy brahma skłonił żonę do przyjęcia następnego układu: „Nie należy nigdy nic uczynić ani powiedzieć takiego słowa, któreby nie było mi przyjemném. Za pierwszą przykrością opuszczę ten pałac i ciebie. Przyjm te wyrazy, które usta moje wyrzekły." Wtedy żywo wzruszona i pogrążona w najdotkliwszéj boleści: „Niech i tak będzie!" odrzekła mu siostra króla wężów. I znakomita ta niewiasta, pilna w podobaniu się jemu, służyła małżonkowi, obdarzonemu przykrym charakterem, pełnym zachcianek tak trudnych do dogodzenia, jak znalezienie białego kruka.....

Pewnego razu przesławny Dżaraktaru położył głowę na łonie małżonki i usnął jak osoba znużona; lecz podczas gdy ten Indra brahmanów spał sobie, słońce zbliżało się ku górze, za którą zachodzi. Więc że się dzień miał ku schyłkowi, siostra Wasukiego, przerażona tém zaniedbaniem obowiązku, myślała, jako niewiasta uczciwa: „Jeżeli obudzę męża ze snu, w którym jest pogrążony, czy dobrze postąpię? czy też źle? Jest on zaprawdę opryskliwego charakteru; lecz dusza jego przywiązana jest do powinności: jakże pocznę teraz, aby go nie rozdraźnić? Czy gniew człowieka przykrego usposobienia, czy złamanie obowiązku: co wybrać? Naruszenie powinności byłoby tu gorszém. To powiedziawszy, powzięła postanowienie: „Jeżeli go zbudzę, niezawodnie wywołam gniew jego; jeżeli nie, z pewnością nie dopełni obowiązku, opuszczając nabożeństwo wieczorne." Takie powziąwszy w sercu postanowienie, Dżaratkaru, słodkomowna wężyca, wyrzekła tkliwie następne wyrazy do świętego o żarliwéj pokucie, który spał podobny do ognia: — „Wstań, wielebny pustelniku! Słońce zbliżyło się ku zachodowi. O szanowny, wierny obrzędom, dotknij się wody i zmów pacierz wieczorny: bo oto rozkoszna i straszliwa godzina nadeszła, w któréj ofiara zapala blask ogniów wieczy-

stych. Oto chwila gdy się rodzi zmierzch na stronie zachodniéj.“ Na te słowa Dżaratkaru, wielki pokutnik, wargami drżącemi tak się odezwał do małżonki:—„Rzucasz na mnie pogardę, wężyco! Nie będę z tobą żył więcéj: pójdę jak przyszedłem. Kiedy ja śpię, śliczna kobieto, słońce nie ma siły dostać się do góry Asta w godzinie zwyczajnéj. Oddalenie się moje jest myślą postanowioną w umyśle moim. Nikt nie lubi żyć w towarzystwie, które nim pogardza: a témbardziéj ja, oddany obowiązkom, lub ktokolwiek do mnie podobny!“ Na te słowa małżonka, Dżaratkaru, siostra Wasukiego, odrzekła z sercem wzburzoném:—„Jeżelim cię rozbudziła, brahmo, nie z pogardy to uczyniłam.“ Ale nic nie pomogło tłómaczenie się: kapryśny mąż odwołał się do ślubnéj umowy i porzucił córkę króla wężów.“

Nietrudno i w téj baśni dopatrzyć znamion charakteryzujących obrany przez nas cykl podaniowy: duch wodny, w postaci córki króla wężów, łączy się ze śmiertelnikiem; małżeństwo zawiera się na pewnych warunkach i zrywa ich przekroczeniem, a wykrzyk rozgniewanego brahmy prawie dosłownie brzmi jak wyrzut Rajmunda uczyniony Meluzynie.

Przechodzę teraz do wielolicznie w piśmiennictwie indyjskiém obrabianego podania o Urwaçi i Pururawasie, które z właściwym sobie urokiem sławny poeta sanskrycki Kalidasa przyodział w szatę dramatyczną. Zatrzymam dłużéj uwagę czytelnika na téj ze wszech miar ciekawéj powieści: naprzód aby go zaznajomić z mało wiadomym u nas tematem i jego dramatyczném obrobieniem, powtóre aby z powodu jego zajrzeć do Wed, wreszcie aby pokazać zapatrywanie się różnych badaczy na znaczenie tego mitu, zestawianego zwykle z powyżéj opowiedzianą bajką o Erosie i Psysze.

Czytajmy naprzód jak podanie o Urwaçi opowiada zbiór legend sanskryckich znany pod nazwą Hariwança (1).

„Synem Budhy był Pururawas, pan mądry, sławny, wspaniały, pobożny, hojny, biegły w naukach świętych, potężny, niezwyciężony w boju, władca ziemi, lubiący zapalanie ognia ofiarnego i składanie obiat, stronnik prawdy, rozumny w zamiarach i szczęśliwy w małżeństwie. Nikt w trzech światach nie miał tyle co on rozgłosu. Widząc światło tego monarchy, jego cnotę, sprawiedliwość, przywiązanie do wiary, sławna Urwaçi (jedna z Wodnic), wyrzekając się dumy swojego urodzenia, wybrała go sobie

(1) Zbiór ten uważa się za dalszy ciąg Mahabharaty. Ustęp powyższy podaję z francuzkiego przekładu Langlois. Paryż, 1834, tom I od str. 115.

za małżonka. Spędził z nią pięćdziesiąt dziewięć lat to w gaju Czetraratha (należącym do bóstwa Kuwery, niby Plutusa indyjskiego), to na brzegach Mandakini (Gangi), to w pięknem mieście Alaka (także Kuwery), to wreszcie w ogrodach Nandany (należących do Indry). Przeniosłszy się w te północne okolice, tak bogate we wspaniałe drzewa, w przepyszne owoce, w słodkie wonie, przechadzając się po górze Meru w pięknych lasach przez bogów zamieszkiwanych, król ten w towarzystwie Urwaçi oddawał się słodkim rozkoszom miłości. Założył stolicę swoję w Prajadze (dzisiaj Allahabad), miejscu rozgłośnéj świętości, wychwalaném przez Maharszów (wielkich świętych). Miał siedmiu synów, podobnych do dzieci bożych, zrodzonych przez matkę ich, Urwaçi, w strefach niebieskich.“ Na zapytanie: „Jakim sposobem Urwaçi, bogini z rodu Gandharwów, gardząc równymi sobie, wybrała małżonka z rzędu śmiertelników?“ bajarz tak odpowiada: „Urwaçi skutkiem przekleństwa Brahmy, przyjęła naturę ludzką. Piękność ta połączyła się z synem Ili (Pururawasem), lecz pod warunkiem, który się miał przyłożyć do uwolnienia jéj z tego zaklęcia. „Wymagam, powiedziała mu, abym przez cały ciąg naszego związku nigdy ciebie nagim nie widziała, aby dwa barany zawsze były przywiązane do naszego łoża, i aby mléko, królu, jedyném było mojém, pożywieniem. Dopóki warunki téj umowy będą zachowane, pozostanę przy tobie; takie są moje wymagania.“ Król dotrzymywał przyrzeczenia i Urwaçi nie myślała go opuszczać. Związek ich trwał 59 lat, a bogini czuła się szczęśliwą z przekleństwa, które ją w takich więzach trzymało.

Ale Gandharwowie zaczynali żałować nieobecności téj wodnicy. „Trzebaby wymyślić sposób, powiadali sobie, powrócenia do nas pięknéj Urwaçi, ozdoby nieba. Wtedy roztropny Wiçwawasu tak do nich przemówił: „Słyszałem dawniéj warunki układu, jaki zawarli z sobą. Jeśliby król kiedykolwiek ich nie dotrzymał, ona musiałaby go opuścić. Znam pewien sposób do zmuszenia go, aby obietnicę złamał; więc nie uciekając się do przemocy, będę działał ku spełnieniu waszych zamiarów.“ Tak przemówił znakomity Gandharwa i natychmiast udał się do Pratiszthany (to samo co Prajaga): wkradłszy się w nocy do małżonków, porwał jednego barana. Piękna Urwaçi czuła dla tych zwierząt przywiązanie prawie macierzyńskie; wiedziała o przybyciu Gandharwy i zrozumiała, że wygnanie jéj kończy się. Powiedziała więc do króla: „Zabrano mi dziecko.“ Na te słowa król przypomina sobie, że jest nagi, i nie chce wstawać. „Bogini, myślał, ujrzałaby mię w tym stanie i umowa nasza zostałaby zerwana.“ Gandharwowie porywają

wnet i drugiego barana; a bogini zawoła do syna Ili: „Królu, porywają mi dziecko, jak gdybym nikogo na obronę nie miała.“ Zrywa się wtedy król skwapliwie, choć nagi. Szuka gdzie się podziały barany. Lecz w téj chwili jasna błyskawica, wzniecona przez Gandharwów, przebiega całą komnatę. Ten promień światła ukazał Pururawasa nagiego oczom małżonki i piękna apsara (wodnica) znikła nagle. Gandharwowie, widząc powodzenie podstępu, wracają do nieba, a król, odszukawszy barany, wraca do sypialni; lecz Urwaçi nie ma. Nieszczęsny wydaje okrzyki boleści i przebiega świat, szukając wszędzie straconéj małżonki, Nakoniec w kraju Kurukczetra spostrzega ją na świętym stawie Plaksza, w chwili, gdy się kąpała w jego chłodnych wodach i oddawała się wraz z pięciu innemi apsarasami wesołéj swawoli. Urwaçi igrała, a on był pastwą smutku. Widzi ją jaśniejącą zawsze tysiącem wdzięków: ona go także zblizka dostrzega i mówi do towarzyszek, pokazując go: „Oto bohater, który mię przyjął do swojego pałacu.“ Przejęło to je zdziwieniem. Wtedy król przemówił: „Uwielbiana małżonko, wróć mi twą miłość i odpowiedz na głos mój.“ Zawiązuje się pomiędzy małżonkami długa i czuła rozmowa. Między innemi, Urwaçi mu powiada: „Królu, noszę w mém łonie zakład miłości twojéj. Co rok będę ci syna powijała; lecz wolno mi będzie z tobą jednę noc tylko przebywać.“ Król uradowany tém zapewnieniem, wrócił do stolicy. W końcu roku Urwaçi go odwiedziła, lecz tylko jednę noc na pieszczotach mogli spędzić.

Pewnego dnia Urwaçi rzekła do syna Ili: „Gandharwowie chcą ci pewną łaskę wyświadczyć. Możesz wybierać i udać się do nich z ufnością. Wielki królu, proś abyś stał się podobnym Gandharwom.“ Pururawas wyraził to życzenie, a oni mu je uskutecznili. Napełnili naczynie ogniem i powiedzieli mu: „Używaj tego ognia do ofiar, królu, a otrzymasz pozwolenie zamieszkania z Gandharwami (t. j. w niebie).

Pururawas, zabrawszy synów, wrócił do stolicy i udał się do pałacu; tymczasem ogień, który dostał, znajdował się w łonie arani (kloc w którym kręci się laseczką, gdy trzeba ogień ofiarny wydobyć); lecz za przybyciem, zamiast tego ognia, ze zdziwieniem ujrzał gałązkę açwatthy, wciśniętą do kawałka drzewa çami (açwattha jest to pasożytna figa, tak zwana ficus religiosa, a çami— akacya, zwana acacia suma, na któréj owa figa rośnie). Skarżył się więc Gandharwom, że mu zgasł ogień: wtedy go oni nauczyli użycia arani. Pokazali mu jak za pomocą açwatthy tarciem wydobywa się ogień. Pururawas naśladował ich i wynalazł trzy ognie na różne ofiary. Dar ten Gandharwów naprowadził go na

myśl odróżnienia tretagni (trojakiego og nia, słonecznego, ogniskowego i ofiarnego). Dawniéj znano tylko jeden, a ten król wprowadził trojaki i pobożnością zasłużył na przyjęcie do świata Gandharwów."

Pod koniec legendy widzimy że Gandharwowie, duchy niebieskie, nauczają śmiertelnika pewnego miłego bogom sposobu wydobywania ognia i urządzania ofiar; rys ten nasuwa pamięci naszéj greckie podanie o Prometeuszu, który także wydziera niebu tajemnicę niecenia ognia. Nie rozszerzam się nad tém, bo to nie należy do cyklu przezemnie rozbieranego. Ciekawy czytelnik znajdzie obszerny rozbiór tego wątku w dziele Kuhn'a: Ueber die Herabkunft des Feuers und des Göttertranks, Berlin, 1859 i w drugim artykule p. Mierzyńskiego w Bibliotece Warszawskiéj 1867, tom II.

Zastanawiają w powyższém podaniu te jeszcze okoliczności: że Urwaçi ułatwia mężowi drogę do nauczenia się obrządków, jak Egerya Numie, i że blask ognia niebieskiego oświeca nagość Pururawasa, jak w greckiém podaniu lampa zdradza Erosa. Co zaś do owych baranów przy łożu, zdaje się, że oznaczają one (potworne może, lub cudowne) dzieci Pururawasa i Urwaçi, które jak w poprzedniéj bajce Ganga wrzuca do rzeki, tak tu porywają je duchy niebieskie, w innéj bowiem odmianie tejże legendy matka nazywa je swoimi *ulubieńcami*, a inny tłómacz twierdzi, że *synami*.

Podanie to musi być bardzo stare, bo w dziesiątéj księdze Rygwedy znajdujemy ustęp, zawierający rozmowę Pururawasa z Urwaçi. Język tego dyalogu jest zawiły, nie mówiąc już, że jak w całéj Rygwedzie, starszym jest od tego, który zwykle sanskrytem nazywamy: można jednak sens ogólny schwycić, szczególnie przy pomocy objaśnień do Wed, które powtarzają ustępy tego hymnu. Podaję następne z niego wyjątki (1):

8. (Pururawas mówi:) „Dziecię Manua (t. j. śmiertelnik) łączy się z temi boginiami, które dla niego zrzucają postać (boską).

9. (Urwaçi mówi:) „Gdy śmiertelnik, kochanek tych nieśmiertelniczek, łączy się z niemi słowem i uczynkami, rozpościerają one przed nim swe świetne kształty, lekkie jak ptaszki, swawolne jak żwawe klaczki..."

---

(1) Kuhn Herabkunft des Feures i t. d. od str. 79; Max Müller w Oxford Essays 1856 od str. 62. Ustępy powyższego hymnu (księga 10 Nr. 95 Rygwedy) przywodzę według tłómaczenia Langlois w Bibliothèque orientale tom I, str. 574 i dal. Paryż 1872.

11. „Roztropność moja codzień dawała ci rady· aleś mnie nie słuchał. Cóż możesz powiedzieć, tracąc mnie?"

12. (Pururawas mówi:) „Odkądże to nie wolno jest synowi, kochającemu ojca, wołać, płakać, widząc go (oddalającego się)? Któż zdoła rozłączyć dwoje dobranych małżonków, gdy Agni (ogień) błyszczy w oczach ich teściów?..."

13. (Urwaçi mówi:) „Wracaj do domu. Niebaczny, nie możesz mnie zatrzymać..."

14. „O Pururawasie, nie umieraj. Strzeż się upaść i oddać się zębom wilków. Kobiety kochające nie mają wcale serc szakalów..."

18. „O synu Ili, oto co mówią ci bogowie. Taki jak jesteś podlegasz śmierci. Niech dziecię twoje uczci ofiarą ród boży. A ty pójdź na niebiosa oddać się rozkoszom."

Rozmowa ta jest oczywiście poetycznem rozwinięciem mitu o Pururawasie; pewną więc jest rzeczą, iż gdy ten hymn układano, oddawna już znano ten wątek; że zaś pieśni Wed zaczęto zbierać prawdopodobnie około 1500 lat przed Chr., możemy przypuszczać, iż mit o pięknéj wodnicy, zakochanéj w śmiertelniku, znany był przed powyższą datą.

Doszedłszy do najdawniejszego piśmiennego pomnika u plemienia aryjskiego, wstrymać musimy wsteczny bieg naszego poszukiwania, przyznając, iż typ podaniowy, który rozbieramy, należy do najdawniejszych w naszym szczepie i w ogóle na świecie.

Lecz po za obrębem rodu Aryów, u starożytnych Żydów znajdujemy coś jeszcze, co zdaje się okazywać pewien związek z powyższemi podaniami: chcę mówić o wygnaniu z raju prarodziców biblijnych. Niepodobna zaprzeczyć, iż ów warunek szczęścia—powstrzymywanie się od ciekawości; ów duch wodny, wąż, trzymający przedmiot ciekawości; lekkomyślne zerwanie warunku i kara za to,—wszystko to mutatis mutandis zdaje się mieć cechy pokrewne.

Niezaprzeczone jest także podobieństwo w układzie wątków następnego podania nowozelandzkiego z Meluzynowem i jego pokrewnemi. Zapisał je Grey w dziele Polynesian Mythology, a Tylor powtórzył jak następuje (1):

„Był niegdyś naczelnik plemienia, zwany Tawhaki; dziewczyna niebiańskiego rodu, imieniem Tango-tango usłyszała o jego

(1) Researches into the early history of mankind, wyd. 1870. od str. 355. Podanie to krąży u plemienia Maori, którego okaz jedzący żywe gołębie, czytelnik mógł widzieć w Wiedniu i Warszawie w r. 1873.

męztwie i piękności, zeszła na ziemię, aby zostać jego żoną i powiła mu córkę. Lecz gdy Tawhaki zaniósł dzieweczkę do źródła i mył, trzymając wyciągniętemi rękami, zawołał: „Fe, jak brzydko pachnie to małe stworzenie!“ Co gdy usłyszała Tango-tango, uraziła się niepomału, zaczęła płakać i szlochać, wreszcie zabrała dziecko i uleciała do nieba. Tawhaki starał się ją zatrzymać, błagał aby została, ale nadaremnie; a gdy chwilę się zatrzymała, opierając się jedną nogą na rzeźbionéj figurze na końcu szczytu domu ponad drzwiami, zawołał do niéj, aby mu choć pamiątkę jaką zostawiła. Powiedziała więc mu, aby nie czepił się luźnego korzenia wijającéj się rośliny, która zwieszając się z góry buja w różne strony, lecz żeby się chwycił téj, która spuszczając się zapuściła znowu do ziemi swoje włókna. Poczém podniosła się w powietrze i znikła, a Tawhaki pozostał w smutku. Po upływie miesiąca, nie mogąc dłużéj wytrzymać, zabrawszy młodszego brata i dwóch niewolników, puścił się w drogę szukać żony i dziecka. Doszedłszy do miejsca gdzie końce wiszących latorośli dotykały ziemi, znalazł prababkę, imieniem Matakerepo. Polecono jéj tam pilnować tych gałązek, siedziała więc w miejscu gdzie do ziemi sięgały i trzymała końce jednéj w ręku. Na drugi tedy dzień młodszy brat, Karihi, zabrał się do włażenia, a baba ostrzegała go, aby w dół nie patrzał, gdy będzie już na pół drogi między niebem a ziemią, iżby nie dostał zawrotu głowy i nie spadł, a także aby nie chwytał się za luźną latorośl. Ale właśnie w stanowczéj chwili skoczył on ku luźnéj gałęzi i spadł aż na dno widnokręgu; na szczęście powiał wiatr ztamtąd i uniósł go na drugą stronę nieba, gdzie znów inny prąd porwał go aż ku niebu, a potém znów zrzucił na dół. W chwili gdy dosięgał ziemi, krzyknął mu Tawhaki, aby puścił roślinę, i oto stanął znów przy bracie. Potém starszy brat zaczął się drapać i lazł ciągle w górę, powtarzając bez przerwy potężne zaklęcie, i dostał się wreszcie do nieba, i znalazł tam żonę i córkę; zaniósł tę ostatnią do wody i ochrzcił ją po nowozelandzku. Błyskawice zajaśniały z pod pach Tawhakiego; mieszka on na niebie, a gdy idzie, od kroków jego grzmi i błyska, co słychać i widać na ziemi.“

Jak u Greków, tak też i w Indyach odwieczne podania ludowe nasuwały poetom najodpowiedniejsze wątki do pieśni bohaterskich i dramatów. Już w Wedach widzieliśmy zarodek dramatyczności w dyalogu Pururawasa i Urwaçi; z czasem, Kalidasa, najznakomitszy z dramaturgów sankryckich, rozwinął z tego mitu piękny dramat, nieznany ile wiem u nas, ani w przekładzie, ani w streszczeniu. Pozwalam więc sobie podać tu go w skróceniu: da

ono niejakie wyobrażenie o duchu poezyi indyjskiéj i okaże jak i ile poeta przekształcił baśń ludową (1).

Akt pierwszy rozpoczyna się sceną w górach Himalajskich: nimfy wracając ze zgromadzenia bogów, zostały napadnięte i opłakują porwanie Urwaçi przez złego ducha. Król Parurawas ukazuje się na swoim wozie bojowym, i dowiedziawszy się o przyczynie ich narzekań, pospiesza na pomoc apsarasie. Zwycięża wkrótce napastnika, wraca i oddaje Urwaçi towarzyszkom. Lecz odwożąc apsarasę, zakochał się w niéj, a ona w nim. Opowiada jak powoli przychodziła do siebie z przerażenia, przyrównywając ją do księżyca wolno wzbijającego się na nocném niebie, do dymu pomału wznoszącego się z ognia ofiarnego i do Gangi oczyszczającéj się z mętów nadbrzeżnych. Rozstając się. Urwaçi chce raz jeszcze się odwrócić, aby ujrzeć Pururawasa: udaje więc, że wieniec jéj zaczepił się o winorośl, i niby rozplątywając go przywołuje na pomoc jednę z towarzyszek; tymczasem oczy kochanków spotykają się, a Pururawas błogosławi niedyskretną gałązkę, która mu pozwoliła raz jeszcze spojrzeć na dziewicę.

W drugim akcie król bawi w swojéj stolicy Allahabadzie; przechadza się po ogrodzie zamkowym w towarzystwie brahmana, który, jak zwykle w dramatach indyjskich, gra rolę powiernika. Obawiając się, aby tajemnica królewska nie wyszła na jaw, szczególnie przed królową, ten ostatni kryje się w odległéj świątyni. Lecz i tam znajduje go służebna królowéj, a że „sekret nie dłużéj może się w łonie jego chować, niż rosa poranna na trawce," wywiaduje się więc zaraz o powodzie zmienionego usposobienia króla i donosi królowéj. Tymczasem zakochany monarcha skarży się na udręczenia miłosne; to samo czyni Urwaçi, i w towarzystwie przyjaciółki przylatuje powietrzem do króla. Niewidzialne z początku, przysłuchują się jego namiętnym skargom; Urwaçi pisze kilka słów na listku brzozowym i rzuca go przy altanie, w któréj ulubiony jéj spoczywa; potém ukazuje mu się, ale zaraz goniec niebieski ją odwołuje, a Parurawas pozostaje w towarzystwie powiernika. Szuka listka z wyznaniem miłosném kochanki, ale wiatr go gdzieś uniósł, a królowa idąc właśnie do męża, znajduje go i podnosi. Następuje scena małżeńska, po któréj król „uchodzi nagle, jak potok w porze deszczowéj."

(1) Treść dramatu podaję według artykułu M. Müllera w Oxford Essays r. 1856. str. 70—79. O dramacie indyjskim w ogóle znajdzie czytelnik zajmującą pracę pana Krasnosielskiego w Bibliotece Warsz. 1866, tom IV.

Trzeci akt opowiada, że Urwaçi odwołano, aby w niebieskim teatrze Indry grała rolę piękności, poślubiającéj Wisznua; a że jedno z imion tego boga brzmi Puruszottama, na zapytanie więc, kogo kocha? biedna Urwaçi zapomina się i mówi: kocham Pururawasa. Po przedstawieniu, Indra przywołuje zakochaną aktorkę do siebie, powiada jéj, że śmiertelnik, którego kocha, oddał mu wielkie usługi podczas walki jego ze złemi duchami, że może przeto udać się do niego i z nim zamieszkać. Następująca scena przenosi nas znowu do pałacu Pururawasa. Król chce po pracy udać się na spoczynek, ale na wezwanie małżonki zmierza na teras pawilonu; czeka jéj przyjścia, marząc o Urwaçi; aż nagle ukazuje się kochanka na wozie niebieskim w towarzystwie przyjaciółki i znowu niewidzialna podsłuchuje miłosne żale króla: chce mu się objawić, lecz przyjście królowéj nie dozwala tego. Małżonka króla ubrana w bieli, bez żadnych ozdób, przychodzi z nim się pogodzić, i przywołując na świadectwo księżyc i jego małżonkę, przyrzeka mężowi żyć z każdą kobietą, którą pokocha, jak przywiązana siostra, dopóki ona mu wierną będzie. Król dziękuje z uniesieniem, królowa odchodzi; Urwaçi, która niewidziana słuchała rozmowy małżonków, staje za królem i rękami oczy mu zakrywa, on ją poznaje „po wonnéj rączce lotusowéj białości i po słodkim dreszczu swoich nerwów;“ towarzyszka usuwa się, kochankowie pozostają sami.

Następny akt najpiękniejszym jest w dramacie, zawiera dużo ustępów do śpiewu przeznaczonych i odbywa się nie w sanskryckim języku, ale w prakrycie, mowie potocznéj indyjskiéj. Rozpoczyna się chórem apsaras, opłakujących dolę Urwaçi, która uniesiona żalem do króla, że podobał nową dziewicę, opuściła go i udała się do gaju boga wojny, dokąd wstęp kobietom surowo jest wzbroniony: więc za karę zamieniona została w wysmukłą winorośl. Występuje potém prawie obłąkany z rozpaczy król; rzecz dzieje się w puszczy wśród deszczu i błyskawic; Pururawas rzuca się na chmurę, myśląc, że to zły duch, który mu porwał kochankę, lecz zaraz się spostrzega; pieśni głoszące cierpienia rozłączonych kochanków przerywają wybuchy szaleństwa króla, przeplatane gorzkiém narzekaniem jego na los okrutny, które w tonie szczytnego liryzmu odbrzmiewają. Szuka straconéj dziewicy, wypytuje leśne ptaki, pszczoły, słonie, nawet skałę, czy jéj nie widziały? czy żyje? Echo odpowiada: żyje! lecz król wie, że to tylko echo mówi, szuka daléj i znajduje wreszcie klejnot różowéj barwy; jest to cudowny „kamień odnajdujący;“ za pomocą jego wynajduje winorośl, obej-

muje ją, i pod jego uściskiem gałązka obraca się znów w Urwaçi; uszczęśliwiony kochanek wraca z nią do stolicy na obłoku.

Ostatni akt rozpoczyna się smutnie: jastrząb porwał kamień odnajdujący. Wydano rozkazy zastrzelenia ptaka i wkrótce leśnik przynosi klejnot wraz ze strzałą, którą zabił rabusia. Na drzewcu strzały spostrzegają napis, opiewający że pocisk należy do Ajusa, syna Urwaçi i Pururawasa. Król nie wiedział, że Urwaçi miała syna, i wprzód nim zdołał przyjść do siebie ze zdumienia, występuje na scenę pokutnica z chłopakiem trzymającym łuk w ręku. Jest to Ajus, oddany dawniéj przez matkę na wychowanie pewnemu zacnemu człowiekowi. Rodzice witają go czule; ale Pururawasa dziwi to naprzód, że o urodzeniu jego nie wiedział, a potém że królowa płacze już nie z radości, ale ze smutku. Na zapytanie odpowiada mu ona, że za to, iż rozgniewała niegdyś swojego nauczyciela, wszechwładny Indra nakazał, aby wróciła do nieba jak tylko król syna ujrzy. Z boleścią więc żegnają się małżonkowie, a Pururawas zamierza oddać koronę synowi i zostać pustelnikiem. Wtém pojawia się goniec Indry i oznajmuje, że najwyższe bóstwo wyczytało w sercu króla piękny zamiar oddania się pokucie, lecz że zagraża obecnie nowa wojna bogów z ich wrogami, a ramię Pururawasa jest im niezbędne, więc nakazują mu pozostać na tronie i pozwalają zatrzymać Urwaçi aż do śmierci króla. Dramat kończy się złożeniem ogólnego hołdu królowéj, która pozwoliła mężowi przyjąć piękną wodnicę jako drugą żonę.

Powyższe streszczenie nie może dać wyobrażenia o piękności szczegółów, która rzeczywiście jest wysoka i w czytającym rodzi pragnienie, aby ktoś z naszych sanskrytoznawców przełożył na język ojczysty ten dramat.

Czytając go, przychodzi na myśl, że w ogóle poeta łatwiéj każdy mit zrozumie, niż uczony mitolog, gdy postanowi w najprostszej bajce szukać ułamków jakiéjś przeddziejowéj mądrości, umyślnie zawiniętéj jakoby w formę allegoryczną. Poeta umie estetyczném obrobieniem uszlachetniać proste wątki bajki, jak ogrodnik ze skromnego kwiatka łąki zdoła uczynić wspaniale kwitnącą ozdobę siedziby ludzkiéj. W poetyczném przerobieniu legendy, treść jéj zwykle pozostaje nietkniętą; gdy przeciwnie, niejeden mitolog staréj szkoły, doszukując się w niéj z uprzedzeniem moralnych jakichś nauk, albo allegoryi, wypacza ją nienaturalném wymaganiem i każe wyrażać to, o czém przeddziejowy bajarz ani myślał, ani mógł myśleć.

Stwierdzają to zapatrywania się dawniejszych badaczy; przytaczam niektóre, odnoszące się do Amora i Psychy.

Jeden ze starożytnych pisarzy, uwzględniając, iż psyche po grecku znaczy motyl i dusza, twierdzi, że jak motyl garnie się zwykle do światła (chyba ćma? lecz ta po grecku nazywa się nie *psyché*, ale *phálaina)* i nieraz w płomieniach ginie, a poczwarka, z któréj się wylęga, jest istotą wilgotną; tak dusza, przykuta do wilgotnego świata, dręczy się w jego więzach. Ale przychodzi czas, skorupa pęka, wylata z niéj tęczowo barwny motylek: tak i dusza z czasem ulata do swéj świetlanéj ojczyzny.

Pewien znowu niedawno zmarły uczony myśli, że mit o Erosie ma cel moralny wystawienia niebezpieczeństw, na jakie narażona bywa wiara małżeńska w ogóle, a szczególnie w czasach upadku Grecyi, oraz tryumfu wypróbowanéj wierności.

Inny sądzi iż podanie to jest uwydatnieniem losu duszy ludzkiéj. Będąc boskiego pochodzenia, tu w okowach ciała podlega błędom. Musi więc przebywać próby i oczyścić się, aby zdobyć wyższy pogląd na rzeczy i prawo do rozkoszy tu i w niebiosach. Dwóch Erosów ubiega się o nią: ziemski uwodziciel ciągnie ją ku ziemi, niebieski zwraca jéj oko ku przedwiecznemu pięknu i boskości, zwycięża współzawodnika i uprowadza oblubienicę w strefy ojczyste.

Znany symbolik Creuzer upatruje w dziejach Amora i Psychy allegoryą mistycznych zaślubin, twierdząc, że w misteryach greckich wystawiano małżeństwo jako związek duchowy i moralny. „Ale kaplani greccy, powiada daléj, i pitagorejczycy, przywiązywali do małżeństwa tajemniczą doktrynę o monadzie (jednostce) jako mężu i dyadzie (dwójce), jako niewieście. Dwójka ta jest przyczyną za rodzenia, ale zarazem rozdwojenia i nieszczęść. Dusza jest wprawdzie także dwójką, ale boska jéj część dąży do jednostki, przez co postać zyskuje. (?)"

Inny jeszcze uczony niemiecki mówiąc o tym micie, powiada, że „nie trudno poznać prawdę ukrytą pod jego piękną osłoną. Dzieje Amora i Psychy są niczém inném, tylko allegoryą w guście platońskim, obrazem duszy ludzkiéj, oczyszczonéj cierpieniem i nieszczęściem, przygotowanéj tém i uzdolnionéj do używania czystéj i prawdziwéj rozkoszy.

Schodząc z tych bezdroży allegorycznych, które zaciemniają raczéj niż wyjaśniają pierwotne utwory wyobraźni ludzkiéj, wolimy przejrzeć zapatrywania się na podanie o Urwaçi najnowszych mitologów, którzy utorowali drogę nowéj nauce, mi-

tologii porównawczéj, opartéj na najprostszéj i najnaturalniejszéj zasadzie.

Tę zasadę tak można w najkrótszém sformułowaniu wyrazić: Człowiek pierwotny w pierwszém poczuciu swéj świadomości sądził cały świat po sobie, przypisywał więc całéj przyrodzie myśl, czucie i wolę, a zjawiska tłómaczył jako skutki tych myśli, uczuć i woli; cały świat wydawał mu się zbiorem istot takich samych jak ludzkie, a zjawiska zdawały mu się czynami tych istot, takiemi samemi jak ludzkie. Dla niego jutrzenka *rumieniła się*, *uciekała* od słońca, księżyc *rodził się*, był *młodzikiem*, potém *starym* i *umierał;* źródło *szemrało*, *mówiło;* zwierz ze zwierzem *rozmawiał* po swojemu; kwiat paproci *wiedział* gdzie są skarby; wąż niebieski (chmura) *pożerał* słońce; drzewo miało *krew* nakształt ludzkiéj i *przemawiało;* bocian przynosił ogień z nieba i t. d.

Zastosowanie jednak téj prostéj zasady do pojedynczych mitów i podań nie jest łatwém, bo fakta mitologiczne nieraz są wieloznaczne, to jest dają się z równą na pozór słusznością różnie tłómaczyć. Trudno np. wyrzec czy pojęcie wodnika czyli ducha wodnego zrodziło się w myśli ludzkiéj na widok wód ziemskich, czy niebieskich (t. j. atmosferycznych, chmur i deszczów), czy też pod zjednoczonym wpływem tych zjawisk; czy taka Urwaçi jest np. pierwotnie wodnicą, czy też jutrzenką, rozstającą się o świcie ze słońcem; czy człowiek pierwotny wprzód doszedł do uosobienia tych zjawisk na niebie, a potém przeniósł te postaci na ziemię czy odwrotnie, albo też może każda gruppa zjawisk wywoływała oddzielne uosobienia, lub co zdaje się najbardziéj do prawdy podobném, naprzód uosobił zjawiska tak ziemskie jak niebieskie, a potém zlewał w jedno legendy o uosobionych duchach ziemskich i niebieskich, zbliżając i plącząc bóstwa rzek, źródeł, jezior i mórz z duchami chmur i deszczów.

Skutkiem rozmaitego tłómaczenia mitów i podań, w wielu razach różne czytamy na jednę rzecz poglądy; ale wszyscy nowsi mitologowie zgadzają się na zasadę: że mitologia jest obrazem otaczającéj człowieka przyrody, odbijającym się w zwierciedle jego świadomości, bez żadnego udziału sił lub natchnień poza naturą ludzką działać mających.

Różnice w zapatrywaniu się na jednę i tę samą rzecz w mitologii wynikają nietyle może z różnicy zasadowéj, ile z braku obrobienia zasobów. Nauka ta nie miała jeszcze czasu na monograficzne opracowanie tego ogromnego materyału, jakiego dostarczają tak liczne religie i zwyczaje ludów; trzeba się spodziewać,

że z czasem będzie lepiéj, a tymczasem wystrzegać się jednostronnego zapatrywania się, jak np. objaśniania *wszystkich* mitów i podań *tylko* przez zjawiska wschodu i zachodu słońca, albo *tylko* przez burze i chmury, zmiany pór roku, albo *tylko* przez zapomnienie początkowego znaczenia wyrazów i t. d. i w ogóle unikać bezfaktowego rozumowania i wnioskowania, pomnąc na zasadę De Brosses'a, którą Tylor wypisał na swém ostatniém dziele: „Nie o to chodzi, żeby domyślać się, coby człowiek *mógł lub powinien* był kiedyś uczynić, ale o to, aby dojść, *co uczynił.*"

Zdaje mi się przeto, że na dziś najpożyteczniéj jest opracowywać pewne cykle podań, lub pewne kierunki mitów pojedynczo, nagromadzając jak najwięcéj jednorodnego zasobu, i unikając przedwczesnych a jednostronnych uogólnień, które często prowadzą do naciąganych zbliżeń i wykładów, jak tego mamy świeży przykład w niepospolitéj zkądinąd pracy De Gubernatisa o Zoologii mitologicznéj.

Na nasze podanie o Urwaçi i Pururawasie niejednostajny jest pogląd najnowszych mitologów. Lassen, zasłużony indyanista, uważa Urwaçi za bóstwo powietrzne, wnosząc to z ustępu hymnu Rygwedy, o którym mówiliśmy. Roth, którego prace stoją na rozdrożu staroświeckiéj i nowszéj metody objaśniania mitów, nie może wyzwolić się z symboliki i upatruje w kochanku Urwaçi uosobienie namiętności śmiertelnika do niebianki, a po jéj zaspokojeniu nagłe i bolesne rozerwanie szczęścia. Kuhn podnosi głównie ten rys podania, iż Pururawas dostaje od istot nadziemskich ogień w postaci syna Urwaçi i sposób urządzania ofiar. Maks Müller imiona Erosa i Urwaçi zbliża ze znaczeniem jutrzenki, a w micie o jéj miłostkach z Pururawasem upatruje upoetyzowanie codziennego zjawiska znikania jutrzenki o wschodzie słońca, pod wpływem obrazowości mowy i stopniowego zapominania pierwotnego znaczenia wyrazów. „Źródłem wszystkich tych bajań o Pururawasie i Urwaçi, powiada (1), były krótkie przysłowiowe wyrażenia, tak ulubione w starych mowach. „Urwaçi kocha Pururawasa" znaczyło poprostu „słońce wschodzi;" „Urwaçi widzi nagiego Pururawasa," oznaczało: „świt zniknł;" Urwaçi znajduje znowu Pururawasa," wyrażało: że „słońce zachodzi." Taki pogląd istotnie wiele ma za sobą, a zręczne dowody Müllera zdają się przekonywać czytelnika (2).

---

(1) Oxford Essays 1856 r. str. 79.

(2) Kuhn Herabkunft i t. d. od str. 85. M. Müller w Oxford Essays 1856, od str. 60. Zajmujące zbliżenia i wnioski dotyczące tego przedmiotu znajdują się w arty-

Odkładając do dalszego ciągu téj rozprawki wyrażenie zdania mojego o początku wierzeń, przypominam tymczasem czytelnikowi, iż w myśli podania indyjskiego, Urwaçi przedewszystkiém i widocznie jest wodnicą, bo naprzód wszystkie odmianki podań zaliczają ją do rzędu apsaras; apsara zaś w języku i mitologii indyjskiéj znaczy *wodnica;* powtóre: po rozstaniu, kochanek znajduje ją *kąpiącą się* w towarzystwie kilku takichże apsaras; wreszcie według innéj odmianki podania, Pururawas błądząc tęsknie nad brzegami stawu, dostrzega Urwaçi i jéj towarzyszki apsarasy pływające w postaci *wodnych ptaków.*

---

kule Liebrechta w Zeitschrift für vergleichende Sprachforschung tom XVIII, str. 56—66, a także w Benfey'a Pantschatantra t. I § 92.

KRÓL ZASTĘPCA

Kazimierz Jarochowski, Dzieje panowania Augusta II od wstąpienia Karola XII na ziemię polską aż do elekcyi Stanisława Leszczyńskiego 1702—1704. Poznań, 1874 r.

Napisał

XAWERY LISKE.

W drewnianych domkach nad brzegami Wisły, w których się w obozie szwedzkim pod oblężonym Toruniem mieściła kancellarya Karola XII-go, zrodziła się myśl detronizacyi króla Augusta II. Po zdobyciu miasta, które się poddało dnia 14 Października 1703 roku, przybiera ona namacalniejsze, wyrazistsze kształty. Teraz już występuje jako kandydat Karola książę Jakób Sobieski. Do kandydatury téj nakłania bohatera szwedzkiego z jednéj strony sympatya jego dla potomka bohaterskiego na polu walki Jana III, z drugiéj nadzieja, niemal pewność, że może znajdzie głowę Rzeczypospolitéj, która popierać będzie własne jego plany.

Ks. Jakób Sobieski, przebywający wtedy w Olawie lub Wrocławiu, nie był wcale osobistością przypominającą ojca. Pan Jarochowski trafnie go charakteryzuje. „Nasamprzód, powiada on, niepokaźna i mało obiecująca zewnętrzność. Niepodobny w niczém do wspaniałéj postaci Jana III, trochę ułomny, nizki, chorowitéj cery twarzy, mówiący cienkim głosem, ubierający się po francuzku, z ogromną, będącą naówczas w modzie peruką na głowie; figura nieprzyjemna, niesympatyczna, nielubiąca ludzi, nielubiona od nich.“ Takiéj wcale nieujmującéj zewnętrzności odpowiadały właściwości jego moralne, pomiędzy któremi przedewszystkiém góruje niepohamowana chciwość, występująca we wszystkich jego układach, wpływająca na każdy jego krok publiczny. Nie

był on bez ambicyi, ale ambicya jego jest równie nizka i pozioma, jak w ogóle cały charakter tego tak do ojca niepodobnego syna. „Nie była to ambicya—mówi pan Jarochowski— wielkiego umysłu i wielkiego charakteru, coby w poczuciu klęsk, wstydu i upokorzenia Polski, coby w dumie świetnego imienia i źródle wielkich pamiątek, była zaczerpnęła chęci i męztwa do podniesienia śmiało sztandaru Polski, coby idąc śladami Czarnieckiego, a choćby tylko Jana Kazimierza za konfederacyi tyszowieckiéj, była umiała wezwać naród do walki przeciw najezdnikowi; a w nagrodę odniesionego zwycięztwa, sięgnęła po niezaskąpioną zapewne w takim razie przez naród koronę. Była to podrzędna, tuzinkowa ambicya, co szuka praw jedynie tylko w tradycyi rodzinnéj, odbiera mimowolną ostrogę w podszeptach otoczenia i w fakcie monarchicznéj parenteli, co cieszy się banalną korespondencyą z dworami europejskiemi, dającą sposobność podpisywania się z królewska: *Jacques Louis, Prince Royal*, co wreszcie niezdolna dobijać się tronu, jest gotowa pełzać doń intrygą.“ Taka osobistość nie idzie oczywiście drogą przeboju po koronę. Nie szedł Jakób tak po nią po śmierci ojca, nie idzie i teraz; lecz na staraniach, na rozlicznych zabiegach wcale mu nie zbywa, zwłaszcza kiedy czuje za sobą silną rękę Karola szwedzkiego, a widzi przed sobą już prawie do szczętu zgniecionego podstępnego Augusta. Z dworem szwedzkim oddawna już wiązały go przyjazne stosunki, jeszcze podczas bezkrólewia po śmierci ojca dwór szwedzki stanowczo występował popierając jego kandydaturę. Tak więc i teraz, choć nie zbywało w Polsce na takich, którzy myśleli o odnowieniu dawnéj kandydatury ks. Conti, bez trudności i szybko przechylił się Karol XII na jego stronę. W połowie Listopada 1703 roku, już Karol postanowił stanowczo dla niego działać, a dnia 21 Listopada oświadcza minister szwedzki hr. Piper, że Karolowi XII, „żadna inna osoba nie byłaby milsza na tronie polskim od księcia Jakóba,“ wreszcie 2 Stycznia 1704 roku (1) wystawia król szwedzki Jakóbowi dyplom assekuracyi, w którym oznajmia wszystkim, że jeżeli go Polacy wybiorą królem, będzie go bronił i popierał wszelkiemi środkami.

Nim jednak było można Jakóba wybrać królem, trzeba było naprzód detronizować Augusta, do tego więc teraz przede-

(1) Tę datę dać trzeba temu dokumentowi; dzień 23 Grudnia 1703 roku, który podaje p. Jarochowski, jest datą według dawnego stylu.

wszystkiém dąży Karol. Wobec położenia zaś w jakiém się Rzeczpospolita znajduje, życzenia jego stają się dla niéj rozkazami.

Do Warszawy na narady konfederacyi generalnéj zjeżdżają posłowie Karola Wachslager i Arwid Horn nietylko z propozycyą detronizacyi, ale nawet już z gotową kandydaturą Jakóba. Po dość długich bankietach, zabawach, a potém także naradach, korowodach i targach, przychodzi wreszcie 14 Lutego do skutku akt, składający z tronu Augusta, uroczyście odczytany we dwa dni potém.

Nie pozostała bezczynną partya przeciwna. Za staraniem Augusta i jego popleczników dzieli się teraz Rzeczpospolita na dwa wielkie stronnictwa; Warszawa strąca Augusta, Kraków z zebraną w nim radą rzuca znów wyrok potępienia na Warszawę i staje po stronie ukoronowanego Machiawella. Przy końcu Lutego rozdział ten już stanowczo wystąpił.

W tym samym czasie wylęgła się w obozie saskim myśl „więcéj cyniczna niż śmiała,“ myśl porwania Sobieskich, przebywających na terrytoryum cesarskiém, myśl, która była dziełem intryganta Patkula, zażywającego dotąd jeszcze niezasłużonéj sławy patryoty i obrońcy swobód swego kraju. Że Jakób ma po strąceniu Augusta zasiąść na tronie, o tém już dobrze wiedziano w obozie saskim; było więc można przypuścić, że jeśli się uda porwać Sobieskich i osadzić ich w więzieniu saskiém, Karol i Warszawa znajdą się w trudném położeniu w braku kandydata.

Stan, jaki wówczas panował w cesarskim Szlązku, przypomina nam stosunki panujące w ostatnich dziesiątkach lat istnienia Rzeczypospolitéj Polskiéj. Obcy werbownicy, obce wojska uwijają się po tym kraju, jakby nie należał do cesarza. Tak więc udaje się dnia 29 Lutego 1704 r. oddziałowi saskiemu porwać Jakóba i Konstantego Sobieskich tuż pod Wrocławiem, a niezadługo potém, jak zobaczymy, znów oddział szwedzki uprowadza ze Szlązka ks. Alexandra Sobieskiego.

Lecz omylił się August, sądząc, że uwięzienie Sobieskich poprze jego sprawę; owszem przeciwnie, gwałt ten oburzył nawet jego stronników, a do partyi warszawskiéj przystępują teraz z dniem każdym nowe wybitne osobistości. Czyn ten nawet za granicą tylko niekorzystne przynosi Augustowi skutki. Na dworze Karola XII zaś ani na chwilę nie zapanowała bezradność. Kiedy porwano jednego kandydata, trzeba wyszukać drugiego. Już dnia 8 Marca w instrukcyi dla Wachslagera i Horna powiada Karol, że gdyby konfederaci nie potrafili niebawem uwolnić uwięzionych,

trzeba jako kandydata postawić trzeciego Sobieskiego ks. Alexandra.

O uwolnieniu uwięzionych przez konfederatów atoli i mowy w Warszawie nie było; lecz za to zaczęły tam pojawiać się imiona innych kandydatów: Contego, Rakoczego, w. het. kor. Lubomirskiego. Ażeby tym bałamuctwom położyć koniec, zdecydował się Karol na krok podobny jak August. Sas porwał z pod Wrocławia Jakóba i Konstantego, Szwed wysłał pod koniec Marca oddział swéj armii z rozkazem, aby mu dostawiono trzeciego, jeszcze dotąd wolnego Sobieskiego. Oddział szwedzki stanął 27 Marca na przedmieściach wrocławskich. Ks. Alexander uwiadomiony o przybyciu szwedzkiéj jazdy, wyjechał do niéj następnego dnia i wyruszył z nią niebawem do Poznania. W połowie Kwietnia przybywa do Warszawy. Tutaj zastaje komissarzy szwedzkich, którzy według danéj im instrukcyi, starają się wszelkiemi siłami nakłonić Alexandra do przyjęcia korony. Lecz napróżno, Alexander stanowczo się wzbraniał, a wszelkie perswazye komissarzów na nic się nie zdały. Alexander podawał przedewszystkiém takie powody: naprzód, że ma nadzieję blizkiego uwolnienia starszego brata, nie chciałby zatém zagradzać mu drogi do tronu; powtóre, że obawia się, iż August, gdyby Alexander przyjął koronę, mściłby się na braciach, a może nawet zagrażał ich życiu; prosił więc Szwedów, żeby mu dano znaczniejszy oddział armii, z którymby wpadł do Saksonii i uwolnił braci (1). Powody te uważa p. Jarochowski tylko za pozorne, w rzeczywistości inne względy kierowały Alexandrem. „Mnogie listy—powiada pan Jarochowski dobrze poinformowanego Stanisława Godlewskiego starosty nurskiego do Załuskiego w. kanc. kor. i depesze również dobrze poinformowanego Bonaca posła francuzkiego nie pozostawiają najmniejszego powątpiewania, że obok miłości i uszanowania dla praw starszego brata, wchodziły jako czynniki do Alexandrowych wstrętów w równéj przynajmniéj dozie: ukochana wygoda i skąpstwo. Korona polska *kosztowala*, sprowadzała prócz zaszczytów i burze na ukoronowaną głowę. Alexander wolał wygodę i pieniądze, wzbraniał się więc przyjąć tron sobie ofiarowany, co nie przeszkadza, że jak zobaczymy niżéj, starał się w dziwaczny nieco sposób zastrzedz doń prawa domowi swemu.“

---

(1) Porównaj także wydane przez Helcla Listy Sobieskiego IV, 47.

Ks. Alexander, choć powierzchownie okazalsza od brata Jakóba osobistość, jednak w gruncie rzeczy niewiększe od niego obudza w nas sympatye: „Dumny i wygodny, woli spokój prywatnego człowieka, aniżeli burzliwy tron polski. Zresztą patrzy na Polskę i Polaków z lekceważeniem nowomodnego panicza, wychowanego za granicą.“ W odmowie korony zwykle historycy upatrywali wyłącznie szlachetne motywa, otaczając tym sposobem postać jego urokiem sympatyi, a nawet może pewnéj admiracyi. Teraz zdarł z niego p. Jarochowski i ten urok, pokazując nam go we właściwém świetle.

Kiedy wszystkie starania komissarzów szwedzkich do celu nie doprowadziły, nakłoniono Alexandra, aby się osobiście udał do Karola XII. Dnia 5 Maja wyjechał z Warszawy, dnia 9 Maja przybył do Heilsberga, ówczesnéj głównéj kwatery szwedzkiego króla. Przez sześć dni bawił tutaj. Tak minister hr. Piper, jak sam Karol nie szczędzili teraz namów, lecz równie bezskutecznie jak w Warszawie komissarze szwedzcy. Uporu Alexandra nic złamać nie mogło. Dnia 15 Maja rozstał się z Karolem, który mu dał wyraźnie uczuć wielkie swe niezadowolenie, a niezadowolenie to podzielała także dumna matka Alexandra, wdowa po Janie III Marya Kazimira (1), przebywająca wówczas w Rzymie, która zawsze więcéj sprzyjała temu synowi niż starszemu Jakóbowi.

Tak więc i konfederacya i król szwedzki znów nie mieli kandydata do tronu, z którego strącili Augusta. Przez chwilę teraz waha się Karol, wysyła do komissarzów swych w Warszawie instrukcye, aby naznaczenie terminu elekcyi przyśpieszyli, wybór kandydata zaś pozostawili do woli konfederacyi. Instrukcyą taką wysłał Karol w pierwszych chwilach własnéj bezradności. Chodziło mu przedewszystkiém o wyznaczenie terminu elekcyi, tymczasem sądził, że się znajdzie już kandydat, któryby zupełnie chęci jego i woli odpowiadał. Zupełną swobodę wyboru pojmował tylko o tyle, o ile ona się zgodzi z własnemi jego zamiarami. Teraz więc znów powstają na bruku warszawskim najróżniejsze kandydatury. Zwłaszcza prymas łamie sobie głowę, kogoby osadzić na miejscu Augusta? Naprzód przechyla się na stronę ks. Contego, a kiedy kandydatura ta nie znajduje upodobania u Karola, wspomina o ks. neuburskim, o ks. lotaryńskim. Król szwedzki atoli nie chciał widzieć na tronie polskim obcego księcia, któryby mógł się w danym razie wiązać z jakim obcym, jemu niekoniecznie przy-

(1) Zobacz list jéj z Rzymu u Helcla IV, 48.

chylnym dworem. Kandydatura Piasta więcéj się mu uśmiechała. Kiedy więc komissarze szwedzcy z woli i rozkazu pana swego zażądali od prymasa, aby wskazał którego z panów polskich, wymienił kardynał Hieronima Lubomirskiego, Jana Pieniążka i Stanisława Leszczyńskiego. Pierwszemu nie ufał Karol, drugi był za stary, trzeciego znał osobiście i zdaje się od pierwszéj chwili, kiedy się poznali, polubił.

Z młodym wojewodą poznańskim od niedawna znał się Karol XII. Warszawscy konfederaci wysłali go niedawno temu z licznemi żądaniami, dość zresztą przykremi, do głównéj kwatery szwedzkiego króla. Dnia 20 Marca 1704 roku wyruszył z Warszawy do Heilsberga, dnia 26 Marca stanął w stolicy warmińskiego biskupstwa, lecz nie zastał tu Karola, który wtedy lustrował niektóre załogi miast pruskich. Dnia 1 Kwietnia, za powrotem Karola, spotkali się po pierwszy raz dwaj ludzie, których losy w przyszłości tak ściśle się z sobą związały. „Nie było może—powiada p. Jarochowski—dwóch mniéj podobnych sobie natur, jak Karol XII i Leszczyński. Pierwszy waleczny aż do szaleństwa, szukający niebezpieczeństw, lakoniczny, nieprzyjaciel wszelkiego zbytku i wystawy; drugi człowiek pokoju i rady, wszystko raczéj niż żołnierz, wymowny i rozmowny, lubujący się w zwykłéj magnatom polskim owéj epoki dworności i wygodzie. Często jednakże pojawiającą się w rzeczach i sprawach ludzkich anomalią uczuły obie te natury, dzięki właśnie może owym przeciwieństwom, wzajemny pociąg do siebie. Leszczyński wyniósł z heilsberskiego spotkania podziw dla zimnego i lakonicznego bohatera szwedzkiego; Karol znalazł upodobanie w młodości, w pięknéj zewnętrzności, pouczającéj i światłéj rozmowie, rozległych wiadomościach wymownego magnata polskiego.“ Dnia 14 Kwietnia wrócił Leszczyński z téj heilsberskiéj missyi. Oczywiście wtedy jeszcze mowy nie było o jego kandydaturze, bo Karol nie przypuszczał, żeby ks. Alexander nie miał przyjąć korony, a Leszczyński ze swéj strony zbyt mało miał ambicyi, a zbyt wiele przywiązania do domu Sobieskich, żeby miał choć na chwilę zamarzyć o koronie dla siebie.

Teraz jednak, kiedy prymas pomiędzy innymi kandydatami wymienił także wojewodę poznańskiego, chwycił się Karol niezwłocznie téj myśli. Decyzya u niego następowała szybko, a za decyzyą szła zwykle energiczna działalność. Tak więc już w pierwszych dniach Czerwca postanowił Karol stanowczo wynieść młodego wojewodę na tron polski i rozwinął w tym celu całą swą sprężystość. Ze zaś przewaga była niewątpliwie po jego stronie, o rezultacie wątpić nie było można. Mimo to przyszła ona do

skutku dopiero w dniu 12 Lipca 1704 roku. Nie będziemy tutaj wchodzili w ciekawe i tak wyczerpująco przez p. Jarochowskiego przedstawione szczegóły dziejów tej elekcyi, bo chodzi nam tylko o jeden jéj epizod, do którego teraz przystępujemy.

Kiedy Karol XII z wytężeniem wszystkich swych sił pracował nad przeprowadzeniem elekcyi Stanisława, odbyła się za plecami jego dziwna scena, jakiéjbyśmy gdzieindziéj nie znaleźli.

Znane są związki Leszczyńskiego z familią Sobieskich. Tak Stanisław, jak ojciec jego Rafał należeli do najwierniejszych jéj stronników. Przyjmując koronę na swą głowę, zdawał się Stanisław uwłaczać prawom królewskiego domu do niéj. W gruncie rzeczy nie miał powodów do wyrzutów sumienia, bo Jakób i Konstanty siedzieli w więzieniu, Alexander, jak widzieliśmy, żadną miarą nie dał się nakłonić do przyjęcia korony, a Karol XII mimo to postanowił przeprowadzić elekcyą i musiał w danych okolicznościach dopiąć swego; gdyby Stanisław korony nie przyjął, znalazłby się inny kandydat. Wzgląd na rodzinę Sobieskich nie potrzebował zatém krępować Stanisława. Nie wchodzimy tutaj w to, czy nie byłyby się znalazły inne względy, które go od kroku takiego wstrzymać były powinny. Bądź jak bądź, ks. Alexander, choć sam berła nie przyjął, chciał je jednak mimo to zapewnić swéj rodzinie, i udało mu się nakłonić Stanisława do kroku zgoła niebywałego, i powiedzmy z góry, zupełnie nierozsądnego.

Dnia 26 Czerwca bowiem wystawił Leszczyński w Warszawie ks. Alexandrowi następujący skrypt assekuracyjny:

„Okazując zawsze największą gorliwość do usług dostojnego domu królewskiego, nie mogłem sobie innego sposobu obrać do okazania téjże, jak w następującéj okoliczności. Ponieważ najjaśniejsi królewiczowie Jakób i Konstanty z przyczyny więzienia swego, a najj. królewicz Alexander dla miłości braterskiéj, nie mogą się o tron ubiegać, przeto tak dla dobra ojczyzny, jako też dla dostojnego domu królewskiego, jeżeli głosy moich ziomków na mnie padną, daję tę assekuracyą najj. kr. Alexandrowi, że koronę polską tylko jako powierzony mi zakład na głowie mojéj nosić będę dopóty, dopóki najj. królewiczowie z więzienia uwolnieni, a ojczyzna z zaburzeń i nieszczęść oswobodzoną nie zostanie. Poczém koronę wspomnioną najj. król. Jakóbowi odstąpię i pozwolenie na to u najj. Rzeczypospolitéj wyrobię, zaręczając i obowiązując się na to słowem honoru. Ponieważ zaś w celu uskutecznienia tego zamiaru najj. król. Alexander obowiązał się u najj.

brata swojego kr. Jakóba wyrobić dla pani wojewodziny łęczyckiéj ekonomią tygenhofską, przeto obowiązuję się niniejszém także najj. kr. Alexandra w tém zastąpić i zań zaręczyć, aby on na majątku swoim żadnego uszczerbku nie poniósł" (1).

Nazwałem wystawienie skryptu tego krokiem nierozsądnym i jest to epitet najłagodniejszy, jaki mu dać można. Cóż to bowiem za rola, jaką Leszczyński przyjmuje na siebie? Rola króla-zastępcy, jakiegoś hermafrodyta, ni panującego, ni poddanego, rola niegodna człowieka poczuwającego się na siłach do noszenia korony. Mimo to jednak ani na chwilę nie wątpię, że Stanisław działał wtedy w dobréj woli i wierze. Młodzieniec z gruntu szlachetny, fundatora królewskiego domu Sobieskich admirujący, uniósł się, wystawiając skrypt ten, nierozważną szlachetnością, sądząc, że nie wolno mu pozbawiać królewskiéj rodziny zaszczytu jéj przynależnego, że owszem przeciwnie on, który się poczuwał do wdzięczności wobec niéj, powinien jéj w przyszłości zapewnić koronę, która teraz skutkiem zbiegu okoliczności do niéj należeć nie mogła. Był zaś Leszczyński zbyt krótko widzący, żeby miał przewidzieć, iż zamiar taki w przyszłości przeprowadzić się nie da, że rozbić się musi choćby już tylko o sam opór króla szwedzkiego, aby nie mówić o licznych innych przeszkodach. Własne swe słabości zresztą człowiek poznaje dopiero wtedy, kiedy mu się do nich sposobność nadarzy. Czy znikome zaszczyty świata tego mają dla nas urok, znaczenie, powab, o tém przekonywamy się dopiero wtedy, kiedy nam los rzuci w udziale taką, z wyższego stanowiska mówiąc, błahostkę. Dopóki jéj nie mamy, dopóty też nie wiemy, czy ją cenić, lub nią gardzić będziemy. Jakże zaś wysoko ponad inne błahostki i zaszczyty wznosi się blask korony, téj nieprzewyższonéj przez żadną inną ozdoby! Stanisław podpisując ów rewers z 26 Czerwca, jeszcze jéj nie czuł na swojéj głowie, jeszcze nie wiedział, co to znaczy zasiąść na najwyższym stopniu świata tego, jeszcze nie zasmakował w uroku purpury i blasku królewskiéj godności; jaki ona wpływ na niego wywrze, tego nie wiedział, to przyszłość dopiero pokazać miała. Każdy człowiek jest próżny mniéj lub więcéj, a cóż tak próżność zaspokoić może, jak korona? Wsadzić koronę na głowę swoję i być uznanym w Europie za monarchę, a potém ledwie pokosztowawszy jéj uroku, złożyć ją w inne ręce, wyrzec się całego swego znaczenia i stanąć znów na równi z innymi śmiertelnikami, na to trzeba być inną

(1) Raczyński, obraz Polaków i Polski XVIII w. tom XIII, str. 100—102.

osobistością, niż nią był Stanisław Leszczyński. Urok korony jest tak upajający, że choć ciernie jéj głęboko się wpijają w ciało, choć zamiast przyjemności i rozkoszy sprowadzi ona na tego, którego nią ozdobiono, tylko gorycze, bole, niepokoje, niepowodzenia, jednak człowiek rozstać się z nią już nie umie, choćby nawet wiedział, że unieść jéj już nie może. Upada pod jéj ciężarem, wycieńcza swe siły, pasuje się w daremnéj walce z losem i jego przeciwnościami, łamie dane słowo, zrywa najściślejsze związki i węzły, a jednak rozstać się z nią nie umie. Wyjątki są nader rzadkie, a wyjątkiem nie był Stanisław.

Wkrótce po elekcyi pisał Leszczyński do kr. Alexandra list bardzo czuły, bardzo serdeczny. Jeszcze wtedy przez myśl mu nie przeszło, żeby mógł nie dotrzymać słowa swego, bo wtedy jeszcze nie groziło mu niebezpieczeństwo postradania tego, co dopiero nabył, bo wtedy nie był nawet jeszcze koronowany. W liście tym jeszcze raz powtarza swą obietnicę, uważa się tylko za króla zastępcę, zaręcza, że przyszłość pokaże, jak szczerego w nim ma przyjaciela „królewski Sobieskich dom,“ serdecznie zaprasza Alexandra do Warszawy: „niech moje szczęście—dodaje—będzie i szczęściem Waszéj Królewicz. Mci.“ (1). Obłudy w Stanisławie nigdy nie było, i ten list zatém nie jest obłudnym, lecz szczerym. Chwila ogniowéj próby jeszcze nie nadeszła.

Że cała ta scena odbyła się za plecami i zupełnie bez wiedzy Karola XII, o tém na chwilę nikt wątpić nie będzie, kto tylko zna charakter króla szwedzkiego. Chciał mieć królem Jakóba, nie powiodło się. Ofiarował koronę Alexandrowi, nie przyjął jéj. Wtedy już pisał do swych komissarzy: dajcie mu do zrozumienia, „iż w razie odmowy postaracie się o kogo innego zdolnego zająć miejsce brata jego.“ Teraz postarał się o taką zdaniem jego zdolną osobistość, i on, niesłychanie uparty, pełen buty i hardości, miałby się zgodzić na to, żeby ten, którego *on* uznał za odpowiedniego, uważał się tylko za króla-zastępcę i każdéj chwili złożył koronę, którą *on* mu powierzył? Przenigdy! Nie ma się co nad tém rozwodzić. Nie ulega żadnéj wątpliwości, że Karol o układzie tym nie wiedział.

Za to widzimy z przytoczonego przez pana Jarochowskiego ustępu listu generała Wackerbartha z Wiednia 20 Sierpnia 1704 r., że mimo wszelkiéj tajemnicy, jednak wiadomości o tym układzie

---

(1) Raczyński XIII. 102—104.

przeszły do niektórych reprezentantów zagranicznéj dyplomacyi i na dwór króla Augusta.

Teraz na długi czas ucichły wiadomości o téj sprawie. Ci, którzy o niéj wiedzieli, może nawet po części o niéj zapomnieli. Nastąpiła koronacya nowego króla, nowa walka z Augustem, zwycięzka jak wszystkie poprzednie, liczne dwory uznały Stanisława królem, wreszcie zmusił Karol XII nawet Augusta do przyznania Leszczyńskiemu godności królewskiéj. Pokój w Altranstadzie, zdawało się, zakończył tę sprawę, lecz pokój ten dawał zarazem wolność dotąd ciągle jeszcze w więzieniu trzymanym Jakóbowi i Konstantemu Sobieskim. Teraz dopiero zbliżała się chwila ogniowéj próby dla Leszczyńskiego, który się już wżył w nową swą godność, przywykł do blasku korony i uroku purpury.

W tym czasie po usunięciu Augusta zajmuje przeważne miejsce w szeregu przeciwników Karola XII car Piotr W., przeciwnik pełny energii, nie szczędzący żadnego środka, potężny, przeciwnik, który niezwyciężonego bohatera szwedzkiego ostatecznie powalił o ziemię. Że Karol po pokoju altranstadzkim niebawem zwrócić się zamierza przeciw Rossyi, o tém wszyscy wiedzieli, o tém na chwilę nie mógł wątpić Piotr. Chodziło mu więc o to, aby przeciwne Szwedowi w Polsce stronnictwo wzmocnić, aby stawiając obok Stanisława nowego kandydata do korony, zaprzątnąć w saméj Polsce Karola XII o ile możności jak najwięcéj Niebawem więc po zawarciu altranstadzkiego pokoju postanawia Piotr wynieść Jakóba Sobieskiego na tron polski, strącając z niego Stanisława. Sobiescy o tém uwiadomieni wcale się nie wzdragają.

Jakkolwiekbyśmy się na takie postępowanie ich zapatrywali, w każdym razie mniéj ono nas zadziwi, niż to, co teraz uczynili. Szlą bowiem jednego ze swych stronników, Chlebowskiego (pewno Alexandra, chorążego wieluńskiego) do Karola, zawiadamiają go o tém, co uczynić zamierza car Piotr, składają mu odpis owego nieszczęsnego rewersu Stanisława i żądają korony dla Jakóba. Jest to naiwność rzeczywiście rzadka, żądać teraz od Karola, aby przekazał koronę polską temu, którego popierać zamierza najgroźniejszy jego przeciwnik, żądać od niego, aby detronizował na podstawie owego skryptu wiernego Stanisława, aby w chwili, gdy do walki przeciwko Piotrowi potrzebował całych swych sił i całéj swobody, wywoływał nowe rozdwojenie w Polsce. Nie trudno więc odgadnąć, jak wypadła odpowiedź Karola, przebywającego wtedy jeszcze w Saksonii. Odpowiedź ta, z 28 Lutego nowego stylu 1707 r. z Altranstadtu, jest oczywiście sta-

nowczo odmowna (1). Karol XII dziękuje nasamprzód w liście tym Sobieskim, że go zawiadomili o zamiarach cara Piotra, nim sami ze swéj strony na propozycyą tę odpowiedzieli, obiecuje więc, że z równą otwartością postąpi także z nimi. Potém zwraca uwagę ich na to, jakich to zarówno on, jak król Stanisław dokładali starań, aby koronę polską zapewnić dla domu Sobieskich, że się to z powodu uwięzienia jednego, a odmowy drugiego księcia nie udało, nie ich w tém wina. Kiedy się zamiary te nie powiodły, przeszła korona na króla Stanisława, a Karol dokładał wszelkich starań, aby go na tronie utrwalić, zawarł z nim jako prawowitym królem przymierze, zobowiązał się przysięgą, że nie prędzéj broń złoży, dopóki Stanisława na tronie nie utwierdzi, Rzeczypospolitéj pokoju nie da i od wszelkiego niebezpieczeństwa ich nie uwolni. Potém zmusił Karol nawet Augusta do zlania praw swych na Stanisława, uznanego zresztą już przez niektórych obcych monarchów. Żadną miarą zatém bez uszczerbku honoru i bez nowego zaburzenia Rzeczypospolitéj nie może Karol ani teraz, ani w przyszłości odstąpić od uskutecznionych układów i dopuścić jakiejkolwiek w tém zmiany, a kto książętom do tego radzi, ten ma chyba nieszczęście kraju, nie zaś dobro jego na oku. „Co się zaś tycze—pisze potém Karol dosłownie — owego pisma, którém najj. król. polski miał się zobowiązać do oddania berła któremu z WKMci, o tém ani wiadomości żadnéj nie mamy, ani też z łatwością wierzyć nie możemy, aby się to na seryo stało; lecz jeżeli przypadkiem w owym czasie takie przyrzeczenie wystawiono, to oczywiście użyto także pretextu w celu ułagodzenia czyjegoś umysłu, któryby tak prędkiego uśmierzenia rozruchów w Polsce niebardzo sobie był życzył. A chociażby to zupełnie było w mocy króla Stanisława, co jednak nie było, to przecież jasną jest rzeczą, że berła, które za wolą i rozkazem Rzeczypospolitéj przyjął, bez jéj wiedzy i rozkazu innemu oddaćby nie mógł, osobliwie bez równoczesnego osłabienia i zburzenia całego zastępu uroczystych związków i układów. Co zaś względem przelania praw proponowano, to jest i niedorzeczne, i dziełem wyob-

---

(1) Odpowiedź tę w oryginalnym łacińskim texcie drukował *Stenzel, Beiträge zur Geschichte Polens und der Familie Sobieski* w *Archiv für Geschichte und Literatur*, V. 359—361, wspomina o tém także Załuski (Vratislavia 6 Maii 1707): Principes Alexander et Constantinus Regii sunt hic quoque praesentes. Narraverant nobis, quomodo invitati a parte Stanislao contraria, ut de Regno Poloniae serio cogitarent, dum id Regi Sueciae communicarunt, pessime id accepit et nec audire voluit. Habui etiam informationem de assecuratione quadam, quam Stanislaus ante electionem suam Principi Alexandro in favorem domus suae dedit. (Zaluski. Epistolae, III, 792.)

raźni zbyt wybujałéj, aby się dało do skutku przywieść.“ Co do grożących im strat, gdyby się na propozycyą Piotra nie zgodzili, daje im Karol nauczkę, że dla dobra całości kraju jednostki nie powinny się wahać ponosić prywatne straty, i kończy wreszcie, że z całego toku tego listu poznają, jaką im wypada dać odpowiedź na uczynione im propozycye.

Stanowczy ten list nie pozostał bez skutku, choć bynajmniéj nie ustały jeszcze starania ze strony cara Piotra, aby Sobieskich przeciągnąć do siebie. Wiadomo bowiem, że tymczasem, dnia 7 lutego, nastąpiła tak zwana roboracya konfederacyi sandomierskiéj, nie uznająca prawności abdykacyi Augusta, ale nierozstrzygająca wyraźnie pytania, czy August dotąd jest królem? Potém 30 Marca ponowiła partya przeciwna Stanisławowi przymierze z Piotrem. W kwietniu wreszcie zwołał prymas sejm na 23 Maja do Lublina, który miał rozstrzygnąć kwestyą sporną co do Augusta. Sejm ten początkowo nie mógł się zgodzić na stanowczą uchwałę; tymczasem parł Piotr do ogłoszenia interregnum i nowego wyboru, a w tym celu starał się na nowo pozyskać Jakóba na kandydata do tronu. W dniu 27 Maja pisał z Jakóbowa do ks. Jakóba, przebywającego wtedy w Oławie. Przedstawiał mu, że niepokoje w Polsce usunąć można tylko za pomocą swobodnego wyboru prawowitego króla i że Polacy prawie powszechnie życzą sobie, aby Jakób na tronie ich zasiadł. Gdyby się to dało przeprowadzić, obiecuje mu Piotr wierne i stałe poparcie, przyrzeka, że go nie opuści aż go na tronie utwierdzi. Bliższych szczegółów—dodaje—udzieli mu archidyakon Krzysztof Szembek. Tego samego dnia jeszcze wystawił Piotr otwarty dokument z oświadczeniem wystosowaném do ks. Jakóba téj treści: Jeśli Jakób na swobodnéj elekcyi wybrany będzie królem polskim, koronę tę przyjmie, aby bronić przywilejów i praw Piotra, zagrożonego przez króla szwedzkiego. Obiecuje Piotr, że go całą swą potęgą bronić będzie w téj wojnie przeciw królowi szwedzkiemu i każdemu innemu nieprzyjacielowi dopóty, dopóki tronu jego nie zabezpieczy, i to pod następującemi warunkami: 1) Gdyby Jakób wyznaczonéj w altranstadzkim traktacie summy należącéj mu się od Augusta nie mógł odebrać, obowiązuje się Piotr wystarać mu się o tę kwotę lub też wypłacić mu ją z własnego skarbu i zobowiązać się do tego także wobec cesarza; 2) Gdyby car Piotr nie mógł Jakóba utrzymać na tronie, obiecuje jemu i jego żonie w dożywocie jednę z prowincyi państwa swego na utrzymanie; 3) Dopóki wojna trwać będzie, dostarczy car Jakóbowi 7—10,000 wojsk regularnych i będzie płacił na ich utrzymanie aż

do zawarcia pokoju rocznie milion złotych polskich czyli 100,000 rubli; 4) Od Rzeczypospolitéj będzie car dla wojska żądał tylko żywności za zapłatą, i wojsko to będzie trzymał w ścisłéj karności; 5) Jeżeli car z częścią wojska swego opuści Polskę, pozostawi resztę pod naczelną komendą samego Jakóba; 6) Car starać się będzie uzyskać od cesarza aprobatę i gwarancyą wszystkich tych punktów.

Równocześnie pisał także prymas do Jakóba, starając się nakłonić go do przyjęcia korony (1).

Jakób, jak zwykle w takich wypadkach, udał się po radę do Wiednia, donosząc o przebiegu całej téj sprawy. Z Wiednia nie nadeszła zachęta, radząc mu, żeby się nie wdawał w tak hazardowną grę, lecz, chcąc i ze swéj strony coś na tém skorzystać, dawano mu radę, aby ów rewers odstąpienia korony, przez Leszczyńskiego mu dany, starannie zachował dla trzymania na wodzy tego króla, który więcéj Francyi niż Austryi sprzyja (2).

Tak pod wpływem owego wyżéj przytoczonego listu Karola XII i téj ostatniéj rady z Wiednia, zerwały się układy pomiędzy carem Piotrem a Jakóbem. Kiedy zaś zwołany do Lublina sejm w dniu 8 Lipca 1707 r. wreszcie ogłosił bezkrólewie, oglądał się Piotr za nowym kandydatem i już 30 Lipca ofiarował koronę polską Rakoczemu (3).

Ów list Karola XII z lutego jednak jeszcze dalsze odniósł skutki, bo teraz rozpoczęły się układy pomiędzy królem Stanisławem a Jakóbem, aby ostatecznie załatwić sprawę owego nieszczęsnego rewersu.

Fatalne było rzeczywiście położenie Stanisława, w które się sam wplątał przez wystawienie tego pisma. Teraz się pomścił na nim nierozważny ten krok. Karol XII właśnie teraz stał na szczycie swéj potęgi. Stanowczo zwyciężył Augusta, a zdawało się, że zwycięży także drugiego przeciwnika. Stanisław wżył się już w swą godność królewską, uśmiechała mu się jeszcze przyszłość, bo niewątpliwie nie przewidywał, jaki obrót sprawa protektora jego weźmie niezadługo. Złożyć teraz koronę na korzyść Jakóba, do czego go dane słowo honoru zobowiązywało, zstąpić dobrowolnie z tronu, który właśnie wtedy największy dla niego miał urok, było dla niego rzeczą nader przykrą. Mógł się przytém zasła-

(1) Stenzel V, 348 i 349.

(2) Helcel, Listy Sobieskiego: Instrukcya Jakóba do Jana Wilhelma elektora falcgrafa reńskiego.

(3) Stenzel V, 349.

niać wolą potężnego protektora, który tak stanowczo oświadczył, że nigdy się na krok taki nie zgodzi. Mógł się—mówię—*zasłaniać* nią, bo tylko jako pozór niewypełnienia danego słowa, mogła mu służyć ta wola Karola; zmusić go bowiem do pozostania na tronie, gdyby się chciał go wyrzec, nie mogła go w rzeczywistości żadna siła ludzka. Gdyby więc był miał szczerą wolę wykonania owego rewersu, mógł to uczynić mimo oporu Karola, lecz—przyznać musimy—z nowém, wielkiém zagmatwaniem spraw Rzeczypospolitéj. Wszystkie te względy: urok władzy królewskiéj, obawa przed gniewem Karola i nowemi zamieszaniami w kraju, wpłynęły—sądzę—na postanowienie Stanisława. Korony złożyć nie chciał, lecz chodziło mu także o zachowanie dobrych stosunków z Sobieskimi, do których zawsze czuł szczere przywiązanie. Chodziło więc o to, aby ich albo raczéj ks. Jakóba skłonić, choć za znaczne ustępstwa, do zwrotu owego rewersu lub przynajmniéj zrzeczenia się pretensyi do korony.

Król Stanisław i Sobiescy mieli wielu wspólnych przyjaciół; pomiędzy nimi właśnie w téj sprawie główną rolę odgrywa Władysław Poniński, niedawno mianowany przez Stanisława referendarzem koronnym. On to, zdaje się, pierwszy wprowadził w życie układy o załatwienie téj spornéj sprawy. Mówię: *zdaje się*, materyały bowiem do przedstawienia tych układów dotąd są bardzo jeszcze fragmentaryczne, tak, że tylko z trudnością da się ułożyć obraz ich jako tako z sobą powiązany.

Widzimy, że naprzód udaje się Poniński do królewicza Jakóba, sądzimy, że na życzenie króla Stanisława. Spotyka się z nim w Nisie, czasu bliżéj nie wiemy, lecz podług wszelkiego prawdopodobieństwa niezadługo po odpowiedzi danéj Sobieskiemu przez Karola XII, a więc pewno w Marcu r. 1707. Tutaj zażądał od niego Poniński zwrotu znanéj nam karty, obiecując za to odpowiednie wynagrodzenie od króla. Jakób nie wzbraniał się, lecz stawiał swoje warunki, oczywiście pieniężne, bo o to zawsze mu najwięcéj chodziło. Po odmownéj zaś odpowiedzi Karola już się niewątpliwie wyrzekł nadziei, żeby tym razem koronę osiągnął.

Warunki te, powiedzieć można prawie niewątpliwie, polegały na tém, co czytamy w projekcie ugody pomiędzy Sobieskimi i Stanisławem. Kiedy bowiem Poniński wrócił od Jakóba po tém pierwszém widzeniu się z nim, przełożył Stanisławowi projekt ugody, jakiby obie strony podpisać miały. Po ogólnikowym wstępie wykazującym potrzebę zgody, powiada projekt ten, że stanął układ

pomiędzy Stanisławem a królewiczami Jakóbem, Alexandrem i Konstantym i matką ich Maryą Kazimirą téj treści: 1) Pomiędzy obiema stronami będzie zupełna zgoda, wszelkie podejrzenia i niezgody na zawsze będą usunięte, jedna strona popierać będzie zawsze sprawy drugiéj; 2) Król Stanisław zapewnia królewiczom, gdyby zamieszkać chcieli w Rzeczypospolitéj, zupełne bezpieczeństwo i królewskie honory, a wszystkim ich i matki ich posiadłościom zupełne uwolnienie od wszelkich ciężarów, jako i regularną wypłatę przyobiecanych w paktach królowéj rocznych 2,000 dukatów z żup solnych; 3) Obiecuje król, że wystara się na najpierwszym sejmie o to, aby ekonomie, szawelska na Litwie i tygenhoffska czyli nowodworska w Prussiech, które dotąd w zastawie królewicze trzymali, przekazane im były na własność dziedziczną; 4) Obowiązuje się król, że na najbliższym sejmie wyrobi dla królowéj Maryi Kazimiry i jéj synów ustąpienie summ neapolitańskich, po królowej Bonie pochodzących, ale pod tym warunkiem, że po śmierci królowéj i jéj synów summy te napowrót do Rzeczypospolitéj wrócą; 5) Królewicze zobowiążą się wyrobić u matki swéj ustąpienie starostw kałuskiego i jaworowskiego do dyspozycyi króla.

Że oprócz tych w projekcie tym wyrażonych żądań, domagał się Jakób wynagrodzenia możliwych strat, któreby na dobrach swych ponieść mógł od wojsk rossyjskich, jako i gwarancyi, że August wypłaci mu summę 400,000 talarów, o którą już często się upominał, nie ulega zdaniem mojém wątpliwości.

Kiedy Poniński projekt ten przedstawił Stanisławowi, niezupełnie zgadzał się na niego Leszczyński. Żądał on przedewszystkiém, aby w dokumencie tym umieszczono ustęp taki: „Że ponieważ król Jmć nigdy nie widzianą ku osobie królewicza passyą, koronę swoją sakryfikować chciał, a nad spodziewanie królewicz dłużéj i aż po koronacyi w więzieniu został; tedy *in recompensa* téj tak wielkiéj jego miłości, obowiązuje się królewicz Jmć téj karty *in praejudicium* panowania króla Jmci nigdy nie zażywać, lecz przeciwnie okazywać mu zawsze szczerą przyjaźń i życzliwość.“ Gdyby zaś Jakób na żądanie to nie przystał, trzebaby sprawę tę poddać pod sąd samego króla szwedzkiego. Kazał prócz tego Stanisław nadmienić Sobieskim, że dopóki nie zwrócą wiadomego rewersu, dopóty Karol XII nawet mówić sobie nie da o prywatnych ich interesach i sprawy pieniężnéj z Augustem popierać nie będzie.

Pomiędzy dawnych przyjaciół, Leszczyńskiego i Sobieskich, wkradła się już widocznie podejrzliwość i nieufność. Stanisław

żąda przedewszystkiém albo zwrotu rewersu, albo assekuracyi uniewinniającéj go, potém dopiero obiecuje zadość uczynić innym wymaganiom królewiczów; Sobiescy na odwrót, nie ufają Stanisławowi, żądają najprzód wypełnienia swych żądań i obiecują dopiero potém zwrócić rewers. Tym sposobem zgoda stawała się z każdym dniem trudniejszą, zwłaszcza kiedy, jak to już wiemy, dwór cesarski polecił Jakóbowi, żeby pilnie strzegł wydanego przez Stanisława certyfikatu.

Kiedy więc Poniński powtórnie przyjechał do królewicza Jakóba do Olawy, aby mu zakomunikować odpowiedź Stanisława, spotkał nowe trudności. Królewicz oburzył się na żądaną kassacyą rewersu, oświadczając, „że wolałby sto razy kartę wrócić, niż kassacyą onéjże podpisać.“ Poddanie zaś sprawy pod sąd króla szwedzkiego wcale mu się nie podobało, sądził bowiem, że tym sposobem mógłby, „otrzymać od niego assekuracyą nagrody ruiny dóbr, kiedy stanie pokój między carem i królem szwedzkim, jako też i gwarancyą króla Jmci co do summy od Augusta mu winnéj.“ Żądał zatém, aby król Stanisław wystawił mu dokument poręczający wypełnienie wszystkich tych życzeń, obiecał dać bratu swemu Alexandrowi pełnomocnictwo do załatwienia téj sprawy i przesłać na ręce jego wiadomy skrypt, ów *lapis offensionis*, jak go nazywa król Stanisław.

Z taką odpowiedzią odjechał Poniński. Wkrótce po jego odjeździe atoli, może pod wpływem znanych nam perswazyi wiedeńskich, znów zmienił królewicz, częściowo przynajmniéj, swe zamiary. Zamiast dać pełnomocnictwo bratu swemu, polecił mu, „aby chciał *cuncta* wziąć *ad referendum*“ do samego Jakóba.

Taka zmiana wywołała znów kwasy z drugiéj strony. Poniński napisał wtedy do królewicza, wyrzucając mu złamanie słowa. Jakób odpowiedział nie szczędząc przymówek wymierzonych na samego króla. „O żadném niedotrzymaniu słowa nie wiem— pisał z Olawy 13 Września 1707 r.—będąc tak w téj mierze punktualny, że co raz *verbo* deklaruję, i bez dania na to karty zwykłem dotrzymać.“ W liście tym mimo takiéj ostréj przymówki każe upraszać króla, aby polegał na jego „affekcie,“ aby mu dopomógł do wydźwignienia summy, którą mu król August winien. Każe przypomnieć królowi szwedzkiemu, że na wyjeździe Jakóba z Saxonii dał mu słowo, iż nim się sam ruszy z kraju Augusta, królewicz odbierze zupełną satysfakcyą co do owéj summy. Obiecuje wreszcie, że gdyby za przyczynieniem króla Stanisława odebrał tę kwotę i assekuracyą ze strony Karola XII poręczającą mu wy-

nagrodzenie możliwych strat skutkiem spustoszenia dóbr przez wojska rossyjskie poniesionych, wtedy i on będzie się starał wypełnić wszelkie życzenia Stanisława. W przeciwnym jednak razie pozostaje przy danych swych żądaniach, Ponińskiemu w liście wyrażonych.

Tak stała ta sprawa w połowie Września 1707 r. (1). Ów „*lapis offensionis*" pozostawał w ręku Sobieskich i pozostał, o ile sądzić możemy, nazawsze. Do układu bowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa nie przyszło: wzajemna podejrzliwość tamowała pojednanie.

W ogóle obfitszych wzmianek o téj sprawie już w przyszłości w znanych nam materyałach nie napotykamy. Czytamy wprawdzie w liście (2) Jana Stanisława Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, z dnia 19 Kwietnia 1709 r., ustęp, z któregoby wnosić można, że wtedy znów podobne układy się toczyły, jest on jednak tak odosobniony i niejasno wyrażony, że na żaden niewątpliwy domysł naprowadzić nas nie może.

Wyraźniejszy jest list Stanisława do Ponińskiego z dnia 15 Sierpnia 1709 r. (3). Brzmi on tak: „Jak krolewicz Jmć Jakób przyszle po WM. Pana, proszę, idź do niego, wszak wiesz moje wszystkie z nim intencye i interesa, proszę, żebyś je tak zakończył *in vigore* mocy, którą i przedtém dałem i tym listem daję, żeby był i królewicz i cały dom królewski kontent, ja to wszystko *ratificabo*, bylem tylko miał *pretium* przyjaźni tego domu, dla któregom się sakryfikował i teraz cierpię."

Widzimy, że król Stanisław już strasznie zmiękł, ale pisał też ten list więcéj niż w miesiąc po bitwie pod Pułtawą. Teraz nie wątpimy, gotów był nawet wykonać przyrzeczenie dane królewiczowi Alexandrowi, teraz pewnie mu już nawet nie chodziło o zwrot owego *lapis offensionis*, bo złota korona z r. 1707 stała się już koroną cierniową, kiedy wobec potęgi Piotra uległ protektor jego Karol XII

Osobistość Leszczyńskiego nie wystepuje wcale korzystnie w tym opowiadanym przez nas epizodzie. Ten król-zastępca zbytniéj sympatyi pewnie w nas nie obudza. Jak najtrafniéj charakteryzuje go na wstępie dzieła swego p. Jarochowski. Jego też sło-

---

(1) Całe poprzednie przedstawienie opiera się na szczegółowych materyałach znajdujących się w Helcla listach Sobieskiego i na kombinacych, na które nas te materyały naprowadzają.

(2) Helcel, IV, 88.

(3) Raczyński, XIII, 125 i 126.

wami zakończymy ten krótki szkic. „Popularność dziejowa osoby Leszczyńskiego — powiada on — aureola otaczająca jego imię datują się z innéj, o wiele późniejszéj epoki, z epoki, kiedy wyszedłszy dziwnym zbiegiem okoliczności na teścia arcychrześciańskiego króla, kiedy urosłszy w oczach własnego narodu dzięki urokowi nadzwyczajnych kolei i długoletniego na obczyznie pobytu, stał się po zgonie Augusta II na prawdę jednolitym wyrazem zbiorowéj woli i reprezentantem majestatu narodowego, kiedy późniéj jeszcze z wypoczynku lotaryńskiego przesyłał Polsce zbawienne rady lub kształcił jéj pokolenie przyszłości.“ W tym zaś czasie, o którym mówiliśmy, jest on tylko królem - zastępcą, potrzebném narzędziem w ręku Karola XII.

RYSZARD WAGNER

przez

Jana Kleczyńskiego.

Imię Ryszarda Wagnera przeszło od 30 lat trzyma w naprężeniu wszystkie umysły w świecie muzykalnym niemieckim. Gwałtowność napaści na tego reformatora z jednéj, bałwochwalcza cześć jego adeptów z drugiéj strony, nie ustały dotąd wcale — przeciwnie, wzrastać się zdają w miarę zbliżania się chwili, gdy śmiałe pomysły nowatora mają znaleźć najświetniejsze pole do zaprodukowania się w całym blasku, w specyalnie na to zbudowanym teatrze w Bajreuth.

W najnowszém swém dziele: Pierścień Nibelunga, mającém zająć aż 4-ry wieczory, w walkach bogów i podziemnych karłów o panowanie nad światem, spodziewa się Wagner odtworzyć mityczne źródło historycznéj walki Gwelfów i Gibelinów — ale jeden z biografów Wagnera dowcipnie powiada, że nigdy okrzyk wojenny owych czasów: „hie Welf, hie Wajblingen!“ nie był hasłem tak strasznych zapasów, jakie dziś budzi w całéj muzykalnéj Germanii samo imię Wagnera i jego cała teorya.

Sądzę, że i dla nas nie będzie rzeczą obojętną zbadać bliżéj tę postać, któréj największy wróg nie może odmówić pewnych przymiotów, geniuszom tylko właściwych, a mianowicie: *siły i pewności siebie.*

Prawdę mówiąc, ta właśnie pewność siebie i olbrzymia zarozumiałość najwięcéj szkodzi Wagnerowi, i jest powodem głównym zajątrzenia walki. Mistrz niemiecki nie mógł widocznie oprzeć się prądowi czasu; w dzisiejszym tak zwanym praktycznym wieku nie wystarcza nam sąd potomności (który bądź co bądź, jest jedynym bezstronnym i sprawiedliwym sądem), lecz teraźniejsi wielcy ludzie pragną koniecznie uznania za życia, bodajby je zdobywać musieli

przebojem. Nic dziwnego, że taka walka roznamiętnia ich samych i prowadzi za daleko.

Beethoven inaczéj był dumny — on niedbał o poklask chwili i oburzał się na samę myśl objaśnienia piękności swych dzieł przez jakieś komentarze; lecz Wagner idąc może śladem Chateaubriandów, Lamartinów, i innych, wykłada ludzkości nietylko wszystkie piękności swoich oper, ale zarazem z największą surowością krytykuje wszystkich swych na tém polu poprzedników, krytykuje przytém mnóstwo rzeczy, powszechnie za dobre przyznanych, czém naturalnie nawet swych przyjaciół częstokroć odstręcza. On to w sławnéj broszurze: „o judaizmie w muzyce“ powiada wręcz, że muzyka Mendelssohna tchnąca synagogą, nikogo wzruszyć nie potrafiła; on to w swéj broszurze: „o dyrygowaniu“ krytykuje z bezprzykładną surowością wszystkich na świecie dyrektorów (1); on to nareszcie tak niemiłosiernie wyśmiewa cały styl operowy dotąd panujący, zapowiadając, że sam dopiero daje światu idee godne rozpowszechnienia.

Kilka szczegółów biograficznych, skreślonych własném piórem Wagnera, da nam najlepiéj poznać czynniki, pod których wpływem duch jego się urabiał;—potém przyjdziemy do zbadania jego pojęć o sztuce, które streścił dokładnie w literackich swych pracach, i do rozbioru jego oper, czyli jak je nazywa: dramatów muzycznych. Rzuci to niejakie światło na całą działalność mistrza, i pozwoli nam przypuszczalnie przynajmniéj sądzić, jakie stanowisko zajmą te jego dzieła w historyi muzyki.

I.

Wilhelm Ryszard Wagner urodził się w Lipsku dnia 22-go Maja 1813 r. Ojciec jego był urzędnikiem (Polizei-Aktuarius) i umarł w pół roku po jego urodzeniu. Matka W. wstąpiła w powtórne związki małżeńskie z niejakim Ludwikiem Geyerem, który był razem aktorem i malarzem. Wespół z nim cała rodzina przeniosła się do Drezna. „Chciał, mówi R. W., abym został również malarzem, ale zawsze źle rysowałem.“ Ojczym jego także umarł wkrótce. Ryszard mający wówczas lat 7, już uczył się trochę muzyki, i opowiada, że na krótki czas przed jego śmiercią grał ojczymowi parę

---

(1) A oni mu się mimo to kłaniają i wielbią go!

drobnych utworów wyuczonych na fortepianie. Jednakże gdy zaczął uczęszczać do szkoły (Kreuzschule), lekcyi muzyki zaprzestał— zapał zaś do sztuki objawiał się tylko potajemnym zachwytem nad świeżo skomponowanym Wolnym Strzelcem Webera, na którego to mistrza ze czcią dziecinną spoglądał, gdy koło okien jego domu szedł na próby jego dzieła do teatru.

W 10-tym roku życia na nowo zaczął brać lekcye muzyki od swego domowego nauczyciela, i korzystając z tych słabych początków, zaczął się potajemnie uczyć uwertury z Frejschütza. „Mój nauczyciel, usłyszawszy ją, powiedział: *że ze mnie nic nigdy nie będzie.* Miał słuszność, nigdy bowiem w mém życiu nie mogłem się nauczyć grać na fortepianie.“ Zawsze się mylił w palcowaniu. „Nie podobna mi było jakikolwiek passaż zagrać czysto.“

Duch twórczy zaczął się już wszakże objawiać, ale głównie w kierunku literackim. W 11-tym roku życia, komponuje W. wiersz na śmierć kolegi, który, z niejakiemi poprawkami, wydrukowany został w jakiémś czasopiśmie. Wczesne to powodzenie zapewne natchnęło młodzieńca niemałą pewnością siebie; jakoż sam się przyznaje, że marzył już wówczas o przyszłéj karyerze autora dramatycznego. Przetłómaczywszy 12 ksiąg Odyssei, uczy się po angielsku, przejmuje się Szekspirem, i pod tym wpływem pisze olbrzymią jakąś tragedyę, powstałą—jak sam powiada—z Hamleta i Króla Leara razem połączonych. Niezmierna ilość osób wchodziła do téj sztuki — dość powiedzieć, że ich 42 umierało w ciągu tragedyi; „a że w dalszym ciągu jeszcze wiele z nich było mi potrzebnych, musiałem im kazać powracać w postaci duchów.“ Nad tém arcydziełem pracował *dwa lata.*

Rodzina W. tymczasem przeniosła się napowrót do Lipska. Tam spotkało W. niemiłe upokorzenie, gdyż młodzieńca uczęszczającego już w Dreznie do wyższéj klassy (secunda) w Lipsku posadzono do tercyi. „Ta okoliczność zraziła mię tak dalece, że od tego czasu straciłem już wszelkie upodobanie do studyów filologicznych. Stałem się leniwym, próżniakiem, i tylko moja tragedya ciągle mię zajmowała.“

Tymczasem na koncertach w Gewandhauzie poznaje bliżéj nieśmiertelne dzieła Beethovena. Wrażenie silne, jakiego doznał, rozstrzygnęło o powołaniu muzycznem młodzieńca. Uwielbienie dla Beethowena na całe życie mu pozostało, jego też symfonie dyryguje Wagner tak, jak nikt inny.

W epoce właśnie owéj sławnéj tragedyi, usłyszał W. między innemi i muzykę (B.) do Egmonta. Wnet rodzi się mu w głowie myśl opatrzenia swojéj tragedyi podobnego rodzaju muzyką. Lecz

jakże tu komponować bez dostatecznéj nauki? Niezrażony niczém młodzeniec *wynajmuje* na dni 8 metodę generał-basu Logiera i próbuje sam tworzyć. Napotykane trudności przykuwają go coraz mocniéj — widzi coraz jaśniéj ile mu brakuje, ale mimo to postanawia w duszy zostać bądź co bądź *muzykiem.* Bierze więc trochę lekcyi i komponuje sonatę, kwartet i jakąś aryą. Ma wówczas lat 16 — wczytuje się z zapałem w fantastyczne powieści Hofmanna; wyobraźnia rozbudzona dywaguje—tonika, tercya i kwinta zamieniają się w jego marzeniach w żyjące jakieś postacie. „To wszystko, co wówczas napisałem, powiada, nie miało najmniejszego sensu.“

Nareszcie, po raz pierwszy—dostaje *dobrego* nauczyciela (nie wymienia go jednak), ale i ten ma z nim biedę niemałą, bo zamiast się uczyć porządnie, on komponuje ciągle. Jedna jego uwertura, jak opowiada, wykonana w teatrze, wzbudziła zrazu ogólne zadziwienie, a w końcu śmiech homeryczny — co trzy takty przychodziło regularnie uderzenie w bęben—*fortissimo!*

Zdaje się jednak, że wówczas już napisał jakąś operę pasterską, z własnym tekstem, którą późniéj zniszczył.

Tymczasem nadchodzą dnie lipcowe we Francyi. Imaginacya młodzieńca znów się zapala, zaniedbuje muzykę, nawet uniwersytet, gdzie studyował filozofią i estetykę, i—politykuje. Po przejściu dopiero téj nowéj gorączki spostrzega, że dotąd jeszcze nie pracował nad muzyką systematycznie. Studyuje więc już szczerze kontrapunkt i kompozycyą pod kierunkiem Weinliga Teodora, kantora sławnéj szkoły śpiewu (Thomas-Schule) w Lipsku. Nauka ta przy wielkich już zdolnościach i zasobach ucznia, trwała jeśli wierzyć można, tylko pół roku. Wagner komponuje prostą i ładną podobno sonatkę, oraz uwerturę dobrze przyjętą w Gewandhauzie, i według słów własnych nauczyciela, dochodzi już do pewnéj samodzielności. „*Siła*, powiada W. i *jasność* były głównem mojém dążeniem.“ Oto jest pierwsze światło rzucone na charakter twórczości Wagnera—o téj wskazówce nie zapomnijmy!

W 1832 r. spotykamy W. w Wiedniu, gdzie bawi krótko i nie może znaleźć przychylnego przyjęcia dla swych dzieł. W Pradze zaś Czeskiéj jest szczęśliwym. Symfonią jego wykonywają z powodzeniem w konserwatoryum. W tymże czasie, pisze W. tekst do opery: *Wesele.* Treść opery (późniéj zniszczonéj przez niego samego) świadczy o rozbudzonéj w opacznym kierunku wyobraźni:

„Dwoje ludzi kocha się i żeni—na to zazdrosném okiem patrzy odtrącony *rywal.* Podczas gdy młoda małżonka czeka w swo-

jéj komnacie na *męża*,—przez okno wdziera się ów rywal. Walczą— ona go zrzuca z okna na dół—on pada i umiera. Przy pogrzebie jego znów *ona umiera*." Jeden sextet w téj operze, jak pisze W., miał być dobry.

W 1833 r. symfonia jego wykonana w Gewandhauzie, znajduje przychylne przyjęcie. W tymże roku, bawiąc w Würzburgu, u swego brata, śpiewaka, komponuje trzy-aktową operę: „Die Feen" (wróżki,) podług legendy zamieszczonéj w dziełach Gozziego. Text był ładny, lubo wszystkie te powiastki o zaklętych i odczarowanych królewnach trochę dziecinnie wyglądają — muzyka, w wielu miejscach dobra, miała być (jak sam pisze) naśladowaniem romantycznych oper Webera i Marschnera. Indywidualność Wagnera, jeszcze nierozwinięta swobodnie, ukazywała mu wówczas w dziełach drugich mistrzów ten ideał prawdy dramatycznéj, który późniéj miał sam sobie według własnych pojęć urzeczywistnić

W 1834 r. przybywa do Lipska, gdzie nie może, mimo czynionych mu przyrzeczeń, dojść do wystawienia swéj opery. Wówczas posłyszawszy sławną śpiewaczkę Schröder-Devrient w Romeo i Julii, jednéj zresztą z najsłabszych oper Belliniego, doznaje tak silnego wrażenia, że zaczyna znów wątpić, czy droga przez niego obrana jest właściwą. *Włosi* zdają mu się być najbliższymi dramatycznéj *prawdy*, podczas gdy Niemcy, z całą swoją uczonością doszli, jak mniemał, zaledwie do jakiegoś wymęczonego jéj pozoru (eine erquälte Schein-Wahrheit).

Późniéj obaczymy go jeszcze parę razy ulegającego różnym wpływom, nawet muzyki francuzkiéj—aż póki sam nie otrząśnie się z nich i nie zacznie iść o własnych siłach drogą dziwaczną może czasami, ale oświeconą wielką myślą i ze wspaniałym nakreśloną planem.

W 1834 r. zostaje W. dyrektorem teatru w Magdeburgu i tamże we dwa lata późniéj przedstawia wyuczoną na prędce, w dni 12, swoję operę: *Zakaz miłości* czyli la Novice de Palermo, któréj text wzięty z Szekspira: Measure for measure. W takich warunkach przedstawione dzieło, nie mogło mieć powodzenia, zwłaszcza po jednéj jedynéj reprezentacyi, bo druga z powodu zaszłych nieporozumień między śpiewaczkami nie mogła przyjść do skutku. Zresztą, w téj operze sam autor przyznaje się do ulegania wpływom muzyki włoskiéj i francuzkiéj. Oprócz tego była to epoka życia, w któréj więcéj młodość niż rozwaga kierowała krokami artysty, który sam się przyznaje w owym czasie do wielu błędów, niedorzeczności (Thorheiten), długów i t. d. I sztuka

więc wówczas nie była zapewne traktowana z namaszczeniem kapłańskiém.

Po bezużytecznych staraniach o przedstawienie swéj opery w Berlinie, otrzymuje W. posadę dyrektora w Królewcu, żeni się z panną Plauer (1), ale wśród biedy i kłopotów domowych, nic nie tworzy, prócz jednéj uwertury: *Rule Britannia.*

Cały ten *wstęp do życia*, jak widzimy, nie zapowiada jeszcze nic nadzwyczajnego. Dużo miłości własnéj i żądzy sławy, wyobraźnia gorączkowo rozbudzona prowadząca albo do mistycznych urojeń, albo do przedsięwzięć przechodzących siły, w końcu reakcya jakiegoś materyalizmu i chwilowy ducha upadek pod wpływem nieprzyjaznych okoliczności: oto obraz, który nam przedstawia o sobie sam Wagner w swéj autobiografii. Lecz jest on już na krańcu przesilenia—ma lat 23, zbliża się zatém do téj epoki życia, w któréj potężny geniusz Beethovena, zebrawszy wszystkie swe siły, wystrzelił kwiatem arcydzieł znakomitych. Wagner, którego wielbiciele jego, idąc w tém co prawda za nim samym, uważają za spadkobiercę myśli Beethovenowskiéj, istotnie tém stosunkowo późném rozbudzeniem swéj samodzielnéj twórczości zbliża się do swego pierwowzoru.

W Rydze, dokąd znów go zagnały losy, w 1837 czy 8 roku komponuje text do dwu-aktowéj komicznéj opery: „Die glückliche Bärenfamilie,“ wzięty z Tysiąca i jednéj nocy. Napisawszy jednak kilka numerów téj opery, porzuca je już ze zgrozą, gdyż przekonywa się, że pod wpływem dyrygowanych przez siebie oper francuzkich, zaczyna komponować: à la Adam!“ (Wagner piszący à la Adam, jak to niepojęcie zabawnie brzmi!).

Nie, dość już tego! Godzina stanowcza wybiła! Precz z naśladownictwem! Odtąd Wagner chce—bądź co bądź, być samym sobą! Już od roku przeszło, przeczytany romans Bulwera: *Rienzi* natchnął go sympatyą dla postaci włoskiego trybuna. Wyidealizowawszy ją cokolwiek (a nawet podobno więcéj niż cokolwiek), pisze wyborny text i z zapałem bierze się do komponowania opery.

„Gdy w jesieni 1838 r., mówi Wagner, zacząłem pisać mego Rienzi, *niczém się już nie krępowałem*, starałem się tylko o to, aby *godnie odpowiedzieć przedmiotowi*; nie stanowiłem sobie żadnego wzoru, tylko oddałem się całkiem uczuciu, które mię pochłaniało...“

---

(1) † 1866 r. Drugą żoną W. jest obecnie rozwiedziona z Bülowem *Cosima* córka Liszta.

Jakiekolwiek mielibyśmy zdanie o dziełach W. przyznać musimy, że taką drogą chodzą zwykle geniusze. Daléj mówi: „Ta myśl, w jednym bodaj takcie być *świadomie* słabym lub trywialnym, przejmowała mię zgrozą i wstrętem.“

W istocie, Rienzi, jako opera, lubo nie posiada bynajmniéj téj wartości, jaką jéj późniéj przypisywał autor (1), jest już dziełem godném uznania. Wady jéj są wielkie; zbyteczne przeładowanie tryumfalnemi marszami sprawia hałaśliwą i nużącą monotonią; fakturą zresztą, podziałem na sceny, duety, arye, chóry, nie różni się ona jeszcze od będących wówczas w obiegu oper Webera i Marschnera, ale trywialności istotnie nie ma, pomysły są nieraz świetne, jak np. pieśń wojenna. „Santo spirito cavaliere,“ a długa pantomima z muzyką, przedstawiająca śmierć Lukrecyi, jest już oryginalnym pomysłem zapowiadającym przyszłego mistrza w instrumentacyi, który orkiestrze każe z czasem malować wszystkie uczucia i wrażenia, redukując śpiewaka co prawda najczęściéj do roli.... deklamatora.

Nie zaraz jednak mógł Wagner ukończyć swą operę. Po napisaniu dwóch jéj aktów zaledwie, mistrz, którego „niespokojny duch“ ciągle marzył o szerszéj arenie sławy, powziął projekt udania się z żoną do Paryża. Nieszczęśliwa to była podróż. Burza trzykrotna szaleje srodze, tak, że ledwo żywi, po długich cierpieniach, małżonkowie docierają do Londynu. W drodze do Paryża w Boulogne poznaje się z Meyerbeerem, który z całą gotowością i zacnością koleżeńską daje W. listy polecające do Paryża. W skutek tego poparcia, opera: „Zakaz miłości“ już była przyjęta do teatru de la Renaissance, gdy fatalnym zbiegiem okoliczności nagłe bankructwo teatru rozwiało wszelkie nadzieje.

Wtenczas zaczęła się dla naszego mistrza jedna z najcięższych epok w życiu. Oddalony od swoich, otoczony ludźmi nieprzyjaznymi lub obojętnymi, zmuszony dla chleba podjąć się jakiéjbądź pracy, nie może przez długi czas myśleć o samodzielném tworzeniu. Układa lub instrumentuje różne pot-pourri, sola na waltornie z wentylami i t. d. Stosunki z muzykami tamtejszymi: Habeneckiem, Berliozem, Halevym, do niczego nie doprowadziły: „w Paryżu, pisze W., każdy tylko o sobie myśli.“ To też sądy jego o osobistościach świata artystycznego paryzkiego są bardzo surowe. Talent jego literacki największą mu oddawał przysługę, dozwalając umieszczać w „la France musicale“ artykuły niepośledniéj wartości, jak „Piel-

(1) „Ich sah, das selbst dieser Rienzi den Leuten zu hoch gegeben war.“

grzymka do Beethovena," „O niemieckiéj muzyce," „Smierć artysty w Paryżu" i t. d. — w ostatnim artykule mianowicie skreślił obraz przypuszczalnych własnych losów i cierpień z gorzkim humorem i wielkim talentem. Napisał jednak wtenczas piękną Faust-ouverture.

Powoli i Rienzi się skończył—lecz go nikt w Paryżu nie chciał przedstawić. Text *Latającego Hollendra*, którego myśl dojrzała w głowie artysty w czasie owych strasznych burz na brzegach Norwegii, podobał się dyrektorowi wielkiéj opery—ale na to tylko, aby zrobić W. propozycyą *sprzedania go* dla jakiegoś francuzkiego kompozytora. Tego już było zanadto: rozstać się z ulubionym przedmiotem za ciężko było artyście; wynajmuje więc fortepian, którego już od 3 kwartałów w domu nie miał, i w 7 tygodni komponuje i instrumentuje całą operę. Jak był wówczas biedny, dowodzi ten szczegół, że gdy mu zabrakło papieru, przez *dwa miesiące* nie mógł dlatego jedynie napisać uwertury do gotowéj już opery. Pełen nadziei posyła operę do Monachium, potém do Lipska—i tu i tam spotyka go odmowa; z Monachium piszą do niego, że opera ta niewłaściwa dla sceny niemieckiéj. Nareszcie za *staraniem Meyerbeera* operę przyjęto w Berlinie. Doprawdy przykro pomyśleć, że za te dowody koleżeństwa odpłaca się W. Meyerbeerowi publiczną krytyką dzieł jego, nietylko surową, ale w najwyższym stopniu lekceważącą!

Ponieważ i Rienzego jednocześnie przyjęto w Dreznie,—przeto mógł nareszcie Wagner pożegnać niegościnny Paryż i „ze łzami w oczach zaprzysiądz wierność swéj niemieckiéj ojczyznie." Ileżby był sobie oszczędził przykrych zawodów, gdyby już nigdy nie był powracał do téj lekkomyślnéj stolicy!

Opera „Der fliegende Holländer" stanowi już postęp olbrzymi w działalności kompozytorskiéj Wagnera. Sama legenda jest prześliczną. „Ideą Hollendra (pisze Wagner) jest *spoczynek po burzach życia*. Ideę tę w Grecyi uosabia Odysseusz, późniéj *Żyd wieczny*. Jedyną nadzieją tego tułacza jest śmierć. Hollender, wędrujący na swym zaczarowanym statku, raz tylko na lat 7 przybić może do gościnnego lądu, — a ocalonym być może tylko przez kobietę, która się dlań poświęci. Jakoż w rozwiązaniu sztuki, gdy za odpływającym Hollendrem *Senta* rzuca się w toń morską, okręt nagle tonie, a on ze swą ukochaną wzlatuje w powietrze wolny!

Muzyka przedstawia wiele piękności. Nie odstępując jeszcze zbyt śmiało od form dawnych, tchnie ona jednak oryginalnością i swobodą. Pojedyncze numera, jak *pieśń prządek* na początku drugiego aktu, *ballada* o latającym Hollendrze, chóry w 3-cim

akcie, są znakomicie piękne i przedstawiają zaokrąglone całości. Ustępy *za długie* także znaleźć już można, i do takich należy np. arya Hollendra w 1-ym akcie. Główne przymioty Wagnera *jasność i siła* przebijają się wszędzie; wszakże do nich przybywa jeszcze i wdzięk, który się uwydatnia np. w pieśni prządek, lub w odmalowaniu rysów kobiecéj postaci Senty. Ale co jest nad wszystko uderzającém, to jedność planu, która jaśnieje w całém dziele; wszędzie te same motywa służą do odmalowania tychże samych osób lub sytuacyi. Tym sposobem bardzo prostemi środkami osiąga nieraz Wagner efekta zdumiewające. Jak w Rienzim użycie jednéj nóty wziętéj pianissimo przez waltornie i stopniowo wzmacnianéj (1), staje się hasłem dla tłumów lecących do broni, tak w Hollendrze prosty motyw (2) dziwną trwogą i smutkiem napełnia duszę.

Nareszcie sam wybór *legendy*, i to legendy mającéj za treść ideę *poświęcenia*, oznacza ważny zwrot, który stanie się wkrótce kamieniem węgielnym całéj przyszłéj reformatorskiéj działalności Wagnera.

Opera ta zrazu nie miała powodzenia; ale gdy sławna Schröder-Devrient wykonała partyą *Senty*, powodzenie było olbrzymie. Przejęty uwielbieniem dla talentu téj znakomitéj śpiewaczki, chciał Wagner wówczas pisać dla niéj operę *Manfred*. Bohaterem jéj był syn naturalny cesarza Fryderyka II-go, rządca, a następnie król Sycylii i Neapolu. Do historycznéj treści jego walki z papieżem Innocentym IV wplótł Wagner postać młodéj Saracenki, obdarzonéj duchem proroczym, wiodącéj Manfreda zniechęconego niepomyślnym bojem do tryumfu, następnie kochającéj go i umierającéj dobrowolnie po odkryciu, że jest Manfreda... siostrą. Pani Schröder-Devrient nie podobała się ta treść i opera nie przyszła do skutku.

Po Hollendrze nastąpił w 1845 roku „Tannhäuser," wzięty także z legendy, już czysto niemieckiéj, ale ani sympatycznéj, ani zdaniem mojém tak dobrze w texcie przeprowadzonéj jak poprzednia. Bohater, znudzony rozkoszami, których doznaje u stóp cza-

---

(1)

(2)



rodziejki Wenery, pragnie powrócić *na ziemię*. Bardzo słusznie — że wzywa na pomoc, aby czary odżegnać świętego Imienia Maryi i na to zgoda — ale gdy potém w drugim akcie w obecności swéj narzeczonéj Elżbiety wysławia znów zmysłową miłość, nie wzbudza bynajmniéj naszéj sympatyi. Nie wzbudza jéj i nadal, skoro przyjęty chórem oburzenia, upokarza się i idzie do Rzymu po rozgrzeszenie, a nie otrzymawszy go, znów wzywa Wenery... Jeśli Wagner utrzymuje, że legenda dopiero daje nam poznać *człowieka*, to dziwnie niefortunnie da się to określenie zastosować do Tannhäusera, który jest tylko maryonetką, coś w rodzaju Roberta Diabła kołatanego ciągle bezwłasnowolnie pomiędzy niebem i ziemią. A co już najgorsza, to że bohater ów mimo to zostaje *zbawiony;* a dlaczego? oto dlatego, że jego narzeczona z rozpaczy umarła, i duch jéj wyjednał mu przebaczenie. Z podziwieniem pytamy: za co?

Pod względem muzycznym występują w téj operze już z jaskrawą świetnością tak strony dodatnie, jak i ujemne twórczości Wagnera. Kolosalna, do niebywałych dotąd rozmiarów spotęgowana siła pomysłu w genialnéj uwerturze, jest niezaprzeczenie porywająca—wszakże niektóre szczegóły instrumentacyi są za jaskrawe i zapowiadać się zdają owe nadużycia *siły*, do jakich W. doszedł późniéj, w przegrywce do „Meistersingerów" naprzykład. Pojedyncze ustępy w Tannhäuserze są zdumiewającéj piękności, jak: znany powszechnie marsz, chór pielgrzymów, przecudna pieśń: „o du, mein holder Abendstern"—nareszcie septet na głosy męzkie w 1-ym akcie. Ale w scenie kulminacyjnéj sztuki, w turnieju śpiewaczym w II-gim akcie, razi już przesada i nienaturalność. Taka rozprawa filozoficzna o miłości nie może być materyałem do muzyki, zwłaszcza jeżeli jest tak nużąco długa. Kilka ustępów pięknych, téj sceny nie ratuje—toż samo rzec można i o zbyt hałaśliwym i długim chórze oburzenia, który wzbudzają miłosne elukubracye głównego bohatera.

W téj operze, obok znakomitych stron dodatnich, występuje więc i jedna z głównych stron ujemnych Wagnera, — olbrzymie proporcye, niezastosowane, jak się zdaje, do warunków piękna, jakie w duszy estetycznie wykształconego słuchacza spoczywać muszą. Wprawdzie Wagner na to odpowiada, że w przyszłości mogą się słuchacze znakomicie wyrobić; wszakże nie sądzę, by mogli nie znużyć się cokolwiek podobnemi scenami, zwłaszcza na przedstawieniach nowo przerobionego Tannhäusera, którą to operę autor obecnie przedłuża jeszcze o 1½ godziny!

Tannhäuser nie był zbyt dobrze przyjęty. To niesłychanie

zmartwiło autora. Poczucie siły i wiary w siebie, coraz się w nim wzmagające, w obec tego wypadku, w obec niepowodzenia doznanego w Hamburgu przez operę Rienzi, w obec innych zresztą niepowodzeń napełniły duszę W. goryczą, i sam się przyznaje, że była chwila, w któréj pragnął odebrać sobie życie. Urocza postać go wstrzymała;—ideał kobiecego wdzięku, ideał miłości uosobiony w Elsie, bohaterce przyszłéj jego opery, przywołał go do życia. Opera ta niezaprzeczenie jest arcydziełem tego pierwszego okresu działalności twórczéj Wagnera.

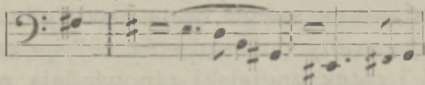
Przedmiot „Lohengrina" jest prześliczny. Rzecz dzieje się w wieku X po Chr. Elsa, księżniczka Brabantu, oskarżona jest niewinnie o zamordowanie swego brata Godfryda. Król niemiecki Henryk Ptasznik, wezwany do osądzenia téj sprawy, każe przywołać Elsę. Obój i rożek angielski zapowiadają nadejście uroczéj postaci, późniéj z jeszcze większym wdziękiem prowadzą przegrywkę drewniane dęte instrumenta. Elsa, zapytana o swą winę— nie odpowiada, tylko zapada w cudne marzenie o rycerzu, którego ujrzała we śnie i który bronić będzie jéj niewinności. Jakoż, gdy według wyroku króla, tak zwany sąd Boży ma rzecz rozstrzygnąć, po dwukrotném wezwaniu herolda, zjawia się w łódce powożonéj przez łabędzie tajemniczy rycerz, zwycięża oskarżyciela, Fryderyka Telramunda, ale zarazem objawia, że nie może powiedzieć kim jest i że go o to pytać *nie wolno*. Król oddaje mu rękę księżniczki i zarazem mianuje go dowódcą wyprawy przeciwko nieprzyjacielowi. Na nieszczęście Elsa, uwiedziona fałszywą namową Ortrudy, żony Fryderyka, (właściwéj sprawczyni zbrodni), pragnie wiedzieć, kim jest jéj małżonek i gwałtownie się tego domaga. Urok znika — rycerz objawia publicznie, że w oddalonym kraju na wschodzie jest stróżem cudotwórczego kielicha, der Gral, przyniesionego z nieba przez aniołów i zawierającego prawdziwą krew Chrystusa Pana, zebraną w chwili Jego skonu; że siłą jego jest *tajemnica;* talizman téj siły znika, skoro ustaje zaufanie ze strony téj, którą poślubił; i on, lubo z rozpaczą w sercu, musi swą małżonkę pożegnać na zawsze!

„Płakałem, mówi Wagner, nad koniecznością rozdziału Lohengrina i Elsy, ale *musiałem* tak zrobić!"

Przypatrzmy się główniejszym przymiotom opery.

Przedewszystkiém znów uderza nas w niéj *jedność planu*, oraz znakomite zastosowanie muzyki do textu. Przyczynia się do tego i ta ważna okoliczność, że jak do każdéj ze swoich oper, text pisał sam kompozytor. Wszelkie intencye wiersza odtwarza on w muzyce, rzekłbyś, że jednocześnie stwarza oboje. Niektórzy

krytycy niemieccy zarzucają W., że wiersz jego jest często niegładki lub niezrozumiały. Stosuje się to głównie do późniejszych jego textów, gdzie w skutek chęci zbliżenia się do średniowiecznych form językowych, wpada czasem w przesadę; ale w poprzednich textach wiersz bywa prześliczny, a plan i układ, z małemi wyjątkami wyborny, text zaś Lohengrina należy do najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek napisane były (1).

Do jedności planu dziwnie się przyczynia ta okoliczność, że różnym osobom dramatu towarzyszą zwykle te same urywki melodyi lub te same instrumenta. Podczas gdy ponury Fryderyk i żona jego Ortruda przynoszą zawsze z sobą jakiś złowrogi temat wiolonczellowy  przerywany groźnemi akordami blaszanych instrumentów,—urocza Elsa zawsze wchodzi na scenę jakby w świetlanéj aureoli, jaką ją otacza łagodne brzmienie drewnianych dętych instrumentów, z towarzyszeniem często skrzypiec lub harfy. Postać Elsy w tém otoczeniu jest jedna z najcudniejszych kobiecych postaci, jakie kiedybądź na scenę wprowadzane były.

W całym układzie opery widzimy już tę myśl, że dramat muzyczny nie powinien się rozpadać na pojedyncze cząstki — że muzyka w operze nie powinna się co chwila kończyć i zaczynać, ale powinna niejako *iść ciągle naprzód.* Idea ta, która w ostatnich operach W. doprowadza go do wielkich nadużyć pod względem formy, w Lohengrinie zachowana jest o tyle w miarę, że prawie nigdzie nie razi. Wprawdzie niektóre ustępy, jak początek aktu II-go i koniec aktu III-go, są cokolwiek zadługie i nużące; ale te braki wynagrodzone są stokrotnie przez cudowne pomysły, co chwila się trafiające. Właściwie jednak, ustępu obszerniejszego, zaokrąglonego według form muzycznych ogólnie przyjętych, nie spotykamy; (wyjąwszy Vorspiel z I-go i III-go aktu, oraz sławny chórek weselny), nawet duety (Ortruda i Fryderyk, Lohengrin i Elsa) rozmiarami swemi okazują wyraźnie, że według innéj zasadniczéj myśli tworzone były: mimo to, ileż ustępów w téj operze, które zachwycają swoją śpiewnością! Cudne marzenia Elsy o rycerzu, pyszny chór po zwycięztwie Lohengrina nad Fryderykiem;—duet kochanków w akcie III-cim, prześliczne. W duecie

(1) Meyerbeer miał powiedzieć „Dajcie mi taki text, a jeszcze piękniejszego Lohengrin napiszę.“

cudne miejsce; gdzie Lohengrin śpiewa przy drżącym akompaniamencie dętych drewnianych: „Athmest du nicht mit mir die süssen Düfte...“ Albo gdy Elsa rzuca Lohengrinowi nieszczęsne pytanie: w tejże chwili wpada Fryderyk z czterema ludźmi i rzuca się na Lohengrina. Ten go zabija—czteréj towarzysze padają przed nim na kolana. Milczenie — po kilku taktach granych przez timpani, jęczą wiolonczelle: „Nasze szczęście zginęło,“ mówi Lohengrin.

Samo zakończenie cudownie pomyślane. Gdy w ostatniéj chwili rozstania chór cały zatrzymuje się na strasznym akordzie: *a d f b*, z krzykiem boleści, jakże długo brzmi w uszach ten jęk rozdzierający!

Lohengrin odpływając, zostawia królowi na pociechę charakterystyczną przepowiednię: „Nach Deutschland sollen noch in fernsten Tagen, des Ostens Horden siegreich niemals ziehn.“

Zasłona *spada wolno* (tym razem); tak chce Wagner, który wszystko obmyśla i o żadnym szczególe nie zapomina.

II.

Z téj opery, można już sobie utworzyć niejakie pojęcie o teoryach Wagnera, które późniéj dopiero rozwinął w swych pismach. Idee te jego są tak ważne i ciekawe, że musimy im poświęcić dłuższą chwilę uwagi. Dzieła, w których te idee są streszczone, pisał już w Szwajcaryi, tam go bowiem zmusiły udać się wypadki polityczne, jeszcze przed ukończeniem Lohengrina. Liszt w Wejmarze wystawił tę operę w 1850 roku 28 Sierpnia, ale W. długo jeszcze potém nie mógł jéj słyszeć.

Legenda, którą dotąd niejako intuicyjnie obierał W. za przedmiot do swych textów operowych, stała się wkrótce świadomie jedyną według niego, godną formą dramatu muzycznego. Wprawdzie próbował, jak powiada, pisać dramat o Fryderyku Barbarosie, potém o *Chrystusie* (!), ale nareszcie, wszystkie jego sympatye, wszystkie idee historyczno-mitologiczno-etyczne zbiegły się w postaci legendowego bohatera Zygfryda, którego śmierć niewinna zbawia i odkupia świat od klątwy. Podania skandynawskie i staro-niemieckie o bogach, Nibelungach, olbrzymach, o ich walce i upadku,—streścił W. w sławnéj swéj trylogii dramatycznéj, zwanéj „Pierścieniem Nibelunga.“ Przedtém zaś przedstawił dwie opery

„Tristan i Isolda,“ opartą na legendzie irlandzkiéj, i „Meistersingerów,“ których przedmiot zaczerpnął z epoki Hansa Sachsa, rzemieślnika-poety norymberskiego.

„Sztuka (1), powiada Wagner, w złych jest dziś warunkach. Jéj ideałem jest *prawda i swoboda,* na świecie zaś panuje *fałsz i niewola.* Rewolucya wiele zrobiła dla sztuki, zdruzgotawszy niemało dawnych fałszów; lecz jeszcze i przy dzisiejszym ustroju społecznym i państwowym, rozwój prawdziwy sztuki jest niemożliwy.“

„Ideał swobodnego rozwoju sztuki przedstawiały najświetniejsze czasy greckiéj tragedyi. Z własnych podań i mitów czerpał Grek sceny wzruszające lud cały; lud ten w ilości 10-ciu lub więcéj tysięcy obsiadał amfiteatr i przejmował się do głębi bolem Antygony, fatalizmem gniotącym Edypa. Bo lud ten był wykształcony i wolny. Rzym panujący prawem miecza, nie mógł mieć sztuki. Chrześciaństwo wprowadziło do ludzkości nowe pierwiastki, lecz zarazem pogardę dla rzeczy ziemskich, przez co sztuka wiele stracić musiała. Przez renessans znów tradycya grecka powróciła do sztuki i połączyła się z nabytkami chrześciaństwa. Ale na nieszczęście sztuka wkrótce zaprzedała się *przemysłowi*, posłańcem Jowisza został Merkury, — tym sposobem odskoczyła sztuka od swego celu.“

„Dla Greka sztuka była dziecięciem jego *potrzeb* i najszlachetniejszych pragnień—teatr rozbudzał w nim i kształcił uczucie narodowe. Dziś teatr, najulubieńszy sztuk przybytek, jest tylko polem *popisu* pojedynczych osobistości, polem płochéj *rozrywki* dla publiczności i *zysku* dla właścicieli. W takim stanie rzeczy sztuka istnieć nie może. Piękność i siła są wtenczas dobre jako podstawy życia publicznego, kiedy są dla wszystkich dostępne.“

Sztuka nie powinna być rozrywką, zbytkiem, jakąś sztuczną naleciałością ogółu, ale powinna wynikać z ogólnéj *potrzeby*. Tam, gdzie ta *potrzeba* istnieje, powstają arcydzieła. Każdy geniusz nawet, mówi W., o tyle tylko stwarza rzeczy wielkie, o ile jest party przez potężną *konieczność*, a nie przez rozumowaną intencyą.

„Sztuka prawdziwa, wielka, powinna być wyrobem ogółu (ludu).— Co jest lud? a raczéj kto jest ludem? — Ci wszyscy, *którzy wspólne czują potrzeby.* Pod wpływem takiéj potrzeby ura-

---

(1) W dziełach: „Kunst und Revolution.“ „Das Kunstwerk der Zukunft“ „Oper und Drama“

biały się wszystkie wielkie rzeczy, które lud stworzył: język, religia, państwo.“

Ale sztuka wielka, prawdziwa, ludowa, nie może być pojedynczą; będzie ona kwiatem wszystkich sztuk razem połączonych. Wszędzie, gdzie lud śpiewał, w połączeniu był rytm i słowo, często mimika. Tak być powinno. Nie w chełpliwém błyszczeniu pojedynczo, ale we wzajemném połączeniu i poświęceniu dla idei całości pojedynczych sztuk, istnieje wielkość. Poezya, taniec (to jest strona mimiczna, żywa rzeźba) i muzyka, zlać się powinny w jedno, być jakby członkami jednego ciała. „Tylko wtedy, gdy ci dwaj Prometeusze: Szekspir i Beethoven, podadzą sobie ręce, gdy marmurowe kreacye Fidyasza we krwi i kościach staną przed nami, sztuka będzie ocaloną.“ Śmierć dobrowolna pojedynczych indywidualności dla dobra ogólnéj harmonii—oto najwyższy ideał, jaki postawić można.

Według tych więc idei, w przyszłości ogół wypracowywać będzie idee poetyczne—ogół czyli *lud*, pod wpływem ogólnéj wielkiej potrzeby tworzenia. O sile, jaką nadaje gwałtowna potrzeba, ma Wagner prześliczne podanie:

„Wieland kowal, zakochał się w dziewicy—łabędziu. Poślubił ją i długi czas byli szczęśliwi—aż nareszcie kiedyś ona odleciała. Wybrawszy się za nią w drogę, spotkany został Wieland przez złego króla *Neidinga*, który dowiedziawszy się, że jest biegłym kowalem, kazał mu nogi okaleczyć i zmusił pracować dla siebie. Tęsknił Wieland do swéj ukochanéj coraz bardziéj—aż nareszcie ta tęsknota, ta *najwyższa potrzeba* stworzyła myśl, która go ocaliła. Po długiéj pracy ukuł sobie skrzydła podobne do skrzydeł swéj kochanki, i poleciawszy do niéj, połączył się z nią nazawsze.“

„O jedyny, wielki ludu! woła Wagner. Tyś to utworzył i ty sam jesteś tym Wielandem! O ukuj sobie skrzydła i wzleć w obłoki!“

W téj tak pięknéj i poetycznéj części swéj pracy używa W. często wyrażenia: *sztuka przyszłości* (Kunstwerk der Zukunft). Te idee niesłusznie wyśmiewając, pewien krytyk (Bischoff z Kolonii), nazwał całą muzykę Wagnera: eine *Zukunftsmusik*. Złośliwy dowcip stał się popularnym, i w końcu zaczęto wierzyć, że to sam Wagner tak swą muzykę nazywa. Najenergiczniejsze protestacye mistrza nie mogą dotąd wyrugować z ust ogółu tego ubliżającego mu przydomku, którym określono płody jego natchnienia.

A teraz, równie ciekawe i ważne idee jego co do opery i dramatu.

Jeszcze w wydanym w Paryżu artykule p. t. *Pielgrzymka do Beethovena,* Wagner w usta tego mistrza wkłada następujące zdanie: „Co do mnie, gdybym chciał pisać operę, nie byłoby w niéj wcale mowy o aryach, duetach i tercetach... Oni wszyscy (ci, co piszą opery) znają tylko błyszczące kłamstwo, świetny nonsens, przecukrowane nudy.“

W kilkanaście lat późniéj, w ten charakterystyczny sposób rozpoczyna swoje teorye o tak zwanym dramacie muzycznym:

„Jakto! chcecie dramatu w całéj potędze, i używacie do tego kogo? *muzyka?* chcecie *dom budować*, a wzywacie rzeźbiarza i tapicera!“

„Główny błąd wszystkich oper zależał na tém, że muzykę, która jest tylko *środkiem* expressyi, zrobiono *celem*, a cel główny, *dramat* zredukowano do podrzędnéj roli środka.“ Aż się wstydzi Wagner, że tak prostą prawdę, jakby co nowego wypowiadać musi.

„Opera,“ mówi daléj, „nie jest wcale wyrobem ludowym— stworzył ją kaprys kilku możnych panów włoskich, którzy znudzeni Palestriny prostotą, stworzyli dramatyczną kantatę.“

Zdanie to może cokolwiek lekceważąco przedstawia początek jednéj z najpopularniejszych dziś form twórczości muzycznéj. W istocie przy końcu XVI wieku, hrabia Vernio Giovanni Bordi wespół z wielu innymi miłośnikami muzyki, powstawali nie przeciw prostocie Palestriny, ale przeciwko ówczesnéj przesadzie w kombinacyach kontrapunktycznych, które nieożywione duchem i myślą głębszą, czyniły z muzyki przez kilka wieków suchą i bezmyślną igraszkę. Przeciw temu to duchowi zaprotestował i Palestrina swemi dziełami prawie w tymże czasie. Rozprawy te nad sztuką, pragnące i dla muzyki renessansu takiego, jakim odżyło malarstwo i rzeźba, a ożywione ideą, być może przesadzoną o wysokiém stanowisku muzyki w Grecyi,—miały jednak tę wysoką zaletę, że za zadanie stawiały muzyce, nie bawić słuchaczy sztucznością, ale zapalać ich uczucie i fantazyą. Te rozprawy ośmieliły muzyków do odstąpienia od tradycyi średniowiecznéj i komponowania w stylu melodyjnym. Pierwszym, który się na to odważył, był Vincenzo Galilei, ojciec sławnego astronoma, po nim Caccini i Pori. Z tych samodzielnych usiłowań wynikła *cantilena* (czyli śpiewna melodya) recitativo i opera — a jeśli jest prawdą, co mówi W., że *ludem* są wszyscy ci, którzy *wspólną czują potrzebę*, tedy niezaprzeczenie Bardi i jego przyjaciele byli wówczas *ludem*, bo wszyscy czuli gwałtowną i nader uzasadnioną

potrzebę wyrwania muzyki z jéj dotychczasowych torów i skierowania jéj ku wysokim celom, prawdziwie jéj godnym.

Niemniéj prawdą jest, że samowola śpiewaków, chęć popisu, zrodziły przesadę i nienaturalność, na którą do dziś dnia choruje opera; słusznie też oddaje W. sprawiedliwość Glückowi, który owę samowolę śpiewaczą ukrócić pragnął, i w ogóle zajmował się głównie swym przedmiotem, nie bacząc na popis pojedynczych osobistości, a również starał się o to, aby muzyka wyrażała to samo co słowa.

„U ludu, powiada Wagner, słowa i melodye są nierozdzielne. *To ciało kwiatu i woń jego.* Możny w swych pałacach (Bardi?) zdaleka uchwycił tylko *woń*, a *słowo* do niego nie doleciało.“

„Mozart, powiada daléj, był *tylko* muzykiem, nie dbał o text i tylko zaokrąglał swoje całości muzyczne.“ Nie jest to zawsze prawdą, bo Mozart jest nieraz silnie dramatyczny, ale istotnie czasem text lichy natchnął go do muzyki bardzo pięknéj.

„Rossini,“ mówi daléj, „stworzył *melodyą*, ale obojętną—która ci brzmi wesoło gdyś smutny i odwrotnie, ale sam nie wiesz dla czego?“

„Spontini, sądził, że wszystko wynalazł, bo dał dramatyczny *efekt*; Rossini, bo dał melodyą. Z Rossinim jednakże opera *umarła* (rozumieć tu należy operę w znaczeniu popisu dla śpiewaków).“

„Historya opery po Rossinim jest tylko historyą melodyi. Weber melodyą sztuczną zwrócił do jéj pierwotnego źródła, do pieśni ludowéj. Chcąc jednak *kwiat* ten przenieść do salonów, *zerwał* go i kwiat zwiądł. Freischütz również dowodzi, *że muzyki nie dość, aby stworzyć dramat.*“

Francuzkiéj operze przyznaje pewne zasługi, w rodzaju *komicznym;* ale słusznie powiada, że opera ta jest dziś tylko rozszerzonym wodewilem z muzyką kontredansową. Śmieje się z Niemé́j z Portici, nazywając ją *oniemiałą muzą dramatu* (die sprachlos gewordene Muse des Dramas).

Meyerbeerowi przyznaje chwile natchnienia, ale powiada, że jako żyd, był kosmopolitą i mógł we wszelkich rodzajach i językach komponować. „Chciał, mówi W., stworzyć jakąć olbrzymiopstrą, historyczno-romantyczną, diabelsko-religijną, pobożnie-światową, tajemniczo-zuchwałą, sentymentalnie-hulaszczą miszkulancyą. Tajemnicą jego główną jest efekt, t. j. *skutek bez przyczyny* Np. w znanéj scenie z Proroka, po co wschodzi słońce? *Tylko dla efektu,* a rzeczywiście jest niepotrzebne. Pod tym względem trzeba oddać sprawiedliwość Wagnerowi, że najbardziéj czaro-

dziejskie efekta w jego ostatnim dramacie: „Pierścień Nibelunga“ są jak najściśléj uwarunkowane samą treścią przedmiotu.

Po tak surowéj krytyce przeszłości, jakiż program stawi sam Wagner?

Przedewszystkiém kładzie tedy nacisk na ów wielki błąd wszystkich kompozytorów, że *muzykę* chcieli uczynić główną sprężyną dramatu. Muzyka u niego jest tylko *środkiem*, a raczéj *jednym* ze *środków*, jakiemi osiągamy wrażenie dramatyczne. Mimika, słowo, są temi samemi środkami, a wszystkie razem powinny się wspierać, i wzajemnie sobie ustępować w miarę potrzeby. „Czego nie jest w stanie wypowiedzieć słowo, to wypowie muzyka, i odwrotnie.“

Ztąd wynika naturalny wniosek, że text powinien być piękny, ale nie rozdrabniać się zbytecznie na małe szczegóły, tylko przedstawiać ogólne uczucia i sytuacye. Melodya w dramacie takim nie powinna być ciągle *tylko* w głosie, ona być powinna *wszędzie*, napełniać wszystkie warstwy sobą—ale aby jéj wrażenie było prawdziwie wielkie i nieprzeszkadzające akcyi dramatu, melodya nie powinna bez potrzeby się formułować i zaokrąglać przez wchodzenie w ścisłe karby, przez repetycye i t. d., powinna ona płynąć ciągle jak rzeka. Taką melodyą nazywa W. *die unendliche Melodie*, nieograniczoną melodyą, i taka króluje w ostatnich jego dziełach wszechwładnie, niekiedy bardzo długo zostawiając słuchacza bez odpoczynku, czyli używanéj powszechnie w muzyce *kadencyi*.

Melodya wypływać powinna sama z wiersza, jakby przez mimowolne i naturalne rozszerzenie akcentów deklamacyi (u Greków i w recitativie kościelném); takiéj melodyi wzór, powiada W., dał nam Beethoven w IX-téj symfonii. Melodyi téj właściwy koloryt nadaje *harmonia*. Melodyą, wypływającą z rozszerzenia akcentów wierszowych, mógłby znaleźć i poeta;—harmonią—tylko muzyk.

„Muzyk i poeta wybrali się w drogę, każdy w stronę przeciwną. Poeta szedł po twardym gruncie rozumu, muzyk po morzu uczucia żeglował. Obeszli każdy pół kuli i spotkali się teraz na drugim jéj końcu. Odtąd puszczą się razem na morze, na potężnym okręcie zwanym *orkiestrą*.“

Instrumenta orkiestry stanowią jakby pierwotne organa mowy ludzkiéj, każdy z nich ma swoję *indywidualność*, i indywidualnie przemawiać powinien. Tak samo i chóry u W. są pisane indywidualnie, każda partya jest inna, gdyż powiada on, że nas

nie może interesować *massa*, w której nie ma wybitnéj indywidualności.

Melodya w operze nietylko powinna być wynalezioną zgodnie z myślą tekstu, musi być ona właściwą do akompaniamentu orkiestrowego. „Orkiestra jest morzem, mówi W. w obrazowym swym stylu; na morzu tém pływa łódka: to melodya—łódka ta do pływania po innym gruncie nie jest sposobną.“

Lecz nie na tém kończą się warunki, jakich W. żąda od melodyi. Melodya nie tylko powinna łączyć się z wierszem duchowo, ale i materyalnie, czyli zmysłowo. Do tego służy Wagnerowi tak zwana *alliteracya*, czyli wspólność brzmień samogłosek i współgłosek w następujących po sobie wyrazach. Alliteracya, czyli tak zwany *stabreim* (rym zasadniczy) jest to charakterystyka dość powszechna średnio-wiecznéj pieśni niemieckiéj — gdzie miejsce końcowego rymu zastępowało użycie w całym wierszu lub w jego połowie syllab zbliżonych podobieństwem pewnych liter, a podniesionych przez mocniejszy akcent. Np. *le*icht und *l*uftig, *L*iebe und *L*ust, *Hand* und *Mund*; lub też użycie wyrazów rytmicznie do siebie zbliżonych, jak *Aug*' und *Ohr*. (To *rymuje* z sobą, powiada W.) (1). W ostatnich dziełach W. pisanych tym językiem, podziwiać musimy wraz z Niemcami pozorną łatwość, z jaką wiersz płynie wśród tych szkopułów; w niektórych razach nadaje to poezyi malowniczy wdzięk; np. w *Walküre*, gdy księżyc oświeca parę kochającą się, Siegmund śpiewa:

„*Wi*nterstürme *wi*chen dem *Wo*nnemond,
In *mi*ldem *li*chte *le*uchtet der *Le*nz
Auf *Li*nden *Lü*ften
*Le*icht und *li*eblich
*Wu*nder *we*bend, er sich *wi*egt;
Durch *W*ald und *A*uen
*W*eht sein *A*them
*W*eit geöffnet *la*cht sein *A*ug'... etc.“

Czasem prowadzi to do przykréj dla ucha przesady ostrych dźwięków, jak np.

„Garstig, glatter, glitschiger Glimmer, wie gleit ich aus!“
albo: „Pfui, du haariger, höckriger Geck; schwarzes, schwieliges, Schwefelgezwerg!“

Wiersz taki przewybornie maluje intencye komiczne; np. gdy Zygfryd opowiada, jakby musiał wyglądać syn brzydkiego karła

(1) „Die Liebe bringt Lust u. Leid.

Mime: „grade so garstig, grissig und grau, klein und krumm, höckrig und hinkend, mit hängenden Ohren'triefigen Augen.“

Forma ta językowa, zapożyczona ze starożytnéj Eddy skandynawskiéj, była naśladowana jeszcze przed W. przez Fouqué'go, Jordana i innych poetów czerpiących z tych podań; właściwość tę swego języka, tak wysoko ceni W., iż śmiało na téj zasadzie utrzymuje, że tylko w języku niemieckim idealny dramat pojawić się może, ponieważ ten tylko język ma budowę naturalną. opartą na pierwiastkach mowy (Sprachwurzeln). Sądzę, że bacząc na pochodzenie skandyn awskiecałego mitu o Nibelungach, nawet form jego językowych, powinienby W. przyznać ten sam przymiot przynajmniéj innym językom skandynawskim, jak szwedzkiemu i duńskiemu.

Tyle co do strony *formalnéj* dramatu. Co do treści, powiada Wagner, że bezwarunkowo przedmiotem do dramatu *nie może* być *historya* i jéj postacie. W historyi jest fałsz; kto chce poznać źródło prawdy dziejowéj, niech sięga do *mitu*. Mit grecki był podstawą tragedyi greckiéj. Taką tragedyą spodziewa się wskrzesić dziś W. z niemieckich podań ludowych.

Najwznioślejszym mitem będzie ten, który nam wykłada *ideę poświęcenia*, *ofiary* dobrowolnéj ze strony indywiduum dla idei. Nic wznioślejszego nad poświęcenie Antygony, która dla oddania ostatniéj posługi zwłokom brata, naraża się dobrowolnie na straszną karę pogrzebania żywcem—„o święta Antygono!“ woła W. w uniesieniu.

Podobnież i teraz mit powinien przedstawić ideę najwyższego rozwinięcia indywiduum i zarazem największéj jego *ofiar*

Ideę tę ofiary widzimy już w Hollendrze (Senta), widzimy ją i w Nibelungach (Brunhilda); do niéj to stosują się i wszystkie pojęcia W., który pragnie, aby aktor, śpiewak, muzyk i poeta, wszyscy razem ze swych indywidualności ponosili ofiarę dla podniesienia dzieła sztuki. Pomysł czyli *motyw* dramatu powinien być nadto wzmocniony przez *cudowność* i *nadprzyrodzoność;* poeta wtenczas nie krępując się żadnemi stosunkami ziemskiemi, może kreślić uczucia i stosunki w całéj ich rozciągłości. Jakoż postaciom W. przyznać trzeba, że się nie ograniczają żadnemi względami w wypowiadaniu swych uczuć, jak się o tém przekonamy przy rozbiorze dalszych jego dzieł.

(Dokończenie nastąpi.)

JEDEN DZIEŃ W STUBRAMNYCH TEBACH

ZA WIELKIEGO RAMZESA

przez

JÓZEFA KOŚCIELSKIEGO.

Czy to jest wadą, czy zaletą naszego wieku, że miasto rzeźbić jak dawniéj dumne posągi w marmurze dziejowym, składa raczéj z pojedynczych odłamków przeszłości barwną mozaikę realistycznych zapatrywań — jest to pytanie, które osobnych, a wyczerpujących wymagałoby studyów. Że dawno przebrzmiałe dzieje lubimy dziś oglądać, nieowiane bohaterskim urokiem starej kronikarskiéj maniery, ale w zwyczajnéj szacie i na tle szarego nieba rzeczywistości, ma tę, z uszczerbkiem wprawdzie artyzmu, niezaprzeczoną dla żyjącego pokolenia wartość, iż nam odsłania ciągłość i jednolitość popędów ludzkiéj piersi, mimo odmienne ramy wszędzie w dziejach tę samę i sobie równą, a tém samem do rozlicznych analogii, porównań i nauki dającą sposobność.

Ale nim pątnicze sandały przypniemy do stopy, uciekającéj chętnie przed żywą grozą teraźniejszości do obumarłych w grobowéj grozie arcydzieł skamieniałego narodu, słusznem jest, abyśmy naprzód puścili myśl jako gołębicę na zwiady w ogromną dziedzinę dziejowego świata, azali nam z nich z gałązką oliwną nie wróci. Tą gałązką oliwną, którą nam się na podróż po egipskiego świata zwaliskach uzbroić wypada, jest i powinno być przekonanie o niepoślednim podobnéj pielgrzymki pożytku. Błądzić po grobach i zwaliskach, niepłodnemi westchnieniami zaciemniać pogodną twarz miesiąca, jak oddechem zwierciadlaną szybę, płakać nad każdym odłamkiem posągu bohatera, wieńczyć skroń bladą w powojowe sploty, obejmujące strzaskanych kolumn posady, rozdźwięczać od wieków milczące echa odgłosem lutni, w ton

elegicznych nastrojonéj akordów—to nie dla dzisiejszego pokolenia zadanie. Był sentymentalizm kiedyś chorobą naszego wieku i społeczeństwa, tak jak je dzisiaj zaraża sceptycyzm, na tamten znalazł się środek w twardych warunkach chwil przesilenia społecznego obecnych czasów, na ten szukajmy lekarstwa śród potężnych śladów dawno zamierzchłéj przeszłości. Po dziśdzień zabobonne kobiety arabskie pyłu z piramid i z gruzów świątyń egipskich używają jako leku w niektórych słabościach, twierdząc, że proch z pomników olbrzymich, których się dotykał i które wzniósł lud tak potężnych i jędrnych pomysłów, tylko uzdrawiać i wzmacniać może. W tym pyle i prochu, w którym dzisiaj walają się wiekopomne geniuszu, wiary i siły Egipcyan świadectwa, szukajmy i my nieodzownych leków przeciw strasznéj zarazie zwątpienia. Nie zajmuje więc nas tutaj obecnie rozbiór ważności archeologicznych zdobyczy staro-egipskich dla rozlicznych gałęzi wiedzy ludzkiéj, dla historyozofii, antropologii, etnografii, lingwistyki i innych, bo do takich bogatych plonów łan mojéj pracy zaszczupły i zamało uprawny; ale przedewszystkiém w pielgrzymce po cmentarzu najstarszego społeczeństwa zachować nam na oku wypada to, z czegobyśmy zaczerpnąć mogli pokrzepienie dla ducha, tak dziś skorego do zwątpienia. W dziejach nic nie ginie: z umarłych szczepów nowe powstają narody; z przeżytych wyobrażeń wytryska nowych poglądów źródło, z zawartéj księgi dziejów brzmi głośna na przyszłość nauka. W ciągu swego przeszło 5,000 lat trwającego istnienia, naród Egipcyan przez kilkakrotne przechodził klęski, kilkakrotnym ulegał najazdom i kilkakrotne wiekowe przechodził niewole. Niekiedy zwycięzki oręż ciemnych barbarzyńców powalił go o ziemię, niekiedy uległ on przewadze cywilizowanego jak on wroga, a zawsze z prób tych i zapasów wychodził cały i nieskażony, zawsze moralne po jego stronie zostawało zwycięztwo. Epokę najwyższéj potęgi Egiptu pod 19 i 20 dynastyą Setosów i Ramzesów, epokę największego rozkwitu Teb, jego wspaniałéj stolicy, poprzedziła długa, bo kilkaset lat trwająca, haniebna, bo niszcząca i ciemna epoka panowania najezdniczych szczepów koczujących, a więc dzikich i nieokrzesanych. Po stuletniém jarzmie narzuconém przez Kambyzesa, znowu Egipt do swobody i do narodowych powraca monarchów, wycisnąwszy wprzódy najezdcom, ogładzonym i cywilizowanym Persom, zwycięzcom świata, piętno swéj religii, swego języka, swych praw i wyobrażeń. Od takiego narodu nauczyć się więc można wiele, a z ciemnych pieczar rzeźbionych grobowców, w które się na wieczny ułożył spoczynek, zabłysnąć może światło niejednéj cennéj

nauki. Owe sławne piramidy w Gizeh, przez starożytnych policzone do cudów świata, stanowią niejako tylko bramę wiodącą do olbrzymiego panteonu staro-egipskiéj wielkości, któréj pomniki zaległy długim a wspaniałym rzędem oba brzegi świętego Nilu i rozrzuciły się nawet aż po za drugą jego kataraktę. Od piramid do celu naszej pielgrzymki, do Teb stubramnych, stolicy Egiptu a pani wszystkich miast starożytności, dzieli nas, gdybyśmy wszystko po drodze oglądać i podziwiać chcieli, jeszcze 12 dni żeglugi po Nilu — pokłońmy się więc tylko w przelocie Apisowym grobom w Sakkarah i słynnéj obok nich piramidzie, mińmy i tę drugą piramidę tak zwaną el Mendzaba czyli kłamliwa w Meidoum, rzućmy okiem tylko na groby Tell-Amarna, na groty Beni Hassan, na Abidos, miejsce grobu Osirisa i jego wspaniałéj świątyni, nie zatrzymujmy się nawet ani w sławnéj Tentyryjskiéj świątyni bogini Hathor, owéj Wenery egipskiéj, ani na gruzach Lykopolis, ale spieszmy daléj i daléj, tam gdzie Nil szerszém i wspanialszém rozlewając się korytem, po obu swych brzegach kąpie w wód swoich przezroczu niespożyte starotebańskich pomników odbicia. Zanim nas jednak wiatr pomyślny, wzdymający białe płótno rozpiętych żagli, i wiosła naszych Arabów, pluskiem swym wtórujące ich przeciągłéj i smętnéj pieśni aż pod Luksorską kolumnadę Horusa zaniosą, cofnijmy się wstecz, cennym ludzkiéj myśli przywilejem o lat tysiące i tysiące, w epokę, w któréj dziś w gruzach leżące świątynie rozlegały się echem pieśni wierzącego ludu, świeciły niezmierzoném bogactwem klejnotów i złota, szczyciły zaszczytnemi łupami wojen zwycięzkich, w epokę, w któréj wojownicy Ramzesowi w świętych wodach Nilu obmywali swe zbroice z pyłu pochodów lub z bojów posoki, w epokę nareszcie, w któréj nigdy niespoczywający zmysł twórczy narodu, z odległych łomów Syenskich spławione granity we wzorzyste świątyń obrabiał kolumny lub w wysmukłe obelisków ociosywał kształty. A jeżeli nam własna nie dopisze wyobraźnia nieumiejąca wznieść się wyżéj nad strasburskiéj katedry wieże lub nad świętego Piotra kopułę—to sięgnijmy po zawarte w zapylonych księgach starożytnych mędrców świadectwa, i magiczném ich słów zaklęciem wskrześmy na chwilę do życia te śpiące oddawna w łonie skał Asasifu postacie i podnieśmy w posadach, pogrzebane gdzieś pod gorącym piaskiem pustyni, dawnych świątyń architrawy i kolumny. Słuchajmy z jakiém uwielbieniem rozpowiada o tych cudach nestor historyków, Herodot, co o nich prawi sycylijski Dyodor; pytajmy się sumiennego Plutarcha, a nawet i starego bajarza Homera, i z ich pomocą

odtwórzmy sobie w myśli wspaniały obraz przeszłości, nim nas w gruzach leżącą i na kawały rozbita teraźniejszość, mimowolnie swym nie zachwyci ogromem.

Starożytne Teby, owo miasto stubramne tak przez starożytnych podziwiane, o którém Homer w Iliadzie ks. 6 wierszu 481 mówi, że przez każdą z jego stu bram równocześnie 200 ludzi z końmi i wozami przechodzić mogło, wznosiły się po obu brzegach Nilu w obwodzie pięciu mil geograficznych. Nie zadziwi to nikogo gdy dodamy, że jedna z licznych tego olbrzymiego grodu świątyń, dzisiaj pod nazwą świątyni Karnak znana, obszarem swoim pokrywała przestrzeń 3 milionów stóp kwad. Kościół św. Piotra w Rzymie, zdumiewający dzisiaj rozmiarami swemi oko przychodnia, Egipcyaninowi wracającemu z Teb starożytnych, wydałby się niewielką kapliczką, długość jego bowiem wynosi stóp 581, podczas gdy długość świątyni Karnak dzisiaj jeszcze, gdy niektóre jéj części zupełnemu uległy zniszczeniu, dochodzi niesłychanéj długości 2,000 stóp. W tym samym stosunku stoją do siebie i inne rozmiary dwóch dopiero co porównanych świątyń: szerokość kościoła św. Piotra obliczono na stóp 424, świątynia Karnak, a raczéj jéj ruiny tylko, zajmuje w szerokości stóp 1,700. Najwspanialsze Rzymian, panów świata budowle, nikną przy rozmiarach pomników, które na lat tysiące przed erą rzymskiéj wielkości, zdobiły stubramną Egiptu stolicę. Grecy, którzy taką ilością i taką wytwornością świątyń i gmachów publicznych zapisali się w historyi sztuki, których kraj, niedawno do nowego bytu wskrzeszony, tyle jeszcze świetnych z ery helleńskiéj mimo przewroty i niewole, posiada zabytków, Grecy mówię, przybywający do Egiptu, a przybywali tam najprzedniejsi, najwyższém podziwieniem i zachwytem zdjęci, stawali przed pomnikami egipskiego geniuszu, a tego podziwu wymowne w ich dziełach wyczytać można świadectwa. Oni to pierwsi po świecie rozniešli sławę nadnilowéj doliny, oni to nietylko kształcąc się w mądrości staro-egipskiéj zbogacali nią skarbnicę wiedzy swego potężnego zdobyczami ducha narodu, ale nawet, aczkolwiek sami niedoścignieni mistrze piękna i miary, na starożytnych już wówczas okazach sztuki egipskiéj kształcili swéj nieśmiertelnéj architektury wzory. Epiteton „stubramnych," który Tebom padł w podziale, dowodzi wielkiego podziwu, jaki wzbudzał gród ten dumny, cyklopowém piętrzących się granitów zespoleniem. Czy w rzeczywistości stu bramami oddychało to miasto potężne, czy téż okrągła ta liczba wyrażać ma tylko niezwykle wielki ich poczet, czy raczéj wreszcie epiteton ornans „stubramnych" nadany został Tebom egipskim dla odróżnienia

od Teb, stolicy Beocyi, którą poeci „siedmiobramną“ nazywają, tego dzisiaj dociec nie podobna. W opisie podróży po Górnym Egipcie w roku 1842 przez Wład. Wężyka odbytéj, spotykamy się natomiast w tym przedmiocie z oryginalną wprawdzie, ale co najmniéj nierozważną hypotezą. Powołując się na urojone zupełnie podobieństwo wyrazów greckich, oznaczających *bramę* i *pałac*, ἑκατόμπυλαι, tłómaczy autor opisu: Teby o stu pałacach, rozumując, że w potężnéj stolicy łatwiéj niż sto bram, sto pałaców wyobrazić sobie można. Nie byłby popadł Wł. Wężyk w tak bezpodstawny błąd, gdyby był znał wyżéj przytoczony ustęp Iliady Homera, bo jakże sobie wyobrazić dwieście wozów, przechodzących równocześnie przez pałac? Jeżeli na tém miejscu potrącam o śmieszność podobnego przypuszczenia, to dlatego tylko, że u nas niestety i dzisiaj jeszcze nierzadkie są przykłady lekkomyślnego wyrokowania w sprawach, do których roztrząsania tylko z wielkim zasobem erudycyi i wielką źródeł znajomością przystępować wolno. Choćbyśmy nawet orzeczenie Homerowe na karb poetycznéj położyli przesady, niemniéj przeto, wyżéj podane rozmiary ruin w Karnaku do całego stosując grodu, możemy roztoczyć przed myślą niedosięgnięty niczém obraz ogromu stolicy wielkiego Sezostrysa. Posługując się badaniami starożytnych uczonych i nowoczesnych egiptologów, ożywmy ten niezmierzony ocean ciosanych granitów postaciami, które go wzniosły i zamieszkiwały, i rozrzućmy pierwiastek życia po olbrzymich placach, ulicach i świątyniach. Cofnąwszy się myślą o 446 lat przed Narodzeniem Chrystusa, wyobraźmy sobie, że na igrzyskach Olimpijskich lub na Panateneach przysłuchujemy się skwapliwie czytającemu dzieło swoje przybyszowi z Karyi, nieśmiertelnemu Herodotowi, i wraz z całą rzeszą Ateńską nie różność jego dyalektu, ale wspaniałość i żywość podziwiamy opisu. Albo lepiéj jeszcze w tuniki i chitony greckie przybrani, towarzyszmy samemu Halikarnasczykowi w jego po Tebach pielgrzymce, i słuchajmy bacznie gdy nam na każdym kroku obyczaje narodu i tajniki jego wiary, których się od kapłanów w Heliopolis nauczył, tłómaczyć i opowiadać pocznie. Przemyślnych Greków zwabiała często bogata nadnilowa dolina do merkantylnych wycieczek, a greckie szaty nierzadkiém były zjawiskiem w obrębie stubramnéj jéj stolicy. Co większa, sława mądrości egipskich kapłanów oraz ich podniosłych wyobrażeń, i lepszą cząstkę narodu greckiego, jego mędrców i prawodawców chciwych wiedzy i nauki, przywodziła często nad brzegi Nilu, do słynnych na cały świat starożytny świątyń, a raczéj akademii w Heliopolis, Memfis, Bubastis lub Sais. W liczbie zna-

komitych Hellenów, którzy tu swéj późniejszéj w narodzie i dziejach wziętości położyli podwaliny, znajdujemy Solona i Talesa, ojców greckiéj mądrości; z późniejszych z równą czcią napotykamy imiona Eudoxa, Platona, Pytagoresa, a każdy z nich do Egiptu przybywał uczniem, mistrzem do ojczyzny wracał. I nam więc dzisiaj ich duchem kształconym, wolno te same deptać ścieżki. Różczkę czarodziejską zastąpi nam wyobraźnia, stokroć więcéj czarodziejskiéj posiadająca władzy, i przed oczyma duszy roztoczy nam obraz tak pełen życia i ruchu, jakbyśmy nań zmysłowém wzroku patrzali narzędziem. Oto nad wybrzeżem nilowém, zwierciedląc się w jego przezroczu majestatyczném swych rzeźbionych kolumn i portyków odbiciem, stoi wspaniały pałac władcy faraona. Jest nim może w téj chwili właśnie sam wielki Ramzes, który swe dumne dzieje i dumniejsze czyny na tylu niespożytych świątyń ścianach pozostawił wyryte, jakby przewidując, że te kamienne kroniki najtrwaléj sławę jego panowania późniejszemu przechowają światu. Pałac jego, to godny przybytek pogromcy dzikich Etyopów i ogładzonych Azyatów; ma on pozór świątyni raczéj, niż pałacu. I jego odrzwi dwa wysmukłe strzegą obeliski, i na jego ścianach wyobrażenia Osirisa plączą się z podobiznami jego na ziemi zastępcy faraona, i jego wzorzyste kolumny zaludnione od góry do dołu postaciami mieszkańców egipskiego panteonu. Tylko tłumnie przed gmachem i w jego przedsionku zgromadzeni oficerowie rycerskich znaków, tylko snujące się w jego dziedzińcu mimo rannéj pory postacie wyższych państwa urzędników, zdradzają królewskie mieszkanie. Nagle ruch jakiś większy i pośpieszniejsze krzątanie coś niezwykłego zwiastować się zdaje. Oto faraon, monarcha, który w osobie swojéj kojarzy najwyższą władzę świecką i duchowną, król i arcykapłan za życia, a Bóg po śmierci, zaszczycony stałym przydomkiem Syna Słońca, wychodzi równo ze świtem z granitowych i rzeźbionych odrzwi swego pałacu, otoczony zwykłym pocztem swéj przybocznéj straży i zstępuje na brzeg świętego Nilu. Tam oczekuje go cała królewska flotylla, misternie rzeźbione, pozłacane, we wzorzyste kwiaty misterne bogów wizerunki ozdobione łodzie, na każdéj z nich rząd czarnych wioslarzy, synów skwarnéj Etyopii, a na najgłówniejszéj złoty baldachim, pod nim tron faraona. Król zstępuje na łodzie, daje znak i cały orszak porze poważnie, przy monotonnym śpiewie wioślarzy, fale świętéj rzeki, sterując do wznoszącéj się dumnie na przeciwległym brzegu świątyni, może dzisiejszych ruin Medinet-Abu lub Kurna. W świątyni już wszystko do nabożeństwa gotowe— oczekują tylko faraona. Kapłani w długich bia-

łych lnianych szatach w obuwiu z papirusowego łyka, krzątają się u wejścia najtajniejszej kaplicy, ze złotych kadzielnic podnosząc obłoki wonnego dymu, inni do processyi świętéj przyrządzają posągi bogów, na długich, rzeźbionych tykach utwierdzone podobizny Osirisa, lub innego patrona świątyni, na ozdobnym wozie składają śród tajemniczych zaklęć owę świętą łódź, symbol łączności doczesnego życia z wieczystém, a lud tymczasem milczący i korny, złożywszy na ołtarzu zwykłe daniny wina i mięsa, zalega obszerne krużganki świątyni, ozdobne rzeźbionemi w ich ścianach wyobrażeniami zwycięztw faraona, jako dowodami łaski bogów i męztwa narodu. W dziedzińcu świątyni inny obraz, niemniéj ciekawy, uwagę naszę zwraca w tę stronę. Ze stajni tamże się znajdującéj, a mieszczącéj w sobie bydlęta bogom poświęcone, wyprowadzają kapłani okazałego wołu, żałosnym rykiem zdradzającego swe smutne przeczucia, a przeznaczonego na dzisiejszą ofiarę. Około rogów jego wije się plecionka Byblusu, utwierdzona pieczęcią świątyni. Wół taką oznaczony plecionką, nim przypuszczonym został do stajni świątyni, przeszedł naprzód staranne oględziny ze strony specyalnie tém się trudniącego kapłana, azali nie nosi na sobie znaków czyniących go niezdatnym do ofiary. I oto za chwilę sam faraon przewodniczyć będzie ofiarze, i sam własnoręcznie wnętrzności jéj spali na ołtarzu. Kapłani rozdzielą mięso między siebie, a głowę posługacze ich zaniosą na targ, aby ją sprzedać Grekom podróżnym lub innym cudzoziemcom; wyznawcy bowiem Osirisa nie spożywają nigdy głowy żadnego zwierzęcia, a tém mniéj zwierzęcia ofiarnego, na nią bowiem przy spełnianiu ofiary rzuca kapłan sprawujący ją przekleństwo, i na nią zlewa wszelkie nieszczęścia i klęski, któreby na kraj i naród egipski spaść mogły. Ale czas już opuścić świątynię, bo oto i koniec nabożeństwa. Cały świetny i barwisty orszak monarchy, po krótkim wypoczynku w komnatach przypierających do świątyni, opuszcza święcone gmachy, a lud towarzyszący tłumnie śród radosnych okrzyków pochodowi faraona, zabiera nas falą żyjącą za sobą w stronę, w któréj architekci królewscy nową, a nad inne wspanialszą wznoszą dla niego budowę. To Ramesseum, świątynia, którą Ramzes wielki, pierwszym w dziejach egipskich przykładem, sam dla siebie za życia wznieść polecił. Największemu wojownikowi na tronie faraonów, nie wystarczają pośmiertne hołdy, których mu zapewne ani następcy, ani naród nie poskąpi: on jak egipską utrwalił potęgę, tak i pamięć swych czynów osobiście utrwalić pragnie. A ma zaprawdę czém zapełnić wznoszące się mury. Ile bitew tyle zwycięztw, ile wojen tyle tryumfów, ile wypraw tyle

podbojów, a wszędzie osobiste królewskie męztwo świecące na pierwszém miejscu, dla narodu zaszczytem, dla następców przykładem. To też wznosząca się świątynia ma zagasić blaskiem i wspaniałością wszystko co dotychczas egipska stworzyła sztuka; tysiące robotników spajają i wznoszą olbrzymie granitów łomy, a tysiące artystów królewskich czynów opowieści w niespożytym żłobią głazie. Pomiędzy robotnikami najcięższa praca przypada znienawidzonym Izraelitom; kto wie czy nie pracuje między nimi i sam wielki Mojżesz, jest to właśnie bowiem czas jego pierwszego w Egipcie za lat młodzieńczych pobytu, przed spełnieniem zabójstwa, które go uczyniło wygnańcem z ziemi wygnania. Ramzes okiem pełném dumy spogląda na pomnik swéj chwały; ale czyż myśl jego zatrzymując się z upodobaniem na chwilach, w których naród cały podziwem zdjęty z olbrzymich ścian czytać będzie olbrzymich czynów wieści, dosięga również i téj epoki, gdy śród rozpadających się murów bujnie trawa i chwast się zapleni, a znużony wędrowiec spocznie na odłamku królewskiego posągu, na pół zawianego piaskiem pustyni? Nie!—szczęśliwemu i potężnemu myśli podobne nie przychodzą do głowy, więc i Ramzes w téj chwili nie przeczuwa Kambyzesa. Idźmy daléj w naszéj przechadzce po ulicach stolicy. Oto wznosi się przed nami odwach przybocznéj gwardyi królewskiéj. Urzędnicy Faraona rozdzielają właśnie rycerzom codzienną racyą żywności, składającą się z 5 min, to jest 2 kilogramów chleba, dwóch min mięsa wołowego i czterech miar wina. Dzięki Herodotowi możemy się bliżéj poznajomić z tymi rycerzami. Wiemy już, że stanowili oni razem z kapłanami najprzedniejszą kastę narodu, a różnicę ich uzbrojenia i umundurowania, również nam halikarnaski wytłómaczy historyk. Ci oto, w długiéj lnianéj sukni, obszytéj frendzlami, to Kalasirioi rycerze, dzierżący nomy czyli prowincye: Teby, Bubastis, Afis, Tanis, Mendes, Sebennytus, Pharbetus, Thmuis, Onuphis, Anysis, Mycephoris, Athribis. Ta korporacya rycerzy w razie wojny stawiała około 200,000 wojennego męża. Ci drudzy, których głównem uzbrojeniem proce, to Hermotibioi, zamieszkujący nomy Busiris, Sais, Chemnis, wyspę Prosopitis, Papremis i Natho i stawiający na odgłos surmy wojennéj 160 tysięcy żołnierza. Tak z pierwszéj jak i z drugiéj kategoryi po tysiącu rycerzy pełniło corocznie honorową służbę przy osobie faraona, głównego wojsk dowódcy, i w tym to czasie wydzielano im, jak wyżéj widzieliśmy, codzienne pożywienie, zapewne z niezmierzonych zapasów, któremi absolutny faraon rozporządzał dowolnie. Zostawmy tych dzielnych wojowników, postrach Azyatów i czarnych synów Etyo-

pii przy codziennem ich zatrudnieniu, ćwiczeniach wojskowych i częstych zatargach z Maszuaszem, pogardzanemi przez nich pułkami zaciężnego żołnierza, i zwróćmy się znowu w inną stronę, gdzie na nas w łonie olbrzymiego grodu odmienne czekają obrazy. Oto do posępnych pieczar Asasifu zdąża orszak żałobny, towarzyszący na miejsce wiecznego spoczynku zwłokom prawowiernego Egipcyanina, którego dusza już oddawna zapomniała o ziemskich troskach na łonie Osirisa. Balsamowanie bowiem ciała i wszelkie przedpogrzebowe czynności, zabrały od chwili śmierci blizko dwa miesiące czasu, dzisiaj dopiero odprowadzają rodzina i przyjaciele ciało nieboszczyka do dawno nań czekającego, najczęściéj za życia jeszcze gotowego grobowca.

Przecież już dzień jego śmierci był rodzinie, służbie i przyjaciołom powodem hałaśliwego obrzędu, processyi żałobnéj, jaką w tak olbrzymiém mieście jak Teby co dzień spotkać możemy w ulicach stolicy. Otoż i zbliża się podobny orszak. Snać jakiś mieszkaniec Teb stubramnych przeniósł się w téj chwili na łono Osirisowe. W chwili jego zgonu cała rodzina i służba domowa płci obojéj wypada jęcząc i płacząc na ulice i przebiega rozdarłszy szaty i obrzucając błotem głowę, twarz i piersi przez celniejsze miasta. dzielnice. Po takim najwyższą rozpaczą nacechowanym obrzędzie, ciało zmarłego oddaje dopiero rodzina tym, którzy się specyalnie balsamowaniem trudnią. Nie tu miejsce opisywać za Herodotem wszystkie trzy sposoby pośmiertnego ciał przygotowania, opowiadać o sposobie wyciągania mózgu przez jamę nosową o czyszczeniu winem palmowém wnętrzności—powróćmy raczéj do napotkanego na ulicy pogrzebowego orszaku, gdy po dwumiesięczném blizko moczeniu w saletrze, starannie obwinięte w płócienne powijaki, balsamem nasiąkłe, złożone nareszcie w trumnie ciało, zdąża do Asasifu lub Drah-Abul-Nega, stolicy umarłych. Kapłani otwierają pochód, posągi Osirasa, pana w krainie śmierci, lub innych bogów, zaszczycających specyalną swą opieką dom i rodzinę zmarłego, poprzedzają trumnę mającą kształt spowitego w całun śmiertelny człowieka, zdobną napisami, modlitwami, wyobrażeniami bogów, a nierzadko świecącą gęstą i bogatą pozłotą. Za ową trumną, niesioną na barkach niewolników nieboszczyka, postępują jego słudzy i domownicy, niosący zmarłemu panu do grobu plon jego pól i łanów, ofiary z jarzyn i zboża. Daléj kroczy rodzina i znajomi, a każdy z nich w ręku dzierży małą, z gliny urobioną mumijkę, którą na pożegnanie wrzuci do otwartego grobowca zmarłemu przyjacielowi lub bratu. Czasem, ażeby ostatnim dowodem łaski uczcić wiernego sługę, towarzyszy sam boski faraon

jego pogrzebowi, częściéj wszakże przysyła tylko na ten obchód reprezentanta swego, który w imieniu królewskiém składa w grobowcu posążek żałobny, lub pierścień, opatrzony hieratycznem królewskiém nazwiskiem. Wiadomo bowiem, że każdy faraon, jako kapłan najwyższy, nosił obok cywilnego, osobne hieratyczne nazwisko; zwykle symboliczne, a najczęściéj poczynające się od zgłoski Ra, jako oznaczającéj słońce. I tak Uzertasen III nosił kościelne miano Ra-sza, Ke-u,—Uzertasen II, Ra-sza-kepet,—Amozysowi zwycięzcy nad Hyksosami przypada nazwa Ra-men-het,—wielki odnowiciel egipskiéj świetności po wypędzeniu Hyksosów Tutmes III znany jest w misteryach pod nazwiskiem Ra-men-keper,—Sebekhotep III nareszcie pod imieniem Ra-sza-nefer. Nazwiska te, a przynajmniéj niezmiernie wielką ich ilość zebrał i ogłosił z wielkim zasobem pracy i erudycyi najznakomitszy z młodszego zastępu egiptologów, monachijski Dümmichen. Do jego więc dzieła ciekawych w tém miejscu odesłać mi wypada, rozszerzenie się bowiem nad tym przedmiotem osobnéj, a obszernéj wymagałoby rozprawy. Pochód pogrzebowy zamykają kobiety, wznawiające znowu, jak w dniu śmierci nieboszczyka, przeraźliwe jęki i obrzucające się błotem na znak smutku i żałoby. I dziwna rzecz: tysiące lat przewionęły nad grobem, w którym legła cywilizacya starożytnego Egiptu, potężna jego wiara i skrystalizowane w niewzruszone dogmata wyobrażenia religijne rozwiały się w pomrok zapomnienia przed potężniejszém stokroć krzyża zaklęciem, krzyż nawet jasném bijący światłem zbladł w kolei wieków przed blaskiem zwycięzkiego półksiężyca, a mimo tych wszystkich dziejowych przewrotów, burze pochłaniające religijne przekonania nie zdołały zatrzeć śladów zwyczajów, które się z temiż przekonaniami łączyły. I dzisiaj jeszcze kobiety arabskie, wbrew zwyczajom całego mahometańskiego Wschodu, co większa wbrew przepisom Al-Koranu, zabraniającym głośnéj nad umarłymi skargi, zawodzą nad ozdobną w zawój wyznawcy proroka trumną tym samym przeciągłym i smętnym jękiem, który brzmiał przy egipskich pogrzebach lat temu tysiące, i tak samo jak za zamierzchłych czasów obrzucają dzisiaj twarz i obnażone piersi ziemią błotnistą, jakby duszę zmarłego oczekiwał za progiem doczesności trybunał Osirisa, a nie huryski siedmiorakiego nieba Mahometa. Wymowny to dowód twierdzenia, że zwyczaje są trwalsze od przekonań. Ale nie zapominajmy, że zwiedzamy Teby w świetnéj epoce Ramzesów, że przewodnikiem naszym w téj pielgrzymce po dawno w gruzy rozpadłym grodzie jest halikarnaski Herodot, nie syryjski dragoman dzisiejszych czasów, i zwróćmy myśl naszę znowu na staro-

żytnego życia objawy śród dumnie sterczących pilonów, świątyń, pałaców, obelisków, kolosów i sfinksów. Jęki pogrzebowe idących za trumną kobiet przebrzmiały już śród skalistych ścian Asasifu, a cały towarzyszący zmarłemu orszak znikł w otworze grobowéj pieczary; od brzegu rzeki natomiast dochodzą nas przeróżne głosy wabiące nas w inną stronę. Oto liczne łodzie, z żaglami plecionemi z sitowia, spajane z małych kawalków żywicznego drzewa, oczekują na pielgrzymów, udających się do Sais na doroczny obrząd religijny. Caly orszak pielgrzymów zbliża się do brzegu ze śpiewem i muzyką, kobiety dzwoniące małemi grzechotkami, mężczyzni przygrywający na piszczałkach schodzą na łodzie, które odbijają rozdźwięczając po Nilu odgłosy niekłamanéj ludowéj wesołości. Egipcyanin wesołym być umie. Mimo surowe i pełne powagi o zadaniu doczesnego życia wyobrażenie, mimo żelazną dłoń absolutnego faraona, cisnącą wszystkich zarówno poddanych brzemieniem niesłychanych wymagań i obowiązków, mimo wreszcie społeczne upośledzenie pewnych kast w narodzie, szczera wesołość ludu, wesołość dziecinna przebija przy każdéj sposobności, umila pot krwawéj pracy, osładza gorycz twardego losu. Wesołość ta wprawdzie często objawia się w sposób wedle naszych pojęć co najmniéj nieprzyzwoity, przy ludowych obchodach, igrzyskach i uroczystościach odgrywają kobiety niekiedy rolę, jakiejby się najzagorzalsza zwolenniczka emancypacyi dzisiaj nie podjęła, ale na wytlómaczenie Egipcyan przypomnieć należy, że to, na co patrzymy, dzieje się na lat cztery tysiące przed naszą erą, w owéj szczęśliwéj opoce, w któréj dziecinny umysł narodów, nieskrępowany jeszcze obłudnemi więzami konwencyonalnych względów, robił i mówił co myślał i czuł, a myśli swéj i uczucia wstydzić się nie widział potrzeby. Stojących nad brzegiem nilowym za panowania Ramzesa Wielkiego, niech nas nie gorszą wybuchy ludowéj wesołości i jéj objawy, bo pamiętajmy, że u ludu wyuzdana wesołość i swawola jest niekiedy jakoby trunek upajający, w którym topi ciężkie troski codzienne. Ten sam orszak pielgrzymów, który dziś z tak hałaśliwemi objawami radości, grzechotkami i piszczalkami jedzie do Sais oddać cześć Izydzie w jéj ulubionéj świątyni, wróci za dni kilka do twardych życia warunków, a ubogiego rolnika, na którym przecież całe kraju polega bogactwo, znowu czekać będzie prześladowanie, ucisk i niewytłómaczona niczém pogarda. Tę smutną dolę dzielą jak wiadomo rolnicy z pasterzami, mianowicie tymi, którzy się hodowaniem nierogacizny trudnią, podczas gdy stan rybaków przeciwnie większém otoczony poszanowaniem, i większe-

mi cieszy się przywilejami. Z tém wszystkiém w Egipcie o istnieniu kast, w ścisłém indyjskiém ich znaczeniu, mowy być nie może, i słusznie na oznaczenie ich Ampère proponuje wyraz korporacye. Przypatrzywszy się bowiem pilniéj ustrojowi staroegipskiego społeczeństwa, przekonać się możemy dowodnie, iż dwa tylko określone stany istnieją tu rzeczywiście, stany, na które i wszystkie inne rozpadają się narody, to jest ludu i szlachty. Ta druga mieści się w dwóch uprzywilejowanych korporacyach kapłanów i rycerzy, korporacyach, które grupując się około tronu, jak się to wszędzie dzieje, kosztem pracy i potu drugiego stanu wynoszą się, bogacą, pomiatając tymi, którzy ich żywią. Na religijny obchód w Sais udadzą się i przedstawiciele tych dwóch panujących korporacyi, ale udadzą się tam z takiém wytworném lekceważeniem motłochu, z jakiém dziś okoliczna szlachta jeździ na jarmarki i odpusty. Oto i na nich czekają łodzie na brzegu, żagle ich purpurowe i złocone maszty, a czarni wioślarze w szeregach, czekając na panów zadumani, myślą o dalekich smugach rodzinnéj Etyopii, i pytają się o nią nilowéj fali, która płynie z ich ojczyzny. A o parę kroków ztąd znowu nas inny obraz uderza. Kilka półnagich postaci utwierdza silną linę około grubego pnia palmy nad brzegiem rosnącéj, a drugi jéj koniec, zbrojny wędką z kawałem mięsiwa zarzuca na głębie nilowe. W téj saméj chwili przeraźliwe krzyki prosięcia, okładanego kijem rozlegają się na brzegu. To połów krokodyla. Potwór słyszy jęki zwierzęcia, a kiedy chciwy zdobyczy kieruje się w stronę, zkąd one go dochodzą, napotyka ponętę i pochłania ją wraz z wędką. Okrzyk radości rybaków wtóruje téj klęsce krokodyla. Potwór szamocze się nadaremnie: rybacy ciągną linę, i niebawem olbrzymie cielsko strasznego pana wód nilowych wydobywają z elementu, w którym króluje, na piasek wybrzeża, na którym z trudnością tylko poruszać się może. Zarzuciwszy mu piaskiem i nadbrzeżnym mułem jego małe a przenikliwe oczy, już go bezpiecznie dokąd tylko chcą zawlec mogą. I dzisiaj jeszcze nad brzegami olbrzymich rzek indyjskich krajowcy nie innym sposobem odbywają połów kaimanów jak powyższym staroegipskim, podanym nam przez Herodota. Zresztą oprócz utraty wolności nic złego nie czeka tak pojmanego krokodyla; Tebanie bowiem uważają go za poświęconego bogom, zabicie jego za grzech poczytują, i gorszą się niepomału zupełnie odmiennem postępowaniem mieszkańców innych prowincyi, którzy nawet mięsa jego spożywać nie wahają się. Krokodyl więc w Tebach w oczach naszych złowiony, stanie się niedługo przedmiotem czci i posza-

nowania dla tych, którzy go z nurtów nilowych wydarli. Umieszczony w krużganku świątyni, wieść będzie żywot spokojny, zaopatrywany hojnie w żywność wszelkiego rodzaju, i ozdobiony nawet, co mu zresztą jest obojętniejsze, wytwornemi kolcami i pierścieniami ze złota i klejnotów.

W ten sposób kapłani, pragnąc odwieczną naukę o bóstwie zachować czystą i nieskażoną, prostemu ludowi, jak dziecku cacko, rzucają pod zmysły podpadające przedmioty czci i nabożeństwa. Podniosła nauka o jednym niewidzialnym Bogu i wszechpoczątku rzeczy, to niezrozumiała dla grubéj wyobraźni ludowéj zagadka, a ogół, gdyby ją posiadał, nie omieszkałby jéj potwornemi dodatkami upstrzyć, a jéj istotę przekształcić dziwolągami wybujałéj wyobraźni. Trzeba, chcąc czucie rozszerzyć, tworzyć bóstwa i w nie wierzyć, powiedział Brodziński. O téj prawdzie wiedzą już kapłani staroegipscy, i dlatego rozszerzając zakres pojęć ludowych wyobrażeniami zmysłowemi, lecz z właściwą nauki istotą w ścisłym pozostającemi związku, przygotowują zwolna umysł narodu do pojęcia i umiłowania prawdy ukrytéj, która mu się dotąd tylko pod symboliczną postacią sfinksa objawia. Temu zadaniu gwoli kapłani egipscy, w epokach, w których ograniczają się jedynie na rzeczy duchownych pielęgnowaniu, stoją niewzruszonym i zwartym szeregiem jako piastunowie cywilizacyjnego posłannictwa narodu. Chociaż stanowią najpierwszą kastę w narodzie, ubiór ich skromny i ubogi, żywot twardy i ascetyczny, czas dzielą między nabożeństwem a nauką. Zdala przed nami piętrzą się nieprzejrzane okiem granity karnackiéj świątyni. Od niéj aż do nilowego brzegu wiodą wspaniałe dwa rzędy olbrzymich kamiennych sfinksów, to miejsce zwykłéj kapłanów przechadzki. Tu oni perypatetycznie rozprawiają o artykułach wiary; tu młodzieńców swéj kasty, rozpłomienionych żądzą nauki, wtajemniczają w święte arkana i w rytuał nabożeństwa; tędy nareszcie schodzą na brzeg nilowy celem częstych ablucyi, które odbywać winni trzy razy dzienną, a trzy nocną dobą. Tu więc również, na prawym brzegu nilowym, jako w części miasta zawierającéj pałac królewski i najprzedniejsze publiczne gmachy najwięcéj znachodzimy ruchu i życia. Do świątyni Karnaku, owego najwspanialszego przybytku narodowéj wielkości, który tylu królów wznosiło, upiększało i na wyścigi niejako coraz bogatszemi uposażało skarbami, dąży dzień cały wielka ciżba ludu; ci idą się modlić, inni składać ofiary, inni podziwiać tylko. My w téj ostatniéj jesteśmy kategoryi; ale ponieważ niestety! ze wszystkich tych świet-

ności niewiele więcéj wskrzesić w myśli umiemy nad to, co dzisiaj jeszcze zdumione oko przychodnia śród zwalisk olbrzymiéj téj budowy znajduje, bliższe rozpatrzenie się w szczegółach świątyni Karnak odlóżmy do chwili, gdy nie już jako towarzysze Herodota po dumnéj stolicy, ale jako dzisiejsi pielgrzymi po jéj ruinach stąpać będziemy. Tymczasem inne nas jeszcze czekają widoki. Oto przed nami gmach trybunału, tu rozstrzygają się wszystkie prawne spory i sprawy. Przedsionek gmachu zdobi kilkanaście posągów. Dziwne to postacie! Oczy ich zamknięte, co mniéj nas razi, ale co większa, i rąk szukamy nadaremnie. Nawet uczony nasz przewodnik znaczenia tych posągów wytłómaczyć nam nie umie; spytajmy się więc o nie przechodzącego Egipcyanina. To wyobrażenia sędziów, odpowiada zapytany: bo taką winna być sprawiedliwość, aby ani nic dać nikomu, ani nic wziąć nie mogła. Widzicie Greki, ciągnie daléj wyznawca Osirisa, postrzegłszy zdumienie nasze: wy waszę Tetydę wyobrażacie z przepaską tylko na oczach; uznajcie, o ile nasze wyższém jest pojęcie. Znużeni kilkogodzinną po mieście wędrówką, wstąpmy teraz w progi którego z okazalszych domów stolicy, aby w jego wnętrzu śledzić charakter i obyczaje narodu. Domowstwo Egipcyanina, nawet zamożnego, w niczém nie odpowiada wyobrażeniom, jakie my dzisiaj o mieszkaniach prywatnych mieć możemy. Mieszkańcy doliny nilowéj w przyszłém dopiero życiu upatrując prawdziwe i niezamącone szczęście, wytworności doczesnych mieszkań, jako chwilowych tylko dla ciala schronień, mało nader poświęcali pieczy. Nizkie i niepołączone z sobą komnaty, wychodzące oknami i drzwiami na mniéj lub więcéj obszerny dziedziniec, punkt zborny całéj rodziny, na nim zieloności nieco, i to skąpéj zieloności palmowéj — oto dom Egipcyanina. Dom taki zawiera przecież jednę, wykwintniejszą komnatę, a ta właśnie ma religino-grobową cechę. Jest to coś nakształt rzymskiego tablinium, miejsce przeznaczone na posągi przodków. Komnata taka, a raczéj jéj ściany opatrzone są framugami, w których wznoszą się kamienne wyobrażenia ojców i dziadów, a każda taka framuga, jeśli jest już zapełnioną, zawartą bywa kamiennemi najczęściéj drzwiami, na których znowu nieskąpo napisów, postaci bogów, szczególnych rodziny opiekunów i pamiętniejszych w rodzinie wydarzeń. Umeblowanie całego domu więcéj niż skromne. Stoły i siedzenia drewniane, te ostatnie przykryte plecionką papirusową, to wszystko, co Egipcyaninowi do komfortu potrzeba. W męzkich komnatach nieco wykwintnéj broni, bo

w tém kocha się ascetyczny wyznawca Osirisa; w kobiecych natomiast liczne toaletowe przyrządy, misternie rzeźbione puszki zawierające proszek z antymonium używany do barwienia brwi i oczu, który to zwyczaj po dziśdzień między arabskiemi przechował się niewiastami; daléj alabastrowe słoiki do kadzidła, które ważną w domu egipskim odgrywa rolę; nareszcie w miarę zamożności mieszkańców domu, porozwieszane złote i srebrne, a nie rzadko i drogiemi kamieniami sadzone naramienniki, kolce, zausznice, pierścienie, a co najważniejsza rozmaitego rodzaju i kształtu peruki, zwykłe ozdoby i jedyne pokrycie głowy Egipcyan płci obojéj. W dziedzińcu znajdujemy członków rodziny właściciela domu, spędzających czas na ulubionéj grze, do warcab naszych wielce podobnéj, i orszak służby zajętéj ręczną pracą. Ci plotą koszyki z sitowia, inni z pędzlem w dłoni i paletą, kształtem do dzisiejszéj zbliżoną, ozdabiają te wyroby mniéj więcéj udatném malowidłem, przedstawiającém zwykle arabeski z lotusowego kwiatu, inni jeszcze naprawiają sieci, inni na rozmaity użytek obciosywają drzewo lub kamienie, toporkami i nożami z bronzu. Zwrócić bowiem na to uwagę wypada, że Egipcyanie do żadnego rękodzielnictwa nie używają żelaza, aczkolwiek je dobrze znają; wyobrażenie bowiem między ludem rozpowszechnione twierdzi, że ten kruszec nie jest czém inném, jeno kością Tyfona, to jest bóstwa przedstawiającego pierwiastek złego i zabójcy dobroczynnego Osirisa. Słowem w dziedzińcu koncentruje się ruch i praca całego domu, któréj z okna swéj komnaty, lub z tarasu na dachu domowstwa utworzonego, przewodniczy sam właściciel i pan domu, jeśli go własne obowiązki stanu lub służba przyboczna nie wstrzymują na dworze Faraona. Obejrzawszy więc po szczególe dziedziniec, jako najgłówniejszą część egipskiego domu, i przeszedłszy z poszanowaniem obok kota ibisa, a nierzadko i krokodyla żywionego ze czcią w przedsionku, możemy opuścić już dom Tebańczyka, zwłaszcza że słońce ma się ku zachodowi, a niebawem ciemna noc dzienne światło zastąpi. I oto jeszcze jedna oczekuje nas niespodzianka. Tu i owdzie poczynają migać światełka, naprzód pojedynczo, następnie coraz liczniéj i liczniéj, aż całe miasto olbrzymie, pogrążone w cieniach wieczoru zabłyska niezliczonemi światłami ogólnéj illuminacyi. Jest to bowiem, jak już wyżéj widzieliśmy, noc wielkiego święta w Sais. Z całego Egiptu pielgrzymi spieszą oddać cześć bogini do tego miasta, podczas gdy pozostała w domu rodzina, napełniwszy, osobno na ten cel przeznaczone naczynia solą, a olejem i knotem je opatrzywszy, rozsta-

wia jarzące się światła na około domów i świątyń. Jest to więc sposób illuminacyi do dziśdnia używany, a przez całą noc święta w Sais, przekształca on stubramne Teby w morze światłości i blasku. Ale razem z gasnącemi światłami religijnéj uroczystości, gaśnie i rozwiewa się także w pomrok nasz uroczy sen przeszłości, który nas dawno zamierzchłych wieków znikomém pieścił widziadłem. Księga Herodota wypada z ręki, sięgającéj daremnie za rąbek powiewnéj szaty pierzchającego snu, a nieubłagana rzeczywistość zwalisk i ruin, leżących w prochu obelisków i pogruchotanych sfinksów, jak ciemna zasłona nad świetlanym zapada obrazem.

DZIEJE OŚWIATY LUDOWÉJ

ODCZYT JÓZEFA GRAJNERTA

MIANY W SKRÓCENIU DNIA 19 MARCA 1876 R. W WARSZAWIE NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

III.

Szereg pedagogów, którzy wystawili przybytki gościnne dla oświaty ludowéj, poprzedzają jeszcze w XVII wieku znakomici na swój czas nauczyciele: Ratich i Komeński, rodem Czech; pierwszy z nich żądał, aby kształcenie stanowczo się odbywało w języku ojczystym, który jest kluczem do nauczenia się i innych języków i humanitarnych umiejętności. Drugi zaś, autor dzieła „*Orbis Pictus*“ (Świat w obrazach) i innych prac pedagogicznéj treści (1), natchniony ideą uszczęśliwienia rodu ludzkiego za pomocą wychowania, wypracował całkowity system szkół, konieczny dla narodowéj oświaty. W pracach pedagogiczno-dydaktycznych niestrudzony ten reformator szkół i wychowania żąda naprzód szkoły domowéj rodzinnéj (Mutter-Schule), potém szkoły dla każdéj wioski, następnie szkoły łacińskiéj dla każdego miasta i wreszcie uniwersytetu dla każdéj większéj prowincyi. Przepisuje, iżby w szkole elementarnéj uczyły się dzieci czytania, pisania, rachunków, muzyki, oraz niektórych wiadomości z geografii i historyi. Takiż sam plan organizacyi szkół miał sobie powierzony w Szwecyi, dokąd zaproszony, 6 lat pracy poświęcił sprawie oświaty. Do podobnych mu zwiastunów nowego, lepszego kierunku należą filozofowie: w Anglii Locke, we Francyi Montaigne, Fenelon i Rollin. Fenelon domaga się tak zaniedbanego kształcenia dziewcząt; Rollin

---

(1) Np. *Didactica. Opera didactica. Informatorium szkoly materzske* i inne.

zaś głosi, że cel oświaty nie powinien się zasadzać na nauce języka łacińskiego i greckiego, bo to jest tylko jednym ze środków kształcenia. Zadaniem zaś nauczycieli główném powinno być wskazanie uczniom drogi, którą postępować mają, aby się uzdolnili do tych celów życiowych, do jakich powołała ich Opatrzność. Dlatego też Rollin, czując całą ważność języka rodzinnego, żąda przedewszystkiém nauki francuzkiego. Mimo to jednak dłoń klassycznéj przeszłości tak silnie ciążyła nad społeczeństwem, iż jeszcze w roku 1763 dekret wystosowany do kollegiów surowo zabrania mówić po francuzku w klassach. Zatém prace tych pedagogów nie wywierały znacznego wpływu na społeczeństwo, w którém nie znalazły jeszcze odpowiednio przygotowanego gruntu dla siebie; nie wywołały też odnośnéj ku temu działalności państwa. Ciężka to była jeszcze walka z wyłączną przewagą klassycznego kierunku w oświacie. Więcéj wpływu wywarli następujący po nich filozofowie-pedagogowie, którzy idąc ręka w rękę z ówczesném społeczeństwem pragnącém nowego kierunku sprzecznego ze wszystkiém, co istnieje, pragnęli także nowemi metodami kształcenia i wychowania zapewnić szczęście ludzkości, szarpanéj tylu klęskami. Celu tego starali się dopiąć odwróceniem umysłów od tradycyi, a zwróceniem do pierwobytu, do natury. Opinia społeczna poczęła upatrywać w pedagogice ochronę od nieszczęść i nędz, polepszenie doli człowieczéj.

Jan Jakób Rousseau, autor „Emila,“ jeden z najwydatniejszych pedagogów ówczesnych, dając w swém dziele wzór wychowania, pragnie uchylić człowieka od wszelkiego wpływu społeczno-religijnego, uwolnić go od wszelkich zewnętrznych ograniczeń, przesądów i urządzeń społecznych, a natomiast chce go cofnąć do pierwiastków wytkniętych samą przyrodą. Pogląd ten Rousseau'a z jednéj strony fałszywy, jako zaprzeczający wszelkiéj kultury, gdyż nie można sobie wyobrazić człowieka wolnego od wpływów społecznego życia, z którém się nic łączyć nie może, — z drugiéj jednak strony genialnemi, świetnemi rysami, uderzającemi silnie w zło istniejące, stanowczy cios zadaje staréj, mechanicznéj rutynie wychowania i wzbudza w społeczeństwie żądzę odpowiedniejszéj metody kształcenia młodzieży, metody, któraby już nie przysięgała *in verba magistri*.

Dla Niemiec podobnie wpływową działalność rozwija inny pedagog Basedow. Założył on w Dessau 1774 roku, zatém już po ustanowieniu u nas izby edukacyjnéj, szkołę filantropijną z celem dostarczania uczniom ogólnie ludzkiego, humanitarnego wykształcenia. Uczniowie téj szkoły mieli się przedewszystkiém poczuć

ludźmi i kochać się wzajemnie bez względu na różnicę wyznania, narodowości i stanu. Prócz tego w szkole swéj o charakterze głównie praktycznym, on pierwszy zwrócił uwagę na rozwój fizyczny człowieka; uczniowie jego zachować musieli prostotę w odzieży, pokarmach, a siłę fizyczną rozwijali za pomocą odpowiednich ćwiczeń, jakich wzór podali nam Grecy przez tyle wieków zapomniani w tym względzie. Zaprowadziwszy metodę lepszą rozwijającą ducha uczniów, i wydawszy przytém odpowiednie książki elementarne, Basedow umiejący zainteresować osoby wpływowe oświatą ludową, wyświadczył dla wychowywania ludu rzeczywiście wiele dobrego. Co większa, działalność jego stworzyła literaturę pedagogiczną, która odtąd poważnie się poczęła zajmować sprawą oświaty.

Okres ten dziejowy, który wywołał i w Polsce reformatorów oświaty oraz twórców pedagogiki elementarnéj, w Niemczech uwydatnia się jeszcze ważném dziełem Henryka Stefaniego p. n. *Grundriss der Staatserziehungswissenschaft* z 1797 roku, w którém się mieszczą nowe pojęcia o szkole elementarnéj. Żąda w niém autor, aby nietylko kościół, ale i państwo szczerze się zajęło oświatą ludową, pojmując, że państwo zajmujące się poprawą bytu socyalnego i politycznego w narodzie, powinno się przedewszystkiém zwrócić ku poprawie, oświeceniu pojedynczego człowieka i ku jego wykształceniu. Pojęcie to po raz pierwszy przez władzę uznane zostało w Berlinie 1799 r., a to w relacyi nadkonsystorza, wypowiadającéj zdanie, że szkoła elementarna nie jest urządzeniem kościelném, lecz państwowém.

Obudzony duch ludzki wywołać zdołał wreszcie przekonanie, że nauki nie osięgną celu zamierzonego, jeżeli zdobyczy swoich nie zastosują do powszechnego użytku. Społeczność pojmująca już jaśniéj swe cele zrozumiała, że traci prawo karania występku, jeżeli przez oświatę i wychowanie nie zapobiegnie jego objawom. Oba te czynniki zmierzają statecznie ku temu, żeby czyny, sposób myślenia jednostki wprowadzić w harmonią z potrzebami społeczności; oba zapobiegają karzącéj surowości prawa. W imię też tych poglądów szerzących się w ogóle, liczba zakładów pedagogicznych znacznie się ku końcowi XVIII wieku na zachodzie Europy zwiększyła.

Zjawia się między innymi na początku obecnego stulecia sumienny duszy dziatek badacz, Pestalozzi, który naprzód w posiadłości swéj Neuhof pod Zurychem kilkadziesiąt nieszczęśliwych, ubogich dzieci zgromadził i stał się ich nauczycielem, sługą. Następnie po różnych miejscach Szwajcaryi pozakładał szkółki, z któ-

rych główniejsza była w Iverdenie. Pestalozzi dostrzegł, że nauka pozbawiona zmysłowéj podstawy, w umyśle pacholęcia nie łatwo się przyjmuje. Przedstawia zatém dziecku, tak jak poprzednik jego Komeński, przedmiot sam lub zarys jego w obrazie, aby jasnego o rzeczach nabierało wyobrażenia, aby nauką tém chętniéj się zajmowało i do samodzielności w niéj się zachęcało. Chciał, aby uczeń rozwijając w sobie siłę myślącą, niezależny sąd o rzeczy, bezwzględnie to czynił od sposobu pojmowania nauczyciela i aby wiadomości swoje opierał na poznaniu głównych i istotnych części przedmiotu. Chciał przeto, aby nauczyciela kształcił, że tak powiem, uczeń i nawzajem mu udzielał popędu, aby nauka kojarzyła się z czynem, aby władze fizyczne, umysłowe i moralne dziecka rozwijały się harmonijnie. Z natury rzeczy Pestalozzi był przeciwnikiem naśladowców Basedowa, zmierzających tylko do praktycznych celów życia i mniemających, że dla szczęścia człowieka dosyć jest wzbogacić pamięć i umysł jego mnogością wiadomości, nauk realnych, języków, bez względu na wewnętrzny, samodzielny rozwój i harmonią wszystkich zdolności ludzkich.

Ideał wychowawczy Pestalozzego wywołał wielu naśladowców, którzy rozwijali zmieniali i poprawiali jego metodę; należą do ich liczby: Fichte, Herder, Stefani, Schwartz, Bell, Lancaster, Herbart, Froebel.

Kształcić lud do moralności więcéj niż do nauki metodą przystępną dla wszystkich i niekosztowną: taki cel założył sobie słynny angielski pedagog Lancaster, około 1798 roku. Tknięty niedolą ludu angielskiego usposobił on naprzód kilku pojętniejszych uczniów w przedmiotach elementarnych tak, że pod jego okiem w 8-miu oddziałach szkoły ze skutkiem drugich uczyć byli w stanie, począwszy od poznania liter, a kończąc na dziejach narodów, historyi naturalnéj, geografii, technologii. Już Bell, ksiądz anglikański dostrzegłszy, iż można uczyć dzieci za pomocą samychże dzieci, założył szkołę w Madrasie w Indyach Wschodnich. Lancaster nie wiedząc o tém, sam zaprowadził metodę wzajemnego nauczania, metodę mechaniczną, którą dzieci uczą jedno drugie, a pilniejsi są dyrektorami czyli monitorami pod kierunkiem nauczyciela, który raczéj był ich dozorcą. Żądał przytém połowy tylko zapłaty przyjętéj po innych szkółkach; oszczędzając wydatków na książki, miał tylko jeden egzemplarz tablic zawieszonych na ścianie, które kazał przepisywać bądź na piasku palcem, bądź na łupkowéj tabliczce rysikiem. Za pomocą subskrypcyi urządził potém szkoły bezpłatne, i każdy się dziwił, że jeden człowiek wystarczyć zdoła dla tysiąca uczniów. Ale ponieważ był kwakrem i przyj-

mował łącznie uczniów płci obojéj, prześladowany przez duchowieństwo anglikańskie jako innowierca, cały oddany swemu przedmiotowi żył w nędzy i umarł, jak powiadają, z głodu w Ameryce północnéj, podczas gdy popierany przez toż duchowieństwo Bell umierając, zostawił milionowy majątek. Metoda Bell-Lancastra wywołała do dzisiaj przeszło 15,000 zakładów w Anglii, Indyach Zachodnich i w Nowéj Hollandyi. Metoda ta machinalna, zasadzająca się na wojskowéj prawie grozie i fabrycznéj punktualności w celu utrzymania uczniów w karności, przydatną się staje głównie w krajach zaniedbanych pod względem oświaty ludowéj. Zdobią ją zalety, iż obudza współzawodnictwo uczących się, zaprawia ich do porządku, ścisłego posłuszeństwa, baczności—a uczeń przerwawszy dla choroby lub innych okoliczności lekcye, w każdéj chwili uzdolnieniu swojemu odpowiednią znajdzie klassę.

Lecz metoda ta potrzebuje wszędy odpowiedniego zastosowania; używa też starego syllabizowania, jak wszystkie do ostatnich niemal czasów elementarne wykłady.

Przybranie metody Lancastra w szaty miejscowe zostało urzeczywistnione w ziemi Sanockiéj przez X. Jędrzeja Czyki rodem Węgra, plebana we wsi Równe. Wezwał naprzód zacny ten naśladowca angielskiego kwakra gospodarzy wiejskich do siebie takich, którzy umieli już czytać, i polecił im, aby nauczyli abecadła dzieci, które elementarzami opatrzył. Taki sam obowiązek włożył na organistę i domowników swoich, których poprzednio sam czytać nauczył. Gromadzie polecił czuwać nad wykonaniem swego zlecenia. W tydzień potém kilku gospodarzy przywiodło do niego swoje dzieci z oznajmieniem, że abecadło umieją. Czcigodny kapłan udarował za to dziatki obrazkami i następnéj niedzieli w kościele o tém powiedział. W końcu roku 43 uczniów już płynnie czytało; wszyscy inni syllabizowali. Tych czterdziestu trzech mianował swymi pomocnikami i kazał im uczyć dzieci sąsiadów; samych zaś stawił pod dozór 12-u uczciwych gospodarzy, przed którymi pomocnicy z powierzonymi im uczniami co tydzień popisywać się musieli. Z pomiędzy tych znowu wybrano 20-u najzdolniejszych, którzy z postępów swoich przed plebanem co tydzień egzamin składali. Następowały nagrody i publiczne pochwały, a liczba uczniów z każdym rokiem wzrastała. Słońce zaiste nad polami Równego weseléj świecić musiało, spoglądając z błękitów na dzieci, które z książeczkami w ręku za bydełkiem chodziły...

IV.

Poświęciwszy w rzeczy niniejszéj ustęp działalności tchnących ludzkością pedagogów, usprawiedliwiam to postąpienie łącznością wszystkich czynników na drodze oświaty w ogóle, a w szczególności ludowéj. Czyż zresztą można zrozumieć dzieje obranego w wykładzie przedmiotu bez jednoczesnego ich połączenia ze sprawcami lub pobudzicielami faktów? Otoż skreśliwszy w krótkości ogólny bieg i postępy oświaty, przyszliśmy do przekonania, że wreszcie na równi z uczoną pedagogów działalnością wychyla się w XVIII wieku, w części pod jéj wpływem działalność państwowa i społeczna, zmierzająca ku poprawie szkół początkowych ludowych. Zwracając rzecz szczegółowiéj do różnych krajów, powiem, iż w czasach owych mnożą się szkółki w Austryi, Niemczech i w Polsce, gdzie one nietylko się zakładają po parafiach, ale i po wsiach kościelnych, w których stają się przynależnością gminy. Już w początkach zeszłego stulecia w Hessyi, Wirtembergu, Saxonii, Prussiech rządy wydają polecenia *obowiązkowego* uczęszczania do szkół elementarnych. W Austryi Marya Teressa zaprowadza szkółki w każdéj gminie, w których polecono uczyć i gospodarstwa wiejskiego, a słynny pedagog Kindermann na wezwanie monarchini zaprowadza w Czechach po raz pierwszy szkoły rzemieślniczo-gospodarskie z wykładami jednéj z gałęzi gospodarstwa wiejskiego, ogrodnictwa lub rzemiosł, i przez to wyświadcza tam niezmierną przysługę oświacie ludowéj. Tu i owdzie też państwa urządzając nadzorcze nad szkołami władze, zwracają zarazem uwagę na *przygotowanie odpowiednich nauczycieli;* pierwsze seminaryum nauczycielskie założono w Berlinie przy szkole realnéj 1748 roku; w ślad za niém pojawiły się inne w krajach niemieckich i gdzieindziéj.

Stan szkoły elementarnéj wraz z jéj urządzeniem zaczął się zwolna od końca zeszłego wieku polepszać, lecz wiele jeszcze można było żądać na tém polu. Włościanie zawiśli we wszystkiém od klass wyższych społeczeństwa, widząc przytém nieodpowiadających z małym wyjątkiem swemu powołaniu nauczycieli, oraz smutny jeszcze stan zewnętrzny i pomieszczenie szkoły, z niechęcią i nieufnością, nawet w Niemczech, spoglądali na zakłady naukowe, i to tém więcéj, iż się obawiali, aby w miarę ulepszenia szkół większe ich nie ciążyły podatki. Stan ten bez wyjścia mógł się tylko skończyć z chwilą usamowolnienia włościan i nadania temu

stanowi praw obywatelskich i politycznych. Przewrot ten dokonał się dopiero w obecném stuleciu pod wpływem donośnych przeobrażeń społecznych i rewolucyi francuzkiéj. Okoliczność ta objaśnia nas należycie, dlaczego oświata ludowa nietylko w Niemczech, ale we Francyi i innych krajach Europy poczęła się istotnie rozwijać dopiero wtedy, kiedy stan włościański nabrał znaczenia, kiedy otrzymał należne mu prawa; wtedy bowiem oświata stała się dostępną każdemu. Dodamy tutaj, iż pomimo postępów w ogóle oświaty ludowéj w Austryi, na 100 obowiązanych chodzi rzeczywiście dopiero 45 dzieci, a na każdą szkołę wypada więcéj niż 523 dzieci. W Galicyi liczącéj z górą 5½ miliona mieszkańców, wypada jedna szkoła ludowa czynna na 2,240 mieszkańców. Było też jeszcze według urzędowych z r. 1874 sprawozdań przeszło 2,000 gmin, które nie miały szkół u siebie. Rada szkolna galicyjska jednak ważne wciąż czyni usiłowania ku wzmożeniu oświaty ludowéj.

We Francyi, skutkiem wczesnego wzmożenia się władzy państwowéj, już za Henryka Walezyusza wszystkie prawie świeckie zakłady naukowe zależały od władzy królewskiéj; lecz oświata ludu nie zwracała tam jeszcze wtedy wcale, jak prawie powszechnie, na siebie uwagi tak ze strony państwa, jak i społeczeństwa, którego usposobienie sprzeciwiało się jeszcze objawom swobody duchowéj i wolności sumienia. Henryk IV zajął się już więcéj średniemi zakładami naukowemi; lecz szkółki parafialne *petites écoles*, od XIV w. rozwinąć się tam nie były w stanie. W końcu XVI w. niektóre zakony zajęły się kształceniem dzieci płci obojéj z niższych warstw ludowych; pomimo to szkoła ludowa we Francyi jeszcze w XVIII stuleciu znajdowała się w położeniu nie do zazdrości. Rewolucya nawet z roku 1789 oświatę ludu opatrzyła dopiero projektami bez wykonania. Projekt Talleyrand'a z roku 1791 jakkolwiek ma na oku i szkoły ludowe, lecz nie czyni obowiązkowém uczęszczania do nich; dopiero dekret konwencyi z roku 1792 dozwala uczyć każdemu, ale według elementarzy zatwierdzonych przez rząd, i stanowi kary na rodziców nieposyłających dzieci do szkoły elementarnéj. Lecz od teoryi do praktyki w tych rzeczach było jeszcze nieblizko. Napoleon tworząc w roku 1808 tak nazwany *Université de France* pod zarządem *Grand maître'a*, objął w nim także szkoły początkowe i wszelkie zakłady naukowe oddał całkiem w ręce państwa, mającego w tym względzie zupełny monopol. Mimo to szkoła początkowa nie mogła się tam rozwinąć; społeczeństwo do roku 1830 dość jeszcze obojętnie patrzało na nią, państwo też niewiele jeszcze o niéj myślało, a nie pozwalało z drugiéj strony prywatnym osobom zakładać szkoły. Od roku 1824 to

jest od chwili połączenia ministerstwa oświaty z ministerstwem do spraw duchownych za restauracyi, tylko biskupi mieli prawo udzielać pozwolenia na otwieranie szkół ludowych. Korporacyom zaś religijnym i duchowieństwu dozwolono nauczać i do woli zakładać szkoły z przywilejem niepodlegania urzędowéj metodzie uczenia; proste *lettre d'obédience*, dawało prawo nauki i żądania subsydyów od rządu i departamentu. W roku 1830, kiedy wydano prawo zakładania szkółek wszędzie, na koszt gminy, w liczbie 38,623 gmin, tylko w 14.000 znajdowały się szkółki ludowe; lecz i te, mimo zasiłku rządowego 300,000 franków, jako przeważnie przez gminy utrzymywane, znajdowały się w bardzo nędznym stanie. Otwierane były tylko w zimie, a nauczyciele nie mogąc się utrzymać z płac dostarczanych przez gminy, musieli dla chleba dodatkowo zajmować się szewctwem, krawiectwem i t. p.; nauczycielami też bywali i szynkarze, a nawet galernicy, jak Juliusz Simon powiada. Dzieci zaś mieściły się razem z rodziną nauczyciela i jego trzodą.

Nareszcie w 1833 r. za staraniem Guizot'a, Cousin'a i pod wpływem urządzeń niemieckich, wydano ważne dla oświaty ludowéj zasadnicze dotąd prawo wraz z uzupełniającemi je przepisami z roku 1854; prawa te ustanowiły egzamina nauczycielskie, zreformowały warunki hygieniczne szkół, zwiększyły płace nauczycielskie. Gdy gmina nie jest w stanie zaradzić potrzebom szkółki, to pomoc zapewnia departament; pozwolono też każdemu, otrzymującemu patent nauczycielski swobodnie zakładać szkółki z dozwoleniem wyboru elementarzy i metody nauczania; przytém jedynie wyrok sądowy może tam, podobnie jak w niektórych krajach na Zachodzie Europy, odjąć nauczycielowi prawo uczenia. Dziś dozór nad szkółkami początkowemi we Francyi ma prefekt i rada departamentalna, zaś dozór bliższy, miejscowy i wpływ moralny na szkołę powierzono merowi, proboszczowi lub pełnomocnikowi gminy żydowskiéj, stosownie do miejscowéj ludności. Słowem, administracya ma tam zupełną swobodę działania, nie pozbawiając się zarazem i światłego współudziału społeczeństwa. którego w tym punkcie wyrazem jest rada departamentalna. Jak więc widzimy, sprawa oświaty ludowéj szybkie we Francyi ostatniemi czasy uczyniła postępy; mimo to jednak brak tam jeszcze 8,000 szkółek na tyleż gmin, a w roku 1863 cały milion dzieci nie uczęszczał jeszcze do szkoły. Nic dziwnego; we Francyi bowiem do lat ostatnich na 38 z górą milionów ludności, tyleż prawie tylko milionów (nie licząc osad) wydaje się w celach oświaty ludowéj, kiedy w Stanach Zjednoczonych Ameryki na takąż blizko ludność rząd wyznacza

dla kształcenia ludu do 160 milionów franków (1). W roku zeszłym dozwolono duchowieństwu zakładać uniwersytety katolickie bez kontrolli rządowéj. Dziś w stale republikańskiéj Francyi donośne patryotyczne nawoływania Gambetty pomieściły sprawę oświaty ludowéj wśród najważniejszych i najpilniejszych zadań krajowych. Chodzi o zniesienie przywilejów duchowieństwa, religijnych korporacyi na rzecz wolnego nauczania wedle prawa 1874 r., a nadto o poddanie uniwersytetu katolickiego pod kontrollę państwa, oraz wyznaczanie wszędy do szkół nauczycieli tylko z ramienia rządu, a więc wykwalifikowanych na mocy examinu. Obok tego b. dyktator, głoszący szacunek zewnętrzny dla wszelkich wyznań i poważanie dla stanu duchownego, żąda w celach odrodzenia Francyi, iżby przystąpiono wreszcie do wprowadzenia w życie *obowiązkowéj* i bezpłatnéj nauki elementarnéj i pomnożenie szkółek ludowych. Francyą znacznie wyprzedziły Niemcy, Szwajcarya, Belgia, Szwecya, Anglia i Włochy nawet, a Prussy widząc już hojne owoce tego prawa u siebie, przekonały się, iż naród przez obowiązek uczenia się nabrał już dostatecznego przekonania, iż nadal żyć bez nauki nie może.

Społeczność angielska pocieszający przedstawia obraz we względzie działalności dla oświaty ludowéj; tylko w Anglii saméj cały system wychowania elementarnego wypłynął z łona społeczności, ze stowarzyszeń prywatnych, i rozwinął się odpowiednio do tych warunków i zasad, które odegrały stanowczą rolę w rozwoju samego społeczeństwa. Przyznana prawem swoboda każdéj jednostki doprowadziła do tego, że troska o kształcenie każdego człowieka zostawiona była jemu samemu, jego własnym usiłowaniom. Przedewszystkiém klassy wyższe, arystokratyczne, politycznie wyształcone wysoko, pełne dobrych chęci dla ogólnego dobra i chwały, bardzo się przyłożyły do wzrostu oświaty w narodzie. Pozakładane przez nie szkoły wyższe i średnie, w średnich wiekach jeszcze, istnieją dotychczas. Oprócz tego Anglia w sprawie ludowéj oświaty wiele także winna i kościołowi; wspomnimy tu jeden przykład w tym względzie. Niejaki Robert Raikes, duchowny, pierwszy dał w zeszłém stuleciu początek *szkółkom niedzielnym*; zbierając próżnujące dzieci do kościoła co niedziela po

---

(1) Ob. broszurkę Dra Wład. Miłkowskiego (Kraków 1875); cyfry te oparte na dziełach: *Beer A. und Hochegger Fr.*, Die Fortschritte des Unterrichtswesens in den Cultur-Staaten Europas. Wien 1867,—i *Hippeau*, Wychowanie publiczne w Ameryce Północnéj, z francuzkiego przez Wład. Bełzę. Warszawa 1874,—oraz *Haushofer M. Dr.* Lehr—und Handbuch der Statistik, Wien 1872.

południu, udzielał im nauk elementarnych. Dziś liczba uczniów szkół niedzielnych istniejących przy kościołach do 3-ch milionów dochodzi. Działalność Raikes'a i głos jego gazety szkoły niedzielne oddały w ręce stowarzyszeń odpowiednich i osób bogatych; poczęto wydawać dla nich pisma, podręczniki, składano fundusze na przygotowanie odpowiednich nauczycieli. Dziś twierdzą Anglicy, że szkółkom niedzielnym należy się zasługa odwrócenia od Anglii pokus do socyalnych przewrotów, a to dzięki skutkom i zajęciom, jakich owe szkółki dostarczyły proletaryatowi.

Znani nam Lancaster i Bell, obaj duchowni, byli założycielami szkolnych stowarzyszeń na początku bieżącego stulecia; każdy z nich do odnośnego stowarzyszenia wprowadził metodę wzajemnego nauczania; lecz pierwszy z nich położył w wykładach szkolnych zasadę ogólnie chrześciańską tolerancyi religijnéj, pozostawiając stosowanie ich do téj lub owéj religii, nauce domowéj lub kościelnéj; drugi przeciwnie, żądał kształcenia zastosowanego do panującéj, anglikańskiéj religii. Mimo szkodliwych sporów tych dwóch stowarzyszeń, wynikły z nich skutki położenia szerokich podstaw dla oświaty ludowéj, o któréj też dopiero od téj pory można było mówić w Anglii, jako o przedmiocie nader dla społeczeństwa ważnym. Działalność bowiem innego stowarzyszenia, dla nauki chrześcian powstałego jeszcze w 1697 r., ten w każdym razie zbawienny, lecz niezbyt świetny miała skutek, iż wynikiem jéj do połowy XVIII wieku było założenie 1,600 szkółek zaledwie na całą Anglią.

Pomijając inne stowarzyszenia angielskie pracujące w celach oświaty, nadmienię tylko, iż istnienie ich było wypływem podejrzenia i nieufności, z jaką zawsze w Anglii spoglądano na mieszanie się państwa w sprawy społeczne. Lecz w Anglii, gdzie machiny zastępują siłę blizko miliona koni, czyli przeszło trzech milionów ludzi, i pociągają miliony rąk do rękodzielniczych i mechanicznych zatrudnień, wielkie mnóstwo dzieci roboczych pracując od lat wczesnych fizycznie, traciło po fabrykach zdrowie, nabywało narowów niemoralnych i rosło w zupełnéj ciemnocie. Rząd przeto, w skutku nacisku opinii publicznéj, musiał się wmieszać w sprawy fabrycznego i miejskiego proletaryatu; zabronił więc na wniosek Roberta Peela w świeższych już czasach nadmiernéj pracy dzieci, oznaczając dla nich liczbę godzin, i polecił zaprowadzić przy każdéj fabryce szkołę dla tychże. Przyczém wziął na uwagę stan biedny mnóstwa gmin wiejskich, niebędących w możności utrzymywania szkoły, zważając, iż potęga i wzmocnienie się Anglii

zależy najwięcéj od stopnia oświaty przenikającéj do ludu, że postęp kultury współczesnéj głównie trzeba przypisać kształceniu ducha ludzkiego, który wszędzie i zawsze ku udoskonaleniu się nieustannie dąży. Zatwierdzono zatém bill wniesiony w parlamencie przez lorda Russell, na mocy którego rząd daje zasiłki pieniężne tym tylko szkołom i gminom, które poddadzą się dobrowolnie nadzorowi ze strony komitetu oświaty. W r. 1856 z rozkazu królowéj komitet przekształcono na departament oświaty, którego oddział jeden utrzymywał władzę nad szkołami elementarnemi, a drugi był obowiązany podnosić nauki i sztuki. Na cele te wyznaczono 800,000 funtów sterlingów pieniężnego zasiłku. Następne rozporządzenia rządowe dążą wciąż do polepszenia systemu szkolnego. W ogóle w czasach ostatnich baczność narodu ze szczególną troskliwością poczęła śledzić sprawę oświaty ludowéj, żądając postępowych ulepszeń więcéj odpowiednich duchowi czasu i potrzebom społecznym. Uznano w Anglii, że państwo uchylać się nie może od współudziału w oświacie ludowéj, obok pozostawienia swobody dla społeczeństwa we względzie zakładania szkół i wyboru dydaktycznych metod. Państwo bowiem, jak powiada A. Okolski, przyrównać można do pryzmatu, który z jednéj strony przyjmuje promienie światła od społeczeństwa, a z drugiéj odbija takowe w zmienionym poniekąd kształcie. Słusznie także powiada Mill, że państwo powinno się mieszać w pewnym stopniu do oświaty ludowéj dla pożytku i postępu samegoż społeczeństwa, a udział, jaki państwo okazuje w téj sprawie, uważać należy za *criterium*, według którego można dobre państwo poznać. Lecz jak dalece jeszcze wiele jest do zdziałania i w Anglii dla oświaty ludowéj, dość tu wspomnieć, że w r. 1872 na blizko czteromilionową ludność Londynu, 100,000 jeszcze dzieci nie uczęszczało tam do szkół ludowych, dla których zamierzano dopiero budować szkoły, a cały milion pacholąt w krajach W. Brytanii pozbawiony był nauki i wszelkiéj oświaty.

Na równi prawie ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki i Szwajcaryą pod względem oświaty ludowéj stoi Szwecya; wychowanie jéj publiczne urządzone bardzo dobrze. Kraina ta w $^2/_3$-ch zajęta skałami, jeziorami i wiecznemi na wielu z nich lodami, oddawna umiała zastąpić brak światła i ciepła słonecznego światłem duchowém. Na 4.200,000 mieszkańców z górą, posiada 4 uniwersytety, szkoły specyalne: rękodzielniczą, techniczną, leśniczą i ogrodniczą, przemysłową, górniczą; szkoły: sztuk pięknych, muzyczną, wojskowe i marynarską. Posiada muzea i biblioteki dość liczne, akademie: umiejętności, historyi i starożytności, jako też od roku 1786

instytut na wzór francuzkiego, składający się z 18 członków, których głównem zadaniem między innemi jest pielęgnowanie czystości języka. Według prawa z r. 1860 znajdowało się w Szwecyi 1,100 szkół ludowych i około 400 wędrownych nauczycieli, zanoszących naukę w najodleglejsze strony kraju. Najczęściéj włościanie sami tam udzielają nauki czytania i katechizmu dzieciom. Wszyscy bowiem umieją czytać, znają historyą świętą, a większa część umie pisać i rachować. Oprócz szkół parafialnych znajduje się jeszcze znaczna liczba szkół średnich i 12 gimnazyów (1). Jak więc widzimy, ojczyzna Linneusza w zakresie oświaty zajmuje niepospolite miejsce śród rodziny ludów europejskich; niektórym nawet we względzie praw konstytucyjnych przodować może. Od niepamiętnych bowiem czasów Szwecya posiada samorząd gminy, któréj zupełną wolność nadała; włościanie jéj na równi z innemi stanami, jako deputowani do izby właściwéj, są prawodawcami, stanowiącymi podatki i budżet państwa.

W Szwajcaryi, téj krainie demokratów, gdzie się wyrzeczono wszelkich przydomków szlacheckich, od r. 1830 dzielnie się rozwinęła oświata ludowa. Na ludność przeszło 2,600,000 Rzeczpospolita Szwajcarska posiada 3 uniwersytety, 3 akademie, szkołę politechniczną wzorową, wiele gimnazyów, a szkół ludowych może nigdzie tyle nie ma co w téj krainie. Wszechwładztwo ludowe idzie tu w parze z oświatą. Stosunkowo też w budżecie swym wyższą ma cyfrę wydatków na szkoły niż każde inne państwo europejskie.

Nie tak świetny obraz jak ojczyzna Pestalozzego przedstawiają Włochy, które dopiero w ostatnich czasach zdobywają się, po długiém uśpieniu, na prace i środki w kierunku oświaty ludowéj. Włochom, jako spadkobiercom najbliższym klassycznéj przeszłości, i najpierw opromienionym światłem Chrystusowéj nauki, a dziś tak szczęśliwie zjednoczonym politycznie, łatwiéj może niż innym narodom przychodzi budować wspaniały gmach oświaty, nad którym pomimo klęsk tylu i odrętwienia długoletniego, przecież wspomnienia przodownictwa umysłowego jaśniały. W szeregu świetnego zastępu uczonych i poetów włoskich już w 13 wieku znajdują się historycy, poeci i tłómacze piszący niekiedy po mistrzowsku w języku rodzinnym; najdawniejszym z prozaików włoskich jest św. Franciszek z Assyżu, w 13 stuleciu opiewający pochwałę Boga prozą rytmiczną. O znaczeniu i wpływie na lite-

(1) Według *Encyklopedyi Powszechnéj* większéj.

raturę miejscową znakomitych klassyków włoskich wspomniałem już poprzednio. Pomimo jednak wielkich zasobów nauki i wiedzy wybujałéj na gruncie rodzinnym, oświata uzdolnionego w ogóle ludu na nizkiéj jeszcze pozostaje stopie. Z liczby ludności starszéj nad 5 lat wieku, która w r. 1861 wynosiła blizko 19 milionów dusz, tylko 3,879,000 umiało czytać i pisać, a 886,000 osób tylko czytać; reszta zaś bez żadnéj była nauki szkolnéj (1). Najdaléj posunęła się oświata w Piemoncie i Lombardyi. Dziś przy obowiązkowéj nauce szkolnéj stosunek ten się już polepszył; koszta jednak utrzymania szkółek ludowych ciążą wyłącznie na gminach. W r. 1863 liczono, prócz Wenecyi, 29,422 szkół publicznych i prywatnych, a oprócz tego było jeszcze 2,803 szkół niedzielnych i wieczornych i 73 szkół normalnych do kształcenia nauczycieli Wyższa oświata przedstawia lepsze warunki bytu: na milion ludności jeden przypada uniwersytet.

W Rossyi troskliwość państwa o rozszerzenie w ogóle nauk poczęła się głównie od czasu wejścia jéj w bliższe stosunki z zachodnią Europą, w końcu 17 i na początku 18 stulecia. Troskliwość ta, jak to miało miejsce niegdyś mniéj więcéj i na zachodzie Europy, ściągała się zrazu do dążenia w ukształceniu klass wyższych narodu. Państwa powoli dopiero doszły do przeświadczenia, że im naród jest ukształceńszy, tém bogatszym się staje, tém więcéj może dostarczyć temuż państwu środków materyalnych,—że wyższy stopień ukształcenia prostego nawet żołnierza może czasami roztrzygnąć los bitwy. Panowanie Piotra W. sprawie oświaty krajowéj znaczne wyświadczyło usługi; monarcha ten poleca zakładać szkoły wyższe, średnie, a nawet i parafialne, acz jeszcze po większéj części z nauczycielami zagranicznymi; a choć następnie w r. 1782 komissya do spraw oświaty ustanowiona, poleciła magistratom zakładać szkoły po miastach, lecz gdy ówczesne społeczeństwo nie czuło jeszcze konieczności oświaty, zatém często się zdarzało, iż tak zwane dumy miejskie występowały nawet z projektami zamknięcia tych szkół, które już istniały. Do ostatnich czasów społeczeństwo patrzało obojętnie na szkołę; i nic dziwnego, wymagano bowiem od niego tylko pieniędzy na utrzymanie szkół i nauczycieli, a zresztą usunięte bylo od zarządu szkolnego. Dlatego też, jak powiada uczony ekonomista rossyjski Korniłów, społeczeństwo patrzało na szkołę, jak na inne zakłady rządowe—na szpital lub więzienie, bo krom dostarczania funduszu

(1) Encykl. Powszechna większa.

odpowiedniego nie miało udziału w oświacie (1). W sprawie téj oprócz duchowieństwa i różnych władz rządowych zakładających w ostatnich latach szkółki parafialne, najwięcéj przysłużyło się ministerstwo dóbr rządowych, stanowiąc szkółki elementarne po wsiach dla włościan rządowych i obmyślając dla nich lepsze niż w innych szkółkach fundusze. Ono także zwróciło pierwsze uwagę i na kształcenie wiejskich dziewcząt. W r. 1860 pierwsza duma miejska w S.-Petersburgu założyła szkółki niedzielne. Mimo to jednak do ostatnich chwil stan oświaty ludowéj miernie się jeszcze przedstawiał.

Na Rusi kijowskiéj wprawdzie jeszcze za pierwszych wielkich książąt powstawać zaczęły z ich rozkazu szkoły parafialne i klasztorne, a w narodzie poczęła już kiełkować szersza nieco oświata przeważnie w duchu religijno-kościelnym; lecz napad i utrzymanie się Mongołów przez 2 wieki zagłuszyły te zarody umysłowego życia, które się uwydatniało w pamiętnikach kościelnych, kronikach i poniekąd w poematach historycznych.

Lecz najważniejszym faktem, który wywarł wpływ ogromny nietylko na wszystkie społeczne stosunki, ale i na oświatę w Rossyi, stało się niedawno spełnione *usamowolnienie włościan.* Fakt ten ważny, który jeszcze się nie da dzisiaj w całéj pełni ocenić, spowodował nowe formy bytu społecznego, a w liczbie ich mieszczą się i środki dotyczące kształcenia ludu; odtąd bowiem powołany do życia politycznego stan włościański, jako swobodny, mający samorząd gminny, na żaden sposób w ciemnocie pozostać nie może. Przyłączyło się do tego faktu i wprowadzenie zarządów ziemskich w Cesarstwie, w skutek czego społeczeństwo między innemi dostąpiło możności zajmowania się samodzielnie swoją oświatą. Ukaz najwyższy wraz z dalszemi rozporządzeniami rządowemi określającemi udział gmin w Cesarstwie w rzeczach własnéj ich oświaty, pozwala zarazem ziemstwom swobodnie zakładać po wsiach szkółki, obmyślać środki ich utrzymania, wyszukiwać odpowiednich nauczycieli, opłacać i uwalniać ich przy współudziale rad szkolnych. Rząd ma nadzór ogólny nad wszystkiemi tak ziemskiemi, jako też zakładanemi przez duchowieństwo i właściwemi rządowemi szkółkami. W Rossyi 1871 r. ustanowiono 5 seminaryów nauczycielskich w miejsce istniejących poprzednio w pięciu okręgach naukowych tylużkursów pedagogicznych;

(1) A. Okolski. Ob Otnoszenii Gosudarstwa k' narodnomu obrazowaniju. St-Petersburg 1872 r.

w tymże roku 1871 przecięciowo jedna szkoła ludowa przypadała na 3,100 mieszkańców (1).

Sięgając jeszcze w krótkości do szczegółowego rozwoju oświaty ludowéj, przytoczę, iż wprowadzenie do Polski wiary katolickiéj wraz z kapłaństwem cudzoziemskiém z Czech i Niemiec wpłynąć musiało z natury rzeczy na znaczne zaniedbanie krajowego języka i rozwój kiełkującéj już rodziméj literatury Jak bowiem na całym zachodzie Europy, tak i tutaj język łaciński stał się łącznikiem pomiędzy uczonymi z całego świata i był głównym przedmiotem wychowania, obok nauki nowéj wiary. Ale też z drugiéj strony, duchowieństwo i tu wpłynęło wiele na ogólną cywilizacyą, którą wraz z religią przyniosło z Zachodu. Zakon Benedyktynów ze swemi klasztorami w Międzyrzecu, Tyńcu, Sieciechowie i na Łyséj-Górze, a następnie w Mogilnie i Płocku, od najpierwszych prawie chwil chrześciaństwa w Polsce zakłada szkoły przy swych klasztorach, uczy gospodarstwa, karczuje lasy, osusza bagna; w czém mu pomogły następnie klasztory Cystersów, będących odmianą zakonu Benedyktynów ściślejszéj reguły. Duchowieństwo w ogóle przy kościołach katedralnych a nawet i ważniejszych parafialnych zakładało szkoły zostające pod przewodnictwem wyłącznych duchownych, zwanych *scholastici*. Długosz zapewnia o istnieniu takiéj szkoły już w XI wieku w Gnieźnie. Wcześnie też w Polsce zarząd kościoła otrząsł się z cudzoziemczyzny. Już w XII i XIII wieku arcybiskupi i biskupi wzmogłszy się we władzę, wydają polecenia, by zakładano szkoły w każdéj parafii, po opactwach i katedrach biskupich z nauką krajowego języka; wychodzą od tychże rozporządzenia, by do szkół nie przyjmowano nauczycieli takich, którzy nie posiadają polskiego języka i nie udzielano beneficyów tym z duchownych, którzy nie umieją po polsku. Musiały te szkoły nie być już pośledniemi, kiedy wydawały arcybiskupów i biskupów pochodzących i z włościańskiego stanu, kiedy w XII już wieku powołano do Wiednia budowniczego krakowskiego Oktawiusza Wolcnera do stawiania kościoła. Między przepisami dla utrzymujących szkoły było polecenie tłómaczenia na język polski pisarzy łacińskich, oraz uczenia historyi polskiéj z kronik, do których czyniono stosowne objaśnienia. Mamy też jako próbki polskiego języka, urywki przekładów jednego (50) z psalmów Dawida z wieku XII, a w XIV stuleciu aż 3 tłómaczenia

---

(1) Dr. Miłkowski—jak wyżéj, na podstawie dzieła: *Liwron W.* „Statisticzeskoje obozrenije rossijskoj imperii." St-Petersburg 1875.

owego psalmu, do czego zaliczyć należy i Psałterz Floryański, oraz tłómaczoną pieśń z czeskiego „Bogarodzica“ z X wieku.

W XIII wieku razem z osadnikami niemieckimi i prawem magdeburskiém powstają nieznane przedtém *szkoły miejskie* i zwiększa się ilość szkół parafialnych czyli farnych. Duchowieństwo miało wyłączną władzę i nadzór nad szkołami, i ono dawało przywileje na zakładanie szkół miejskich, które jednak wcześnie, wzorem zachodniéj Europy, zaczęły się wydostawać z pod téj opieki. Sposobiąc przedewszystkiém uczniów do życia praktycznego, uczyły obok łaciny, czytać, pisać i rachować w niemieckim, a pewno i polskim języku, zawsze jednak pod nadzorem scholastyka katedralnego. Co do metody nauczania i przedmiotów wykładanych stały one początkowo na równi ze szkołami parafialnemi. Obok wykładów wyżéj zaznaczonych uczono jeszcze katechizmu i łaciny, nauczanéj z grammatyki Donata i dwuwierszy Donata. Szkoły wyższe dzieliły się jak średniowieczne, na *trivium* i *quadrivium.*

Daje się też tu i owdzie czytać w pismach publicznych o odnalezieniu dokumentów i umów zawieranych przez gminy z proboszczami o założenie szkoły elementarnéj za Łokietkowych czasów.

Społeczeństwo snadź w XIV wieku potrzebowało już tak dalece wyższéj oświaty, że Kazimierz W. daje podstawy Akademii własnéj w Krakowie na wzór zagranicznych tego rodzaju zakładów, z któréj też do wieku XVI włącznie znakomici wychodzili mężowie. Nie dziw też, że przy wpływie czeszczyzny, zasobach rodziméj wiedzy i nauki tak w klassach szlacheckich, jak i miejskich, przy wyrobieniu się umysłów na klassycznéj, łacińskiéj literaturze i dziejach, przy dobrobycie ogólnym, powstaje w Polsce nagle *wiek złoty* dla nauk, wiek Reja, Kochanowskiego, Górnickiego, Modrzewskiego, Maryckiego, Orzechowskiego, Skargi i innych, w którym uczeni odrazu poczynają znakomite pisać dzieła, dotykające najżywotniejszych spraw społeczeństwa i państwa, jakby wraz z Demostenesem lub Cyceronem z jednych źródeł czerpali. Następnie pomimo upadku oświaty, smaku, pod przewagą szkół jezuickich, zawładnięcia makaronizmu w literaturze, upadku miast ludnych i żądnych nauki, pomimo postanowień sejmowych, które stan włościański poniżyły, przykuwając go do ziemi i poddaństwa pańszczyznianego, znajdujemy jeszcze do czasu Jana Kazimierza szkół miejskich 900, a wiejskich 600 z 3,000 uczniów (1); a że ogólna

(1) Łukaszewicz II.

liczba uczących się była wonczas 80,000, zatém przyjmując ówczesną ludność na 15,000,000, przypada jeden uczeń na 187 ludzi. Większa część tych szkół za Jana Kazimierza upadła w skutku srogich wojen, morowéj zarazy a ztąd i braku nauczycieli. Miasta tylko, chociaż się nie znajdowały w stanie kwitnącym, poczęły za Augusta II i III zakładać szkoły; w początkach zeszłego stulecia szkół takich miejskich, elementarnych było w Małopolsce 45, a w Wielkopolsce 63.

Do XVIII stulecia oświata w Polsce była jeszcze przedewszystkiém w ręku duchownych i kościoła, idąc torem jednostronnych zadań, na ogół się rozwinąć nie mogła; lecz około 1740 roku zaszła w tym względzie ważna reforma, spowodowana pracami i pismami znakomitego Stanisława Konarskiego, który jakkolwiek duchowny, Pijar, uznał potrzebę już nietylko religijnego, ale ogólnie ludzkiego, obywatelskiego i państwowego kształcenia, odpowiednio do ducha czasu i wymagań społecznych. Początkiem téj reformy było założone przezeń 1740 r. *Collegium nobilium* w Warszawie; zakon Pijarów, już za czasów Władysława IV zajmujący się kształceniem młodzieży, wziął teraz w swe ręce oświatę, zaprowadzając pod przewodnictwem Konarskiego — *scholae piae*. W szkołach pijarskich, oprócz religii i moralności, uczono języków: polskiego, łacińskiego, literatury i retoryki, arytmetyki, algebry, geometryi, fizyki, nauk przyrodzonych, logiki, etyki, historyi powszechnéj i polskiéj, nareszcie polityki, a zarazem udzielano ogólnych wiadomości o prawach miejscowych. Z programu nauk nakreślonego przez Konarskiego, płynie przekonanie, iż chciał z wychowańców swych, dobrych uczynić obywateli. Brat jego Ignacy w 1761 roku założył pierwszą szkołę rzemieślniczą w Polsce.

Konarski pojmując należycie ten pewnik, iż dla odrodzenia społeczeństwa, należy przedewszystkiém działać na młodzież, oparł reformatorską swą działalność na kształceniu systemu nauczania i wychowania w szkołach pijarskich, walcząc jednocześnie z panegiryzmem oratorskim i literackim nabywanym przeważnie po jezuickich szkołach. Usiłowania te silnie poparł król filozof bez tronu Stanisław Leszczyński, w Lunewilu przemyśliwając nad dobrem dalekiéj ojczyzny. Młodzież polska rycerska, nabierała tam nowych pojęć filozoficznych i politycznych, pozbywała się przesądów społecznych, a natomiast nabierała smaku wyrabianego na arcydziełach francuzkich. Kto tam przywdział frak i żaboty, nie śmiał już za powrotem do kraju pogardzać wieśniakiem i służbą, lub popisywać się w mowie i piśmie siekaniną łacińską.

Zniesienie zakonu Jezuitów w 1773 r. stało się pomyślném zdarzeniem dla zupełnéj reorganizacyi zakładów naukowych, które po raz pierwszy uznano w Europie za instytucye publiczne; w Polsce oddano je pod zarząd *Komissyi edukacyjnéj*, któréj działalność wiekopomna silnie poparła reformę wychowania dokonaną przez Konarskiego. Znakomici jéj członkowie, propagatorowie nowych idei: Ignacy Potocki, Adam Czartoryski, Andrzéj Zamojski, Niemcewicz, Hieronim Strojnowski i Grzegorz Piramowicz, zarazem sekretarz komissyi, rozumiejąc iż oświata jest koniecznym warunkiem postępu politycznego, i że niepodobna jéj szerzyć bez podstaw zdrowych, w samych zaczątkach utworzyli „Towarzystwo do ksiąg elementarnych.“ To znowu w 1775 r. ogłosiło konkurs na najlepsze podręczniki naukowe, naznaczając wysokie nagrody po 100 i 150 dukatów, i stanowiąc zasady edukacyi dziecięcéj, elementarnéj, które doniosłością pedagogiczną zaszczyt jéj twórcom przynoszą. Uprzedziły te zasady, o których poniżéj więcéj powiem, pomysły pedagogów niemieckich o całe pół wieku, a uwydatniają się przedewszystkiém w dziełku ks. Piramowicza „O powinnościach nauczyciela,“ i w „Elementarzu komissyi edukacyjnéj“, którego autorem na zasadzie ostatecznego zbadania rzeczy był ks. Onufry Kopczyński. W „Powinnościach“ poprzedzają Pestalozzego, dorady o pogadankach z uczniami poglądowych, i mających za przedmiot rzeczy proste, łatwe, podpadające pod zmysły, a następnie powoli i trudniejsze. Rozmowy żywe, serdeczne, o rzeczach, poprzedzać winny na długo samo uczenie się pisania, czytania i rachunków; rzeczy i wyrazy szczególne, pojedyncze powinny poprzedzać wyrazy złożone lub rzeczy oderwane myślą, abstrakcyjne. Elementarz zaś ówczesny ułożonym został na podstawie połączonego z pisaniem czytania. Zbieg wypadków, jak wiadomo, przerwał wprowadzenie tych zasad uczenia elementarnego, które wedle programu komissyi opierać się powinny na jedném pasmie prawd, tak z sobą łączonych, iżby ucznia zawczasu wprawiały w praktyczną logikę; całe zaś kształcenie pedagogiczno-dydaktyczne zmierzać powinno ku temu, iżby dziecku kiedyś było w świecie dobrze i społeczności także było z niém dobrze.

Ponieważ wartość książek szkolnych daje nam zawsze najpewniejszą miarę wartości naukowego systemu; przeto dla uwydatnienia tegoż i w następnych czasach, wspomnieć należy, iż po upadku komissyi edukacyjnéj znakomicie się również przedstawia dziełko p. n. „Nauka początkowego czytania, pisania i rachunków,“ znana także pod nazwą „Książki warszawskiéj.“ Napisał ją Kon-

stanty Wolski, również poprzedzając naukę pisania czytaniem, rozmówkami osnutemi na indukcyjném przedstawianiu przedmiotów pojedynczych i pojęć nieoderwanych, a napisał z natchnienia *Izby edukacyjnéj*, która prace komissyi edukacyjnéj w dalszym ciągu podjęła z obywatelskiém obowiązku poczuciem. Izba ogłaszając program książki do czytania dla ludu, kierowała się temi samemi zasadami, jakie komissya edukacyjna dla dzieł elementarnych w ogólności postawiła. W istocie bowiem dzieło elementarne a książka dla ludu to rzecz jedna i ta sama; w formach tylko i objętości wykładu różnią się one. O Ewaryście Estkowskim i dalszych pracach pedagogów naszych na torze komissyi i izby, w miejscu właściwém więcéj się powie.

Ciągnąc w historycznym przebiegu ustęp o oświacie ludowéj w Polsce, przytoczę, iż pod zarząd rzeczonéj komissyi edukacyjnéj, za króla Stanisława Augusta, oddano znakomite po-jezuickie dobra (1), w celu obracania dochodów z nich na oświatę. Oprócz zawiązania towarzystwa do ksiąg elementarnych, czuwać mającego jeszcze i nad początkowém nauczaniem, wydała komissya ustawę, podług któréj akademie krakowska i wileńska otrzymują nową organizacyą, usuwającą duchowny ich i średniowieczny zarazem charakter; oprócz tego ustawa poleca zaprowadzać po wszystkich miastach i wsiach wyższe i niższe szkoły parafialne. W szkołach tych przepisano wykład nauki religii i moralności, czytania, pisania, systemu miar, wag i pieniędzy, a prócz tego ogrodnictwa i gospodarstwa wiejskiego, niektórych wiadomości z nauki zdrowia, leczenia zwierząt domowych, oraz w części użycia farb roślinnych, wełny i sierci, kory drzew i t. p. nauka teoretyczna powinna się była łączyć z praktycznemi zajęciami; przyczém uczniów polecono przyzwyczajać do niewygód, i dlatego na otwartém powietrzu ćwiczyć siły fizyczne im zalecono przy zajmowaniu się robotami ręcznemi.

Uczniowie wiejscy ze względu na ich zajęcia domowe i polowe, obowiązani byli uczęszczać do szkoły przynajmniéj od końca Września do Kwietnia, a latem co niedziela dla powtarzania, czego się poprzednio uczyli. Co 3 miesiące nauczyciel zdawał raport rektorowi szkoły wydziałowéj o stanie szkółki, liczbie uczniów, ich zdolnościach, pilności i sprawowaniu się. Ustawa polecała

(1) Procent z dóbr tych wynosił w 1793 roku 1,540,000 ówczesnych złotych Ob. Okolski, i Historya szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiém od najdawniejszych czasów, aż do roku 1794.

z uczniami obchodzić się łagodnie, bez użycia kary cielesnéj... Owocem chlubnych działań komissyi edukacyjnéj był znaczny przyrost szkółek wiejskich i miasteczkowych; według spisu urzędowego sporządzonego w dawnéj ziemi wieluńskiéj liczącéj pod owe czasy 40,000 mieszkańców, było 43 szkółek elementarnych z 1,368 uczniami. Lecz pomimo płodnych w skutki wiekopomnych działań komissyi, uposażenia nauczycielskie były jeszcze wówczas mierne; składali się na nie: magistraty, właściciele ziemscy, proboszcze, a prócz tego nauczyciel otrzymywał w naturze kwaterę, opał, gruntu nieco, łąkę i t. p. dodatki. Dziewczęta uczęszczały do szkółek razem z chłopcami; oprócz stosownych wykładów, uczono je i robótek ręcznych.

Jakkolwiek wypadki 1794 r. położyły koniec politycznemu bytowi narodu i znakomitéj, światłéj, prawdziwie obywatelskiéj działalności komissyi edukacyjnéj, jednakże wyrobione w społeczeństwie przeświadczenie o potrzebie oświaty i reformy wychowania szkolnego odbiło się tak w reorganizacyi uniwersytetu wileńskiego i zależnych od niego szkół, jak w powstaniu z ofiar dobrowolnych liceum krzemienieckiego, lub zawiązaniu się „Towarzystwa przyjaciół nauk“ w Warszawie w r. 1800, do najgorliwszych członków którego należą: Stanisław Potocki, Staszic, Albertrandi, Franciszek Dmochowski. Począwszy od utworu dramatycznego Wojciecha Bogusławskiego „Krakowiacy i Górale“ z r. 1794; w którym po obywatelsku już, że tak powiem, na scenę i do nadobnéj literatury wchodzi lud polski, lub od opery na tle ludowém osnutéj „Cyganie“ Kniaźnina, aż do „Chłopów Arystokratów“ Anczyca, aż do skrzętnych badań etnograficznych rozpoczętych przez owych „przyjaciół nauk“ i dalszych prac tego rodzaju lub poezyi ludowych, oraz wielu dziełek popularnych, wszędy teraz żywioł wiejski i małomiasteczkowy doznaje należnego uznania, jako część ważna społeczeństwa naszego. Pieśni i podania ludowe stają się skarbnicą niewyczerpaną ku pokrzepieniu ducha narodowego i skierowaniu poezyi na nowe, romantyczne, tak świetne tory. Lecz obywatelskość ta w obszerniejszém znaczeniu dostępowała prawie do ostatnich czasów uznania tylko w dziedzinie nauki i sztuki. Na polu socyalno-polityczném, jakkolwiek teorytycznie podniesiony, stanowił jeszcze lud odrębność stanową ku niewielkiemu zaszczytowi ogółu intelligentniejszego, ponad którym w tym względzie wyróżniali się tylko ludzie wysokiéj nauki i potężnego, poetycznego serca. Najtrafniéj, najpostępowiéj w zakresie dydaktyki i pedagogii elementarno-ludowéj pracują obecnie pisarze za pobudką towarzystwa i rady szkolnéj w Galicyi, o czém szczegółowiéj rzecz przed-

stawić będę się starał w następnéj pracy, „o pedagogii i szkolnictwie (dydaktyce) ludowéj.“

Po ostatnim rozbiorze liczba szkółek w prowincyi stanowiącéj Prussy Wschodnie, tak się zmniejszyła, że w 1807 r. wszystkich w ogóle szkół i szkółek było tam tylko 144. Szczęk oręża wielkich wojen, zagłuszył muzy i zamknął oficyny Minerwy także i po innych dzielnicach kraju. Za powstaniem Księztwa Warszawskiego komissya rządowa utworzyła w tymże roku 1807 *Izbę edukacyjną*, w któréj skład weszli ludzie światli, ożywieni gorącą miłością dobra powszechnego, jak: Samuel Linde, ks. Onufry Kopczyński, ks. Stanisław Staszic, Stanisław Potocki. Izba, widząc zupełny upadek kiełkującéj oświaty ludowéj, wydała odezwę do obywateli Księztwa Warszawskiego, żeby się wszelkiemi siłami starali zakładać szkoły początkowe i rozszerzali oświatę ludową. Ustawa dla szkół elementarnych przez tęż izbę wydana, stanowi, iż ani jedno miasteczko lub wioska nie mogą pozostawać bez szkoły; gdyby zaś nie mogły jéj utrzymać na swój rachunek, natenczas powinny być przypisane do najbliższych sobie szkółek. Na opłaty nauczycieli, pobierających od 600—800 zł. pol., winni się składać wszyscy gospodarze, kupcy, rzemieślnicy, właściciele ziemscy, familijni i bezdzietni bez różnicy stanu i wyznania. Przytém polecono wszystkim członkom gminy szkolnéj *obowiązkowo* posyłać dzieci na naukę do włącznie lat 12. Dozór szkolny składający się z miejscowych mieszkańców, czuwał nad kierunkiem szkoły: przytém izba edukacyjna ustanowiła w Łowiczu pierwsze seminaryum nauczycielskie, za którego wzorem niezadługo powstały inne. Skutkiem téj zabiegliwości izby było to, iż w roku 1813 było jeszcze 494 szkół elementarnych, w te jałowe dla oświaty czasy. Lecz i te szkółki, tak skąpo wzrastające, pomimo gorących odezw obywatelskich izby, upadły niebawem z powodu klęsk i wojen tak, że po ustaleniu pokoju trzeba je było zaprowadzać na nowo. W r. 1830 pod sterem komissyi oświecenia w Królestwie Polskiém, w obszarach teraźniejszych, było zaledwie 67 elementarnych i niedzielnych, a żeńskich 31 szkółek, w których to ostatnich znajdowało się uczenic 830 (1). W 1873 r. do wszystkich zakładów szkolnych w Królestwie, które ostatecznie zorganizowano, wprowadzono oprócz gdzie niegdzie nauki religii, wykładowy język rossyjski: w szkołach elementarnych ukaz Najwyższy poleca wykładać język rossyjski, polski w części, uczyć czytania pisania, rachunków, a przytém geografii, historyi i po-

---

(1) Encyklopedya Orgelbranda mniejsza.

czątków nauk przyrodzonych; naukę religii wykładać może nauczyciel lub miejscowy proboszcz. Opiekunem szkółki na żądanie pewnéj liczby włościan w gminie, może być i proboszcz odpowiedniego wyznania. Polecono także zaprowadzać i gimnastykę po szkółkach. Elementarz wydawany przez okrąg naukowy warszawski, z textem w połowie rossyjskim a w połowie polskim, zasadza się na dawnéj métodzie syllabizowania; nie ma też żadnych wstępnych pogadanek z uczniami.

Zakładanie szkółek elementarnych poczęło się mnożyć w Królestwie z chwilą wydania Najwyższego ukazu w r. 1864, *uwłaszczającego* włościan; odtąd dozwolono gminom zakładać według woli szkółki elementarne, tym porządkiem: iż włościanie chcący mieć szkołę, stanowią uchwałę, z którą się udają pod zatwierdzenie właściwego naczelnika dyrekcyi naukowéj, których jest 10 odpowiednio do liczby gubernii, a zarazem oznaczają, w jakiéj wysokości zobowiązują się płacić wspólnie fundusz na utrzymanie szkoły. Jeśli gmina dla niezamożności nie ma odpowiednich środków, natenczas rząd udziela pomocy pieniężnéj, trwać mającéj przez lat dziesięć. Nauczyciel obowiązany jest przyjmować do szkółki dzieci wszelkich wyznań. Nadzór nad szkołą sprawuje komissarz włościański powiatowy, a ostatecznie naczelnik dyrekcyi naukowéj; opiekunem szkółki jest wójt miejscowy. Otwartych dotąd szkółek elementarnych w Królestwie jest 2,400 kilkadziesiąt; włościanie jednak używający w tym względzie swobody, niezbyt chętnie posyłają dzieci do szkółek, które też częstokroć wśród lata są nieczynne, albowiem rodzice synów swoich zatrudniają wtedy pracą około domu, na roli lub paszeniem bydła. Jako dalszy znak skąpego jeszcze wdrażania się potrzeb oświaty w lud nasz, przytoczyć można, iż na 238 uczniów w szkole rzemieślniczéj łódzkiéj w r. z. tylko 7 było uczniów z włościańskiego stanu, a w roku bieżącym jeden. Seminaryów nauczycielskich znajduje się 8 w okręgu naukowym warszawskim; lecz wychodzący z nich nauczyciele szkółek wiejskich pozostawiają bardzo jeszcze wiele do życzenia. Roczne pensye nauczycieli wiejskich wynoszą od 45 do 120, a niekiedy i więcéj rubli; mają przytém mieszkanie bezpłatne, opał i morg rządowego gruntu. W ogóle uposażenie nauczycieli wiejskich liche: a zetknięcie się ich z nieokrzesanymi po większéj części wójtami ich płatnikami, częstokroć bywa zbyt przykrém i żałosném.

Przy słabém jeszcze rozbudzeniu umysłowém ludu naszego, wydawnictwa odpowiednie dotąd u nas nie cieszą się jeszcze powodzeniem; wprawdzie czytamy nieraz w gazetach, że tu i owdzie

włościanin skupuje książki dla siebie ponętne, lub prenumeruje pismo peryodyczne, że szkółki wreszcie od czasu uwłaszczenia wzrastają zwolna w liczbę z własnego natchnienia gmin wiejskich, — lecz wszystkie te przykłady wyjątkowe tylko, epizodyczne mają znaczenie. Włościanin zresztą czytałby lub słuchał ciekawéj książki, gdyby mu takowa darmo przyszła; wydać pieniądz na jéj kupno trudniéj mu nieco przychodzi. Brak potrzeb liczniejszych w życiu jego monotonném stoi na zawadzie w tym względzie. Są wprawdzie i co do tego już pewne wyłomy, i z czasem właściciel-rolnik bezwątpienia dozna przebudzenia umysłowego; dziś jednak jeszcze notujemy objaw, jak się przedstawia. Szereg wszakże ludzi miłujących dobro powszechne i szczerze życzliwych dla ludu bez przerwy u nas istnieje. Począwszy od prac komissyi edukacyjnéj, a daléj od „Pielgrzyma w Dobromilu,“ „Wojciecha, czyli wzoru pracy i oszczędności,“ „P. Jacka z Wędrychowa,“ aż do „Wieczorów pod lipą“—i „czwartkowych“ i t. p., aż do pism peryodycznych ludowych, widzimy ciągłość troskliwości pojedynczych osób o szerzenie światła i moralności pomiędzy ludem.

Najpierwszém pismem peryodyczném ludowém w kraju tutejszym był „Kmiotek“ wydawany przez lat 9 przez Leśniewskiego od 1842—1850 roku; liczba prenumeratorów tego pisma wynosiła w najszczęśliwszych dla niego czasach 1,000. Następnie „Czytelnia domowa“ wydawana do r. 1865 przez p. Petrow, i wznowiony „Kmiotek,“ redagowany od 1861 do 1866 r. przez Władysława Anczyca, chlubnie odznaczyły krótki swój przebieg po niwie ludowéj. Po zniknięciu tych wydawnictw, zabłysła „Zorza,“ podobnież jak tamte pisma raz na tydzień wychodząca od roku 1866 aż do téj chwili. Popierana przez różne warstwy społeczne „Czytelnia niedzielna“ najświetniéj stosunkowo otoczyła się abonentami, których liczba przeszło 3,000 w latach ostatnich wynosiła. Poziom nizki oświaty wśród ludu, oraz brak szerszego poparcia pojedynczych usiłowań, są szkopułem skąpego odbijania wydawnictw w ogóle ludowych. Miejmyż nadzieję w tę prawdę stwierdzoną doświadczeniem dziejów, iż na świecie, mimo pozornych tam i wsteczności, wszystko ku lepszemu idzie, i że natura ludzka zwolna się polepszać musi.

Dziś nie ma już kraju ucywilizowanego, w którymby państwo ze społecznością nie przyszło do przekonania, że oświata ludu jest podstawą trwałéj pomyślności ogółu. Wszędy też widać nieustanne dążenie ku pomnożeniu szkół wiejskich ku ich ulepszeniu, i dostarczaniu w ogóle odpowiednich środków oświacie ludowéj. Zajmują się nią i wystawy powszechne, gdzie pomiędzy okazami pracy

przemysłowéj, artystycznéj, naukowéj, cywilizacyjnéj, i wzory najlepszéj szkoły zaszczytne pomieszczenie znalazły, jak to miało miejsce między innemi z okazami i środkami ludowéj oświaty szwedzkiéj przedstawionemi na niedawnéj wystawie wiedeńskiéj. Słusznie powiada uczony niemiecki Aretin, że państwo i społeczeństwo nie może istnieć bez cnoty, cnota zaś bez światłych obywateli; dlatego też państwu i społeczeństwu należy wychowywać ich od lat najmłodszych.

Czyż zresztą trzeba dowodzić, że z istotną oświatą narodu, łączy się zawsze ład i spokój społeczny? że staje się ona najtrwalszą i najpewniejszą podstawą moralności, dojrzałości obywatelskiej i czystéj religijności? że wpływa na rozwój gospodarstwa wiejskiego, na postępy fabryczne i rzemieślnicze? że sprzyja produkcyi, otwiera nowe źródła przemysłu i dochodów? Wszak to ona uszlachetnia obyczaje i zwyczaje ludu, wdraża go do umiarkowania i wstrzemięźliwości, zniewala do poszukiwania ułagodnionych uciech i zabaw,—wytępia szkodliwe nałogi, skłania do łaskawego obchodzenia się ze stworzeniami zależnemi od niego, — wyplenia z serca jego chwast okrucieństwa w obejściu się z domowym dobytkiem. Ona słowem, przekształcając lud wewnętrznie, wpływa na jego uzacnienie, a mnożąc szkoły, zmniejsza liczbę więzień; podawszy zaś dłoń dobroczynności, przekształca domy karne w przytułki moralnéj poprawy, lub wzbudza szlachetne dłonie do wznoszenia przybytków prostujących skrzywione latorośle społeczne.

Troska o takie, obchodzące nas wszystkich przeznaczenie oświaty, nietylko należy do społeczeństwa lub państwa, ale wchodzi i w sferę działalności prywatnéj, pojedynczych zadań każdego myślącego człowieka. Społeczeństwo możnaby przyrównać do rozłożystego drzewa, którego koronę stanowią intelligencya wyższa i talenta,—rdzeń, klassy średnie, pracowite, ze świadomością o przeznaczeniu człowieka żyjące,—a włókna i korzenie, zasilające i krzepiące istotę drzewa, to warstwy najliczniejsze, ludowe. Mimowoli też układa mi się pod piórem myśl:

Korona drzew się zmienia na szczyt wypróchniały,
Gdy korzenie ich drą się o jałowe skały.

Przegląd najnowszéj literatury włoskiéj,

Piotra Zubrzyckiego.

Panuje u nas dziwna na to obojętność a raczéj nieświadomość tego, co się dzieje na niwie literackiéj w klassycznéj ojczyznie Danta i Ariosta, Petrarki i Tassa i całéj falangi pisarzy, historyków, poetów i pracowników we wszystkich gałęziach nauk. Pominąwszy osłonione aureolą wieków imiona czterech wielkich poetów włoskich, czyż takie nazwiska jak Manzoni, Guerazzi, Giusti, Leopardi, d'Azeglio, Gino Capponi, Aleardi, Cantu, Prati, Bersezio, de Gubernatis, Ghislanzoni, de Sanctis, de Amicis nie świadczą, że pod tém pięknéni niebem południa istnieją talenta z których produkcyami korzystną byłoby rzeczą poznać się i może wiele z nich przyswoić ojczystemu językowi? Znamy Włochy, to prawda i niejeden z nas potrafiłby lepiéj opowiedzieć, co jest godném widzenia w okolicach Neapolu lub Rzymu, niż zdać sprawę z etnografii własnego powiatu; wielu z nas jeździ co rok do stóp Wezuwiusza i Etny szukać wrażeń i zdrowia, lécz takich niewielu się znajdzie, którzyby nas mogli poinformować o działalności włoskiéj myśli i włoskiego ducha.

Mieszkając długi czas w kraju *dove il si suona*, kochając dźwięczną mowę Dantego czujemy się prawie w obowiązku zapełnić brak, jaki u nas widać na polu znajomości włoskiego piśmiennictwa. Zapoznając czytelników z tém, co ludzie drukują, piszą i czytają nad Padem, Arnem i Tybrem, pragnęlibyśmy, ażeby sąsiedzi nie zarzucali nam, że jesteśmy obojętni na utwory włoskiéj literatury. Włochy przecież przed kilku wiekami, kiedy nie było jeszcze ani kolei żelaznych, ani tak jak dzisiaj ułatwionych komunikacyi pomiędzy państwami, nie były nam obce. Cudzoziemcy, a mianowicie Włosi roili się na dworach naszych królów i królowych, język włoski był wtedy językiem salonowym, młodzież nasza jeździ-

ła do wszechnic italskich po światło i doktorskie dyplomy; dzisiaj bodajby płynęły do nas z włoskiego południa nie same tylko śpiewaczki, linoskoki i bakalie, ale i trochę pokarmu dla duszy. Że go tam dla nas nie brak, dosyć spojrzeć na bogatą bibliografię włoską i kilkanaście przeglądów miesięcznych, powiadamiających czytający ogół o najdrobniejszéj pracy licznego zastępu piszących. Jednym z najlepszych takich przeglądów jest *la Rivista Europea*, miesięcznik wychodzący we Florencyi pod dyrekcyą p. Angelo de Gubernatis; za Rivistą idą: *Nuova Antologia*, *Rivista Italiana*, *Civilta cattolica* i inne. P. Angelo de Gubernatis, z którego nazwiskiem spotykamy się w wielu przeglądach literackich angielskich i francuzkich, jest dzisiaj jednym z najczynniejszych, niezmordowanych pisarzy włoskich. Pan G. od lat sześciu wydawca i redaktor „Przeglądu europejskiego“ w artykułach sumiennie opracowanych, nietylko daje pojęcie swoim czytelnikom o tém, co kraj produkuje w sztukach i naukach, ale nadto poznajamia ich z kulturą zagraniczną, którą Włosi niewiele się dotąd zajmowali. W „Przeglądzie europejskim“ spotykaliśmy się nieraz z bibliografią polską, czeską a najwięcéj rossyjską—co się może tém tłómaczy, że pani Zofia de Gubernatis jest Rossyanką z domu Bezobrazow. Jéj to pióru zawdzięczają zapewne Włosi niektóre wiadomości z pola wszechsłowiańskiéj literatury. Mówiąc o Riviście, nie mogę przepomnąć nazwiska dr. Artura Wołyńskiego, zaszczytnie znanego krajowi ze swoich badań historycznych, współpracownika tego pisma. Gdyby p. Gubernatis był tylko zwykłym współpracownikiem „Przeglądu europejskiego“ i tak jak wielu jego kolegów pisywał do każdego numeru, jużby sobie był zarobił na zaszczytną wzmiankę we włoskiem piśmiennictwie—ale jak powiedzieliśmy, pan G. jest niezmordowanym pisarzem. W krótkim czasie wyszło z pod jego pióra kilka prac bardzo cennych, jak *Ricordi Biografici* (Wspomnienia biograficzne). Napisanie tego obszernego dzieła wymagało olbrzymiéj pracy, oraz wielkiéj pilności i cierpliwości. Zebrać i uporządkować w należyty systemat szczegółowe wiadomości o żyjących dzisiaj pisarzach włoskich, oraz i tych, których już nie stało, nie było łatwém zadaniem. Pan de G. pokonał trudności i dzisiaj wszyscy czerpią ze „Wspomnień,“ ile razy przychodzi im mówić o którymś z 50 pisarzy, których życiorysy i rozbiór ich prac pan de G. z bezstronnym sądem opowiedział. Z wielkiem zajęciem czytają Włosi „*Wiadomości o obrzędach pogrzebowych i weselnych u ludów Indo-europejskich*,“ które pan de G. przed dwoma laty ogłosił drukiem. Urażeni są atoli na niego, że swego znakomitego dzieła *Mitologia zoologiczna* nie napisał po włosku,

lecz po angielsku (w Londynie u Trübnera). Niemcy mają je w przekładzie Hartmana; Francuzi też przyswoili je sobie. Uczone to dzieło nie dla wszystkich umysłów dostępne, możeby nie znalazło tak głośnego uznania pomiędzy swoimi jak u Niemców i Anglików. Dotąd też nie było nikogo ktoby je na język włoski przełożył. Jak gdyby nie było mu dosyć ciągłéj pracy literackiéj przy Riviście i nad wielu dziełami poważnéj treści, pan de G. w Numerze Rivisty za miesiąc Luty r. b. drukuje dramat a raczéj elegią dramatyczną p. t. *Romulus*. Utwór ten wielu przyjęło z zapałem, niektórzy odzywają się o nim z przekąsem, krytyka zaś gazeciarska bynajmniéj nieużywająca takiéj powagi jak u nas i gdzieindziéj, nie wyrzekła o Romulusie swego ostatniego słowa. Niedawno zmarły pisarz rossyjski hr. Alexy Tołstoj, autor „Srebrnego księcia“ (tłómaczył go na język włoski p. Ludwik Patuzzi), nie nadługo przed swoją śmiercią, tak się odzywa o tym dramacie w liście pisanym do autora: „Ma femme et moi nous avons été enchantés de la manière neuve dont vous avez traité ce sujet, de l'érudition consciencieuse que vous y avez mise et de la forme poétique que vous lui avez donnée. Aujourd' hui pour ma part que quoique en général je suis peu partisan du symbolisme en poésie, je fais une exception pour votre Romolo à cause de la grande sincérité de vos idées et de la couleur originale dont vous avez su les révétir.“ Pan de G. wydał też niedawno *Historyą podróżników włoskich do Indyi wschodnich od XIII wieku do dni naszych*, oraz znane z pięknéj poetycznéj formy *Dramata indyjskie;* z tych jeden p. t. „Maja“ mamy w polskim przekładzie przez hr. Wł. Tarnowskiego. Wreszcie najświeższą pracą pana de G. są „Odczyty o mitologii wedyjskiéj“ (*Letture sopra la mitologia vedica*), miane we florenckim instytucie wyższych umiejętności.

Mężem wielkich zasług i niezmordowanéj pracy, pisarzem znakomitego rozgłosu, żołnierzem staréj gwardyi klassyków włoskich jest Cezar Cantú. Sędziwy ten historyk nie ma sympatyi u dzisiejszego młodszego pokolenia; pedagogowie go potępiają, wielu pisarzy odzywa się o nim z niechęcią. Gdzież jednak szukać równéj chwały, gdzie spuścizny po niedawnéj epoce tak bogatéj w znakomite utwory na polu literatury? Niewielu znajdzie się autorów we Włoszech, którychby prace znane były całemu niemal światu, któreby tłómaczono na wszystkie europejskie języki; krzywią się niektórzy na imię autora „Historyi stu lat,“ a jednak nikt więcéj nad Cantú nie nauczył swoich współobywateli historyi własnego kraju. Włosi sumiennie opracowujący

własne dzieje zarzucają mu, że w swoich produkcyach jest za mało patryotą, za mało liberalnym, za mało nowoczesnym i postępowym. Zapominają oni o tém, że Cantú innym nigdy nie był, że go więc trzeba brać takim jakim jest. Oskarżają go o klerykalizm; mybyśmy powiedzieli, że w nim jest tylko barwa klerykalna; ten jego, niektórym solą w oku będący, klerykalizm jest czysto historycznéj natury: jest to jakaś passya do wszystkiego co pachnie średniowiecznością. Nowożytny pozytywizm dusi go, marzy on zawsze o dawnych czasach, dworskim przepychu, tyarach, poezyi, czasami wybucha nawet zjadliwie i żółciowo, nie dzieje się to jednak ze szkodą prawdy historycznéj, nie milczy on nigdy gdy mu przychodzi mówić o rzeczach przeciwnych jego przekonaniu. Gdy się ukazał jego „Pugilares robotnika" *(Il portofoglio d'un operajo)*, ze wszystkich stron ciskano pioruny na jego głowę; zarzucano mu brak uczuć narodowych, pojęcia niezgodne z obowiązkami prawego obywatela, nie zwracając jednak uwagi, że w końcu dzieła zajmującym sposobem i w żywych barwach skreślił wszechstronny postęp Włochów po dokonanéj jedności. Epigrammata Cantú, chociaż się często spotykają w jego dziełach, jednak maleją a w końcu nikną zupełnie wobec faktów, które opowiada z taką jasnością i prawdą. Pierwszy tom swoich prac na polu historycznem wydał w r. 1828, niedawno zaś III tom pomnikowego dzieła p. t. *Storia della Indipendenza Italiana*. Tom ten zaczyna autor rokiem 1849—jest to jakoby dalszy ciąg dziejów Włoch, przez jakie przechodziły od czasu rewolucyi francuzkiéj. W miarę zbliżania się do dni naszych, książka przybiera żywość dyaryusza, zatrzymując zawsze godność i powagę w opowiadaniu sprawiedliwém zarówno dla ludów, jako też i dla władców. Największą zasługą Cantú w tém dziele jest, że po mistrzowsku połączył historyą cywilizacyi Włoch z ich dziejami politycznemi; daje się to widzieć szczególnie w historyi ostatniego dziesiątka lat. Oprócz wypadków dramatycznych, w jakie obfitują ostatnie koleje Włoch bojujących, znajdujemy tam wszędzie żywe obrazy z życia narodu, literatury, sztuki, teatru, nauk, zwyczajów, mody etc., słowem fotografią ludu włoskiego we wszystkich warstwach. Niechętni znakomitemu historykowi utrzymują, że niedługo zapewne przyjdzie mu czekać na błogosławieństwo apostolskie jako nagrodę za jego tę pracę. W istocie w wielu miejscach jest widocznem, że dla autora ideałem dobrego księcia włoskiego jest papież—pojęcia jakie Cantú mógł żywić po 1849 r. możnaby było nazwać illuzyą dającą się w części usprawiedliwić, dziś jednak po dokonanych faktach, po instalacyi stolicy na Kapitolu, bu-

dzą one w czytającym włoskim ogóle niemiłe wrażenia raniące jego narodowe uczucia. Posłuchajmy jak nam Cantú maluje charakter mieszkańców w niektórych prowincyach Włoskiego państwa: „Statecznym, pobożnym, cichym, uczciwym, pracowitym, upartym, niewiele skłonnym do inicyatywy jest lud w Piemoncie; przesądnym, zuchwałym, hulaszczym, bez stałości i godności w mieście Neapolu; na prowincyi chytry, gnuśny, okrutny; na wyspach surowy, potężny w nienawiści, ale zarazem skłonny do wielkich poświęceń. Modeńczyk jest pobożny, tam szlachta hojna, mieszczaństwo zamożne i grzeczne dla cudzoziemców. Toskańczyk jest miękkim w obyczajach, obojętnym, pięknie mówi, ale nietak postępuje, skory do bitki; konspirator w Romaniach; w Rzymie uniżony sługa prałatów, z których żyje, i cudzoziemców, którym sprzedaje swoje słońce, swoje starożytności, swoje kobiety, dumny ze swoich Katonów i Scypionów. Wesołym próżniakiem jest Wenecyanin; okazałym, ironicznym, pysznym w obec sąsiadów, pracowitym, i lubiącym dobrze zjeść i wypić jest mieszkaniec Lombardyi— tam znowu szlachta wszystka wesoła, bogata, opozycyjna, tak jak w Piemoncie sztywna, patryotyczna, religijna, lojalna. W Sycylii i prowincyach rzymskich urzędnicy są przedajni i lubią łapówki; lud tam pracowity, ale nie wszędzie. Wszędzie księża w pogardzie, bo nieokrzesani a często rozpustni, w Rzymie gorzéj niż gdzieindziéj i t. d. i t. d.“ Ten obraz Włochów, przed 30 laty jak widzimy niezbyt jest dla nich pochlebny; niewielu może i dzisiaj odważyłoby się jawnie wypowiedzieć, że jest nieprawdziwy.

W roku przeszłym publiczność włoska z zapałem przyjęła znakomitą *Historyą respubliki florenckiéj*, dzieło 80-letniego starca, którego skon zaszły przed 3-ma miesiącami, sto miast italskich opłakuje. Margrabia Gino Capponi, senator państwa, przyjaciel Foscola, Manzoniego, Balbiego, Pellica, Giobertiego, Tomasseo, dotknięty od lat 20 zupełną ślepotą, zostawił po sobie Historyą, która mu zapewniła niezapomniane imię w rocznikach literatury włoskiéj. Styl w niéj wszędzie jasny i prosty, język przedziwnie czysty przypomina potoczystość neapolitańskiego historyka Colletty i nieśmiertelnego Guicciardiniego. Od lat 20 tę legendową postać dotknęło, jak powiedzieliśmy, nieuleczone kalectwo. Szanowny starzec nie upadł jednak na duchu, oczy jego nie oglądały już światła, duch przecież zaczął jeszcze jaśniéj patrzeć na ludzi i wypadki z ubiegłéj przeszłości. Pogrążony w wiecznéj ciemności, oddzielony od żyjącego świata, nie widział się nigdy bardziéj niż wtedy związany z życiem. Wszyscy go kochali, radzili się,

ubiegali o jego znajomość i słowa. „Ślepota wywłaszcza ciało na korzyść ducha,“ powiedział Rousseau, a dowiódł tego Gino Capponi. Wrażliwość literacka w ostatnich latach jego życia jeszcze bardziéj się uduchowniła; nie był to już ślepy starzec, było to sumienie italskiéj literatury walczącéj pod formą puryzmu toskańskiego, literatury, która majestatycznie z nim razem zstąpiła do grobu.

Do ważniejszych publikacyi w dziedzinie historyi w ostatnich czasach należy dzieło p. Dominika Carrotti p. t. *Historya dyplomacyi dworu sabaudzkiego.* Nie pierwsza to praca znakomitego historyka piemonckiego; jego historyczne monografie Karola Emanuela i Wiktora Amadeusza, zjednały mu zaszczytne imię na polu poszukiwań dziejowych Piemontu. Niemniéj godném jest uwagi trzy-tomowe dzieło Paskala Villari, prof. historyi nowożytnéj we Florencyi; praca ta nosi tytuł: *Depesze ambassadora rzeczypospolitéj Weneckiéj na dworze rzymskim, Antoniego Giustiniana do senatu weneckiego, pod koniec panowania Alexandra VI papieża i na początku rządów Juliusza II.* W Turynie A. D. Ferrero wydał książkę p. t. *Osobliwości i badania nad historyą podalpejską* (Curiosita e ricerche di storia Subalpina), w któréj się spotykamy z zajmującemi monogrofiami księżniczek: Hortensyi Mazzarino i Maryi Colonna siostr Mancinich, oraz księcia Karola Emmanuela II Sabaudzkiego, nadto z większemi pracami jak np. „Opisy sposobu życia i ubierania się w Piemoncie;“ „Zamachy przeciwko wolności małżeńskiéj;“ „Ceremonie na dworze sabaudzkim w XVII wieku.“ Przed kilku miesiącami ukazało się bardzo piękne dzieło ze skromnym lubo długim tytułem: „*Indagini storiche e bibliografiche sulla libreria Visconteo-Sforzesca del castello di Pavia, compilate ed illustrate con documenti inediti per cura d'un bibliofilo.* (Badania historyczne i bibliograficzne nad księgozbiorem Wiskontych-Sforzów w zamku Pawii, spisane i objaśnione nowemi dokumentami staraniem bibliofila). Z téj książki dowiadujemy się, jakie to mieli wykształcenie niektórzy średniowieczni książęta włoscy, co robili gwoli podniesieniu w swoich ziemiach przemysłu i handlu oraz nauk i sztuk. Autor, opierając się ciągle na dowodach znajdujących się pod ręką, powiada że: *I rincipi italiani furono quasi tutti feroci, rozzi ed illeterati.* W dyplomach i na pieniądzach Sforzów spotykać można liczne błędy. Wielu z książąt nawet pisać nie umiało. Maxymilian Sforza kończy jeden ze swoich listów temi słowy: *Vostra Signoria mi perdona se hè mal scripto chè a la scola non imparai meglio* (niech mnie pan przebaczy, że źle napisałem, lecz w szkole nie nauczyłem się lepiéj). Za to księżniczki piękne i jaśniejące niewieściemi wdziękami dbały wielce o swoję kulturę;

wiele z nich godnemi się stało historycznego wspomnienia; kilka bohaterskiemi odznaczyło czynami. Bonę sabaudzką unieśmiertelnił Szekspir, Hipolitę Maryą Sforza Ariost, a Katarzynę Sforza Riario Guicciardini, gdyż się okryła nieśmiertelną sławą na murach miasta Forli oblężonego przez Riziego Walentyna. Dla nas szczególnie ciekawe powinno być dzieło wydane na początku Stycznia r. b. w Rzymie przez p. Dominika Berti b. ministra oświecenia a dzisiaj prof. uniwersytetu w Rzymie i deputowanego do parlamentu p. t. *Copernico e le vicende del sistema Copernicano in Italia nella seconda meta del secolo XVI e nella prima del XVII con documenti inediti intorno a Giordano Bruno e Galileo Galilei* (Kopernik i koleje jego systemu we Włoszech w drugiéj połowie XVI i pierwszéj XVII wieku, z dokumentami niewydanemi dotąd o Jordanie Bruno i Galileuszu Galilei). Dzieło to dedykował autor senatowi wszechnicy Jagiellońskiéj w Krakowie przy następnym liście umieszczonym na pierwszéj stronicy dzieła: „Liczne i wszechstronne badania, jakie w ostatnich czasach mianowicie w Niemczech i w Polsce poczyniono o Mikołaju Koperniku nie zostawiły w archiwach, rękopismach i drukach owéj epoki ani jednego wyrazu, któryby nie był objaśniony z wielką erudycyą i w sposób ściśle naukowy. Włochy, biorąc udział w tym ruchu, zamierzają z chwalebném zamiłowaniem wyświecić jaką naukę i jaką pomoc przyniosły italskie uniwersytety młodemu Kopernikowi, gdy po długoletniém uczęszczaniu na kursa wszechnicy Jagiellońskiéj, téj gorliwéj krzewicielki łacińskiéj cywilizacyi na północy Europy, obrał sobie pomiędzy nami stałe mieszkanie. Gdy więc literackie i naukowe wykształcenie jego jest zasługą i wspólném dziełem szkół polskich i włoskich, pozwólcie przeto, że na cześć tak drogiego i chwalebnego wspomnienia wam dedykuję niniejszą mowę.

Dominik Berti."

Rzym w Maju 1874 r.

Mowę tę wygłosił p. Berti dnia 19 Lutego 1873 roku podczas uroczystości jubileuszowéj w uniwersytecie rzymskim. Autor nie zapoznaje nas wprawdzie z żadnym nowym wprost tyczącym się Kopernika dokumentem, któryby nam jeszcze nie był znany; ma atoli dla nas pewną wartość, gdyż oprócz zręcznego odmalowania bonońskiéj wszechnicy, dowiadujemy się tam nowych rzeczy o Dominiku Maryi z Nowarry, domniemanym nauczycielu naszego astronoma. Dzieło p. Berti godném jest naszego uznania—piszący

starał się u autora o upoważnienie przekładu takowego na język polski, dotąd jednakże bez pomyślnego rezultatu; byłby to jeden przyczynek więcéj do biografii polskiego astronoma.

W liczbie ciekawych objawów studyów historycznych, należy policzyć różne publikacye peryodyczne „Wspomnień ojczystych,“ jakie niektóre towarzystwa historyczne miast włoskich ogłaszają. Florencya, Wenecya, Turyn, Genua, Palermo, a nawet i mniejsze miasta jak Perugia, Fermo, Alessandrya mają swoich historyografów. Dzieje etruskiego grodu Perugii opowiedział w sposób nader zajmujący p. Ludwik Bonazzi. Gaetano di Giovanni pisze historyą bardzo starego miasta sycylijskiego Casteltermini. Wyszedł też pierwszy tom dziejów miasta Porte-Maurizio w Liguryi przez adwokata Doneauda. Jak widzimy, studya historyczne kwitną we Włoszech; działalności téj dało wielki impuls założone przed kilku laty w Medyolanie *Towarzystwo Historyczne Lombardzkie* (Societa Storica Lombarda), którego członkiem honorowym jest nadobna księżna Małgorzata sabaudzka, żona księcia następcy tronu włoskiego, oraz kilka dam włoskiego patrycyatu, godnych utrzymać tradycye takich niewiast jak Marya Gaetana Agnesi i hrabina Klelia Grillo-Borromeo. Towarzystwo to publikuje zeszyty kwartalne, w których celują znakomitéj wartości artykuły jego wice-prezesa margrabiego Hieronima d'Adda, znanego zaszczytnie pomiędzy uczonymi ze swoich prac artystycznych i bibliograficznych nad Leonardem da Vinci, Krzysztofem Kolumbem, oraz z rozpraw o sztuce i przemyśle rzymskim. Do wielkiéj wartości prac, należy załączyć dzieło p. Bartłomieja Malfatti pod tytułem: *„Cesarze i papieże w epoce panowania Franków we Włoszech*, oraz: *Daniel Manin i Wenecya*, bardzo zajmujące i obfitujące w nieznane szczegóły opowiadanie Alberta Ezzera, professora ekonomii politycznéj, władającego przecież i na historyczném polu piórem pełném zapału i znajomości rzeczy ojczystych. Pomijamy liczne specyalne prace historyczno-archeologiczne innych erudydytów włoskich: nagie wyliczanie tytułów tychże byłoby tylko długą i jałową listą imion i nazwisk. Notujemy jeszcze na tém miejscu dwie świeże produkcye traktujące historyą w sposób głęboki, dowodzące, że na téj ziemi, którą jeden z nowoczesnych autorytetów pozwolił sobie nazwać *terra dei morti*, żyją jeszcze zarówno szlachetni myśliciele, jako też i biegli pisarze. Tulliusz Massarani, mąż wielkiego rozumu i typowa postać lombardzkiego szlachcica, ogłosił we Florencyi u wydawcy Le Monniera *Studya polityczno-historyczne*. Z téj pracy można powziąć rzetelne prze-

konanie, jakie były opinie i myśli najdzielniejszych, najszlachetniejszych patryotów włoskich naszego wieku. Drugiém cenném dziełem jest *Historya wojen* przez A. Marsellego.

W kraju takim jak Włochy, bogatym we wspomnienia historyczne, obfitującym w uroczystości pamiątkowe, powstaje co rok prawie, oprócz zwykłéj mniejszéj lub większéj ilości dzieł we wszystkich gałęziach nauk, wiele bardzo prac literackich okolicznościowych, spłodzonych przez admiracyą, mniéj lub więcéj prawdziwą, współczesnych dla tych ludzi, którzy dziełami swojego geniuszu zajaśnieli na niwie literackiéj lub artystycznéj. Takiemi zdarzeniami nadzwyczajnemi w zeszłym roku, były we Florencyi uroczystości na jubileusz Michała Anioła, Ariosta w Ferrarze, Bokkacyusza w Certaldo. Pomiędzy licznemi publikacyami poświęconemi uczczeniu pamięci Buonarottego, wyszczególnia się poważna praca pana Aureliusza Gotti, dyrektora królewskich galeryi we Florencyi p. t. *Żywot Michała Anioła.* Trudne to zadanie opowiedzieć żywot wielkiego człowieka; pochwały zdają się być zbyteczne i niepotrzebne; powiedzieć znów zamało byłoby niewystarczającém. To też autor zrozumiał tę prawdę, zbierając najwybitniejsze fakta długiego żywota wielkiego artysty, porządkując je i dając czytelnikom w formie opowiadania prostego, atoli pisanego stylem wykwintnym i podniosłym. Jednakże zdaje nam się, że autor mógłby bezpiecznie opuścić i z innego punktu widzenia rzeczy zapatrywać się na niektóre wypadki z życia wielkiego artysty, niedotyczące się ściśle jego karyery artystycznéj. W długim żywocie Buonarottego widzimy wielką jedność moralną, czasami tylko przerywaną jakiemiś niedomaganiami, jakąś słabością, którąbyśmy nazwali nawet bojaźnią. Weźmy naprzykład list artysty pisany do Baptysty della Palla. Czytając go, nie mamy żadnéj wątpliwości że Buonarotti uciekł z Florencyi, bojąc się okropności oblężenia i zdobycia miasta. Autor jako sumienny historyk list ten ogłosił; dziwi nas jednak, że z téj właśnie okoliczności korzysta, ażeby okazać jak cnotliwym i prawym był obywatelem Michał Anioł, któremu panowie weneccy przygotowali świetne przyjęcie w murach swego miasta, kiedy uciekał z ojczyzny zostającéj w niebezpieczeństwie. „W Wenecyi, mówi, dobrze go przyjęto, lecz artysta chcąc żyć w ustroniu i daleko od zgiełku świata, wyniósł się do dzielnicy zwanéj Giudecca, o czém dowiedziawszy się Signoria, wysłała do niego dwóch ze znakomitszéj szlachty, ażeby go powitać w jéj imieniu, ofiarując wszystko, coby tylko mogło mu sprawić przyjemność, *atto che dimostro la grandezza cosi della virtù di Michel-*

Angelo come dell amore di quei magnifici e clarissimi signori alla virtù." Gdyby o panu Gottim nie wiedziano we Włoszech, że jest obywatelem swój kraj miłującym, możnaby go było podejrzywać, że chce chwalić człowieka właśnie za czyn, który tylko może obudzić politowanie. Pomimo to dzieło p. Gottego należy do najlepszych publikacyi, jakie się okazały w ostatnich czasach z okazyi 400 rocznicy urodzin Michała Anioła. Niemniéj *Listy Michała Anioła* ogłoszone z autografów przez Kajetana Milanesi są zjawiskiem równie ciekawém. Tutaj znowu widzimy wielkiego mistrza w jego życiu prywatném, zawsze czystém i zacném. Z listów tych 45 jest pisanych do ojca Ludwika, 78 do brata Buonarottego, 10 do brata Gian Simona, 2 do brata Gizmonda, 205 do siostrzeńca Lionarda, 153 do różnych osób; w końcu po listach następują *Ricordi* Michała Anioła od roku 1505 do 1563 i jego kontrakta artystyczne od r. 1498 do 1548. Oprócz dwóch wymienionych dzieł ukazało się jeszcze kilka innych z téjże saméj okazyi, jako to: *Michał Anioł Buonarotti i jego relacye z miastem Carrara*, przez prof. hr. Emiliusza Lazzoni sekretarza królewskiéj akademii sztuk pięknych w Carrarze. *Michał Anioł jako poeta* przez Ryszarda Taraffi, i *Michał Anioł i Dante* przez Hektora Fattori. Na 500-ną rocznicę śmierci Bokkacyusza, Włochy zapowiedziały kilkanaście nowych publikacyi, z tych dotąd ukazała się tylko jedna a mianowicie: *Jan Bokkacyusz ambassador w Awinionie i Pileusz z Prety, kandydat Florentczyków na godność patryarchy w Akwilei*, przez znanego badacza starożytności włoskich mieszkającego w Tryeście p. Attyliusza Hortisa. Rocznica zgonu Ariosta wydała dwie niewielkiéj wartości komedye p. Piotra Cossa twórcy pięknego prawdziwie dramatu „Neron," który autor jakby przez ironią nazwał komedyą, oraz kilka komedyi p. Anzelmi. Z kolei przychodzi nam mówić o literaturze dramatycznéj.

O historycznym dramacie nie można powiedzieć absolutnie, ażeby kwitnął we Włoszech; jednakże w ostatnich czasach tu i owdzie widzimy, mianowicie w większych miastach, przedstawienia dramatów wyszłych z pod pióra autorów, jeżeli jeszcze niezupełnie ustaloną posiadających reputacyą na tém polu, to przynajmniéj będących na wybornym gościńcu. Wiele bardzo z tych utworów nie przeszło do repertoaru dramatycznego, krytyka coraz to ostrzejsza, często stronnicza, niezawsze sprawiedliwa, nicuje płody autorów szukających na tém polu sławy i oklasków. Niewielu dotąd znalazło się pisarzy dramatycznych, którychby ostry ząb włoskich recenzentów oszczędził. Do szczęśliwych a może w istocie i zasłużeńszych policzyć należy Pawła Ferrari, autora na-

miętnego dramatu „Samobójstwo,“ utworu bardzo efektownego i pełnego pięknych sytuacyi dramatycznych, oraz pana Felixa Cavallotti, autora „Agnieszki“ „Żebraków“ „Alcybiadesa“ i „Messeńczyków.“ Włoscy krytycy powstają zazwyczaj przeciwko dramatom archeologicznym i legendowym może i nie bez zasady; większa bowiem część tych utworów nieudolnie dyalogowanych, nie udaje się i wygląda na jakieś lekcye starożytnéj historyi upstrzone kwiatkami scenicznemi. Dramatyczne studya nad charakterem pojedynczym lub choćby tylko nad jakimś faktem odosobnionym, już służą za pretext do deklamacyi i pną się do nazwy dramatu historycznego. Nie ma nic łatwiejszego nad fabrykacyą podobnych dramatów; to też nic dziwnego, że sumienniejsza krytyka zżyma się na takie wdzieranie się fałszywych bohaterów greckich, rzymskich i średniowiecznych na deski sceniczne. Lecz o ile z jednéj strony łatwą jest rzeczą znaleźć cokolwiek bielidła historycznego, ażeby niém pokryć nagość takich tuzinkowych dramatów, o tyle znów jest trudno ofiarować wykształconéj publiczności prawdziwą akcyą i obraz rzetelny. Dokonał tego p. Cavallotti, autor pięcioaktowego dramatu p. t. „I Messeni.“ Krytyka chętnie przyjęła pod swoje skrzydła utwór Cavallottiego oddany z prawdziwą znajomością greckich, zmierzchem wieków osłonionych czasów. Z początkiem naszego wieku młoda literatura włoska przyszła na świat z okrzykiem: „Któż nas i kiedy uwolni od retorów i Rzymian?“ a oto dziś pomimo że p. Cavallotti kąpie ją w całéj pełni greckiego życia, utwór ten znajduje uznanie i obudza ciekawość do wszystkiego co tchnie odległą przeszłością: bo téż autor myśli i czuje, jak gdyby był sam synem staréj bohaterskiéj Hellady. A jednak „Messeńczycy“ tracą wiele ze swego efektu w niektórych scenach melodramatycznych, nielicujących z całością. Zdaje nam się, że splendor imaginacyi epicznéj i lirycznéj tak świetnéj w Messeńczykach, sprawia większe wrażenie i podoba się lepiéj w czytaniu niż na scenie. Pierwszy akt zaczyna się z epicką okazałością. Arystomenes powraca z przepaści Ceadu, gdzie go wrzucono razem z 50 jeńcami messeńskimi. Znajduje on swój lud poniżony i zgnębiony, wlokący się do Sparty dla oddania czci zwłokom cudzoziemskiego władcy, uginający się pod brzemieniem połowy swoich zbiorów, któremi ma zapłacić daninę. Akcya odbywa się w górach na granicy Messenii i Lakonii. Spotkanie powodowuje scenę istotnie dramatyczną. Z ostatnich słów, nacechowanych głęboką ironią, jakiemi Arystomenes przemawia do swoich współobywateli i przyjaciół, widnieje niezłomny charakter bohatera starożytności, w którym legenda uosobiła niezrównaną dziel-

ność wielkiego ludu: „Widzę o Messeńczycy! żeście przyszli do wielkich bogactw, kiedy zbywające wam dostatki niesiecie do Sparty.“ A gdy mu mówią, że to są rzeczy niezbędne do życia odjęte od ust własnych niemowląt: Dla czegoż, pyta, dźwigacie cały ten ciężar, pod którym uginają się karki wasze, kiedy miecz daleko jest lżejszy.“

Arystomenes jest mężem czynu nie teoryi, człowiekiem z krwi, ciała i uczuć; wie on, że nie powinien mieć innéj myśli jedno o Messenie. Akt kończy się nadzwyczaj piękną sceną. Arystomenes wyrywa ze szczytu najwyższego wzgórza chorągiew spartańską i wyzywa Dioskurów tam, gdzie świszczą wiatry i orły ścielą sobie gniazda; tam jest ziemia swobodnych ludzi, gdzie szaleją huragany i echo powtarza hymny miłości bliźniego i prawdy. Lud messeński jest widocznie przekonany i wzruszony, nie może jednak wykazać swoich uczuć. Stary Damides ojciec Laudamii, obarczony latami, idąc do obozu razem z innymi, prawie ciągniony przez nich, nie znajdując dosyć siły do zniesienia trudów podróży, umiera na drodze. W drugim akcie widzimy Messeńczyków w zupełnéj rewolucyi; poeta Teokles pozwala się wziąć do niewoli przez Spartan, ażeby późniéj wprowadzić ich w zasadzkę w wąwozach Ekalii. Spartanie nie widzą nigdzie nieprzyjaciela, znajdują tylko zniszczone pola, drzewa wywrócone i wyrwane z korzeniem, nawet skały wzruszone na swoich posadach. Widać, że nad tą okolicą przebiegł huragan wojny; atoli stary poeta stara się przekonać swoich nieprzyjaciół, upewnia wodza spartańskiego, że to szalony wicher, że wezbrane wód potoki są przyczyną takiego przewrotu. Obok kolei spraw publicznych, które w starożytności absorbowały prawie całego człowieka, mamy w Messeńczykach epizody z życia prywatnego. Emperames, wódz spartański, kocha Laudamią, która przekonaną jest, że mąż jéj zginął w zawierusze wojennéj. Nieszczęśliwa niewiasta, opuszczona od wszystkich, na obcéj ziemi, zaczyna kochać, nie wiedząc sama o rodzącém się uczuciu, niewinną miłością człowieka, który jeden tylko ze wszystkich ofiaruje jéj swoję opiekę i schronienie pod własnym dachem. Emperames uprowadza ją z sobą, korzystając z chaosu wojennego, i łudzi się że stary Damides odda mu ją za żonę. Pięknym jest charakter Laudamii jako niewiasty, ale przedewszystkiém greckiéj niewiasty. Urok człowieka, któremu ślubowała wiarę, święta tradycya ojcowskiego ogniska, ostatnie słowa starego umierającego poety, dodają jéj siły do walki i stłumienia w sobie namiętności. Nie przeczymy, że starożytność stać było na podobne niewiasty, jednakże w interesie dramatu byłoby pożądaném, widzieć na sce-

nie niewiastę słabszą i więcéj ułomną. Autor w swoim poetycznym prologu tłómaczy się przed czytelnikami, że widząc w dzisiejszych dramatach kobietę obciążoną winą, chciał przedstawić w zamian niewiastę silną, pełną hartu i panującą nad swojemi uczuciami. Autor nie chciał popsuć dyssonansem obrazu starożytnéj cnoty. Czytaliśmy recenzyą Messeńczyków w piśmie włoskiém.

Krytyk powiada, że włoska publiczność, która nie przyznaje w teatrze moralności dla moralności, byłaby więcéj zadowoloną, gdyby autor chciał był skorzystać z sytuacyi, jaką mu nastręczała treść dramatu. Emperames nie jest ideałem spartańskiego heroizmu, w istocie, człowiek bierze w nim górę nad obywatelem. Ze sceny pomiędzy Emperamesem i Laudamią dowiadujemy się o tém co zaszło w państwie Lacedemonów. Laudamia walczy ze wzrastającą miłością, już jest blizką upadku; przed jéj oczyma staje zawsze skrwawione widmo męża i jéj dusza pełna jest bolesnego niespokojnego przeczucia. Przypomina sobie prawie ze strachem, jak małą jeszcze będąc dziewczynką, igrała z siwemi włosami starego ojca. Emperames przemawia do niéj słowami gwałtownego uczucia, Laudamia usiłuje przekonać go, prosi i błaga ażeby, o niéj zapomniał; on nie umie odpowiedzieć jéj nic innego jak tylko że: „nie można w ślepém przeznaczeniu szukać racyi wypadków.“ Rozmowę obojga przerywa śpiew Teoklesa opiewającego naprzód zmartwychwstanie córki Arystodema i powrót Tezeusza z piekieł. Sceną pełną prawdziwéj poezyi jest chwila, w któréj Spartanie przyciśnięci przez nieprzyjaciół znieważają swego przewodnika, zniewalając mądrego Teoklesa, ażeby im śpiewał tak jak to czynił dla Messeńczyków. Teokles zaczyna pieśń, w któréj czuć śmierć i grób Spartan. Arystomenes powrócił z państwa śmierci, on to prowadzi bitwę, on to jest wichrem, potokiem, zniszczeniem. Biedny Teokles ginie pod ciosami Spartan na rękach Laudamii, któréj chwiejącą się cnotę krzepi własnym przykładem. Drugi akt kończy się sceną wielce dramatyczną i prawdziwéj wartości psychologicznéj. Arystomenes rzuca się w objęcia żony. W Laudamii walczą dwa sprzeczne uczucia: opłakiwała śmierć męża, zgodziła się jednak w końcu z przeznaczeniem, i poddając się woli bogów, zaczęła kochać innego. Pomimo że metafizycy niektórzy wynoszą pod obłoki i podnoszą do nieskończonéj potęgi siłę woli, uczucia nie można zwyciężyć w jednéj chwili. Laudamia szuka siły w swéj kobiecości, spuszcza oczy i wskazuje mężowi umierającego poetę — pełną jest męzkiéj srogości kłótnia Arystomenesa z Emperamesem. W Arystomenesie lubo wielkim, widać człowieka, co właśnie czyni go osobistością dramatyczną.

Usiłuje on zakryć przed samym sobą miotającą nim walkę i gotów jest poświęcić swoje uczucia, zazdrosnym jest o żonę, która tyle lat żyła poza domem. „Jesteś bardzo milczącą Laudamio, ja ci przynoszę ostatnie pożegnanie twojego ojca, i chcę ci towarzyszyć do jego grobu.“ Emperames gwałtownym ruchem zdradza swoje uczucia. „Czyż jest kto coby śmiał rościć sobie prawo do mojéj małżonki? Strzeż się Laudamio, byłoby zbrodnią gdybyś się zbliżyła do jego grobu ze splamioną duszą, gdyż grób ten, to jest grób męczennika.“

— „Prowadź mię do grobu.“

Ileż prawdy w nagłém postanowieniu téj kobiety, która nie upadła jeszcze w fatalną przepaść! ileżby jednak była dramatyczniejszą jéj postać gdyby się była dała porwać ogniowi namiętności! Autor okaleczył legendę, i to co dodał swego, nie jest w stanie obudzić dosyć życia w ostatnich aktach. Zazdrosny Arystomenes mści się na swoim rywalu, zatrzymując jego puklerz, który mu obiecuje zwrócić w Sparcie, samego zaś puszcza swobodnie, lecz bez puklerza. Trzeci akt jest szkicem surowych obyczajów staréj Lacedemonii; piękną jest scena, w któréj kulawy Tyrteusz nauczyciel szkoły, zostaje wybrany na wodza wojsk spartańskich, w skutku rozkazów wyroczni delfickiéj. Niemniéj malowniczą jest scena pomiędzy Arystomenesem, przybywającym do Sparty i ofiarującym jako wota, Minerwie chalcydyjskiéj puklerz Emperamesa, i Tyrteuszem. „Messeńczycy najechali Ateny, dlaczegoż ty niepomny historyi i dobrodziejstw doznanych od Messeńczyków i krzywd Spartan mścisz się nad Messenią? Jakto! ty Ateńczyk z miasta Afidny spieszysz nieść pomoc Sparcie, uderzyć czołem przed ołtarzem bogini, któréj wzniesiono świątynię z łupów zabranych twoim ojcom?“—„To właśnie może być zemsta, któréj bogi domagają się od Messeny.“ Jesteśmy w czwartym akcie. Laudamia przychodzi błagać ojcowskie popioły o pomoc przeciwko namiętności, któréj nie śmie wyznać przed sobą. Znakomitą jest scena gdzie Arystomenes chowa pod ziemię tablice z prawami świątyni Jowisza, ażeby się nie dostały w ręce Spartan, gdyż dopóki lud mógł odszukać te prawa, mógł jeszcze powstać. Chybioną jest jednak scena, w któréj Arystomenes powierzywszy ziemi święte skarby, dopiero spostrzega obecność biednéj Laudamii, modlącéj się obok niego. Przed pogrzebaniem przykazań, Arystomenes powinien był przynajmniéj obejrzeć się na około siebie. Diomeda, spartańska dziewica, uwiedziona przez Emperamesa obiecującego ją poślubić, szalona z rozpaczy i boleści przybywa do ziemi Messenów, opłakując śmierć swojego uwodziciela i szukając jego trupa. Nie zdaje

nam się, ażeby autor umiał dosyć wcielić w Diomedę typ spartańskiéj dziewicy—podobną wrażliwość nerwów spotykamy wprawdzie w Grecyi i Rzymie, ale dopiero w czasach upadku i zniewieściałości obyczajów. Arystomenes czasami także przemawia jak Hamlet, serce mówi przez jego usta. Zazdrość Arystomenesa budzi się, gdy się dowiaduje, że Diomeda szuka znienawidzonego rywala, odmawia on jéj wszelkich wskazówek, w końcu zostawia ją jednak z Laudamią, od któréj dziewica dowiaduje się, że Emperames żyje. Kilka scen z ostatniego aktu byłoby bardzo efektownych, gdyby nie były tak długie; autor nuży słuchaczów skazując ich na długie oczekiwanie ostatniéj katastrofy. Emperames kocha szalenie, miłość atoli nie zawładnęła całkowicie innemi jego uczuciami, które były życiem każdego Spartanina. Nienawidzi on swego rywala, który mu odebrał honor i zmusił błądzić, jak dzikiego zwierza, po górach i lasach, bo nie może się pokazać w swojéj ojczyznie bez znanego wszystkim puklerza. Rozumiemy piekielny zamiar Spartanina, pomszczenia się nad rywalem, gdyby otrzymał wzajemność Laudamii. Chce on się rehabilitować w obec swoich współobywateli i przyczynić zdradą do wielkości Sparty. Jesteśmy obecni ostatniéj walce ludu messeńskiego przyciśniętego i oblężonego na górze Ira. Gdyby Laudamia była upadła, z miłości dla cudzoziemca zdradziła kraj i męża, katastrofa byłaby rzeczywiście nadzwyczaj dramatyczną; tymczasem autor przez wzgląd na moralność teatru, poprzestał na owéj scenie zazdrości Arystomenesa w całym dramacie występującego zawsze, naprzód jako króla, a późniéj jako męża, zapomina on dopiero o swoim charakterze w chwili kiedy godziny ojczyzny są policzone. Kiedy Laudamia zapewnia go o swojéj niewinności, Arystomenes znów staje się bohaterem, jakim był w ciągu dramatu. „Czyż możesz powrócić teraz życie ludowi messeńskiemu?...“ Arystomenes nie oddaje swego miecza nieprzyjacielowi, lecz z kilku walecznymi przebija się przez szeregi Spartan, szukając gdzieindziéj ojczyzny. Na tém się kończy dramat pana Cavallottego.

W rozmaitéj i tak bogatéj obfitości historycznych wypadków, jakie nam przedstawiają dzieje Italii, spotykamy jednę straszliwą tragedyą w któréj splotły się jednym potężnym węzłem najnikczemniejsze passye, najbrudniejsze uczucia, najstraszniejsze nadużycia i wpośród których czuła, nadobna, męczeńska staje postać 18-letniéj dziewicy. Pogodne jéj czoło, jéj niewinne, pełne łagodności spojrzenie, uśmiech miłości igrający na jéj ustach, nadobną głowę odciętą toporem kata przekazał potomności nieśmiertelnym pędzlem geniusz Guida Reniego. Wiedzą czytelnicy, że chcemy mó-

wić o Beatryxie Cenci — téj samej Beatryxie której katusze opowiedział Guerazzi i Słowacki. Tragiczną uroczystość treści dramatu powiększa jeszcze bardziéj cień osłaniającéj ją tajemnicy. Czy rzeczywiście nieszczęsna dziewica targnęła się na dni tego, który jéj dał życie? czy istotnie jéj ręce zmazały się we krwi ojcowskiéj? Czy nadobna Lukrecya Petroni, z którą wszedł w powtórne związki małżeńskie ów potwór, Franciszek Cenci, była wspólniczką morderstwa swego męża? czy zaciętość przeciwko rodzinie zamordowanego podejrzanéj o ojcobójstwo, a w końcu zagłada całéj rodziny Cencich były skutkiem fatalnéj omyłki, czy po prostu haniebnego rozmysłu? Na te zapytania wieki nie dały jeszcze ostatecznéj odpowiedzi. Jakże się to jednak stało, że kiedy wszystko w owych czasach, i jak to było widać z dokumentów pozostałych w rękach potomności, zdawało się kojarzyć i zmawiać na potępienie młodéj Beatryxy, lud, jedną z tych sobie właściwych, cudownych jednomyślnych sympatyi, stworzył z téj nieszczęśliwéj niewinną ofiarę i męczennicę, prawie że nie uznał ją za świętą? Byłaż to także omyłka, czy też niepojęta, niewytłómaczona intuicya poczucia, ludowego przewidująca prawdę — pomimo całéj argumentacyi krytyki? Sympatya dla nieszczęśliwéj, którą dosięgła sprawiedliwość ziemska, powiększyła się w stosunku wstrętu, jakim przejmuje zamordowany. Tutaj strony znalazły się do siebie w odwrotnym stosunku: kto był ofiarą zbrodni, jest przedmiotem pogardliwego wstrętu; ten kogo mienią być sprawcą, obudza litość i współczucie. Powiemy nadto, że uznając nawet za winną Beatryxę, jéj macochę i braci, — barbarzyński sposób w jaki kazano im odpokutować za winę już byłby wystarczającym, ażeby obudzić politowanie nad nieszczęsnemi ofiarami a szczególnie nad dziewicą, która w tak młodych latach pośród najstraszniejszych różnego rodzaju katuszy moralnych i pokus szatańskich, zachowała jednakowy hart duszy, pogodę umysłu, jednakową wytrwałość myśli i uczuć. Wiadomo, że brudny, zbrodniczy człowiek, Franciszek Cenci nienawidził wszystkich, którzy mieszkali pod jednym z nim dachem; był to jakiś szał, ale szał trwający długie już lata; kto tylko należał do rodziny, w kim płynęła choćby odrobina krwi Cencich, już był przedmiotem jego nienawiści. Tajemniczą śmiercią zginęła pierwsza jego żona, za nią poszedł na tamten świat syn jego pierworodny; jedna ze starszych córek błagała papieża, ażeby rychło wydał ją za mąż za kogokolwiek, ażeby tém prędzéj uwolnić się od sromotnych prześladowań własnego ojca; trzech synów wygnał z domu, każąc im znosić niedostatek a może i nędzę; dwóch ostatnich trzymał w ścisłéj niewoli w ich mieszkaniach, grożąc im cią-

gle bezwstydnemi zamachami. Nienawiść w nim, jakąś dziwną perwersyą natury, łączyła się ze zmysłową, zwierzęcą chucią; starca 60-letniego opanowywały satyrowskie pożądliwości; nikczemnik w takich godzinach nie miał nic świętego. Beatryxa usiłowała ratować się od sromoty zawieszonéj nad jéj głową, błagała dla siebie o małżeńskie związki, lub pozwolenie wstąpienia do klasztoru. Wtedy ten szatan wcielony, hańbiący święte imię ojca rodziny, przenosi bezbronne ofiary swych żądz, żonę i dzieci do starego zamku Rocca-Petrella, ażeby tam bezkarnie i swobodnie pastwić się nad nieszczęśliwemi. Jakże okropne rzeczy dziać się musiały w tém starém tajemniczém zamczysku! Pewnego dnia Franciszka Cenci znaleziono nieżywego, wyrzuconego z okna zamkowego, i zawieszonego na gałęziach drzew. Pochowano go bez wielkiego żalu z pompą godną jego wysokiego rodu, i przez czas jakiś zdawało się, że świat i ludzie zapomnieli o potworze, od którego rodzinę oswobodziło jakieś nieznane ramię, kiedy oto wprost z Watykanu przychodzi rozkaz wytoczenia kryminalnego procesu całéj rodzinie Cencich. Wszyscy jéj członkowie są uwięzieni, zamknięci do ciemnych lochów, w podziemiach zamku ś-go Anioła w Rzymie, skazani na tyrańskie obchodzenie się i straszne tortury. Ustępuje pod grozą katuszy Lukrecya i synowie zamordowanego Franciszka Cenci, jedna tylko 18-letnia Beatryxa nie daje się ugiąć. Ale i od niéj domagano się koniecznie wyznania winy, ażeby prawnie można ją było skazać. Udano się do nikczemnych knowań i intryg, na jakie tylko mógł się zdobyć zmysł rzymskiego sądowego urzędnika. „Jeżeli się przyznasz do winy, powtarzano jéj po tysiąc razy, bądź pewna łaski i przebaczenia, otrzymają ją także i twoi współwinowajcy; jeżeli zaś trwać będziesz w uporze, twoja macocha i bracia zginą, gdyż się już przyznali do wszystkiego; ty ocaloną być nie możesz zapierając się zbrodni, gdyż ich zeznania ciebie także obwiniają o udział w morderstwie. Bohaterska dziewica upiera się i przeczy wszystkiemu o co ją obwiniają; w końcu osłabiona na siłach i zgnębiona moralnie upada, i ustępuje po uroczystych obietnicach i przysięgach, że łaska im wszystkim będzie wyświadczona.

Wyznanie Beatryxy posłużyło za powód do skazania na śmierć całéj rodziny. Łaski nie było! i rusztowanie zlało się krwią ofiar, które wprzód męczono katuszami gorszemi od saméj śmierci. Gdyby Beatryxa była nawet winną, że przyzwoliła na ojcobójstwo, przekładając zbrodnię nad kazirodny stosunek z rodzicem, czyż nie jest dosyć tragiczną, bolesną i zajmującą postać dziewicy? Ileż jednak staje się tragiczniejszą, jeżeli się ją uważa,

jeżeli się dowodzi, że była niewinną! Tego właśnie dokazał pan Józef Bianchi, poeta o tyle dzielny, o ile cichy i skromny. Aż dotąd uważano Beatryxę za winną, wszelako usprawiedliwiając jéj winę. Bianchi chce ją mieć zupełnie czystą, daleką nawet od myśli zostania ojcobójczynią. Beatryxa o tyle tylko może jest winną, że prosi Nieba i wygląda od Opatrzności cudu, któryby ją uwolnił od haniebnych zapałów ojcowskich; cud taki stał się, a cudem tym było morderstwo starego Cenci, dokonane, jak się wszystko na to zbiega, przez młodego Guerra, który pałając gwałtowną miłością ku Beatryxie i nie widząc innego środka ocalenia kochanki od hańby, uciekł się do żelaza płatnego siepacza.

Bianchiemu niedosyć moralnego przeświadczenia o niewinności Beatryxy, nie zadawala on się fantazyą poetycką, jaką mu sam fakt nastręcza. Autor w dokładnéj notacie historycznéj poprzedzającéj dramat skreśla prawdziwy obraz zwyczajów i warunków życia owego wieku; przy pomocy niezbitych dowodów, które nowoczesna krytyka wyświetliła, ukazuje nam w całéj białości biedną ofiarę, i zdejmuje z niéj piętno hańby, pod którą tyle czasów zostawała, jako też przywraca cześć wszystkim członkom nieszczęśliwéj rodziny skazanéj na stracenie pod toporem oprawcy.

Instynkt ludu z owego czasu nie błądził. Cenci zginęła jako ofiara chciwości zbytku i rozkoszy... Dramat cały od początku do końca dąży zwięźle i jasno, gdzieniegdzie może chropowato, zbliżając się do krwawego finału. Francesco Cenci pośród orgii w swoim zamku Rocca Petrella oddany po mistrzowsku, zdaje się być wykutym z bronzu. Klemens VII i jego kardynałowie i wielki inkwizytor, wszyscy składają się znakomicie na prawdziwą akcyą dramatyczną i popychają ją do końca; prowadzą *ab alto* fatalny dramat, jako *fatum* starożytnych, ale fatum własnowolne. Wiersz jest piękny, elegancki, surowy, czasami liryczny; po tym wierszu poznać prawdziwego poetę. Dramat pana Bianchiego jest namiętnym utworem pisanym *con amore;* o nim włoska krytyka jeszcze, o ile wiemy, nie wyrzekła swego wyroku, gdyż nie był przedstawiony na żadnéj dotąd scenie.

Drugi dramat tegoż samego autora p. t. *Izabella neapolitańska*, jest epizodem z czasów panowania arragońskiego w Królestwie Neapolitańskiém, gdzie przez długie lata żyły obok siebie życiem oryginalném i sobie właściwém, monarchia i feudalizm. W Neapolu feudalizm reprezentował coś więcéj i dokładniéj niż gdzieindziéj: reprezentował on owe wolności lokalne i ową niepodległość centrów mniejszych, o którą tak dbały gminy

w środkowéj i górnéj Italii, a które ruch monarchiczny coraz bardziéj potężniejący zginał z większym skutkiem tam niż gdzieindziéj. Izabella jest córą feudalizmu; następca tronu prześladujący ją swoją miłością, jest powodem jéj śmierci w murach klasztornych. Temat dramatu również znany, pomimo to jest nadzwyczaj zajmującym. Nie ma tutaj szumnéj deklamacyi teatralnéj, ani wielkich wyskoków imaginacyjnych, prawdopodobnie więc dramat ten znajdzie na włoskiéj scenie zasłużone przyjęcie.

Do nielicznego grona dramaturgów cieszących się pewną sławą należy p. Salmini Wenecyanin, autor dramatu prozą: *Joanna d'Arc*, i świeżo wydanego: *Pani Roland*. W tym ostatnim utworze przedziwna charakterystyka filozoficzna tak bogatéj w wypadki epoki rewolucyjnéj Francyi, zajmuje ciągle słuchacza i widza, przed którego oczami przesuwają się olbrzymie postaci takich osobistości jak Roland Clootz, Vergniaud, Danton, Robespierre przyjaciel ludu, i bohaterska Corday. Również utalentowanym i znanym ze swoich licznych dramatów jest Paweł Terrari, Muratori, Marenco, Alberti etc.

W młodéj, nadobnéj literaturze Włoch odrodzonych od kilku lat panuje ruch ogromny; czy zaś z mnóstwa ukazujących się co rok powieści, romansów i opowiadań wiele jest zdrowym pokarmem dla czytającéj publiczności, to znowu inna kwestya. Czytających we Włoszech jest bardzo wielu, naprzód dlatego, że książki są tanie, a daléj że dzisiaj można pisać na całéj przestrzeni od Alp do Etny co się komu podoba. Włosi jakby chcieli sobie powetować czasy przed r. 1860, kiedy to byle ćwiartka drukowanéj bibuły nieopatrzona stemplem urzędowym bywała powodem tysiąca niemiłych przygód, nie tracą czasu, moralnéj jednak tendencyi w utworach dzisiejszych młodych powieściopisarzy niewiele można się dopatrzyć. Czytaliśmy mnóstwo przeróżnych romansów i powieści; po skończeniu każdéj książki prawie zawsze zapytywaliśmy się samych siebie, czy nasz ogół czytający znalazłby w niéj upodobanie? i zawsze przekonanie wewnętrzne i znajomość naszych wymagań odpowiadały nam: *nie*. Niektórzy młodzi nowelliści, poeci romansiści, naśladując pana Houssaye, rozkoszują się bez miary w elixirach demi-mondu włoskiego stworzonego przez nich samych; inni sprzedają jak paki bawełny lub pomarańcz swoje światło księżyca, gwiazd i słońca, swoje pojedynki, tajemnicze wyprawy, swoje łzy i westchnienia, i to wszystko za niezbyt wysoką cenę, a ludzie kupują takie wyroby i każą sobie je posyłać aż za Atlantyk, żałując wszakże częstokroć wyrzuconego grosza. Nie przesadzajmy jednak; takich fabrykantów powieści w stosunku do ogólnéj liczby piszących we Włoszech, jest

niewielu; gdyby zaś było przeciwnie, mogliby się oni stać niebezpiecznym wzorem dla młodéj literatury. Mniejszość ta ginie w pośród zastępu powieściopisarzy mających tak ustaloną sławę jak Wiktor Bersezio, autor powieści: „Aniołowie ziemi,“ „Benjaminek rodziny“ „Miłość bliźniego“ „Broń, miłość i Kawalerowie“ opowiadanie z XVII wieku, „Tajemnica Adolfa“ i t. d. Sędziwy wiek piemonckiego pisarza nie zmniejszył bynajmniéj jego talentu ani też osłabił w czemkolwiek jego literackiéj działalności; pisze on bezustannie coraz to nowe a zawsze piękne rzeczy, powieści wesołe a czasami i bardzo smutne, komedye pełne humoru, oraz dramata. Kilka jego komedyi i opowiadań znaleźliśmy przełożonych na język francuzki, mianowicie te, które były pisane w dyalekcie piemonckim. Młodszym od Bersezia, ale równym w talencie i zdatności powieściopisarskiéj jest Juliusz Antoni Barrili, autor mnóstwa prześlicznych powiastek i romansów. Jego styl wytworny, dowcip naturalny a delikatny, szczera prostota w opowiadaniu i malowniczość obrazów, czynią go ulubieńcem wykształceńszéj włoskiéj publiczności. Z dawniéj wydanych opowiadań miały wielki rozgłos „Przygody kapitana Dodera,“ „Santa Cecilia,“ „Czarna książka,“ „Wiąz i bluszcz,“ a dzisiaj rozrywają sobie wszyscy najnowszy jego romans *Come un Sogno* (jakby sen).

Utwór ten nie jest właściwie romansem, a jednak posiada cały jego interes. Jest ich dwoje, on i ona, oboje piękni i młodzi, poznają się oni w podróży w wagonie I klassy, mieszkają pod jednym dachem przez cały miesiąc, kochają się jak dwie turkawki, a później rozchodzą w przeciwne strony, aby się więcéj może nie spotkać. Cała ta historya jest wdzięcznie poetyczna, wstydliwa, skromna; każe ona kochać poetę-powieściopisarza, że się oparł pokusie rzucenia w objęcia grzecznego kawalera nadobnéj wojażerki. Nikt nam jednak nie odmówi prawa domyślania się, że la bella ma męża, i gdy się ten dowie, że dwoje kochanków mieszkało przez całe 4 tygodnie prawie razem, uchodząc przed światem za męża i żonę, to pan mąż studyując choćby z gruntu Platona i wierzący w Smiles'a, dałby się może z trudnością przekonać, że sen był tak dalece poetycznym, i bądź co bądź nie przypadnie mu pewno do gustu. Barrili jest salonowym, wykwintnym pisarzem, być więc może, że miłość elegancyi spowodowała to nieprawdopodobieństwo w jego opowiadaniu; nazwał on je *tylko snem.* Historya w istocie do snu podobna. Gdyby to jeszcze było u nas!... ale we Włoszech?—Salvator Farina autor „Nowoczesnego świętoszka,“ „Sceptycyzmu“ i dramatu: „Il Suicidio“ (samobójstwo) również coraz to więcéj zaczyna zjednywać

sobie względów włoskich czytelników. Niemcy przełożyli na swój język kilka jego powieści jak: „Amor bendato“ (miłość zaślepiona), „Tyran w morskich kąpielach,“ „La fiamma vagabonda“ (błędny ognik). Najnowszą powieść „Capelli biondi“ (jasne włosy) również wszyscy bardzo chwalą, lubo rozwiązanie intrygi grzeszy trochę niemoralnością. Nazywają go niektórzy włoskim Dickensem; sąd to bardzo dla niego pochlebny, alebyśmy powiedzieli, że za śmiały; Farina idzie za Dickensem, ale mu jeszcze daleko do mistrza. Już to można powiedzieć: że Włosi nie znajdują miary w swoich sądzeniach:—jak kogo zaczną chwalić, to już do znudzenia—kiedy zaś ganią, to bez litości, a często niesprawiedliwie. Vergę, autora kilku wolném piórem pisanych obrazków, nazwali swoim Balzakiem dlatego, że forma jego utworów przypomina sposób pisania tego psychologa paryzkiego społeczeństwa. W ślady Fariny wstąpiła młoda debiutantka piękną rokująca przyszłość na polu literackiém, pani Zofia A. Jéj pierwsze wystąpienie z powieścią niewielkich rozmiarów: *Nel vano della finestra* (w zagłębieniu okna) krytyka bardzo pochlebnie oceniła. Pani Luigia Codemo, Wenecyanka, znana jest równie zaszczytnie ze swoich obyczajowych pełnych bogatéj wyobraźni i charakterystycznéj oryginalności, powieści z życia Wenecyan, pisanych żywym, zajmującym stylem. Ostatnia jéj powieść: *Fiore di prato e di serra* (kwiatek polny i cieplarniany) jest małém arcydziełem w swoim rodzaju Pani Wirginia Mulazi swojém dziełem p. t. *Olimpia Morata, opowiadanie historyczne z XVI wieku,* zyskała sobie imię w młodéj literaturze, lubo krytyka bardzo surowo oceniła pracę autorki poraz pierwszy na historycznéj niwie probującej swoich pisarskich zdolności. Z miłą powieścią *Walentyna*, przez p. Teressę Costetti, przeznaczoną dla młodocianego wieku, spotkać się można we wszystkich księgarniach. Autorem powieści *Milioner* jest również kobieta, pani Jadwiga Ferzi. W licznym zastępie powieściopisarzy godnie reprezentujących ruch literacki włoski, zajmują zaszczytne miejsce: Rafael Giovagnoli, autor 2-u tomowego historycznego opowiadania z czasów rzymskich p. t. *Spartakus*; *Plautilla,* również z czasów rzymskich, i *Opimia* opowiadanie z VI wieku ery rzymskiéj; p. Anzelm Rivalta badacz starożytności rzymskich, autor *Tytusa Wecyusza* czyli Rzymu na 100 lat przed-Chrystusem. Byłoby grzechem nie wspomnieć o nazwiskach znanych oddawna we Włoszech takiego Guerazzego, Ghislanzoniego de Amicis, Caccianiga, Molinarego, Archintego, Stuarta. Ten ostatni jak pokazuje jego nazwisko, jest Anglikiem, lecz oddawna osia-

dłym we Florencyi. Język w jego powieściach jest piękny, czysty, nawet surowy purysta włoski nie dopatrzy w nim cudzoziemca.

Przychodzi nam teraz mówić o utworach poetycznych dzisiejszych poetów włoskich. W epoce narodowych wstrząśnień politycznych, przez jakie przechodziły Włochy od początku naszego stulecia, poezyą należałoby nazwać bojująco-żołnierską—poeta zagrzany miłością ojczyzny i w oczekiwaniu lepszéj doli na przyszłość, składa na stronę oręż, i wstąpiwszy na szczyt Parnasu, opiewa, jeśli niezawsze sławę i zwycięztwa, to nieszczęścia i klęski. Pieśni jego malują zazwyczaj ten stan duszy, w jakim się znajduje piszący, i są echem tego, co go dochodzi ze świata, w którym żyje; trudno mu się oprzeć prądowi, jaki go z sobą pociąga. W śpiewie wypowiada wrażenia, jakie mu dyktuje jego poczucie; wlewa on w swoje pienia najlepszą cząstkę samego siebie, nie tając się z tém co myśli, czego pragnie, czego się spodziewa. Widzimy też, że większość dzisiejszych poetyckich produkcyi, jest żywém zwierciadłem epoki, w któréj powstały; widzimy w nich jak na dłoni historyą przewrotów politycznych na półwyspie. O takich pisarzach można powiedzieć, że:

Loro tesoro è l'impeto
Dell' infiammata idea,
Che l'infinito naviga
E mille mondi crea.
Loro tesoro è il cantico
Che la vista lor ispira
L'amor, la fede, il fremito
Dell' invenduta lira (1).

Od lat 15 kierunek ten zmienił się; Włochy otrzymały to, do czego od tylu wieków dążyły: to też i poezya na inne wstąpiła tory. W dzisiejszych utworach poetyckich widzimy więcéj spokoju i ciszy; już w nich nie słychać ciągłego huku dział, szczęku oręża, chrapania konających; odgłosy zemsty i odwetu ustąpiły łagodnym pieniom, głoszącym piękność natury, miłość ludzkości, kochanki, rodziny i t. p. Ariost skarżył się mówiąc, że:

---

(1) Skarb ich, to potęga ognistéj myśli, ktora unosi się nad przestworem bezmiernym i stwarza światów tysiące. Skarb ich, to pieśń, którą natchnęło ich widzenie, i miłość, i wiara, i dźwięk lutni nieprzekupnéj.

Son come i cigni anco i poeti rari,
Poeti, che non sien del nome indegni (1).

I dziś możnaby to samo może o Włochach powiedzieć. Jakkolwiek poetów widzimy tam bardzo liczną falangę, nazwy jednakże poetów oryginalnych, obdarzonych prawdziwém natchnieniem i geniuszem, dać im niepodobna. Z młodszéj generacyi nikt dotąd nie wyrównał, a témbardziéj nie przewyższył romantyków: Manzoniego, Rossettiego, Montiego, Foscola, Parriniego, Maffeiego; kilku przecież młodszych poetów wstępuje na gościniec, na którym z takim blaskiem jaśnieją do dziś dnia dwie gwiazdy romantycznéj poezyi: Aleardo Aleardi i Jan Prati. Do grona poetów szczęśliwém obdarzonych natchnieniem zaliczyć wypada Ludwika Patuzziego, którego ostatnie utwory noszące skromny tytuł „Erbucce“ (trawki), wszędzie pochlebne znalazły przyjęcie. Wdzięczne są mianowicie jego wiersze do „Młodzieńca,“ „Burza,“ „Komar,“ „Jutrzenka,“ „Egle,“ a szczególnie 50-cio wierszowy poemacik p. t. „Mrówki.“ Ze skrzętną robotą mrówek, autor porównywa prace całéj ludzkości: prace to wielkie, olbrzymie i jednych i drugich, jednak jakże jeszcze maluczkie w porównaniu z nieskończonością życia wszechświata! Poeta mówi:

„Formiche sapienti
Un' ora è già che intenti
Stan gli occhi miei sull' opera
Che tacite compite.
Ma domani la marra di un villano,
Sconvolgerà la zolla ove albergate;
Disperse andrete, ahime! forse schiacciate,
O creature sapienti invano!“ (2).

A mrówki odpowiadają:

„Sopra le dotte carte
O di scienza o d'arte

(1) Jako łabędzie są rzadcy poeci, którzy nie są niegodni tego imienia.

(2) Mądre mrówki, już godzinę całą oczy moje śledzą pracę, któréj milcząc dokonywacie. Lecz jutro motyka chłopka przewróci skibę, którą zamieszkujecie, i pójdziecie w rozsypkę, ach! może zostaniecie zmiażdżone, istoty mądre, napróżno!

Tenaci insiston gli uomini
O ad altro util lavoro.
Ma domani un tribuno od un sovrano
Stoltamente v'incita a stolta guerra,
Ed è piena di morti, ahime! la terra,
O creature sapienti invano!" (1).

Fabiusz Nannarelli, Rzymianin, którego poezye nazwano *il sorriso della primavera* (uśmiech wiosny) wydał niedawno niewielki zbiór rymów p. t. „Nowe pieśni," z których sonet pierwszy wydał nam się prześlicznym, jak również „Romilda" i elegia p. t. „Emma." Rzym dumnym jest ze swego poety. Obiecująco bardzo rekomenduje się młody poeta pełen przyszłości: Naborre Campaccini. Jego „Oda do Wenery," „Śpiew weselny" są cudnemi utworami, jakichby się nie powstydził żaden z dzisiejszych poetów włoskich.

Oto jak poeta opisuje miłość:

Amor, re de la vita,
Per te sonante è il mare,
E, per te, l'infinita
Curva del' etra scintillante appare
Ne' le notti profonde.
Il ciel, la terra e l'onde
In ogni loco, con divini accenti,
Rivelan l'armonia de' tuoi portenti (2).

Albo na innén miejscu w chórze IV Antygony Sofoklesa:

Amor Possente, Amore
Che tutti apprender osi,
Indomito Signore
E molle ti riposi

---

(1) Nad uczoną księgą, nad nauką lub sztuką, wytrwale ślęczą ludzie, lub nad inną pracą pożyteczną. Atoli jutro trybun lub władca bezmyślnie pobudza do bezmyślnéj wojny, i ziemia, ach! trupami zasłana, o istoty mądre, napróżno!

(2) Miłości, królowo życia! tobą dźwięczy morze i za twoją sprawą niezmierzone niebios sklepienie jaśnieje śród ciemnych nocy. Niebo i ziemia i fala wszędy objawiają boskiemi głosy harmonią twoich cudów.

Sovra la gota bella
Di tenera donzella;
Tu sovra il mar trascorri e ti racetti
Pur negli agresti tetti;
Ne a te sottrarsi vale
Nume alcun ne mortale
E chi t'ha in petto, errando
Va di ragione in bando (1).

Pomiędzy jednak licznemi utworami wybitniejszych poetów błyszczy jak klejnot najnowszéj literatury śpiewnik Jana Pratiego p. t. „Psiche.“ Jest to zbiór pięciuset kilkudziesięciu sonetów, jak mówi sam autor „zrodzonych w rozmaitéj kolei czasu i rzeczy, w których widzę historyą mojéj duszy i moich myśli.“ Wspomnienia, pamiątki, zwątpienia, żale, westchnienia, pociechy i zawody, są treścią tego zbioru pisanego w formie klassycznéj i wykwintnéj, jaka zawsze cechowała tego poetę. Utwory te nie są pisane na jednakową nutę, owszem jedne do drugich zupełnie niepodobne i nie nużą bynajmniéj czytelnika. Są to córy uczuć już przyjemnych i słodkich, już gorzkich i bolesnych, córy smutku, gniewu, przestrachu, żartu, zgrozy. Czytając ten bogaty zbiór rymów najrozmaitszéj treści, widać wszędzie głębokie uczucie poety, i również głęboką naukę i zamiłowanie, z jakiém studyował starożytnych jako też i nowożytnych poetów. W stylu Pratiego przeważa Wirgili a głównie Dante, wszędzie zaś daje się spostrzegać cicha słodycz Petrarki, poetyczna czułość Tassa, żartobliwość Ariosta i owa rzewna melancholia, którą nacechowane są rymy nieszczęśliwego Leopardiego. Ile razy jest satyrycznym, przypomina Juwenala; gdy maluje sceny z życia domowego, zdaje się, że się widzi prostego, lirycznego Catulla. Cała krytyka na półwyspie częstokroć tak parcyalna, a więcéj jeszcze niżeli krytyka, sama publiczność idąc za własném poczuciem i pierwszém wrażeniem, z zapałem powitała te nowe produkcye sześćdziesię-

(1) Miłości potężna! miłości, która nad wszystkimi śmiało panujesz, władczyni niezwyciężona, i słodko spoczywasz na pięknych jagodach pieszczonéj dziewicy. Po nad morzem przelatujesz a jednak spoczywasz w wiejskiéj chacie. Ani bóg ani śmiertelnik nie może ujść twego wpływu, i kto czuje ciebie w piersi, ten błądzi rozumu pozbawiony.

cioletniego poety. Prati jest honorowym członkiem rady publicznéj oświaty i. jako professor literatury włoskiéj i estetyki w kilku wyższych zakładach naukowych, utrzymuje się z niewielkiéj pensyi 2,000 franków. Nie znosi on biedy, ale mu się też jak to mówią i nie przelewa. Szczęściem dla Pratiego, że żyje w czasach, w którym poetom jest znośniéj na świecie niż przed 200 laty. We Włoszech długi czas poeta i... pewien brzydki owad, który nie ma jeszcze, nie wiem czy słusznie, do tyla prawa do obywatelstwa, ażeby o nim było można mówić bez ogródki, byli synonimami. W XVI wieku poeci i prozatorowie utrzymywani bywali kosztem książąt, kardynałów, magnatów. Ludwik Ariost żył ze wsparcia, jakie mu dawał kardynał Hipolit d'Este. Torkwata Tassa utrzymywał wspaniałomyślny Alfons. Berni przepędził cały swój pracowity żywot w domu Monsignora Ghilberti; Hannibal Caro w domu Ludwika Farnezyusza. Jan Baptysta Vico był zmuszony pozbyć się ostatniéj pamiątki familijnéj, bogatego pierścienia, ażeby zapłacić druk swego nieśmiertelnego dzieła. Poeci nie wstydzili się głosić publicznie o datkach, jakie otrzymywali za dedykacye swoich utworów purpuratom i dostojnikom korony. W wieku XVIII było jeszcze gorzéj. Wielkie szlacheckie rodziny zubożały, i przeszła już była moda popierać nauki i sztuki. Literaci z professyi, z małemi wyjątkami, byli poprostu tylko szkaradnemi pasożytami, znajdującemi przecież zawsze tyle chleba, ażeby nie umrzeć z głodu przy stole jakiego pana żarłoka. W zamian za obiady pisali im wiersze na imieniny, chrzciny, wesela, pogrzeby lub obłóczyny. Gaspar Gozzi wykrzywiwszy grzbiet i wypatrzywszy oczy ślęcząc nad tłómaczeniami dzieł francuzkich, umierał z głodu otoczony liczną rodziną. Piotr Verri płakał opowiadając, że swojéj Historyi medyolańskiéj, sprzedał tylko jeden egzemplarz. Parrini pisał do przyjaciela: „Moja biedna matka nie ma kawałka chleba, a ja nie mam pieniędzy, ażeby ją utrzymać na stare lata." Prati więc jest szczęśliwszym od wielu innych, co przed nim żyli, bo zaledwie ukazały się jego sonety, a już wydawca Sachetti prosi o pozwolenie drukowania drugiéj edycyi.—Chociaż w niewielu słowach chcielibyśmy wspomnieć tutaj o nieszczęśliwym ślepcu—śpiewaku sycylijskim z Palerma Andrzeju Pintacuda. Chociaż w jego „wierszach" styl nie jest zawsze poprawny a obrazy częstokroć pospolite i konwencyonalne, elegie jego przejmują nas do głębi duszy i przypominają zawsze muzę Leopardiego. W każdém jego słowie przeziera prawdziwa, głęboka melancholia; darować mu ją jednak należy gdyż przed nim:

Dai Primi anni
Le luci orbarono
Mortali affanni (1).

Do przyjaciela, o którym mu powiedziano, że również wzrok utracił, tak się odzywa:

Non dalla culla
Te fortunato,
Ti hanno le tenebre
Chiuso il creato,
E non le immagini,
La luce sola
A te s'invola!...(2)
. . . .

Jeden z nauczycieli młodego poety pisze mu w sycylijskim dyalekcie:

Li barbari picciotti, si nun erru
Certu tempu pigghiavanu dilettu
Li pinzuna annurvari cu lu ferru,
Pri lu cantu gustarinni cchin nettu.

Accussi la Distinu, crudu sgherru
Nun avennu pietà, ne umanu affettu,
Pigghiannuti pri passaru o pri merru,
Di lu munnu ti chiusi lu prospettu.

E tu da la to gaggia rannicchiatu,
E comu un passareddu solitariu,
Sciogghi lu mestu cantu innamuratu.

„Niedobre chłopcy, złapawszy ptaszynę, chcieli wypalić jéj oczy żelazem, ażeby ją przez to zniewolić do wdzięczniejszego

(1) Od pierwszych lat troski ziemskie skryły światła promienie.
(2) Tobie, fortuny dziecięciu, nie od kolebki przynajmniéj ciemności zakryły stworzenie; światło tylko nie obrazy same przed tobą pierzchają.

śpiewu. Tak też i przeznaczenie, ten tyran okrutny, pozbawiony litości i wszelkiego ludzkiego uczucia, biorąc cię jak wróbla lub kosa, zasłoniło przed tobą piękności tego świata. I ty skurczony i zamknięty w swojéj klatce jak wróbel samotny, kwilisz nam smutne lube pienia.“— Lubo tylko po nazwisku pragnęlibyśmy wymienić znakomitsze poetki dzisiejsze włoskie, z których utworami spotykamy się w niektórych pismach przeznaczonych dla kobiet, lub też drukowanemi jako osobne całości. O prozatorkach mówiliśmy już nieco wyżéj.

Na pierwszém miejscu, najpoważniejszą wiekiem i znaczeniem, stawiamy panią Herminią Fua Fusinato, przełożoną wyższego żeńskiego instytutu w Rzymie, zostającego pod szczególnym patronatem księżny Małgorzaty. (Zbiór poezyi p. t. Versi di Erminia Fua Fusinato). Pani Concettina Fileti Palermitanka wdzięcznym rymem opiewa zwykle piękności swojéj Sycylii i swoję rodzinną strzechę. P. Mezzio Salvo, któréj wzniosłe, nacechowane patryotyczném uczuciem poezye uczą młode włoskie pokolenie kochać dokonaną jedność polityczną swego kraju i dbać o jéj utrzymanie. Francesca Lutti autorka współczesnego poematu „Alberto,“ urodziła się w Riva prowincyi Trenta, ojczyznie Andrzeja Maffei sędziwego autora znakomitéj „Historyi literatury włoskiéj“ i nowych przekładów „Od Anakreona“ i „Idylli Gessnera i Göthego.“ Pani Alinda Brunamonti, Sermonetta, Anna Cecchetti i inne. Apropos przekładów z łaciny i greczyzny, te trudnoby było wymieniać po szczególe; powiemy tylko, że w dwóch ostatnich latach namiętny łaciński poeta Catul doczekał się aż dwóch tłómaczeń, a trzecie tego starożytnego modnisia, należącego do złotéj rzymskiéj młodzieży, przygotowuje jakiś erudyta w Sienie.

Jakób Bertini, sumienny tłómacz dziewięciu Muz Herodota, przełożył niedawno na włoski „Idylle Teokryta.“ Cesarz brazylijski w swojéj podróży przez Włochy, zrobiwszy znajomość z uczonym professorem, miał mu podobno przysłać za to jego dzieło order Róży... Król znów bawarski protektor sztuk i nauk, uznając pracę Leonarda Vigo, Sycylianina z Aci-Reale, którego mamy przyjemność znać osobiście, miał go zrobić kawalerem jednego z orderów swojego królestwa. „Zbiór jego pieśni i legend ludu sycylijskiego“ wart był może innéj nagrody — i to od własnego swego kraju. Do ostatnich ważniejszych publikacyi literacko-politycznych zaliczyć musimy nader ciekawy zbiór „Listów Manzoniego“ wydany przez Jana Sforzę w Rzymie; daléj „Listy piemonckiego historyka Karola Botty“ ogłoszone w Turynie przez Pawła Pavezio. „Listy Wincentego Gioberti do Grzegorza Palla-

vicino," których ogłoszenie zasłużyło sobie tylko na surową naganę, z powodu wymienienia nazwisk wielu osób dotąd żyjących i będących u steru dzisiejszego rządu włoskiego. Studya krytyczno-bibliograficzne nad Manzonim przez W. Bersezio, Venostę i Carcano, również nie są bez wartości, lubo niewyczerpujące zupełnie przedmiotu. Nie możemy też przepomnieć nazwiska pana Jana de Castro, autora cennéj bardzo monografii charakterystycznéj postaci Arnolda z Brescyi „*quem Brixia evomuit*, *Roma exhorruit*, *Francia repulit*, *Germania abominatur*, *Italia non vult recipere.* Jako jeszcze jeden dowód więcéj, że Włochom nie zbywa na erudytach, jest znakomita praca pana E. Mecchi, nosząca tytuł: „*Laktancyusz i jego ojczyzna.*" Tytuł dzieła już pokazuje, jaki był cel autora — chce on dowieść na podstawie badań historycznych i krytycznych, że ojczyzną Laktancyusza, najwymowniejszego oratora i najcnotliwszego męża z czasów cesarza Dyoklecyana (Laktancyusz urodził się w połowie III wieku naszéj ery) nie były brzegi północnéj Afryki, jak dotąd utrzymywano, lecz miasto Fermo w dzisiejszéj prowincyi Ascoli. Dzieło to wzbogaca dodatek bibliograficzny o studyach, jakie ogłaszano we wszystkich czasach nad dziełami tego Cycerona chrześciańskiego.

W dziale produkcyi filozoficznych, prawniczych i administracyjnych, nie zbywało nigdy i dzisiaj nie zbywa Włochom na sumiennych, gruntownych prawnikach: do takich należy z nazwiska Niemiec, ale urodzony we Włoszech, professor uniwersytetu w Padwie, Franciszek Schupfer, autor dzieła „Rodzina według prawa rzymskiego." Ludwik Cossa również prof. uniwersytetu w Padwie, napisał niedawno powszechnie chwalone „Zasady ekonomii politycznéj." Zaszczytnie znany uczonemu światu prof. jurysta Franciszek Poletti wydrukował świeżo olbrzymią „Logikę pozytywną," a pan Artur Carpi „Sądownictwo konsularne na Wschodzie" i „O reformie sądowéj w Egipcie," rzecz wielce cenioną na całym Lewancie. P. Stanisław Mancini pierwszy juryskonsult włoski, ogłosił w ostatnich miesiącach „Zasady filozofii prawa." Wreszcie „Ricordi" (pamiętniki) sławnego doktora medycyny Buffaliniego, wydane we Florencyi staraniem deputowanego pana Mariatti, policzyć musimy do najlepszych autobiografii włoskich. Ciekawe wiadomości, jakie tam znajdujemy o postępie nauk medycznych w XIX wieku, są cennym nabytkiem nietylko dla poświęcających się zawodowi lekarskiemu.

Znajomość języka włoskiego mało jest u nas rozpowszechnio-

na—jednak zwracamy uwagę osób, którym nie jest obcym piękny język Petrarki, na wydaną niedawno w Neapolu „Historyą literatury włoskiéj“ przez prof. Settembrini, i drugą niemniéj dobrą przez prof. de Sanctis. Miłośnikom włoskiego języka chcielibyśmy zrobić *cosa grata* donosząc, że przekład na nasz język literatury Settembriniego jużeśmy rozpoczęli. Nie spotykaliśmy bowiem dotąd nigdzie w naszym języku choćby treściwego podręcznika, któryby mógł poznajomić naszę publiczność z historyą rozwoju i kształcenia się pięknéj mowy, którą, jak powiedział jeden z włoskich poetów, mówią w niebie aniołowie.

Kwestya rozwoju społecznego gospodarstwa kolejowego

przez

Inżyniera Władysława Kuszia.

Rozbierana na ostatniéj sessyi parlamentu niemieckiego kwestya kolejowa, w swoim czasie w innych państwach była nieraz przedmiotem żywych rozpraw, jednak dziś jeszcze ekonomia polityczna nie jest w stanie wyrzec w niéj stanowczego słowa. Mając to na uwadze, jedyném zadaniem mojém będzie, podanie pobieżnego historycznego rysu kwestyi kolejowéj w głównych państwach stojących na czele cywilizacyi i zastanowienie się nad szkopułami i punktami spornemi, które ją wywoływały.

Fakt zaprowadzenia kolei żelaznych nadający piętno obecnemu stuleciu przez stanowcze oddziałanie na życie społeczne narodów we wszystkich kierunkach, nigdzie prawie nie był wynikiem ogólnego z góry obmyślonego planu, lecz dokonywał się zwolna i zależnie od czasowych wpływów politycznych, stanu finansowego, przedsiębierczości charakteru narodowego i innych podobnych przyczyn. Ten brak przewodniéj myśli w rozmieszczeniu dróg żelaznych stawał się niejednokrotnie powodem dotkliwych strat w gospodarstwie społeczném, przez odciągnięcie kapitału mogącego być produkcyjniéj użytym w interesie przemysłu i handlu. Ostatniemi czasy ekonomiści baczniejszą zwrócili uwagę na doniosłość kwestyi kolejowych, i opierając się na danych zdobytych kilkudziesięcioletniém doświadczeniem, poczęli grupować fakta, wywodzić odpowiednie prawa, jedném słowem ostatnim dopiero latom zawdzięczamy powstanie nowego działu ekonomii politycznéj na oznaczenie którego użyję nazwy: Nauki społecznego gospodarstwa kolejowego (Eisenbahnoekonomik).

Koleje żelazne z dwóch oddzielnych stanowisk uważanemi być mogą: albo jako zwykły artykuł handlu i spekulacyi, lub też

jako dźwignia dobrobytu ogólnego i potężny środek obrony i bezpieczeństwa danego kraju. To drugie stanowisko wyłącznie, zajmuje nauka społecznego gospodarstwa kolejowego. Błędem byłoby mniemać, iż nauka ta podaje pewne ogólne recepty i sposoby zaprowadzania i eksploatowania dróg żelaznych, owszem są one bardzo różne, a to zależnie od miejscowych i czasowych okoliczności; wszędzie jednak i zawsze naznacza trojakie zadanie kolejom żelaznym do spełnienia, mianowicie: polityczne, strategiczne i ekonomiczne t. j. podniesienia dobrobytu ogólnego. W dalszym ciągu będę się starał okazać, o ile kiedy i gdzie wymagania i wskazówki ekonomii kierowały rozwojem przemysłu kolejowego i jaki w nim udział brali przedstawiciele społeczeństw t. j. rządy.

Anglia, w któréj przemysł kolejowy doszedł do zadziwiającego dziś rozwoju, jest zarazem jego kolebką. Tam prywatni przedsiębiercy, w celach własnego zysku, pobudowali pierwsze drogi żelazne, rząd zaś był tylko niemym widzem. Aby zrozumieć dalszy rozwój gospodarstwa kolejowego w Anglii, musimy wziąć pod uwagę niektóre właściwości kraju i narodu, które mu odpowiedni nadały kierunek. Samo położenie geograficzne Wielkiéj Brytanii oddzielonéj morzami od reszty świata, dozwoliło sieci kolei żelaznych ugrupować się w system niezależny od ustaw i kierunków dróg żelaznych zagranicznych, a nawet od konkurencyi z niemi. Wysoki stan kultury kraju obsianego miastami i portami handlowemi, poprzerzynanego kanałami i najlepszemi wówczas w Europie drogami bitemi we wszystkich kierunkach, instytucye sprzyjające prawdziwéj swobodzie indywidualnéj, wreszcie charakter ludu czynny, przedsiębierczy i wytrwały—wszystkie te okoliczności były czynnikami niezmiernie korzystnemi dla gospodarstwa kolejowego. Duch ustaw angielskich, jak najmniéj krępujących działalność jednostek, wpłynął na nadanie rozwojowi przemysłu kolejowego za tło wolnéj konkurencyi, która aż do ostatnich czasów nie przestała być głównym motorem i bodźcem w zakładaniu nowych dróg, chociaż późniejsze uchwały parlamentu ograniczyły nieco, a raczéj okiełznały bezwarunkową jéj swobodę.

19 Kwietnia 1821 roku udzielił rząd angielski koncessyą na pierwszą drogę żelazną z Darlingtonu do Stocktonu, przeznaczoną głównie do przewozu węgli siłą koni; dopiero 27 Września 1825 r. przeszła po niéj pierwsza lokomotywa Stephenson'a. Drugą z kolei linią, a właściwie pierwszą przedstawiającą większe znaczenie handlowo-ekonomiczne, była z Manchesteru do Liverpoolu. Fakt ten, iż pierwsza droga żelazna nie była wyprowadzoną, jak

w innych państwach, ze stolicy, charakteryzuje społeczeństwo angielskie, w którém interesa handlowo-przemysłowe przeważną grają rolę, i pokazuje, jak początkowo rząd i w ogóle sfery oficyalne mało przywiązywały wagi do nowego środka komunikacyi. Od roku 1826 do 1830, parlament udzielił koncessyi na 28 mniejszych linii, przy budowie których musiano walczyć z wielu przeszkodami ze strony niedowierzającéj ludności, podburzanéj przez właścicieli gruntów mających być użytemi pod koleje. Trudności te jednak wytrwałością pokonano, i w roku 1830 kończy się epoka prób, a zaczyna peryod rzeczywistego rozwoju gospodarstwa kolejowego.

Przy udzielaniu pierwszych koncessyi, rząd chcąc wywołać konkurencyą a przez to zniżyć ceny przewozu, kładł za warunek dozwolenie prywatnym osobom, własnym taborem, za opłatą, przewożenia ludzi i towarów. Rozporządzenie to jak skonstatował komitet wybrany z łona parlamentu w r. 1839, okazało się ze względu na wynikłe zamieszania i nieporządki niepraktycznćm a nawet niemożebném.

Ogromne zyski pierwszych towarzystw kolejowych, zachęciły spekulacyą do zwrócenia się w tym kierunku, rzucono się z zapałem do budowania nowych dróg, i już w r. 1843 Anglia liczyła 3,277 kilometrów kolei w ruchu. W r. 1844 parlament wydał oddzielną ustawę dla dróg żelaznych, i wtedy to poraz pierwszy podniesiono kwestyą zakupienia takowych na rzecz państwa. Po długich debatach umyślnie w tym celu naznaczonéj komissyi, parlament postanowił, iż wszelkie nowo-budujące się koleje po 21 latach przechodzą na własność państwa, za cenę dwudziestopięcioletnich zysków, uważając za dochód roczny średnią z trzech ostatnich lat. Gdyby dochód ów nie wynosił 10% sąd polubowny ustanawiał cenę. Dalszy artykuł tego prawa upoważniał rząd do zredukowania na lat dwadzieścia taryf tych wszystkich kolei żelaznych, które przez ostatnie 3 lata miały więcéj aniżeli 10%; gdyby zaś w przeciągu 20 lat, dochód którego roku 10% nie dochodził, różnicę obowiązywał się towarzystwom dopłacać. W tym czasie wydał rząd tak zwane Consolidation acts, czyli zbiór wszystkich ustaw odnoszących się do kolei żelaznych złożony z trzech części:

a) Companies clauses act, zajmujący się stosunkami między towarzystwami.

b) Land clauses act, odnoszący się głównie do zakupu gruntów pod koleje.

c) Railway clauses act, obejmujący przepisy budowy dróg żelaznych, eksploatacyi i t. d.

Od 1845 roku zaczyna się peryod gorączki kolejowéj: 1,263 towarzystw reprezentujących kapitał 586,000,000 funtów sterlingów żąda koncessyi na nowe drogi. Jakoż:

w r. 1845	rząd zatwierdził budowę	4,347	kilometrów.
„ 1846	„	7,306	„
„ 1847	„	2,179	„

Do jakiego stopnia doszedł wówczas szał gründerstwa, pokazuje cyfra tygodniowego dochodu główniejszych dzienników, za same ogłoszenia towarzystw kolejowych wynosząca przeszło 12,500 funtów sterlingów. Na liście akcyonaryuszów figurowały indywidua należące do wszystkich sfer towarzyskich, poczynając od parów i duchownych, aż do drobnych kramarzy i służących. Gorączka ta jednak długo trwać nie mogła; przez pobudowanie konkurujących linii, dochody towarzystw znacznie zmalały, a ztąd i zaufanie publiczności do tego rodzaju spekulacyi osłabło, termina ukończenia wielu linii rząd musiał przedłużyć, jedném słowem po szale, zwykłą koleją rzeczy, nastąpiła reakcya. Kilka wymienionych cyfr da wyobrażenie, jak nizko spadł kurs akcyi niektórych towarzystw.

Great-Western z	277 na 74.
London and Brighton z	10 na 4.
Midland ze	118 na 75.
Caledonian ze	52 na 13.

Pomiędzy głównemi centralnemi punktami prowadzano dwie a nawet i więcéj równoległych linii; naturalnie musiała powstać konkurencya, któréj rezultatem było niepraktykowane obniżenie taryf przewozowych. Dopóki Londyn z Manchester'em łączyła jedna tylko droga żelazna, przewóz kosztował 35 szylingów, z pobudowaniem drugiéj, spadł na 2. To samo działo się i na innych kolejach.

Jedném z następstw konkurencyi było rozszerzenie się sieci należących do zasobniejszych towarzystw, przez zakupienie mniejszych konkurujących linii. Przy kupnach tego rodzaju, wszelkie korzyści były zwykle po stronie towarzystwa sprzedającego; zdarzało się nawet, iż budowano drogę jedynie w celu sprzedania po wygórowanéj cenie towarzystwu, któremu konkurencya jéj szkodzić mogła. Te walki bez końca rzuciły wreszcie popłoch między akcyonaryuszów, témbardziéj iż rząd trzymając się wiernie swéj tradycyjnéj zasady, zupełnie pozostał neutralnym. Towarzystwom

nie pozostawało nic innego, tylko we wzajemném porozumieniu się szukać skutecznego środka zaradzenia złemu. Jakoż we Wrześniu 1858 roku, odbyło się w Londynie w Euston-Hotel posiedzenie dyrektorów różnych kolei pod przewodnictwem markiza Chandos, dzisiejszego księcia of Buckingham, na którém wydano następujące uchwały:

1. Taryfy przewozu osób i towarów różnych linii żelaznych połączonych królestw, powinny być w ten sposób uregulowane, aby nie szkodząc interesom publiczności, dla towarzystw jak największy dający się osiągnąć zysk przynosiły.

2. Jeżeli dwa lub więcéj towarzystw uskuteczniających komunikacyą pomiędzy dwoma punktami, względem ustalenia jednostajnych taryf nie może się porozumieć, wówczas kwestye sporne rozstrzyga sąd polubowny.

3. Jeżeli pomiędzy dwoma punktami dwie lub więcéj linii jest możebnych, w takim razie taryfy dla nich powinny być jednakowe.

4. Zgromadzenie najgoręcéj zaleca towarzystwom, wszystkie mogące powstać spory, przez sądy polubowne rozstrzygać, unikać zaś do ruiny prowadzącéj drogi prawnéj.

Odtąd towarzystwa kolejowe jednoczą się bądź przez to, iż zasobniejsze z nich skupują mniejsze mogące im szkodzić linie, bądź przez zawieranie pomiędzy sobą dobrowolnych umów w celu zabezpieczenia się od strat nieodłącznych od konkurencyi. Umowy te przybierały zwykle następujące formy:

a) Jeżeli dwa punkta łączyło kilka linii kolei żelaznych należących do oddzielnych towarzystw, takowe przyjmowały jednakowe taryfy cen przewozu i rozkładu jazdy.

b) Dwa towarzystwa wzajemnie zezwalały osoby i towary po swoich liniach przewozić, każde zaś z nich miało prawo do dochodów tylko ze swojéj linii.

c) Dwa towarzystwa obowiązywały się własnemi pociągami przewozić po obu swoich liniach, dochodem zaś dzieliły się w pewnym stale oznaczonym stosunku.

d) Dwa towarzystwa dzieliły się dochodami obu swoich linii w pewnym stosunku stałym, bez względu na to, które z nich dokonywało transportu.

Końca owego jednoczenia się (fusion) można się było spodziewać wówczas dopiero, gdy całą siecią kolei angielskich owładnie kilka potężnych towarzystw. Tego rodzaju perspektywa zaniepokoiła opinią obawiano się bowiem, aby owe potężne towa-

rzystwa posiadające niejako monopol komunikacyi w swoich rękach, nie nadużyły go ze szkodą interesów ogółu.

Raz w roku 1863, drugi raz w 1872 z członków obu izb parlamentu złożone komissye, zajmowały się szczegółowém zbadaniem téj kwestyi. Komissya z r. 1872 jako środek stanowczo zaradzający złemu, podała zakupienie wszystkich kolei żelaznych przez państwo, projekt ten jednak został przez parlament odrzucony.

Wyjątek ze sprawozdania komissyi z r. 1872 brzmi:

„Dziś można już z pewnością twierdzić, iż względnie do taryf osobowych i towarowych, konkurencya we właściwém znaczeniu tego wyrazu między towarzystwami istnieć przestała. Gdziekolwiek dwie miejscowości łączy kilka linii żelaznych, towarzystwa układają taryfy za wspólném porozumieniem się. Tak np. towarzystwa: London and North-Western, Midland i Great-Western nietylko zaprowadziły na przestrzeni między Manchester'em i Southampton'em jednakowe taryfy, lecz jeszcze każde z nich obowiązało się nie wprowadzać na swéj linii żadnych ulepszeń bez zezwolenia innych. I gdyby inne jakie towarzystwo pomiędzy temi punktami nową linią wybudować chciało z zamiarem trzymania się niższéj taryfy, niewątpliwe jest, iż towarzystwo to w krótkim czasie byłoby zmuszone zastosować się do swych współzawodników i taryfę swą podnieść do jednéj wysokości. Konkurencya między towarzystwami już nie istnieje i w przyszłości egzystencya jéj również jest niemożliwą."

Tak więc powoli konkurencya ustępuje miejsca systemowi monopolu. Czy? i o ile to jest korzystném dla interesów ogółu? będę się starał w dalszym ciągu okazać. Wypada mi teraz wspomnieć o instytucyi zwanéj „Railway clearing house;" któréj początek sięga jeszcze 1842 roku. Wówczas osoba prywatna założyła na małą skalę biuro zajmujące się rachunkami towarzystw kolejowych; z powiększeniem się sieci kolei żelaznych, biuro to rozwinęło się do dziśdnia w niezmiernie ważną instytucyą, zajmującą się załatwianiem kwestyi różnorodnych, wynikłych ze wzajemnych stosunków między towarzystwami.

Zastanawiając się nad dziejami rozwoju angielskiego gospodarstwa kolejowego, nastręczają się nam pod rozbiór następujące pytania:

a) Czy zmonopolizowanie w ręku kilku kompanii całéj sieci dróg żelaznych jest korzystniejszém dla interesów kraju od konkurencyi?

b) Czy zakupienie kolei żelaznych przez rząd byłoby dla państwa korzystném?

Zbytecznèm byłoby dowodzić, iż konkurencya dla samych towarzystw kolejowych jest zabijającą; summa 100,000,000 funtów sterlingów zmarnowana na budowanie linii współzawodniczących, a które w przyszłości okazały się zupełnie niepotrzebnemi, jest tego najwymowniejszém świadectwem. Co się zaś tycze korzyści, jakie ogółowi przyniosła, są one tylko pozorne. Olbrzymie kapitały włożone w akcye budowy dróg żelaznych, były składkowym funduszem tysięcy obywateli, a więc i wszelkie straty w gospodarstwie kolejowém, musiały szkodliwie oddziałać na dobrobyt całego kraju. Wprawdzie konkurencya kilku linii łączących dwa wielkie ekonomiczne ogniska wpływała na zniżenie taryf przewozu między niemi, lecz za to wszelkie pośrednie stacye, przez które tylko jedna linia przechodziła, niemogące zatém korzystać z owego współzawodnictwa, sowicie opłacały towarzystwom straty poniesione w skutku zniżenia taryf bezpośredniego przewozu. Istnienie jednak konkurencyi nie trwało długo, gdyż w ogóle jest ona tam tylko możebną, gdzie w szranki wstępuje znaczna liczba współzawodników, tu zaś występowało ich zwykle kilku, a i ci prędko doszli do przekonania, iż wspólnym ich interesem jest wzajemne porozumienie się. Konkurencya więc była tylko stanem przejściowym do monopolu, który pomimo niechęci i przeszkód ze strony rządu, potrafił wszechwładnie opanować kolejowém gospodarstwem w Anglii.

Wielkie towarzystwa rozporządzające ogromnemi kapitałami, a przytém z powodu scentralizowanego zarządu mniéj potrzebujące wydawać na koszta administracyi, były w stanie zapewnić publiczności więcéj wygód, aniżeli znaczna liczba małych starających się każdy grosz gdzie się dało wyzyskać. Powiększenie liczby pośpiesznych pociągów, urządzenie na wielką skalę i z komfortem stacyi, wszystkie te dogodności publiczność zawdzięcza biorącemu górę systemowi monopolu. Nie da się zaprzeczyć, iż system ten przedstawia także wiele stron ujemnych. Każde, choćby największe towarzystwo kolejowe, będąc instytucyą prywatną, spekulacyjną, z natury swéj ma za zadanie z exploatowanéj przez siebie sieci, wyciągnąć ile się da najwięcéj zysków, bądź to przez podwyższenie taryf, bądź przez staranniejsze utrzymanie dróg przynoszących większe korzyści, a zaniedbanie mniéj dochodnych, choć nieraz ekonomicznie dla kraju bardzo ważnych.

Reassummując wszystkie pro i contra systemów konkurencyi i monopolu, w rezultacie przyjść musimy do wniosku, iż jakkolwiek oba w zupełności nie odpowiadają wymaganiom społecznego gospodarstwa kolejowego, z dwojga, system monopolu okazał się

pod wielu względami zgodniejszym z potrzebami kraju. Gdyby monopol przeszedł z rąk prywatnych w ręce ogółu to jest państwa, wówczas dopiero koleje odpowiedziećby mogły swemu trojakiemu, politycznemu, strategicznemu i ekonomicznemu zadaniu. Szczegółowy rozbiór argumentów popierających to twierdzenie w ogólném jego zastosowaniu, będę się starał podać mówiąc o kolejach niemieckich; tu zaś ograniczę się na przytoczeniu wyjątku z mowy mianéj na posiedzeniu komissyi w r. 1872 przez jednego z najkompetentniejszych obrońców wniosku zakupienia kolei żelaznych przez państwo, generalnego inspektora kolei żelaznych kapitana Tyler'a.

„Często wygłaszane zdanie, że interesa publiczności zgadzają się z interesami towarzystw kolejowych jest tylko do pewnego stopnia prawdziwém; głównym celem towarzystw jest — raczéj powinno być—osiągnięcie maximum czystego dochodu przez jak najwyższe podniesienie cen, publiczność zaś wymaga maximum usług za najmniejszą możliwą opłatę. Towarzystwa do pewnego stopnia cel swój osiągają, utrzymując taryfy na wysokości zapewniającéj im największe dywidendy. Państwo posiadając w swych ręku exploatacyą kolei żelaznych, miałoby za zadanie zniżyć taryfy do minimum pokrywającego koszta administracyi t. j. zadawalałoby się umiarkowanym procentem i stosunkowo nizkiemi cenami przewozu. Jest rzeczą nieulegającą kwestyi, iż pod zarządem państwa, nawet przy bardzo nizkich taryfach, umiarkowany dochód i jednocześnie olbrzymie spotęgowanie ruchu byłoby osiągniętém. Tego rodzaju zmiana przyniosłaby dla kraju nieobliczone zyski. Nie leży zupełnie w interesie towarzystw większą liczbę osób lub tonn towaru po zniżonych cenach przewozić, jeżeli ostateczny rezultat nie zapewnia im odpowiednich korzyści. Dążeniem ich nie jest ożywienie ogólnego ruchu na kolejach, lecz tylko zwiększenie, przynoszących im największe dochody rodzajów transportu."

Pomimo jednak owych argumentów tak wymownie przemawiających za praktycznością projektu zakupienia kolei przez państwo, takowy jak wyżéj nadmieniłem został przez parlament odrzucony. Stronnicy wniosku jako główną przyczynę podają, iż wówczas w izbie wyższéj zasiadało 52 w niższéj zaś 124 dyrektorów różnych towarzystw kolejowych, z których widokami prywatnemi projekt się nie zgadzał. Obok jednak interesu osobistego grającego zapewne niemałą rolę, były inne rzeczywiste powody usprawiedliwiające decyzyą parlamentu. W państwie, w którém poszanowanie prawa jest w tak wysokim stopniu rozwinięte, wszelkie tranzakcye między rządem i towarzystwami, mogły się odby-

wać tylko na drodze legalnéj, prawnéj. Jakoż na zasadzie postanowienia parlamentu z r. 1844 rządowi służyło prawo zakupienia wszystkich tych kolei, które po roku 1844 zaczęto budować, wszelkie zaś linie, stanowiące główne arterye a liczące 3,735 kilometrów, wykonane przed 1844 r., mogły być przez rząd nabyte tylko na mocy dobrowolnych układów. Towarzystwa potrafiłyby korzystać ze swego położenia, i łatwo sobie wystawić, po jak wygórowanych cenach rząd musiałby za nie płacić. Zresztą zakupienie kolei żelaznych kosztowałoby okrągłych 500,000,000 funtów sterlingów, która to summa dodana do olbrzymiego długu angielskiego, mogłaby wstrząsnąć kredytem państwa a przynajmniéj stać się przyczyną wielu nieuniknionych zawikłań finansowych.

Jakkolwiek projektu zakupienia kolei z wyż wymienionych powodów parlament nie przyjął, publiczność i prassa żywo się nim zajmuje; nie można bowiem zaprzeczyć, iż dziś odrzucony może się okazać nieuniknionym w przyszłości wobec rozwielmożniającego się monopolu prywatnego. Czy zaś będzie łatwiejszym wówczas do przeprowadzenia, trudno twierdząco odpowiedzieć.

Francya oddzielona wązką tylko cieśniną od Wielkiéj Brytanii, przedstawia z nią szereg wybitnych różnic pod względem dziejowym, produkcyi, charakteru ludności i instytucyi, które musiały też wpłynąć i na nadanie zupełnie odmiennych dróg rozwojowi gospodarstwa kolejowego, chociaż, jak zobaczymy, rezultaty, do jakich w obu krajach doprowadziły, są bardzo zbliżone. Pierwszą drogą żelazną francuzką, na któréj zastosowano parę jako motor, była z St.-Etienne do Andrézieux ukończona w roku 1829. W początkach budowanie kolei szło bardzo powoli, tak, iż w r. 1841 Francya posiadała zaledwie 566 kilometrów w ruchu. Od r. 1842 rząd sam bierze inicyatywę w zakładaniu nowych linii, dalsze zaś rozprzestrzenianie sieci powierza kilku wielkim uprzywilejowanym towarzystwom, kładąc przy udzielaniu koncessyi za warunek, iż po 90 latach wszystkie mające się budować drogi, przejdą bezpłatnie na własność państwa. Tym to sposobem cała prawie sieć kolei francuzkich zostaje zmonopolizowaną w ręku sześciu następujących towarzystw.

Nord . . . . , ...	1,617	kilometrów
Est	2,241	„
Ouest	2,549	„
Orleans	4,153	„
Paris-Lyon Mediterranée . .	4,855	„
Midi	2,012	„

razem 17,427 kilometrów długości, zaś całéj sieci dróg żelaznych francuzkich w roku 1875 wynosiła 21,484 kilometry.

Kierunki nowobudujących się linii były ściśle oznaczone ogólnym rządowym planem, sporządzonym w głównych przynajmniéj zarysach zaraz przy zakładaniu pierwszych dróg żelaznych. Stosownie do tego planu wszystkie koleje dzieliły się na:

a) Chemins de fer d'intérêt général, budowane w ogólnych widokach państwowych.

b) Chemins de fer d'intérêt départemental, służące interesom pojedynczych prowincyi.

c) Chemins de fer d'intérêt vicinal, mające odpowiadać potrzebom pewnéj miejscowości. Do pierwszéj kategoryi należały wszystkie drogi wychodzące w kierunku promienia z Paryża ku granicom, oraz podwójny okrąg linii łączących główne punkta. Linie drugiéj i trzeciéj kategoryi przerzynały kraj w różnych kierunkach. Stosownie do poprawki zrobionéj przez ministerstwo robót publicznych w r. 1865 dawną klassyfikacyą zniesiono i zastąpiono nowym podziałem na:

a) Chemins de fer d'intérêt général.

b) Chemins de fer d'intérêt local.

Zasadę téj klassyfikacyi same nazwy wskazują. Władzom departamentalnym służyło prawo wydawania koncessyi na drogi d'intérêt local, chociaż przy budowie musiano się trzymać ściśle instrukcyi rządowych; kierunki dróg d'intérêt général rząd sam wytykał.

Ogólny nadzór nad wszystkiemi kolejami żelaznemi we Francyi powierzony jest „Generalnéj dyrekcyi kolei żelaznych," stanowiącéj oddzielny wydział w ministerstwie robót publicznych. Zależnie od owéj dyrekcyi znaczna liczba generalnych inspektorów, inspektorów, komissarzy i innych podrzędnych urzędników prowadzi ścisłą kontrolę budowy i exploatacyi dróg żelaznych. Cały prawie kontyngens służby techniczńéj kolelowéj, składa się z byłych uczniów szkoły „des ponts et chaussées" stanowiących tak zwany „corps des ponts et chaussées," przywykłych do karności i dyscypliny prawie wojskowéj. Jedną ze stron ujemnych tego rodzaju korporacyjno-militarnego ustroju służby kolejowéj, jest panowanie rutyny i zbytnie trzymanie się tradycyonalnych formułek szkoły, niedopuszczające wszelkich innowacyi i ulepszeń oddawna zaprowadzonych w gospodarstwie kolejowém innych państw. Co się tycze owéj kontroli państwa, jest ona tylko wypływem charakteru narodowego. Francuz obok wielu niezaprzeczonych zalet

odznacza się pewną lekkością umysłu, ujawniającą się w powierzchownem i niechętnem traktowaniu trudnych i mozolnych spraw życia, stara się o ile można ciężar ich zwalić na kogo innego a w ostateczności na rząd. Niezależnie tedy od ciągłych zmian politycznych, władza i atrybucye rządu są daleko rozciąglejsze we Francyi aniżeli gdzieindziej. W Anglii koleje żelazne przedewszystkiem służą interesom jednostek, które je budowały; we Francyi zaś głównem ich zadaniem jest czynić zadość widokom rządu. Korzystnem dla ogółu społeczeństwa francuzkiego jest to o tyle, o ile znowu interes rządu zgadza się z interesem kraju. Wiadomo, iż we Francyi niezawsze tak bywało.

Porównywając dzieje rozwoju gospodarstwa kolejowego francuzkiego z angielskiem widzimy, iż w obu krajach kilka olbrzymich towarzystw owładnęło monopolem komunikacyi kolejowej; dojście jednak do tych samych rezultatów kosztowało Anglią olbrzymie summy zmarnowane przez konkurencyą, której ślad we Francyi zaledwie napotykamy. Przyczyną uniemożliwiającą tam istnienie konkurencyi była zasada, jakiej się rząd francuzki trzymał przy koncessyonowaniu nowych linii. Koncessyi na budowę nowej drogi udzielał rząd zawsze takiemu towarzystwu, dla którego ona była najpotrzebniejszą, kładł jednak warunek, aby towarzystwo to, wybudowało swoim kosztem inną linią, jakkolwiek mało mogącą przynosić dochodu, ważną jednak ze względu na interes ogółu.

W r. 1857 podczas przesilenia finansowego, towarzystwa nie były w stanie dopełnić zobowiązań co do budowy dróg drugiego rodzaju, tak iż rząd musiał przyjść z pomocą gwarantując 4%, a nawet i więcej. Gwarancya ta w skutkach swoich okazała się bardzo szkodliwą, towarzystwa bowiem licząc na procent przez rząd zapewniony, zaczęły owe mało rentujące drogi zaniedbywać, już to używając na nich najgorszego taboru, redukując liczbę pociągów po nich kursujących do mimimum, już wreszcie posługując się najgorszym personelem do ich administrowania. Rezultatem tego były dotkliwe straty w życiu ekonomicznem niejednej prowincyi.

Dla dokompletowania ogólnego planu sieci kolejowej, Francya potrzebuje jeszcze 11,500 kilometrów z których 8,000 jest już w budowie; wówczas posiadać będzie system dróg żelaznych liczący ogółem 33,000 kilometrów i odpowiadający wszystkim warunkom społecznego gospodarstwa kolejowego. Sieć ta reprezentująca kapitał równający się całemu długowi państwowemu, w połowie przyszłego stulecia przejdzie bezpłatnie na własność kraju.

Krajem a raczej kraikiem przewyższającym wszystkie inne pod względem racyonalnie prowadzonego gospodarstwa kolejewego

jest Belgia. Tam to od chwili wprowadzenia w życie nowego środka komunikacyi, rząd sam zajął się budowaniem dróg żelaznych trzymając się ogólnego wówczas sporządzonego planu odpowiadającego ekonomicznym i politycznym warunkom kraju. Tym sposobem powstała wielka państwowa sieć dróg żelaznych licząca w 1872 roku 1,470 kilometrów. Obok niéj istniało już wówczas 1,794 kilometrów kolei należących do różnych towarzystw prywatnych; od r. 1869 rząd zaczyna je częściowo skupywać, tak iż dziś sieć państwowa liczy już przeszło 2,000 kilometrów długości. Według rozporządzenia wydanego przez ministra handlu w r. 1875, w przyszłości koncessye na nowe drogi kompaniom prywatnym wydawane nie będą. Widocznêm tedy i ciągłém dążeniem rządu belgijskiego jest przejście od tak zwanego systemu mieszanego do systemu monopolu państwowego. Owemu to czynnemu udziałowi rządu w gospodarstwie kolejowém publiczność belgijska zawdzięcza niepraktykowaną gdzieindziéj taniość przewozu i wiele innych dogodności, możliwych tylko przy jednolitéj i zcentralizowanéj administracyi.

W żadnym może kraju budowanie kolei żelaznych nie jest połączone z tylu trudnościami i kosztami co w Szwajcaryi. Tam kapryśna natura ciągłe stawia przeszkody już w postaci olbrzymich skał granitowych, które przebijać, już to przepaści, nad któremi wznosić mosty i wiadukty potrzeba, a zdarza się iż największe wysiłki sztuki inżynierskiéj nie są jéj w stanie pokonać, wtedy dla połączenia drogą dwóch bardzo blizko siebie leżących punktów koniecznêm jest okrążenie całéj okolicy. Tak trudne warunki zdawałoby się, iż odstręczą towarzystwa od budowania na własne ryzyko dróg żelaznych, a jednak istnienie wszystkich swych kolei Szwajcarya zawdzięcza jedynie przemysłowi, prywatnemu. W ostatnich czasach z powodu zbyt gorączkowego zwrócenia się spekulacyi w tym kierunku, kredyt wielu towarzystw został zachwiany, a nawet kilka kolei żelaznych sprzedali wierzyciele w drodze publicznéj licytacyi. Najwięcéj zysków przynoszą towarzystwom małe koleje spacerowe jak np. na góry Rigi lub Ütli, oraz główne arterye Szwajcaryi północnéj. Drogi te pod względem komfortu w urządzeniu banhofów, wzorowéj służby i ciągle zaprowadzanych ulepszeń, przedstawiają wybitny kontrast z kolejami południowéj francuzkiéj Szwajcaryi, licho administrowanemi, a co do dogodności dla podróżnych wiele jeszcze pozostawiającemi do życzenia. Różnicę ową łatwo sobie wytłómaczymy, jeżeli weźmiemy pod uwagę stan ekonomiczny północnéj i południowéj Szwajcaryi. Ludne i bogate kantony północne z rozwiniętym

w wysokim stopniu przemysłem i handlem, są w stanie swoim kolejom zapewnić ciągły i w wielkich ilościach transport ludzi i towarów, wówczas gdy koleje południowe, przerzynając okolice puste i nieurodzajne, w letnich tylko miesiącach, gdy niemi przejeżdzają tysiące ciekawych turystów, przynoszą korzyść towarzystwom, w zimie zaś ruch na nich jest prawie żaden. W Swajcaryi przeciętny dochód brutto z jednego kilometra wynosił w roku 1875 28,832 fr., długość zaś sieci dróg żelaznych oprócz wielu budujących się, jeszcze nieukończonych, w tymże roku przedstawiała cyfrę 2,011 kilometrów.

Włochy pomimo smutnego finansowego położenia dążą do wprowadzenia w gospodarstwie kolejowém systemu monopolu państwowego. Z ogólnéj długości 7,549 kilometrów dziś 1,332 jest własnością państwa; co do reszty zaś rząd już pozawierał odpowiednie umowy z towarzystwami.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA NAUKOWA.

Bezwzględna miara czasu geologicznego (1).

Jedną z nauk, które pomimo zdolności, a często genialności swych pracowników w kolebce jeszcze pozostają, jest geologia. Przyczyną tego jest jéj młodość w porównaniu z rozległością przedmiotu i z ogromem prac czysto mechanicznych, które przedsięwziąć należy dla zdobycia sobie materyału do dedukcyi. Mała część Europy, a jeszcze mniejsza stosunkowo Ameryki i Azyi, została poznaną pod względem geologicznym; reszta obszarów szczególniéj pokrytych oceanami tak jest nieznana, jakby wcale nie istniała. Nic więc dziwnego, że wiele ważnych kwestyi pokrywa jeszcze gruba zasłona tajemnicy, któréj, wysiłki umysłu nie będąc poparte dostatecznym materyałem faktycznym, przebić nie są w stanie.

Do takich kwestyi należy kwestya bezwzględnego wieku pokładów ziemi, to jest obliczonego według jednostki czasu (lat czy tysięcy lat).

Dotychczas oznaczamy tylko stosunkowy wiek skał lub peryod zjawisk. Rzecz jasna, że pokład leżący na drugim pokładzie (jeżeli żadne zaburzenie nie zaszło) musi być od drugiego młodszy; że skała wybuchowa przebijająca drugą skałę wybuchową czy osadową, to jest wypełniająca swą massą jéj szczeliny, jest od niéj młodsza; że skała zawierająca okruchy innéj skały, późniéj powstała aniżeli skała skruszona. Nadto poznawszy następstwo skamieniałych resztek istot organicznych, znajdujących się w ska-

(1) *Bernhard v. Cotta*: Ueber geologische Zeitbestimmung w Ausland *Tenże*: Geologie der Gegenwart 1872, artykuł „Kälte-Periode“.

łach, pozyskaliśmy nadzwyczaj ważny środek do rozpoznawania jednoczesności pokładów mniéj więcéj w jednych warunkach powstałych, i do oznaczenia ich następstw w czasie, jeżeli pierwotne ich ułożenie na sobie zostało w jakikolwiek sposób zburzone.

Trzeba przyznać, że pomimo niedostateczności tych środków, nauka dzielnie umie się niemi posługiwać; codzień niemal osiąga za ich pomocą ważne rezultaty naukowe i praktyczne.

Niebrak jednak prób bezwzględnego określenia wieku warstw lub okresów geologicznych. Na zasadzie dokonywanych rezultatów przez obecnie dziejące się sprawy, w pewnym oznaczonym czasie, starano się wnosić o czasie, jakiego potrzebowały rezultaty dokonane w peryodach geologicznych. Objaśnimy to na kilku przykładach.

Morlot z powiększania się półkulistych wzgórz gruzu, tworzących się w dolinach przy ujściu potoków, obliczył ile wieków potrzeba na utworzenie podobnego wzgórza, albo też na podwyższenie go o tyle, aby powstała na nim warstwa danéj grubości, pokrywająca stare naczynia, znalezione podczas robót około kolei żelaznéj przechodzącéj przez wzgórze. Z obliczenia wypadło, że potrzeba na to 4,000 lat. Zasada rachunku polega tutaj na niezupełnie pewném przypuszczeniu, że gromadzenie się okruchów skał było przecięciowo jednostajne. Bądź co bądź jednak, metoda ta może dać w niektórych przypadkach przybliżone wartości.

Na równinie dolnego Nilu, co rok przez tę rzekę zalewanéj, zrobiono pewną liczbę otworów świdrowych i szachtów, dla zbadania grubości osadu mułu naniesionego przez rzekę. Nie dosięgnięto wprawdzie aż do skalistego podkładu, ale w głębokości 60—70 stóp znaleziono cegły, a więc ślady ludzi. Ponieważ według badań *Girarda*, osad mułu podwyższa grunt w téj okolicy o 5 cali na każde sto lat, więc obliczono, że owe cegły datują się od 12-tu tysięcy lat. Rezultat ten stosuje się wprawdzie głównie tylko do historyi człowieka, w pewnych jednak okolicznościach metoda powyższa służyć może do oceny wieku daleko starszych osadów.

Według poszukiwań i obliczeń *Humphrego,* i *Abbota* spłókanie powierzchni w wielkiém dorzeczu Mississippi wynosi przecięciowo w ciągu lat 6,000 1 stopę; to znaczy, że powierzchnia całego dorzecza o tyle się obniża w tym czasie.

Ponieważ według obliczenia *Humboldta* średnie wyniesienie

lądów stałych i wysp całéj ziemi, równa się około 1,000 stóp, więc przy ciągle równém działaniu tego spłókiwania i przy wyłączeniu wszelkiego wznoszenia się gruntu w skutku działalności wulkanicznéj, po 6 milionach lat, cały ląd wystający nad morze, zostanie spłókany, a materyał jego zostałby rozrzucony po dnie morza. Średnia grubość utworzonych w skutek tego osadów na dnie morza przez 6,000 lat, wynosiłaby tylko około 5 cali, nie zaś jednę stopę, gdyż powierzchnia oceanów ma się do powierzchni lądów jak 1,390 do 576. Ztąd wypada, że dla utworzenia osadu grubego na 1 stopę, potrzebaby było 14,000 lat. Gdyby obliczenia te oparte były na niewzruszonéj podstawie, to z grubości pokładów osadowych moglibyśmy obliczać czas, potrzebny do ich utworzenia. Ponieważ zaś warunki spłókiwania i osadzania mogą być różne w rozmaitych miejscach i okresach, więc wszelkie obliczenia oparte na tych przypuszczeniach są niepewne.

Backwell wykazał, że wodospad Niagary w przeciągu lat 40 od 1790—1830, cofnął się o mniéj więcéj 2 stopy w górę. Gdyby się w podobnym stosunkowo czasie cofał od Queenstownu, gdzie, istnienie jego na zasadach geologicznych stwierdzono, to na posunięcie się od tego miasta do miejsca obecnego, potrzebaby 35,000 lat. *Lyell* zauważył w tym względzie, że nieprawdopodobną jest rzeczą, żeby warunki nie zmieniały się, a więc ów rachunek nie ma charakteru pewności.

Cokolwiek lepszy może środek oceny czasu geologicznego, daćby mogły niektóre potężne pokłady soli, w których cienkie warstwy czystéj soli kamiennéj są poprzekładane warstwami anhydrytu, jak w Stassfurcie—lub gliny, jak pod Tortą w Siedmiogrodzie. Przemienne te warstwy można uważać za rezultaty peryodycznych, może przez pory roku spowodowanych zmian temperatury, a więc można je poniekąd porównać z słojami rocznemi naszych drzew.

Lecz choćby nawet przypuszczenie to było zupełnie słuszne, możnaby było co najwięcéj obliczyć czas tworzenia się pokładu, nie zaś kiedy zaczął powstawać i kiedy się skończył.

Z następstwa rozmaitych gatunków zwierząt i roślin, możnaby było obliczyć bezwzględny czas, gdyby wiadomo było jak długo żyły i w jak wielkich okresach czasu następowały po sobie te gatunki—co jednak wcale nie jest wiadomém.

Wiek ziemi chciano oznaczyć z obliczenia czasu potrzebnego na przejście kuli ziemskiéj z temperatury pierwotnéj nadzwyczaj wysokiéj, do średniéj obecnego czasu i t. d. i t. d.

Wszystkie próby nie doprowadziły do żadnéj praktycznéj miary czasu geologicznego, i co najwyżéj dają się w przybliżeniu zastosować tylko do czasu trwania niektórych pojedynczych spraw geologicznych. Dopiero w ostatnich czasach udało się uczonym wejść na drogę, prowadzącą, jak się zdaje, do daleko pozytywniejszych rezultatów niż poprzednie. Jest to droga astronomiczna, oparta na wykazaniu związku pomiędzy pewnemi zmianami na powierzchni kuli ziemskiéj a zmianami zachodzącemi w systemie słonecznym, które, jak wszystko co wchodzi w zakres astronomii, dają się chronologicznie określić z pożądaną ścisłością.

Przed trzydziestu mniéj więcéj laty geologowie wykazali, iż lodniki czyli gleczery były daleko bardziéj rozpowszechnione, daleko więcéj miejsca zajmowały, przynajmniéj w Europie, niż teraz. Znaleziono wyraźne ślady ich przedwiekowego istnienia nietylko w Alpach, Pireneach i górach Skandynawskich, gdzie jeszcze w naszych czasach lodniki istnieją, ale nadto w Wogezach, Szkocyi, na Korsyce i t. d. Śladami temi są zrysowane skały zwały kamieni (moreny), znajdowane bardzo nizko pod poziomem teraźniejszych lodników i na sąsiednich nizinach pokrytych teraz bujną wegetacyą. Peryod, w którym lodniki jednocześnie tak szeroko się po Europie rozlegały, nazywamy *okresem lodowym*.

W Ameryce północnéj znajdujemy również liczne ślady podobnéj równoczesnéj obfitości lodników; czy zaś peryod lodowy wykazany na południowéj półkuli, szczególniéj w Nowéj Zelandyi, należy do tego samego okresu geologicznego, czy miał miejsce wcześniéj czy późniéj—tego jeszcze nauka nie rozwiązała.

W południowéj części Chili, a więc na półkuli południowéj, która zdaje się być teraz w okresie lodowym, bardzo zresztą umiarkowanym—pewna liczba wielkich lodników, nawet pod niezbyt wysoką szerokością geograficzną, niższą od szerokości północnéj Genewy, sięga, według *Darwina*, aż do powierzchni morza, podobnie jak się to dzieje w Grenlandyi i Szpicbergu, pod daleko wyższemi szerokościami. Okoliczność ta jasno uwydatnia różnice klimatyczne południowéj i północnéj półkuli, témbardziéj że, i w Nowéj Zelandyi lodniki daleko niżéj sięgają, niż pod równą szerokością na półkuli północnéj.

Ze wszystkich tych faktów wypada, że pewna wielka część północnéj hemisfery, w jednym z najnowszych okresów geologicznych, po okresie trzeciorzędowym, miała tak nizką temperaturę, że w skutek niéj lodniki były potężniejsze i daleko większe

przestrzenie zalegały niż teraz. Czy i południowa półkula była równocześnie pod panowaniem takiego okresu zimna — rzecz co najmniéj wątpliwa, jakeśmy wyżéj wspomnieli.

Dla wytłómaczenia tego okresu zimna, niezgodnego niejako z ogólnie przyjętą teoryą powolnego stygnięcia ziemi — gdyż po nim, przynajmniéj na północnéj półkuli, znowu nastąpiła wyższa temperatura średnia, odpowiadająca teraźniejszéj—podawano wiele hypotez, z których najważniejsze pokrótce przedstawimy.

1-o. *Poisson* przypuszczał, że temperatura przestrzeni świata może być nierówną w różnych miejscach. Jeśli tedy nasz system słoneczny przeniesie się z cieplejszéj w zimniejszą okolicę, albo też naodwrót z zimniejszej w cieplejszą, to w skutku tego musi się najprzód zmienić temperatura powierzchni ziemi, a późniéj cała jéj massa. Hypoteza ta nie ma najmniejszéj podstawy.

2-o. Według innego poglądu, ilość ciepła wysyłanego przez słońce nie jest ciągle równą, i owszem zmienia się peryodycznie. Okoliczność ta ma spowodowywać wahania się średniéj temperatury na powierzchni ziemi. Według *Buijs Ballot'a* ilość i wielkość plam na słońcu, wywiera pewien bardzo mały, choć dający się obliczyć wpływ na temperaturę ziemi, zwiększając lub zmniejszając insolacyą;—żeby jednak można było na téj zasadzie wytłómaczyć okres lodowy, trzebaby przyjąć, że wpływ ten jest daleko większy i stalszy, aniżeli obserwacya okazuje. Z tego też powodu hypoteza ta jest co najmniéj niedostateczna.

3-o. *Kämtz* i inni starali się wytłómaczyć większe rozpowszechnienie lodników, przypuszczając, że niegdyś wyższe były góry. Nie mówiąc już o tém, że trudno przypuścić, aby nastąpiło tak znaczne i do tego jednoczesne obniżenie Alp, Wogezów i gór Szkockich przy końcu peryodu lodowego, jakieby przypuścić należało dla wytłómaczenia tych zmian; trzeba zauważyć, że hypoteza ta nie tłómaczy wcale rozpowszechnienia głazów narzutowych na nizinach Europy i Ameryki, pochodzących z czasu lodowego.

4. *Escher van der Linth* i *Desor* starali się wyjaśnić zmniejszenie się lodników alpejskich, przez przemianę morza Sahary na pustynią. Rzeczywiście wykazano, że Sahara była niegdyś morzem, a utworzenie się tak ogromnéj pustyni naturalnie nie mogło pozostać bez wpływu na niektóre południowe wiatry europejskie, i dla tego klimat w Europie zmieniło. Podczas zaś istnienia morza na Saharze, przychodziły ztamtąd bardzo wilgotne prądy powietrzne, które osadzały śnieg lub wodę na Alpach. Wywód ten ma dużo za sobą prawdopodobieństwa, ale działanie morza Sahary mogło się tylko na Alpy rozciągać, hypoteza ta więc nie tłómaczy

przyczyn istnienia lodników w Wogezach, Szkocyi, Skandynawii Ameryce północnéj i t. d.

5. Wielu, a może największa liczba geologów przypuszcza, że przyczyną tą był inny rozdział wód i lądów na półkuli północnéj. Południowa półkula, na któréj teraz stosunek wody do lądów jest daleko większy niż na północnéj, ma niższą temperaturę od téj ostatniéj. Jeśli w peryodzie lodowym rzecz się miała przeciwnie—a wiele faktów dowodzi, że woda na półkuli północnéj miała wtedy przewagę — więc też i temperatura jéj mogła być o wiele niższą od teraźniejszéj.

Pomijając inne mniéj ważne hypotezy, przejdziemy do najnowszéj, dla któréj właśnie wstęp powyższy umieszczamy.

James Croll, usiłujący już od lat dziesięciu rozwiązać powyższe zagadnienie na drodze astronomicznéj, wydał niedawno obszerne i bogate w materyał naukowy dzieło p. t. *Climate and Time in their geological relations*, w którém zawarł rezultaty swych dawniejszych poszukiwań. Na podstawie tych rezultatów podaje on hypotezę, która jeżeli zostanie stwierdzoną, wywrze jak powiada *Cotta*, niezmierny wpływ na geologią w ogóle, a w szczególności na chromającą dotąd bezwzględną miarę czasu.

Przedewszystkiém Croll odrzuca wszystkie dotychczasowe próby wytłómaczenia okresu lodowego, już to jako nieuzasadnione, już też jako niedostateczne, i przechodzi do tłómaczenia własnego, unikając wszelkich hypotez i opierając się na obserwacyach i obliczeniach astronomicznych. Peryodyczne zmiany excentryczności drogi ziemskiéj są według niego pierwszemi przyczynami okresów lodowych; przyłączają się do nich i inne, jako ich bezpośrednie następstwa. Przy szczególnie wielkiéj excentryczności drogi ziemskiéj, owa półkula, któréj zima przypada w punkcie odsłonecznym, musi mieć mniejszą temperaturę średnią, niż druga połowa kuli ziemskiéj. Że zaś wahania się excentryczności drogi ziemskiéj, jak również poprzedzanie punktów równonocnych, warunkujących nastąpienie pór roku na obu półkulach, odbywa się w wielkich, nierównych, ale dających się obliczyć okresach; więc według niego zmienność klimatu na jednéj lub drugiéj półkuli, zależy od związku dwóch dających się chronologicznie określić zjawisk astronomicznych.

Jednakże według *Crolla* wspólne działanie wielkiéj excentryczności drogi ziemskiéj i znajdowanie się pewnéj półkuli w czasie zimy w punkcie odsłonecznym, tak mało zniża temperaturę téj półkuli, że bynajmniéj w skutku tego nie może nastąpić peryod lodowy. Do wytłómaczenia tych okresów zimna, występujących

naprzemian to na jednéj to na drugiéj półkuli, potrzeba jeszcze innego czynnika. Czynnikiem tym jest *nierówne ogrzewanie* obu półkul przez słońce,—sprawa, która sama jedna nie może wystarczyć do objaśnienia okresów lodowych. Zjawisko to polega na zmianie położenia i kierunku najważniejszych prądów morskich, które według *Crolla* nie powstają skutkiem nierównego ogrzania wody morskiéj wprost przez promieniowanie słońca, lecz zależą od panujących stałych prądów powietrza—passatów. Te zaś ostatnie, będąc po części zawisłe od nierównych warunków ciepła, są w skutek owych niezbyt znacznych różnic temperatury na obu półkulach, raz zwracane od równika ku północy, drugi raz ku południowi. I tak, teraz mają one kierunek północny, wywołując pomiędzy innemi, prąd zatokowy (golfstrom), bez którego znaczna część zamieszkanéj teraz półkuli północnéj stałaby pustką i zbliżałaby się do okresu lodowego.

Jeżeli te twierdzenia *Crolla* odpowiadają naturze rzeczy, to stanowią nadzwyczaj ważny środek pomocniczy do bezwzględnego oznaczenia czasu wszystkich okresów lodowych obu półkul, które geologia wyraźnie wykazała;—przedewszystkiém tych, które miały miejsce w ostatnich trzech milionach lat. *Lagrange* bowiem i *Leverrier* obliczyli zmiany excentryczności drogi ziemskiéj, przez trzy miliony lat przed 1800 rokiem, oraz na milion lat, na przyszłość; peryody zaś poprzedzania punktów równonocnych niemniéj są znane. Czy obliczenia obu tych sławnych matematyków są oparte na ścisłych podstawach, czy dotychczasowe obserwacye zmiany excentryczności drogi ziemskiéj wystarczają zupełnie do obliczania tak kolosalnych okresów czasu, — to powinni rozstrzygnąć astronomowie; geologowie muszą się posiłkować temi danemi, jako obecnie przyjętemi w astronomii. Choćby jednak nawet obliczenia te zostały zmodyfikowane, to mogłyby uledz zmianie tylko ostateczne wyniki; teorya zaś *Crolla* i możliwość podobnego obliczania czasu, pozostałaby zawsze niezmiernie ważną. Z obliczeń, opartych na teraźniejszych danych, wypada, że ostatni peryod lodowy na półkuli północnéj miał miejsce przed blizko 80,000 lat. Rezultat ten jest bardzo ważny ze względu na historyą człowieka, gdyż jest rzeczą dosyć pewną, że najstarsze ślady istnienia człowieka napotykają się właśnie w pokładach tego okresu.

Nadto, geologowie dawno już doszli do przekonania, że ostatni okres lodowy w Alpach, był na stosunkowo dość krótki czas poprzedzony innym okresem lodowym, w którym lodniki alpejskie sięgały przez Szwajcaryą północną aż do Jury i Szwarcwaldu, poczém w skutku nastąpienia cieplejszego czasu, zredukowały

się do daleko mniejszych granic, a wreszcie znowu przybrały większe rozmiary, choć nie takie jak poprzednio. Przed temi zaś najnowszemi okresami lodowemi miały istnieć według *Crolla* inne, a mianowicie jeden w peryodzie miocenicznym około 850,000 lat temu, a drugi w eocenicznym, przed około 2,500,000 laty.

Croll w swych spekulacyach geologicznych jeszcze dalej zachodzi i prowadzi nas w czasy o wiele wcześniejsze.

Niektórzy geologowie angielscy (mianowicie *Ramsay*) twierdzą, że znaleźli ślady często ponawianych okresów lodowych, pomiędzy najstarszemi pokładami kambryjskiemi a najnowszemi trzeciorzędowemi. Jeżeli one rzeczywiście istniały, to możnaby do nich zastosować rachubę *Crolla;* ślady te jednak nie prowadzą do pewnych wniosków.

Dalej *Croll* wnosi z roślinnej natury pokładów węgla, że zawsze tworzyły się one w klimacie ciepłym i wilgotnym, (lecz nie zwrotnikowym), który według niego najwięcej odpowiada okresowi pośredniemu pomiędzy dwoma lodowemi. Powołuje się w tym względzie na mały pokład węglowy w Dürnten w Szwajcaryi, leżący pomiędzy zwałami kamieni dwóch ostatnich okresów lodowych. Rzecz jednak wątpliwa, czy pokład tak ograniczony, będący może tylko zjawiskiem miejscowem, może być faktem, na którym opierać należy wnioski o potężnej formacyi węglowej.

Gdyby teorya *Crolla* co do formacyi węglowej okazała się słuszną, to wynikłby ztąd dalszy, bardzo ważny wniosek, że wielka formacya węglowa, mogła się w pewnym czasie tworzyć tylko na jednej półkuli, albowiem peryody pośrednie pomiędzy lodowemi, mogły tylko naprzemian występować na obu półkulach, tak samo jak peryody zimna.

Ze stanowiska geologicznego hypotezy podobnej ani dowieść ani obalić nie podobna, albowiem szczątki roślinne pojedynczych północnych i południowych pokładów węgla, nie przedstawiają ani takiej zgodności, ani takiej różnicy, żeby można było wyprowadzać wniosek o ich jednoczesnem lub różnoczesnem powstaniu, tembardziej że ani rozmieszczenie, ani długość życia pojedynczych gatunków roślin, nie są dość znane. Co się zaś tycze okresów lodowych, to pomiędzy ich wyraźnemi śladami na obu półkulach leży szeroki pas równikowy, w którym nie ma pewnych śladów znacznego rozpowszechnienia lodników ani w Afryce, ani w Ameryce—a w skutku tego nie podobna wyprowadzać wniosków co do równo lub różnoczesnego istnienia okresów lodowych na północy i południu.

Bądź co bądź badanie *Crolla*, jako pierwszy krok na drodze bezwzględnego obliczania czasu geologicznego, jest bardzo ważne i na szczególną uwagę zasługuje.

Dla „uspokojenia czytelników“ *Cotta* dodaje na zakończenie, że obecnie excentryczność drogi ziemskiéj, głównéj przyczyny peryodów zimna zmniejsza się; zmniejszanie to trwać będzie przez 20,000 lat, nadzwyczajnéj zaś jéj wielkości spodziewać się należy dopiero za lat około 150,000 daléj 500,000, 800,000 i 900,000; poprzedzanie zaś punktów równonocnych (precessya)—druga przyczyna okresów lodowych — robi całkowity obrót mniéj więcéj w 25,800 latach. Wreszcie spotykanie się obudwóch zjawisk następuje według *Crolla* dwa razy na milion lat.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pozwolicie czytelnicy, że odstępując od zasady rozmaitości obowiązującéj kronikarza, poświęcimy tym razem więcéj miejsca kwestyi jednéj, ale powikłanéj i ważnéj. Chcę mówić o napływie ludności niemieckiéj do kraju, którym to faktem od pewnego czasu zajmuje się prassa i opinia publiczna, a zajmuje się, zdaniem naszém przynajmniéj, w sposób namiętny, fałszywy i alarmujący, lecz ani wyjaśniający, ani podający środków zaradczych.

Jeżeli w tém co powiem niżéj znajdzie się tu i owdzie słówko gorzkie, niech mi to zostanie przebaczone, ponieważ słowa te dyktuje tylko gorąca miłość dla społeczeństwa i pragnienie: aby ogół na rzeczy obchodzące go patrzał trzeźwo, z niebezpieczeństwem liczył się po męzku, a nadewszystko myślał i działał, nie zaś marzył i lamentował.

Wspomnieliśmy, że kwestyą „germanizmu w kraju naszym" zajmują się u nas, ale jak? Oto w sposób następujący. Przedewszystkiém przypomina się, że nie ma u nas ani jednéj gałęzi pracy społecznéj, w któréjby nie figurowali ludzie z cudzoziemskiemi nazwiskami. Daléj „zaznaczą się," że bardzo wielu Niemców kupuje grunta i że to jest szkodliwe. Kończy się wreszcie zaleceniem téj treści: że nie należy gruntów sprzedawać Niemcom, ale raczéj krajowcom, włościanom, i że nie należy tychże Niemców dopuszczać do handlu, przemysłu i t. d., inaczéj bowiem będzie źle, bardzo źle!

O tém, że każdemu narodowi źle jest z inwazyą cudzoziemską i że nawet jest bardzo źle, wszyscy już chyba wiedzą; domyślamy się też, że przy nieszczęśliwym zbiegu okoliczności może być gorzéj. Z tém wszystkiém jednak przebacz, Europo, dyletantyzm publicystyce naszéj! Bo i jakiż pożytek trzeźwe umysły odnieść mogą z podobnych „nawoływań?"

Wyobraź sobie czytelniku, że płyniesz statkiem, do którego woda przesiąka. Widzisz, że z tą wodą jest niewygodnie a może być nawet niebezpiecznie, i już pragniesz namyślić się nad sposobami pozbycia się nieproszonego gościa, gdy wtém na pokładzie ukazuje się jakiś krzykacz z mówką téj treści: „Panowie! chcę was zbawić! Woda przesiąka do kajuty, do machiny parowéj i jeszcze gdzieś. Woda to żywioł szkodliwy, kataru was nabawi, o tyfus przyprawić może, a wreszcie niezawodnie zatopi. Niektórzy mówią o wodzie jako o środku leczniczym, ale to bajka. Nie słuchajcie tego i nie dopuszczajcie wody do kajut i machin!“

Mówka ta nie nauczyła was niczego; co większa, przestraszyła was jeszcze gorzéj i pomieszała plany, jakie sami moglibyście dla niedopuszczenia wody porobić. Niebezpieczeństwo może być małe, ratunek pewny i prosty; wy jednak o tém myśleć nawet nie jesteście w stanie, mając pełne uszy pustych i hałaśliwych frazesów.

Dla zwrócenia uwagi w stronę właściwą, jeżeli nie dla położenia kresu deklamatorskim teoryom, co jest niepodobieństwem,— rozpatrzmy przedewszystkiém kwestyą ze stanowiska historycznego.

Kolonizacya niemiecka nie jest dla nas żadną nowością. Już w XII, XIII, XIV wieku, dla powiększenia ludności i podniesienia rzemiosł, handlu i przemysłu, nietylko *sprowadzano* cudzoziemców, nietylko tolerowano ich język, religię i zwyczaje, ale nadawano im jeszcze obszerne przywileje i dozwalano rządzić się ich własnemi prawami.

Dzięki téj rozumnéj polityce tolerancyi, która chlubę naszę stanowi, kraj się podniósł; zyskał bowiem nowych i dobrych obywateli, naturalnie nie w ciągu jednego dnia, ale w ciągu kilku pokoleń.

Zjawisko kolonizacyi powtórzyło się znowu w drugiéj połowie XVIII wieku i najwyższéj dosięgło potęgi w początkach bieżącego. I nie dziw: w roku bowiem np. 1816 w granicach Królestwa Polskiego było 2,717,000 ludności, a więc znacznie mniéj niż połowa dzisiejszéj.

Rolnictwo, rzemiosła i inne gałęzie gospodarstwa społecznego, znajdowały się podówczas w opłakanym stanie, należało więc kraj ratować od ostatecznéj ruiny. Ówcześni mężowie stanu rozumieli to, i otoż w dniu 20 Marca 1809 roku za księztwa Warszawskiego, wyszedł dekret ministra spraw wewnętrznych téj treści:

§ 1. Każdy cudzoziemiec rzemieślnik i rolnik osiedlający się w kraju, wolnym ma być w ciągu lat sześciu od wszelkiego rodzaju podatków i obowiązków powszechnych.

§ 2. Rolnicy cudzoziemscy, osiedlający się na niezajętych gruntach rządowych, przez lat sześć nie płacą czynszów.

§ 3. Cudzoziemcy i ich dzieci wolni są od wojska.

§ 4. Cudzoziemcy osiedlający się w kraju zostają pod szczególną opieką ministra spraw wewnętrznych i prefektów, którzy starać się powinni o robienie im ulg wszelkiego rodzaju.

W roku 1816 namiestnik Królestwa przywileje te powtórzył prawie dosłownie, kładąc jednak nacisk na to, aby nie przyjmowano do kraju indywiduów podejrzanych. Wymagał też, aby po upływie sześciu lat wolnych, cudzoziemski rolnik przez następne sześć lat uprawiał swój grunt i ciężary ponosił, w razie zaś wyjazdu z kraju przed upływem tego terminu, aby rachunki zaległe pozałatwiał.

W roku 1817 żądano już od przybyszów, aby się meldowali w poselstwie, składali tam świadectwa dobrego prowadzenia się i wymieniali ilość osób składających rodzinę. Żądano też, aby zrzekli się zapomogi na osiedlenie i koszta podróży, i starannie badano ich stan majątkowy.

Dekret z 28 Kwietnia 1833 roku wymagał już, aby cudzoziemcy otrzymywali od swych rządów pozwolenia na wyjazd, i aby wszystkie papiery swoje przysyłali do Warszawy, gdzie je rozpatrywano, i jeżeli stanowiły dobrą rekomendacyą, udzielano pozwolenia na przyjazd.

W roku 1844 wydano dekret, na mocy którego cudzoziemcy już nie mogli osiedlać się w dobrach rządowych, lecz tylko w prywatnych lub w miastach.

W roku 1852 nakazano cudzoziemskim osadnikom opłacać na granicy cło za wszystko co przywozili z sobą, z wyjątkiem najniezbędniejszych przedmiotów.

W roku 1867 zniesiono ulgi podatkowe i nadano (na mocy ukazu 1864 r.) grunta na własność tym tylko cudzoziemcom, którzy przyjęli poddaństwo. Ze wszystkich niegdyś przywilejów, został im w tymże roku jeden tylko, a mianowicie: uwolnienie od służby wojskowej.

Z powyższych cytat widnieje jeden wniosek. Cudzoziemcy wówczas gdy byli gwałtownie potrzebni w kraju, cieszyli się najdoskonalszą protekcyą rządu, która w miarę wzrostu ludności zmniejszała się, a obecnie doszła do minimum. Dziś cudzoziemiec nie ma przywilejów żadnych, i własnym przemysłem jak każdy inny kraju mieszkaniec, zdobywać sobie musi chleb i stanowisko.

Podobnie jak stosunki polityczne, zmieniały się też i stosunki prywatne cudzoziemców. Niegdyś przemysł, handel i rzemiosła

w ich tylko były ręku,—dziś na tych polach coraz więcej pojawia się krajowców. Niegdyś oni tylko mogli być kolonistami, — dziś uwłaszczeni włościanie od roku 1864 do 1873 nabyli gruntów 214,920 morgów wartości 7,164,000 rs.

Niegdyś fabryka gazu oświetlającego w Warszawie i kolej Warszawsko-Wiedeńska obsadzone były wyłącznie przez cudzoziemców, których dziś prawie zupełnie tam nie ma. Słowem, na wszystkich polach działalności, społeczeństwo wypiera żywioły obce, i tylko dyletanci ekonomiści nie widzą jego tryumfów, nie uznają żywotności, jakiej każdodzienne składa dowody.

Napływ cudzoziemców do kraju rozpoczął się w nowszych czasach w roku 1750. Byli oni zapraszani i protegowani przez rząd, często zwracano im koszta podróży, dawano drzewo na budynki, oznaczano dla nich *minimum* cen na cegłę, place pod fabryki oddawano na wieczystą dzierżawę i t. d. Zdawałoby się, że w ciągu 120 lat (1750—1870) i wśród takich okoliczności powinnyby ich napłynąć miliony; w rzeczywistości jednak w roku 1870 mieliśmy w kraju 328,000 Niemców, którzy stanowią 5,44% ludności ogólnéj.

Ciekawém byłoby dowiedzieć się, jakie przybysze ci zajmują stanowisko wśród społeczeństwa? Na nieszczęście jednak, do odpowiedzi na to pytanie materyałów nam brakuje, choć te jakie posiadamy odnośnie do gubernii Warszawskiéj, rzucają na kwestyą trochę światła.

Do gubernii Warszawskiéj napłynęło w ciągu 123 lat (do r. 1872) 46,512 cudzoziemców, z téj cyfry 26,000 protestantów. Ponieważ zaś w gubernii mieszka protestantów około 74,000, okazuje się więc, że z téj przerażającéj cyfry, 48,000 należy do ludności osiadłéj oddawna, a więc zupełnie swojskiéj, i że Niemców, którymi nas tak bardzo straszą, nie mamy się powodu obawiać.

Z owéj cyfry 46,512 przybyszów, 61% przyjęło miejscowe poddaństwo, 39% zaś mieszka za pasportami. Wiadomo znowu ze specyalnych badań statystycznych, że ze stu przybyłych, 55 nauczyło się po polsku, 45 nie umie po polsku, a 3 na 1,000 umie po rosyjsku. Liczby te pouczają nas, że tylko 6% osiadłych cudzoziemców nie zdążyło jeszcze dostatecznie zassymilować się z ludnością miejscową za pośrednictwem języka i że na zassymilowanie tego rodzaju, potrzeba około 70 lat czyli dwu do trzech pokoleń.

Dziwić się temu nie można. Cudzoziemiec przybywający do naszego kraju różnił się od ludności miejscowéj nietylko językiem, ale religią, ubiorem, stopniem oświaty i protekcyą rządu. Cudzoziemiec rolnik mógł żyć tylko ze swymi,—na ówczesnych bowiem

chłopów patrzał z wysoka, a ówczesna szlachta na niego znowu spoglądała tak samo. Po miastach było lepiéj, tam też drugie już pokolenie wynarodawiało się najzupełniéj.

Na nieszczęście jednak, ci, którzy bawią się u nas „kwestyą germanizmu“ nie badają ani statystyki, ani prawa natury ludzkiéj. W każdym Niemcu, w każdém obcém nazwisku, widzą oni wroga i domagają się wynarodowienia w jednéj chwili, zaraz po przejściu granicy.

Z 46,512 cudzoziemców osiadłych w gub. Warszawskiéj, 35,1% należy do kategoryi drobnych posiadaczy ziemskich, 32,2% są robotnikami wiejskimi. Drobnym handlem i rzemiosłami zajmuje się 11,7%, przy fabrykach pracuje 6,2%, reszta zaś t. j. 14,8% nie należy do żadnéj z grup powyższych.

Ciekawém jest też pytanie, co oni robią na wsi? Na to znowu odpowiadają cyfry. Większą własność ziemską posiada 95 rodzin (z nich 68 mieszka za pasportami), 3,713 rodzin posiada mniejsze własności, 88 dzierżawi, 114 zarządza majątkami, 30 należy do stanu mieszczan rolników, 11 zajmuje się leśnictwem. Jest też 35 rodzin ekonomów, 54 owczarzy, 38 ogrodników, 3,405 parobków, 18 gajowych i 18 pastuchów. Okazuje się z tego, że nie wszyscy z nich są dyrektorami fabryk, jak nas o tém najnowsza szkoła dziennikarskich ekonomistów zapewnić usiłuje.

Przybysze w końcu założyli 214 wsi i kolonii, a z 29 wyparli krajowców; na odwrót znowu krajowcy wyparli ich zupełnie z 5 wsi, a do 155 weszli na współmieszkańców, tak, że dziś zaledwie 49 miejscowości zajmują wyłącznie cudzoziemcy. Widzimy więc, że żywioł krajowy umie walczyć, i że walczył już wtedy, kiedy autorowie artykułów wyrzucających mu nieporadność i brak obywatelskich uczuć, nie istnieli jeszcze na świecie.

Streszczając to cośmy powiedzieli o gubernii Warszawskiéj, wypada:

1-o. Że jakkolwiek ilość protestantów wynosi w niéj około 10,2%, właściwych jednak cudzoziemców, którzy w ciągu 123 lat ostatnich osiedlili się, jest tylko 6,5%. Z liczby téj większa połowa osiedliła się zupełnie i wyuczyła miejscowego języka.

2-o. Mimo to, że rządy ówczesne prawie do roku 1864 usilnie protegowały cudzoziemców, mimo to, że włościanie dopiero od lat 12 zostali prawdziwymi obywatelami kraju, i mimo to wreszcie, że pierwiastki napływowe są w ogóle ukształceńsze, zasobniejsze od ludności miejscowéj, — niemniéj jednak ludność ta, nietylko w stosunkach z nimi nie okazała się niezaradną, ale raczéj dowiodła wielkiego zapasu sił żywotnych, a w sprawie assymilacyi sta-

nowcze odniosła zwycięztwo. Zwycięztwo to zdumiewa tembardziéj, że odniesione zostało w warunkach najniekorzystniejszych,

Do takich wniosków doprowadziło nas rozważanie stosunków gubernii Warszawskiéj. W całym kraju prawdopodobnie jest, było i musi być tak samo. Gdzie mniéj ludności a ziemia dobra, tam idą cudzoziemcy. Tworzą oni kolonie, początkowo wyłącznie swoje, do których z czasem wciska się ludność miejscowa. W dalszym ciągu część kolonistów idzie daléj na wschód, większość zaś zostaje i ulega prawu assymilacyi, któremu dotychczas pańszczyzna włościan i religia przybyszów potężne stawiały zapory. Dziś pańszczyzna znikła, włościanie stali się obywatelami i pomału dochodzą do majątków. Sprawa więc assymilacyi pójść musi śpieszniéj, a i sam napływ cudzoziemców wkrótce zredukuje się do nieskończenie małych rozmiarów.

Takie jest nasze zdanie na trzeźwém pojmowaniu faktów oparte. Przejęci niemi nie obawiamy się niebezpieczeństw kolonizacyi, i litujemy się zarówno nad tymi przybyszami, którzy sądzą, że nas zgermanizują, że nam własność odbiorą, jak i nad tymi krajowcami, którzy owe pobożne życzenia biorą na seryo. W granicach Królestwa Polskiego nie Niemcy dla nas, ale my dla Niemców jesteśmy niebezpieczni; nie oni, ale my jesteśmy zwycięzcami.

Dlaczego dziś Niemcy osiedlają się w kraju? oto pytanie, na które postaramy się odpowiedzieć obecnie.

Przyczyny ruchu niemieckich kolonistów tkwią zarówno w Niemczech jak i u nas. Przyczyn tych jest kilka kategoryi; są zaś one przedewszystkiém ciągłe i czasowe.

Najważniejszą z przyczyn ciągłych, jest materyalna dążność narodów gęstszych do osiedlania się pośród rzadszych. Niemcy mają obecnie 3,917 osób na mili kwadratowéj, my 2,407, Ameryka 113, i z tego powodu widzimy, że dziesiątki tysięcy Niemców rok rocznie odpływają do Ameryki, gdzie ich prócz tego ciągnie swoboda, a setki i tysiące przychodzą do nas, gdzie ich ciągnie niewielka odległość i tradycya.

Nawiasowo dodamy, że prawo wzajemnego przesiąkania się materyałów różnéj gęstości jest tak rozległe, iż spotykamy je już w świecie fizycznym, między płynami. Istnienie jego zatém w świecie ludzkim, naturalnie z pewnemi modyfikacyami, ani dziwić, ani gorszyć nikogo nie powinno.

Do tego naturalnego prawa, które wypędza Niemców z ich ojczyzny, przyczynia się jeszcze wypływająca z niego drożyzna ziemi, wyższe ciężary i podatki w kraju własnym, i naodwrót taniość ziemi

i mniejsze ciężary u nas. Przypuszczać należy, że wojna w r. 1870, ogólna stagnacya i różnego rodzaju ograniczenia wolności osobistéj, niepomału wpłyną na wzrost emigracyi w Niemczech a kolonizacyi u nas. Ten ostatni jednak powód należy już do chwilowych.

Poznaliśmy zatém naturalne prawo, które usuwa Niemców z ich kraju i umożliwia przenoszenie się do nas. Zobaczmy teraz dlaczego stają się oni u nas do pewnego stopnia koniecznymi.

Jak powiedzieliśmy, zaludnienie, czyli ilość mieszkańców na jednéj mili kwadratowéj wynosi w kraju naszym 2,407 osób, podczas gdy przecięciowo w całéj Europie zaludnienie dosięga zaledwie cyfry 1,627 osób; wypływa ztąd, że gęstość ludności u nas przeszła już średnią europejską normę.

Przypuszczając, na co zresztą każdy się zgodzi, że rozwój przemysłu, handlu, gospodarstwa wiejskiego, oświaty i t. d. powinien odpowiadać rozwojowi ludności, sądzićby można, że i powyżéj wymienione objawy działalności u nas, przeszły także średnią europejską normę. Tak jednak nie jest.

Podług Hübnera na 10,000 ludności przypada uczących się w szkołach elementarnych: w Prusiech 1,520, W. Brytanii 1,400, Hollandyi 1,280, Francyi 1,160, Belgii 1,140, Austryi 830, Hiszpanii 620, Włoszech 550, Rossyi 150. Średnio zatém w Europie na 10,000 ludności 961 chodzi do szkół elementarnych, u nas zatém cyfra ta powinna być wyższą, w rzeczywistości jednak wynosi tylko 228, a więc nie dosięga jéj nawet i to w bardzo uderzającym stopniu.

Taki stan oświaty może służyć za miarę ogólnego stanu kraju, dla uwydatnienia czego, przytoczymy jeszcze kilka cyfr innych.

Przecięciowo w całéj Europie 1 rzemieślnik przypada na 24 ludzi, u nas 1 na 60. Średnio w Europie 1 robotnik fabryczny przypada na 30 mieszkańców, u nas 1 na 90. Widzimy więc, że i rozwojowi przemysłowemu daleko jeszcze do normy średniéj.

Ilość zebranego zboża różnych gatunków i kartofli wynosi u nas około 10 korcy na głowę, podczas gdy w Niemczech zbiory obliczone w wartości z żyta wynoszą na głowę średnio 21—23 korcy. Jeżeli przypomnimy sobie Francyą, Węgry, Włochy i inne żyzne kraje, wówczas łatwo, przyjść do wniosku, że nasze 10 korcy przedstawiają także wartość niższą od średniéj europejskiéj cyfry.

Słowem: ilekolwiek zestawilibyśmy danych tego rodzaju, zawsze przyjdziemy do wniosku, że *wówczas gdy ludność przeszła granicę średnią europejską, żadna z gałęzi gospodarstwa społecznego nie dosięgła jéj jeszcze.*

Pozwolę sobie w têm miejscu usłuchać podszeptów miłości własnéj i dla pamięci zapisać, że o ile mi wiadomo, nikt dotychczas w społecznêm życiu naszém nie dostrzegł tego zjawiska, ani go sformułował,—choć jest ono bardzo doniosłe. Ten odskok między ludnością a jéj bytem, to rozkrzyżowanie niejako społeczeństwa, które jedną nogą stoi na szczeblu wyższym, drugą na znakomicie niższym,—jest przyczyną wszystkich naszych przynajmniéj ekonomicznych kłopotów. Każdy z nas czuje jakiś brak, niesmak, ciasnotę; jesteśmy biedni, nie mamy kredytu i trapią nas lichwiarskie procenta; mamy wielu żebraków, tłumy ludzi bez pracy, a jednocześnie sprowadzać musimy cudzoziemców. Wszystkie te zjawiska są tylko różnemi odmianami jednego najogólniejszego, które sformułowaliśmy powyżéj.

Nieszczęściem jednak dla kraju, dziennikarscy ekonomiści nasi ani domyślają się tego; natomiast zaś, w błogiéj prostocie ducha sądzą, że ich „nawoływanie“ stanowi najdoskonalszą broń do walki z prawami naturalnemi. Szkodliwe złudzenia!

Widzimy więc, że rzemiosła, fabryki, kopalnie i wszelkie przedsiębierstwa, potrzebują z jednéj strony rozwinąć się, z drugiéj zaś nie mają ludzi, nie z tego bynajmniéj powodu, aby ogół czuł wstręt do pracy, ale raczéj z powodu braku szkół specyalnych. Zkąd wziąć tych ludzi?... Naturalnie ztamtąd gdzie oni są w nadmiarze. Tak się też dzieje w rzeczywistości, i ta właśnie prosta kombinacya nazywa się u nas: „protegowaniem żywiołów obcych.“ Pewni przecież jesteśmy, że owa „protekcya“ sama przez się upadnie, nieprędzéj jednak aż żywiół swojski nabierze odpowiednich sił i wiedzy.

Rozpatrzmy teraz kolonizacyą dzisiejszą. Obywatel ziemski ma nadmiar gruntów, nie może ich obrobić, nie może kupić dostatecznéj ilości machin, i część ziemi sprzedaje. Grunta te kupują koloniści nasi lub obcy.

Niektórych publicystów gniewa to zjawisko i zachęca do pisania piorunujących artykułów przeciw „naszéj nieporadności.“ Przypuszczamy, że niedługo panowie ci będą pisali przeciw gradom, suszom i t. d. z równym zapałem, i dodajmy, z równą słusznością.

Co bowiem ma robić ten nieszczęśliwy, potrzebujący pieniędzy obywatel, jeżeli nie sprzeda gruntów pierwszemu, który znośnie przynajmniéj zapłaci? jakim sposobem sprzeda je włościanom, jeżeli ci są biedni i kupować nie mają ochoty?...

Kiedyś słyszeliśmy zdanie, że obywatel rozkolonizowujący majątek, powinien raczéj sprzedać włościaninowi morg po 30 rs.,

niż Niemcowi po 40 rs. Dobre to, ale w artykułach. W praktyce, kombinacya podobna doprowadziłaby do tego, że włościanin kupiwszy morg za 30 rs., sprzedałby go tego samego dnia Niemcowi za 35 rs. Włościanie bowiem nasi znają wartość pieniędzy, a o poświęceniach nie myślą.

A wreszcie, jakiém prawem możemy wymagać poświęceń od obywateli, którzy dziś niewiele mając, już i tak nadmierne dźwigają ciężary? Do poświęceń trzeba mieć głowę wolną, ożywione uczucie, środki materyalne, świadomość celów i czynów— a gdzież teraz szukać tego wszystkiego?

Z tego cośmy powiedzieli dotychczas wypada, że okrzyk: „Nie dopuszczajcie Niemców!“ jest pustym frazesem. Ogół bowiem w sprawie téj dzieli się na dwie grupy: takich, którzy nie potrzebują mieć z Niemcami do czynienia, i ci ich tém samém nie puszczą, oraz takich, którzy z konieczności a niekiedy z niechęcią nawet, korzystają z ich usług, a ci ich się nie mogą wyrzec i nie wyrzekną.

Wzrost ludności, wzrost dobrobytu, oświaty i prawdziwéj miłości dla kraju, oto są tamy dla wszelkiego rodzaju kolonizacyi. Uczmy ludzi hygieny, pedagogiki i ekonomii, ale nie dzisiejszéj warszawskiéj, tylko ludzkiéj—zachęcajmy ich do oszczędności, do nauki — przyzwyczajajmy do zdrowego poglądu na rzeczy, a walkę z Niemcami im samym pozostawmy. Dadzą sobie oni i bez nas radę.

Niedorzecznością jest wyrzucać przybyszom, że niedość prędko nauczyli się naszego języka; lecz obywatelskim jest obowiązkiem wytykać ogółowi, że często sam swoim własnym pomiata. Śmieszności jest zżymać się na „dyrektorów Niemców;“ pożytecznie jednak przypominać młodym ludziom majętnym, aby zamiast tracenia zdrowia i pieniędzy w paryzkich klubach i teatrach, lub warszawskich ogródkach, obrócili jedno i drugie na zdobycie wiedzy specyalnéj i zyskanie „dyrektorskich“ posad. Takie są obowiązki publicysty.

W końcu—jakąż to ideę krzewią w narodzie stronnicy walki przeciw Niemcom, jaki pożytek ich deklamacye przynoszą? Pożytek ten chyba, że zniechęcają do społeczeństwa wszystkie indywidua, które dla jakichkolwiekbądź powodów nie zassymilowały się z niém jeszcze i przez to opóźniają assymilacyą.

A idea? O téj nie mówmy! Ta sama idea nietolerancyi wypędziła Maurów i Żydów z Hiszpanii, Hugonotów z Francyi, Purytanów z Anglii. Ta sama idea wzniosła mur chiński i murem chińskim oddzieliła Żydów naszych od społeczeństwa, wśród którego wzrośli i złożyli głowy ich pradziadowie. Ta sama idea

w końcu przewodniczy dziś w Prussiech partyi narodowo-liberalnéj, któréj obecną działalność historya z pewnością napiętnuje.

Ponad gwałtem, uciskiem, liberalizmem narodowym i całym tego rodzaju arsenałem, górują sprawiedliwość, równouprawnienie i poszanowanie osobistości bliźniego. Gwałty przeminą, rozgorączkowana ludzkość trzeźwiéj spojrzy na rzeczy, bohaterowie chwili zapadną w mrok niepamięci, ale idee te zostaną, bo w nich jest przyszłość świata. Niech garść krzykaczy głosi daléj artykuły wiary narodowo-liberalnéj,—my zaś przy sztandarze tolerancyi zostaniemy i pod fałdy jego przygarniemy chętnie tych nawet, którzy wprost przeciwnego oręża na nas samych używają.

* *

*

W początkach Czerwca mieliśmy w Warszawie przy ulicy Chłodnéj, pożar—który zniszczył kilka budynków drewnianych, kilka murowanych, zrządził ogółem strat na 90,000 rs., i kilkadziesiąt osób, przeważnie ubogich, zostawił bez mienia i dachu.

Na drugi dzień ukazały się dramatyczne opisy klęski i odezwy o pomoc, a od tego czasu publiczność składa na rzecz pogorzelców ofiary w pieniądzach, pokarmach, odzieży i t. p. O téj to ofiarności chcemy kilka słów powiedzieć.

Dopóki Warszawa chorować będzie na brak wody w ogóle a kranów pożarnych w szczególności, dopóki w obrębie miasta istnieć będą stare, drewniane chałupy zamieszkiwane przez klassę ubogą, dopóty pożary, ruina i składki muszą być zjawiskami naturalnemi. Składki te są podatkiem, który płacić musimy za brak społecznego rozwinięcia; nie idzie jednak za tém, aby koniecznie miały wychodzić na złe ogółowi, jak się to dzieje obecnie.

Mówiąc tak nie mamy na myśli dających, którzy obowiązani są składać grosz swój na ołtarzu potrzeb ogólnych, a dopełniając tego obowiązku, spełniają piękny czyn miłości braterskiéj, zyskując korzyść moralną; nie mamy też zamiaru odwodzić ogółu od ofiarności, któréj nigdy nie będzie zawiele. Chodzi nam raczéj o reformę sposobu, w jaki wydzielane są zapomogi; dzisiejszy bowiem system zamiast usunąć biedę, przyczynia się raczéj do pogorszenia jéj następstw.

Żebractwo na ulicach i w prassie rozszerzyło się w ciągu ostatnich kilku lat w sposób zatrważający. Na ulicach widujemy dzieci, kobiety, ludzi silnych i zdrowych, a obok tego przyzwoicie ubranych, którzy o jałmużnę proszą. W dziennikach czytujemy odez-

wy od matek niemogących wysłać córek do wód, od chłopczyków niemających na wpis do szkoły, od rodzin osieroconych przez śmierć ojca. Są to niewątpliwie znamiona czasu—téj biedy i stagnacyi, która dziś do pewnego stopnia w całéj Europie panuje, a z którą łączy się nasza bieda specyalna; niemniéj jednak znać skutki nierozsądnie udzielanéj pomocy.

Dzięki nierozwadze i lenistwu naszemu, ludzie, którzy wczoraj prosili nas o pracę a dostali grosz, dziś już chcą grosza; ci zaś, którzy wczoraj chcieli jałmużny, dziś kradną. Byłoby niewątpliwie w tém inaczéj, gdybyśmy pomagać umieli.

Pominąwszy już bowiem żebraków z professyi, pomyślmy w jaki sposób jałmużny nasze wpływają na ludzi uczciwych i pracowitych, a nagle zubożałych.

Pogorzelec pierwszego dnia przyjmuje wsparcie z zakłopotaniem i wdzięcznością, drugiego dnia już śmieléj—jako pewny rodzaj pensyi; trzeciego dnia upomina się o więcéj, a czwartego — wpada do redakcyi z krzykiem: że publiczność „dla niego“ robi składki, z których kto inny nieprawne zyski ciągnie!

W rezultacie pogorzelec ów, rozpróżniaczony w ciągu przymusowego kilkudniowego bezrobocia i ozuchwalony jałmużną, nic w istocie nie zyskuje oprócz fałszywych pretensyi do społeczeństwa, które go „wspierać powinno, a wspiera za mało!“ Od téj złowrogiéj chwili nie wróci on już z dawną chęcią do pracy, ale natomiast częściéj rozprawiać będzie o niesprawiedliwości fortuny i ludzi.

Temu stanowi rzeczy należy kres położyć w taki mianowicie sposób, aby pomoc w nieszczęściu nie była jałmużną — ale pożyczką, nie demoralizowała—ale uszlachetniała człowieka.

Powinnaby się utworzyć jakaś stała „*komissya pomocy w nieszczęściach losowych*,“ która zbierałaby składki nie w chwili ostatecznéj, ale przez cały rok, a tém samém dokładnie znała stan swoich funduszów.

Po zaszłém nieszczęściu komissya ta byłaby obowiązana wydawać najuboższym bilety na obiady do tanich kuchni, i w razie pożaru, wyszukać im lokale, za które sami naturalnie zapłacą Wszelką zaś inną pomoc jak: pościel, sprzęty, narzędzia rzemieślnicze — nie rozdarowywać, ale sprzedawać powinna jak najtaniéj, rozumie się na kredyt i bez procentu, lecz z oznaczonym terminem. Gdy w ciągu kilku dni wszyscy dostaną mieszkania i pożyczki w pieniądzach lub w naturze, komissya tém samém przestaje się już nimi opiekować.

Jako dowód, że i my na kwestyą pomocy w potrzebie trzeź-

wiéj nieco poczynamy się zapatrywać, i że możliwém jest założenie instytucyi filantropijnéj, która zamiast jałmużny, dostarczałaby pracy i kredytu, — wspomnimy o „Biurze dla szukających pracy.“

Biuro to utworzone przez kilku ludzi chętnych i pojmujących potrzeby czasu, a oddane pod kierunek pana Stefana Kossutha, redaktora Przeglądu Technicznego, pragnie dostarczać pracy odpowiednio wykwalifikowanym i dobrą rekomendacyą posiadającym pracownikom, mniéj oglądając się na zyski. Opłata w biurze jest bardzo mała (wpisowe bowiem nie istnieje, a dopiero po dojściu do skutku układów między stronami, biuro bierze od obu po 2 proc. rocznéj pensyi), formalności rekomendacyjne bardzo surowe. Pracownik prócz świadectw z zakładów specyalnych (jeżeli je ukończył) i służbowych, złożyć musi opis życia, a nadto wskazać osoby, któreby prawdziwość tego stwierdziły i bliższych szczegółów o charakterze kandydata dostarczyły.

Co parę tygodni biuro ogłasza cyfry dotyczące ilości kandydatów i posad. Ostatnie tego rodzaju sprawozdanie przytaczamy:

Dział.	*Posady wakujące.*	*Kandydaci.*
1. Techniczny	26	96
2. Handlowy	9	112
3. Rolny	76	218
W téj liczbie rządców	12	133
Ekonomów i pisarzy	39	41
Ogrodników	15	8
4. Naukowy	24	37
W téj liczbie nauczycieli prywatnych	21	15
5. Ogólny.	10	226

Ogółem biuro posiada 146 posad do rozdania i 689 kandydatów, przecięciowo prawie 5 kandydatów na jednę posadę. Stosunek ten okaże się nieco korzystniejszym, jeżeli odtrącimy dział *ogólny* obejmujący osoby bez fachowego ukształcenia. Wówczas bowiem na jednę posadę wypadnie trzech tylko kandydatów w działach specyalnych, gdy w samym dziale ogólnym prawie *dwudziestu trzech.*

Z cyfr tych, położenie zarysowuje się jasno: o pracę w ogóle jest u nas dosyć trudno, w każdym jednak razie specyalista znajdzie ją prawie siedm razy łatwiéj, niż człowiek niefachowy.

Alexander Głowacki.

KRYTYKA.

1. *Опыт фонетики резьянских говоров* И. Бодуэна-де-Куртенэ (J. Baudouin de Courtenay). Варшава, Петербург 1875, 8-o maj. XVI+128 (Zarys głosowni gwar rezyańskich).

2. *Резьянскій катихизис*, как приложеніе къ „Опыту фонетики резьянских говоров," съ приложеніями и словарем издал И. Бодуэн-де-Куртенэ. Ibid. 8-o maj. VII+48 (Katechizm rezyański).

1. Jak wszelkie badania w ogóle, tak i studya lingwistyczne nad pojedynczemi rozlicznemi gwarami słowiańskiemi, ażeby istotny dla nauki przynieść mogły pożytek, przedsiębrane być winny tylko przez ludzi fachowych, przez specyalistów, obeznanych gruntownie z dzisiejszemi zasadami nauki i posiłkujących się metodą rzeczywiście naukową.

Prace poprzednie pana Baudouina, a zwłaszcza dzieło jego większych rozmiarów „O drewnie-polskom jazykie do XIV stoletija" (1870 r.), dały nam poznać zarówno należyte przygotowanie lingwistyczne autora, jak i wyborną jego metodę badania. Ostatnia książka p. B. p. t. „Zarys głosowni gwar rezyańskich," przy niemniéj korzystnych wykonana warunkach, jest w zakresie prac dyalektologicznych dziełem również trwałéj wartości naukowéj.

Za przedmiot do swoich badań autor wziął język, a raczéj gwarę Rezyan, garstki Słowian, która w liczbie nie o wiele większéj od 3,000 zamieszkuje dolinę Rezyańską, położoną w północno-wschodniéj części królestwa Włoskiego, w prowincyi widemskiéj (provincia di Udine), w powiecie mużackim (distretto di Moggio). W czasie swoich wycieczek dyalektologicznych (w 1872 i 1873 roku) autor odkrył w tych okolicach zupełnie nowy materyał językowy, przez nikogo dotychczas niezbadane dyalekta słowiańskie. Z kilku gwar tego rodzaju, bezpośrednio na miejscu przez siebie zbadanych, a należących do narzecza serbsko-chorwackiego p. B. daje

nam w swém dziele dokładny i umiejętnie wykonany obraz wszelkich właściwości mowy Rezyan.

Dzieło składa się z 3-ch głównych części: 1-sza zawiera „opisanie dźwięków“ (str. 1—7). W 2-éj mówi autor o „etymologicznych stosunkach dźwięków rezyańskich“ (str. 8 — 111). Część ta najobszerniejsza, z 8-miu rozdziałów złożona, przedstawia bogaty rezultat samodzielnych i gruntownych badań autora. W części 3 éj mamy „wnioski i wywody ogólne“ (str. 112 — 123). W końcu książki umieścił autor „tezy“ czyli twierdzenia, do jakich w skutku badań swoich dochodzi.

Niepodobna nam przytaczać mnóstwa ważnych szczegółów, skrzętnie tu nagromadzonych. Zaledwie tylko na niektóre z nich zwrócimy bliższą uwagę. W części 1-széj swéj pracy, rozpoczynając opisanie dźwięków mowy rezyańskiéj, autor podaje nam nowy system spółgłosek, dzieląc spółgłoski proste na 3 główne kategorye: 1) spółgłoski wargowe (labiales), językowe (linguales) i ziewne (faucales). W językowych odróżnia: spółgłoski *liniowe* (lineales) czyli „twarde,“ jak *t, d, n*... (przednio-językowe), *k, g*, tylno-językowe i t. d., tudzież *powierzchniowe* (superficiales) albo „miękkie“ jak *j*, i t. d. Do ziewnych zalicza spółgłoskę *h*. Z kolei każdy z wymienionych działów opatrzony jest przez autora odpowiedniemi objaśnieniami, o warunkach fizyologicznych powstawania spółgłosek czy to ogólnie słowiańskich, czy też będących wyłączną właściwością gwar rezyańskich. Podane tu objaśnienia często zupełnie są nowe, oryginalne, a zawsze gruntowne i z prawdą zgodne.

Przy wyliczaniu samogłosek w § 11 spotykamy obok samogłosek jasnych *a, o, e, u, i*, znanych i w innych narzeczach słowiańskich, charakterystyczne samogłoski ciemne albo głuche: *ö, oe, ü, y*. Osobliwe te brzmienia głuche bardzo podobne są do samogłosek, wymawianych przez głuchoniemych, tak, że nieobeznanemu z mową Rezyan i nieprzywykłemu do niéj wydaje się ona, z pewnéj zwłaszcza odległości, jakby mową głuchoniemych. Szczególną także właściwość w gwarze rezyańskiéj stanowi samogłoska nosowa *e*,˙ będąca w wymawianiu odrębnéj natury, aniżeli np. nosowe samogłoski polskie lub francuzkie (§ 12). Stanowi ona właściwość jednéj tylko gwary w Rezyi, zamieszkującéj wieś Niwę (włosk. Gniva). I tutaj opisuje autor z możliwą dokładnością fizyologiczne warunki, których rezultatem są tylko co wymienione samogłoski.

W części drugiéj swego dzieła p. B. rozpatruje systematycznie spółgłoski ogólno-słowiańskie w porównaniu z rezyańskiemi,

zaznaczając wśród tych odpowiedniości zmiany charakterystyczne, w téj gwarze zaszłe. Tak np. mówiąc o spółgłosce *g*, autor robi uwagę, że w położeniu niezależném od wpływu innych dźwięków, spółgłoska *g* utrzymała się w jednéj tylko gwarze bielskiéj (St.-Giorgio), w pozostałych zaś gwarach rezyańskich dźwięk ten przeszedł w *h*, które znowu w gwarze stołbickiéj (Stolvizza) w ostatnich latach znika zupełnie w wymowie (§ 24—29). Autor przywodzi dość charakterystyczne co do tego faktu utyskiwania pewnego 73-letniego starca ze Stołbicy, na młodsze z tejże wsi pokolenie, którego mowa z powodu opuszczania spółgłoski *h* staje się dla niego częstokroć zupełnie niezrozumiałą. W rzeczy saméj wyrażenia takie jak: „réte nát?“ „réte rábit??“ lub t. p., dziwacznie brzmieć muszą w uchu starca, przywykłego do form dawniejszych: „hréte hnát?“ (idziecie gnać?, t. j. bydło), „hréte hrábit?“ (idziecie grabić?) lub t. p. Starzec ów, daleki naturalnie od upatrywania w tém wymawianiu przyrodzonéj zmiany językowéj, przypisuje ten naganny według siebie zwyczaj młodych ludzi poprostu młodzieńczéj ich „brawurze.“

Z innych cech głosowych charakterystycznych godne są choć pobieżnego zaznaczenia nustępujące: zamiana słowiańskiego *ż* w pewnych razach na *r*, np. (mörate = możecie) (§ 22); zamiana spółgłoski *m* w końcówce na *n* np. z ni mâlin otrokòn (z jedném małém dzieckiem), z Böhon (z Bogiem) i t. p. (§ 31), *m* zaś końcowe utrzymuje się, jeżeli należy do tematu deklinacyjnego, np. dim v. dèm (dym), hàrm (grom), Rîm (Rzym) i t. p. (§ 32).

Odrębnéj zupełnie natury spotykamy tu upodobnienia spółgłosek. Końcowa np. spółgłoska *v* upodabnia się początkowéj spółgłosce wyrazu następnego, tak że mamy *v b*=*b d* (tùb dúle= w dole, w dolinie), *v n*=*b n* (tùb no óro=w jednę godzinę) *v t*=*p t* (tùp ti vylykyh = w tych wielkich) i t. p. Toż samo ma miejsce i w środku jednego wyrazu: *vc*=*pc* (öpca=owca), *vc*=*pc* (pcéra= wczora i t. p. (§ 74); albo np. upodobnienie spółgłosek *s* i *z* spółgłoskom następnym *sz*, *ż* lub *cz* np. szûsz (susza), szüszit (suszyć) széżin (sążeń), żvéczera (zwieczora, wieczorem), żmoczét (zmoczyć) i t. d. (§ 77).

Ze szczególną dokładnością, rzec można, znakomicie opracowane są rozdziały: 4-ty (str. 44—66), 5-ty (str. 66—89) i parę następnych. W rozdziale 4-tym autor pomieścił porównawcze badania nad samogłoskami gwar rezyańskich. Mamy tu umiejętnie przedstawione znaczenie akcentu serbskiego (§ 104 i nast.), tyle ważne dla zrozumienia fonetycznych zjawisk gwar rezyańskich; znajdujemy daléj rezyańskie reflexa (czyli dźwięki następcze)

ogólnie słowiańskiego *ę* (§ 122), ogólnie słowiańskiego *ą* (§ 127 i nast.), tudzież innych samogłosek: *u*, *i*, *y*, *ъ*, *ь*, zawsze rozważane w porównaniu z językiem serbskim.

W rozdziale 5-ym mówi autor o akcencie, iloczasie i stopniowaniu samogłosek. Z obszernych wywodów autora choć parę ogólniejszych tu przywiedziemy: Pod względem akcentu gwary rezyańskie posiadają w ogólności akcent pierwotny południowo-słowiański, który zachował się bez żadnych zmian u Chorwato-Serbów zachodnich nadmorskich, w tak zwaném narzeczu: „czakawskiém,“ gdy tymczasem w większości Chorwato-Serbów, t. j. we wszystkich gwarach „sztokawskich“ zaszło prawidłowe cofnięcie akcentu na zgłoskę poprzednią (Accentverschiebung) (§ 151—168).

Co się tycze *iloczasu* (quantitas), to pierwotna zachodnio-południowa słowiańska długość i krótkość akcentowanych samogłosek znajduje i w rezyańskim wierne odbicie (reflex) tak ze strony ilościowéj jak i jakościowéj. Tak np. długie akcentowane *o* zmieniło się tu na *û*, krótkie zaś akcentowane *o* na *ö*. Nieakcentowane zaś uległy skróceniu tak, „że w rezyańskim nie masz ani jednéj długiéj samogłoski w zgłosce nieakcentowanéj.“

Przykładów stopniowania samogłosek autor znalazł liczbę bardzo ograniczoną, objaśniając, że żywe poczucie tego stopniowania zupełnie prawie znikło w gwarach rezyańskich (§ 209—10).

Najważniejszą jednak z właściwości gwar rezyańskich jest odkryta przez autora *harmonia samogłosek* (Vocalharmonie) (§ 211 i nast.). Polega ona na tém, że w wyrazie od jakości samogłoski akcentowanej, zależy jakość samogłosek w zgłoskach nieakcentowanych; albo inaczéj: że samogłoski zgłosek nieakcentowanych upodabniają się samogłosce zgłoski akcentowanéj. Jeżeli więc w wyrazie zgłoska akcentowana ma samogłoskę jasną (*a*, *o*, *e*, *u*, *i*) to również jasne samogłoski znajdować się muszą w zgłoskach nieakcentowanych (np. kozà (koza), nohê (nogi), žanà, (żona, kobieta) itp. i odwrotnie: jeżeli w wyrazie zgłoska akcentowana posiada samogłoskę ciemną (*ö*, *oe*, *ü*, *y*), tam w nieakcentowanych zgłoskach musi być również samogłoska ciemna (np. dvî közòe (dwie kozy), tòu nöhòe (w nodze), dvî žoencè i t. d.). Taż sama odpowiedniość co do samogłosek szerokich (*e*, *o*, *oe*, *ö*, *a*) i odpowiednich im wązkich (*i*, *u*, *y*, *ü*, *e*). Od szerokości lub wązkości samogłoski akcentowanéj zależy szerokość lub wązkość samogłosek w zgłoskach nieakcentowanych; np. žanà (żona), žoenòe (żonie), žinî (żon); w wyrazach tych z pierwotnego *e* pierwszéj zgłoski (žen) powstaje albo jasne i szerokie *a* (žanà), albo ciemne i szerokie *oe* (žoenòe), albo też jasne i wązkie *i* (žinî), stosownie do tego, jaka

jest samogłoska akcentowana w zgłosce następnéj, jak tu końcowéj.

Harmonia samogłosek, znana dotychczas tylko w językach turańskich (fińskich), różni się tém od harmonii samogłosek, odkrytéj przez pana B. w gwarach rezyańskich, że w językach turańskich samogłoską główną, wywierającą wpływ na inne, jest *pierwsza samogłoska wyrazu,* jéj upodobniają się następne, zarówno wchodzące w skład źródłosłowu (tematu) tegoż wyrazu, jak i należące do sufixu (patrz co do tego między innemi *Steinthal'a* „Charakteristik der hauptsächlichen Typen des Sprachbaues" str. 178 i nast., gdzie mowa o harmonii samogłosek w językach jakuckich); w gwarach zaś rezyańskich, samogłoską główną czyli wywierającą wpływ na inne, nie jest pierwsza lub druga, ale może być którakolwiek w wyrazie. Zasada jednak harmonii, polegająca na upodabnianiu samogłosek podrzędnych w wyrazie, na ich w ogóle zależności od samogłoski głównéj, jest oczywiście ta sama.

Harmonia samogłosek obcą jest zupełnie językom słowiańskim; i zpośród nich tylko gwary rezyańskie za pośrednictwem obcego, prawdopodobnie turańskiego wpływu, tą szczególną wyróżniają się właściwością.

Nawiasowo dodamy, że takie formy języka polskiego, jak: *lato—lecie*, *miasto—mieście*, *niosę—niesie,* i t. p., w których widzimy również zamianę pierwotnéj samogłoski *a* lub *o* na *e,* nie mogą dawać powodu do przypuszczeń, jakoby i język polski harmonią samogłosek posiadał. Zmiany bowiem w tych razach samogłoski *a* lub *o* na *e* nie zależą bynajmniéj od obecności i wpływu końcowéj *samogłoski e*, ale, jak wiadomo z głosowni języka polskiego, zależne są od sąsiedztwa *spółgłosek*, pomiędzy jakiemi znajduje się samogłoska pierwotna. Jeżeli w wyrazie przed samogłoską pierwotną znajduje się z jednéj strony spółgłoska miękka (jak w powyższych przykładach: *l, m, ń*...), a bezpośrednio po téj samogłosce następuje spółgłoska twarda, (la*t*o, mia*st*o nio*s*ę), wówczas pierwotna samogłoska bez żadnéj pozostaje zmiany; jeżeli zaś spółgłoska następna podczas flexyi ulegnie w skutku pewnych przyczyn zmiękczeniu (*t* na *ć*, *s* na *ś*...), natenczas i samogłoska pierwotna wobec sąsiędztwa miękkich z obu stron spółgłosek zmienia się (lato, l*e*će, ńosę—ń*e*śe...). W głosowni zjawisko to, właściwe wyłącznie językowi polskiemu, nazywa się *zwątleniem* albo *osłabieniem samogłoski;* zachodzi zaś zarówno w deklinacyi, konjugacyi, jak i w etymologii (ani*o*ł—ani*e*le, wi*o*zę—wi*e*ziesz, bi*a*ły bi*e*lszy, cierpi*a*ł—cierpi*e*li i t. d).

Pan B. w dziele swojém, wykładając rzecz o harmonii samogłosek rezyańskich, nie wspomina wcale o przytoczonéj tu właściwości języka polskiego, jako o zjawisku zupełnie odmiennem od odkrytego przez siebie; nie przewidział jednak autor, że postępując metodycznie, t. j. nie mieszając z sobą rzeczy, które w nauce różnemi nazawsze pozostaną, narazi się na zarzut nieznajomości głosowni języka polskiego. Zarzut jednak, jaki w swoim czasie zrobiono autorowi, byłby rzeczywiście ciężkim, gdyby miał za sobą choć słaby cień naukowéj słuszności. Ale wróćmy do dalszego przeglądu pracy pana B.

W końcu 2-éj części dzieła autor podaje i objaśnia z niemniejszą gruntownością zjawiska gwar rezyańskich, będące wynikiem tak ważnych sił psychicznych w rozwoju każdego języka, jak analogia i etymologia ludowa (Volksetymologie).

Część 3-cia pracy p. B. zawiera wywody ogólne. Mamy tu przedstawioną krótką charakterystykę właściwości głosowych (fonetycznych) oddzielnych gwar rezyańskich, które ujmuje autor w 3 wyróżniające się jedna od drugiéj grupy. Następnie na zasadzie zbadanych cech językowych pan B. oznacza prawdopodobne pochodzenie gwar rezyańskich i stosunek ich do innych narzeczy słowiańskich. W języku Rezyan odróżnia tedy autor dwa oddzielne pierwiastki: jeden czysto słowiański, drugi obcy, napływowy, turański, który z czasem uległ zesłowianieniu. W skutku tego gwary rezyańskie są bezzaprzeczenia słowiańskiemi, do których jednak przymieszały się i budowę ich dość silnie przeniknęły pewne właściwości mowy turańskiéj.

Na zasadzie cech językowych, przez siebie wykrytych i zbadanych, autor zalicza Rezyan do Serbo-Chorwatów, nie zaś, jak dotychczas mniemano, do Słoweńców (patrz np. między innemi, Slovnik nauczny, artyk. *Gebauera* „Slovanské jazyky,“ v Praze 1869).

W ostatecznych „tezach“ na końcu dzieła godne są bliższéj uwagi myśli autora o pokrewieństwie i klassyfikacyi języków w ogóle. Dotychczas co do pokrewieństwa języków indoeuropejskiego szczepu najszerszém cieszyła się rozpowszechnieniem teorya rozszczepienia się pierwotnego językowego pnia aryjskiego na pojedyncze języki (Stammbaumtheorie). W ostatnich latach przeciwko téj teoryi z nowemi wystąpił pomysłami znany lingwista Johannes *Schmidt* (w dziełach: „die Verwandschaftsverhältnisse der indogermanischen Sprachen, Weimar 1872;“ „Zur Geschichte des indogermanischen Vocalismus,“ Erste Abtheilung, Wei-

mar 1871, Zweite Abth. 1875). Odrzuca on zupełnie dzielenie języków na osobne gałęzie; zamiast tego przyjmuje szeregi stopniowo i wzajemnie przeradzających się języków, narzeczy i gwar (Theorie der Sprachdifferenzierung). Otoż nowa ta teorya o stosukach pokrewieństwa języków nie znajduje najmniejszego potwierdzenia u pana B. w zakresie zbadanych języków. Wszędzie bowiem, jak twierdzi autor, „jest możność zupełnie dokładnego oznaczenia granic jednéj gwary, czy też jednéj grupy gwar, w różnicy od innych gwar, lub też innych zbiorów gwar. Nigdzie zaś nie masz takich gwar, któreby swoją nieokreślonością zmuszały nas powątpiewać, do któréj z grup najbliższych zaliczone być winny.“

W § 4-ym zaznacza autor, że dotychczas nie masz klassyfikacyi zarówno słowiańskich, jak i aryoeuropejskich języków, opartéj na zasadach naukowych, zgodnych z wymaganiami najnowszego językoznawstwa.

Nie ma również, mówi autor w § 5, dostatecznych dowodów na korzyść ogólnie rozpowszechnionego mniemania, że słowiańsko-litewskie języki znajdują się w najbliższém genetyczném pokrewieństwie z językami germańskiemi, w przeciwstawieniu do innych pozostałych aryoeuropejskich języków.

Niemniéj ważnemi są twierdzenia autora, w pozostałych paragrafach wyłuszczone.

Nie wszystkie z tych twierdzeń są wyłączną własnością autora; niektóre z nich (jak 3, 4, 6 i 7) znane w nauce, przywodzi autor z powodu ich bliższego lub dalszego związku z tezami własnemi, do jakich doszedł w skutku mozolnych ściśle naukowych swych badań.

Tém piętnem ściśle naukowéj pracy odznacza się całe przejrzane tu dzieło pana Baudouina. Wobec téj kardynalnéj i stałéj cechy dodatniéj, stron ujemnych w książce pana B. niewieleby dopatrzyć można. Autor sam nieraz otwarcie mówi o pewnych niedostatkach, towarzyszących jego pracy, oskarżając się, to o „febryczną chciwość,“ z jaką starał się zgromadzić jak najwięcéj materyałów dyalektologicznych, zamiast (co dla nauki byłoby pożyteczniéj) spisać ich nie wiele, a za to wiernie i dokładnie; to znowu, że rozpoczynając swe wycieczki dyalektologiczne. „był bogaty w różnego rodzaju uczone przesądy,“ których się pozbywał niemałym kosztem pracy i czasu (Przedmowa); albo także, że w pewnych razach (przy rozważaniu samogłosek *a* i *u*, Ersatzdehnung) jego „tępe ucho niezawsze było w stanie odróżnić długość i krótkość“ (§ 196), i że w skutku tego niektóre pytania odłożył na bok i pozostawił nierozwiązanemi, i t. p.

My ze swéj strony za ujemny rys w pracy autora poczytujemy zbytnią w wielu razach szczegółowość i drobiazgowość w wykładzie. Jéj to zawdzięcza książka owe liczne działy, poddziały, działki i numeracye różnych rzędów, przy przedstawieniu zjawisk językowych, do jednéj niekiedy kategoryi należących, (np. § 49 do 59 włącznie; § 91, 93 i in.). Dowodzi to z jednéj strony przesadnego zamiłowania systematyczności i niesłychanego mozołu autora, na ten cel zużytego; z drugiéj zaś jest wynikiem owego *embarras de richesse*, w jakim się autor przy pisaniu swego dzieła znajdował, z powodu tak obficie nagromadzonego przez siebie materyału dyalektologicznego.

Inną ujemną stronę pracy pana B. stanowi niepewność i chwiejność w niektórych wywodach. Przy oznaczaniu np. stosunku gwar rezyańskich do innych słowiańskich narzeczy, raz mówi autor, iż „trudno stanowczo orzec, czy gwary rezyańskie bliższe są gwar serbsko-chorwackich, czy też słoweńskich“ (§ 291); daléj znów pisze: „brak samogłosek długich nieakcentowanych zbliża gwary rezyańskie do słoweńskich w przeciwstawieniu do wszystkich... gwar serbsko-chorwackich“ (§ 292); gdy tymczasem ostatecznie na zasadzie cech językowych zalicza stanowczo Rezyan do grupy Serbo-Chorwatów (§ 300, 9), nie zaś do Słoweńców, jak dotychczas mniemano.

2. Jednocześnie z „Zarysem głosowni gwar rezyańskich,“ jako dodatek do niego, wydał p. B. „*Katechizm rezyański.*“ W książce téj ogłasza autor niedrukowane dotąd nigdzie texta dwu rękopisów z końca zeszłego wieku (str. 1—6 i 6—16), z których drugi nosi na sobie datę 1797 r., pierwszy zaś bez roku, ale sądząc z pisma, nieco od drugiego wcześniejszy. Oba pisane są w narzeczu rezyańskiém, grafiką i pisownią włoską, i stanowią drogocenną własność mieszkańca wsi Niwy, niejakiego Franciszka Kopeti'ego z przydomkiem Kundya (po rezyańsku Czaèk Kopèti Kündija; po włosku Francesco Copetti detto Cundia).

Autor wydrukował te rękopisy jak najwierniéj, z zachowaniem wszelkich znaków i znaczków im właściwych; objaśnił przytém uwagami, dotyczącemi paleografii, grafiki, pisowni i samego języka rękopisów (str. 17—26); w końcu (str. 27—48) ułożył słownik wyrazów, wchodzących do textu tychże rękopisów, dodając przy każdym wyrazie tłómaczenie jego rossyjskie i włoskie, oprócz naturalnie, przy wyrazach wziętych z włoskiego lub furlańskiego, przy których objaśnienia włoskie byłyby zbyteczne; wyrazy te w słowniku oznaczone są kursywą.

Układ tego słownika pod względem praktycznym przewyż-

sza nieskończenie podobną pracę autora przy dziele „O języku staropolskim do XIV w.“ Przy układaniu słownika języka staropolskiego pomysł autora dzielenia wyrazów na dwie kategorye, t. j. na wyrazy czystosłowiańskie z epoki przedhistorycznéj, i na wyrazy przyswojone już po przyjęciu chrześciaństwa, a w skutku tego i pomysł rozbijania słownika na dwie odrębne części, należy do najnieszczęśliwszych, i stanowić będzie zawsze kardynalną wadę całego dzieła „o języku staropolskim,“ które, podobnie jak ostatnia praca „Zarys głosowni gwar rezyańskich,“ pod wielu względami po mistrzowsku zostało wykonane.

Ad. Ant. Kryński.

Revue historique dirigée par M. M. G. Monod et G. Fagniez.

Ne quid falsi audeat, ne quid veri non audeat historia.
Cicero de Orat. 2, 15.

Première année—T. 1-er. Janvier,—Mars, 1876, Paris.

Poważnéj peryodycznéj literaturze francuzkiéj przybywa z początkiem roku bieżącego nowe, specyalne czasopismo naukowe, którego brak dotkliwie dotąd czuć się w niéj dawał. Będzie to przegląd historyczny wyłącznie, prowadzony przez pp. Monod i Fagniez, pod hasłem wypisanéj na czele dewizy, wziętéj ze słów znakomitego mówcy starożytnego Rzymu.

Historyczna literatura francuzka nie posiadała dotąd podobnego czasopisma: istniejące oddawna Revue Archéologique i Bibliothèque de l'école des Chartes, mają za przedmiot swój wyłączny starożytność i wieki średnie; zaś Revue des Questions historiques, założone przed 9-ciu laty, prowadzoném jest zbyt jednostronnie w pewnym kierunku politycznym i religijnym. Nie było więc właściwie do tego czasu pisma, któreby stanowiło jakiś organ centralny dla poważnych samodzielnych pracowników nąd historyą w ogóle, a które zarazem dawałoby dokładną wiadomość o postępie prac historycznych za granicą i we Francyi. Téj potrzebie ma właśnie odpowiedzieć obecny „Przegląd historyczny.“

Zadaniem nowego pisma, wypowiedzianém w słowie przedwstępném przez jego wydawców, będzie ścisłe utrzymanie poważnéj bezstronności sądu, wolnéj od wszelkich wpływów walk obecnéj chwili, przy największéj ile można surowości metody i krytyki.

Przyjmowane zaś będą tylko prace oryginalne i gruntowne źródłowo opracowane, któreby wszakże i co do formy zewnętrznéj odpowiadały wymaganiom historycznéj sztuki.

Zakres treści ma obejmować wszystkie gałęzie dziejów; przeważniéj przecie pismo to będzie poświęconém historyi Europy, od śmierci cesarza Teodozego (395) do upadku Napoleona I-go (1815); czasy zaś najnowsze, dla uniknienia namiętnéj polemiki, z zasady będą pomijane.

Do współpracownictwa zjednaném zostało wcale poważne grono uczonych, pomiędzy którymi spotykamy też imiona głośniéj znane, jak: Duruy, Fustel de Coulanges, Littré, Renan, Taine i wielu innych.

Francya, powiadają wydawcy (str. 4), zawsze ceniła wysoko badania historyczne; jeśli zaś dzisiaj nie posiada już w téj gałęzi wiedzy ludzkiéj niezaprzeczonéj wyższości, jaka jéj niegdyś należała, tém nieodbiciéj czuje potrzebę popierania przedsięwzięcia mającego na celu pomoc i dodawanie otuchy poważnym pracownikom. Badanie przeszłości Francyi, które będzie główną częścią zadania nowego pisma, posiada wreszcie dzisiaj znaczenie wybitniéj narodowe. Przez nie bowiem będzie się w stanie przywrócić krajowi poczucie jedności i siły moralne, jakich on potrzebuje, da się mu poznać jego tradycye historyczne i zrozumieć przeobrażenia, którym takowe uległy.

Programat nowego pisma został obszerniéj wypowiedziany następnie w pierwszym artykule Przeglądu, piórem jednego z jego wydawców, p. Monod'a, stanowiącym niejako ogólny wstęp (introduction) onego. Treścią tego artykułu jest: „Postęp studyów historycznych we Francyi od XVI-go wieku.“ Temat zaś ten był prawie nieodzownym na wstępie, gdyż należało koniecznie zrobić poprzednio ogólny rzut oka na drogę, jaką przebiegły tam w ciągu ostatnich stuleci nauki historyczne, ażeby lepiéj ocenić tak stopień rozwoju osiągniętego przez nie w czasie obecnym, jak zadania, które mają do spełnienia, i drogę, po jakiéj muszą postępować daléj.

W istocie też, rzut ten oka na drogi przebyte przez dziejopisarstwo francuzkie wcale dostatecznie określa traktowany przedmiot. Wypowiada tu autor niejednę myśl jasną,—wskazuje na epokę odrodzenia jako na prawdziwe pierwociny nowoczesnéj historyografii, ocenia należycie wpływ humanizmu i wielkiéj religijnéj reformy, określa dobitnie wczesną różnicę dziejopisarstwa francuzkiego a niemieckiego, podnosi zasługi zgromadzeń zakonnych, osobliwie

Benedyktynów, zasługi Akademii napisów i uwydatnia pomysły i prace znakomitych uczonych i myślicieli XVIII-go wieku.

Wymowniejszym jeszcze staje się p. Monod, zbliżywszy się do nowszych czasów. Rewolucya i cesarstwo, które po niéj fatalnie nastąpiło, powiada on (str. 26), powstrzymały prawie zupełnie badania historyczne. Rewolucya, w ślepéj swéj niechęci ku wszelkim instytucyom przeszłości, niszcząc zakony duchowne i akademie, przerwała naraz wszelkie prace erudycyi. Rząd zaś cesarski, który jako spadkobierca rewolucyi nie pozwalał odzywać się przychylnie o dawnym porządku, a jako opiekun zasady władzy nie pozwalał zarówno źle mówić o sobie, nie sprzyjał podobnież studyom historycznym. Wreszcie w czasach tych smutnych rozterek domowych i ciągłych walk zewnątrz, nie było miejsca nawet dla spokojnych, bezinteresownych badań lub pomysłów historyozoficznych.

Studya historyczne za to ożywiły się tém energiczniéj, gdy Restauracya razem z cząstką tradycyi przeszłości, wróciła Francyi tyle pożądany pokój i swobodę. Przepaść dokonana przez rewolucyą i cesarstwo pomiędzy Francyą starożytną i nową, pozwalała powiada p. Monod (str. 26), sądzić o przeszłości z większéj oddali, z większą też bezstronnością, pod kątem perspektywy bardziéj sprawiedliwym; usiłowanie powrócenia do podań monarchii prawowitéj, obudzało zarazem pragnienie zbliżenia się do przeszłości i dokładniejszego onéj poznania. Wreszcie ruch podobny dawał się widzieć i w całéj Europie; tém silniéj zaś popierał prąd zwracający umysły we Francyi ku badaniom dziejowym. Rozwojowi nauk pozytywnych, stanowiącemu charakter wybitny naszego wieku, odpowiada, mówi on daléj, w zakresie literatury, rozwój historyi, mający na celu podciągnięcie pod rozpoznanie a nawet pod prawa nauki, wszelkich objawów życia ludzkiego. Dzieła oryginalne ducha stawały się coraz mniéj licznemi, traktowanie ściśle estetyczne utworów umysłowych było coraz więcéj zaniedbywaném, by ustąpić miejsca poszukiwaniom historycznym. Powstały tedy historye języków, literatur, instytucyi, filozofii, religii; w ogóle wszelkie badania mające za przedmiot człowieka i objawy ducha ludzkiego, przybrały charakter historyczny. Nasz wiek, naprawdę jest wiekiem historyi (str. 26 i 27).

Dzięki postępowi umiejętności i metod naukowych, historyą posiada dziś (str. 27) cudowne środki badań. Za pośrednictwem filologii porównawczéj, antropologii, geologii nawet, zagłębia ona swój wzrok w czasy, którym brak pamiętników wszelkich. Nauki pomocnicze, numizmatyka, epigrafika, paleografia, dyplomatyka,

dostarczają jéj dokumentów powagi niewątpliwéj. Nakoniec krytyka textów, oparta na podstawach ściśle naukowych, pozwala jéj odtworzyć w postaci ile można pierwotnéj wszystkie pisma historyczne, jurydyczne, literackie, które nie ocalały w rękopisach oryginalnych i autografach. W taki sposób wspierana, uzbrojona podobnemi środkami, historya, chociaż za pośrednictwem ścisłéj metody i oględnéj krytyki, niezawsze może wykryć prawdę całkowitą, w każdym razie jednak jest w stanie określić dosyć dokładnie, w danym fakcie, stopień prawdopodobieństwa.

Autor daléj przyznaje (str. 27), że największa zasługa ożywienia pracy historycznéj w naszym wieku przynależy Niemcom. Żaden też kraj nie wydał takiéj ilości dzielnych pracowników. I wyższość tę swą Niemcy zawdzięczają przy wielu innych poważnych przyczynach, przedewszystkiém potężnéj organizacyi swych uniwersytetów. Zakłady bowiem wyższe naukowe, zamiast tam zniknąć powoli, jak we Francyi, począwszy od XVI-go w., pozostawiając tylko po sobie kollegia odosobnione, stopniami się przeobrażały stosownie do potrzeb czasu, otwarły wstęp duchowi swobody, i utrzymały w swych ręku najwyższy kierunek umysłowy w kraju. Zwyczaje uniwersyteckie rozwinęły się tu z czasem nawet jeszcze żywiéj. Kiedy więc we Francyi ruch naukowy był prawie obcym dla uniwersytetów i skupiał się koło magistratury, kleru i akademii—w Niemczech, koncentruje się on przy wszechnicach.

Dzięki tedy tym wielkim korporacyom uczonym i nauczającym mogły tu powstać poważne tradycye naukowe i ustalone zasady metody i krytyki. W naturalnym zatém biegu rzeczy, badania historyczne w Niemczech postępowały drogą prawidłową i systematyczną, będąc ułatwiane pracą wspólną, tak nietrudną do przeprowadzania pomiędzy professorami jednego uniwersytetu, mającymi nadto do pomocy swych uczniów. Bezwątpienia, twierdzi daléj autor wstępu (str. 28) można zarzucić niejednę ujemną stronę niemieckiéj nauce współczesnéj, jéj drobiazgowość naprzykład; lecz tém niemniéj praca dokonana przez nią w tym wieku jest imponującą. Naprawdę, można Niemcy przyrównać do rozległego laboratoryum historycznego, gdzie wszystkie czynniki są skupione i ujęte w pewien porządek, a żadna siła nie jest straconą. Co większa, żaden kraj nie przyczynił się tyle co Niemcy do nadania studyom historycznym charakteru poważnéj ścisłości naukowéj (str. 29).

Po za rycerskie prawdziwie, jak widzimy, oddanie czci należnéj Niemcom, za ich zasługi na polu prac historycznych, p. Monod daléj się nie posunął. Nie dotknął więc rażącéj stronniczości

historyków niemieckich obecnéj chwili, a którą właśnie wykazał w Ateneum p. Jarochowski.

Rozwój studyów historycznych we Francyi, powiada on następnie (str. 29), był dalekim od podobnéj prawidłowości, jaką w Niemczech widzimy. Przyczyny tego, o ile z jednéj strony spoczywają w samym charakterze narodu, o tyle z drugiéj pochodzą z braku istotnéj wyższéj nauki i wszelkiéj ogólnéj naukowéj dyscypliny, wszelkiéj powagi przewodniczéj, z braku owych prawideł metody, owych nawyknień pracy zbiorowéj, jakie daje wysokie wychowanie uniwersyteckie. Akademia napisów, która zastąpiła miejsce Benedyktynów i akademii dawnéj, nie wywierała nigdy znaczącego wpływu na kierunek prac naukowych. Wygórowała może pod względem oryginalności, przynajmniéj co do formy literackiéj; lecz za to była ztąd niezaprzeczona strata co do użyteczności naukowéj prac francuzkich historyków. Wszyscy oni prawie są autodydakci, nie mieli mistrzów i nie tworzą uczniów. Nakładają na historyą piętno swego temperamentu, swéj osobistości. Są też zwykle, nawet najwięksi z nich erudyci, bardziéj literatami niż uczonymi.

Z brakiem tym tradycyi naukowych i jedności kierunku, przy uniesieniach wyobraźni, połączyły się nadto namiętności polityczne i religijne — od czego nie są wolni najznakomitsi nawet historycy—jak Thierry, Guizot, Michelet, Thiers. Przykład zaś XVIII w. podniecał do pospiesznych uogólnień, jakie widzimy np. w filozofii historyi Francyi Quinet'a (str. 30).

Wszakże mimo tylu ujemnych stron historyków francuzkich oddali oni przecie usługi niezmierne. Uczucie artystyczne i potęga wyobraźni pozwoliły im wskrzesić przeszłość w prawdziwych jéj barwach i natchnąć ją właściwém życiem. Namiętności polityczne i religijne uzdolniły do zajrzenia głębiéj w duszę ludzi dawnych, do rozkrycia ich tajnych uczuć, zrozumienia strony psychologicznéj i ludzkiéj saméj historyi. Skłonność do uogólnień filozoficznych odkrywała często stosunki ukryte wypadków i znaczenie faktów pozornie małoważnych.

Francuzkim też historykom należy przedewszystkiém sława wlania życia do historyi, szukania w niéj człowieka, a nie faktów jedynie. Pierwsi Niemcy sami im to przyznają. Przyłożyli się zaś do tego wszyscy znakomitsi historycy ostatnich czasów, począwszy od Chateaubriand'a a skończywszy na Thiers'ie i Mignecie.

W obliczu tego, nie była też małéj wagi i działalność instytucyi—jak przeobrażona Akademia napisów, (Académie des Inscrip-

tions), utworzona w 1821 r., szkoła dyplomów (Ecole des Chartes), wskrzeszeni w Selesmes Benedyktyni, towarzystwo historyi Francyi, towarzystwa prowincyonalne, komitet prac historycznych przy ministeryum wychowania publicznego, nakoniec utworzona w 1846 r. szkoła archeologiczna w Atenach i podobna w Rzymie.

Największém nieszczęściem, jakiemu podlegały długo nauki historyczne we Francyi, był gorszący antagonizm, ze wzajemném lekceważeniem połączony, pomiędzy literaturą a erudycyą. Przykład ożywionéj wszechstronności wyższych umysłów (Aug. Thierry, Guizot) niewiele oddziaływał.

Obecnie wszakże, mówi p. Monod (str. 33) antagonizm ów pomiędzy literaturą a erudycyą już się zmniejsza, zdrowe metody pracy i krytyki rozpowszechniają się coraz więcéj, i stopniowo zdobywa sobie uznanie bardziéj słuszne pojęcie istoty i zadań umiejętności historycznéj. Szkoły przez długie czasy rywalizujące z sobą zbliżają się—z żalem, że nie mogą się zlać w jedność obszerniejszą wielkich uniwersytetów narodowych, gdzie wszystkie nauki, wszystkie idee i dążności znalazłyby odpowiednie miejsce. Zrozumiano już niebezpieczeństwo uogólnień przedwczesnych, jak niemniéj rozległych systematów à prori, mających przetensyą wszystko objąć i wytłómaczyć wszystko. Zrozumiano również bezowocność poszukiwań niekierowanych żadną ogólną ideą, żadnym z góry zakreślonym planem. Przeświadczono się, że historya winna być przedmiotem badań powolnych i metodycznych, gdzie się przechodzi stopniowo od szczegółów do ogółu; gdzie się rozjaśnia, jeden po drugim, wszystkie punkta ciemne, ażeby otrzymać obraz pełny i mieć możność oparcia na gruppach faktów, ściśle sprawdzonych, idee ogólne wytrzymujące wszelkie próby. Wprawdzie trudno mieć nadzieję, ażeby druga połowa bieżącego stulecia zdobyła się na dzieła historyczne tak znakomite, jak te, które wsławiły pierwszą onego połowę; lecz śmiało można twierdzić, że działalność historyczna będzie w niéj wcale obfitą. Postęp na tém polu jest aż nadto widoczny.

Lecz mimo wszystkich zdobyczy już dokonanych, Francya znajduje się jeszcze w dobie przygotowań i opracowywań materyałów, które z czasem służyć będą do wydania badań obszerniejszych historycznych. Wszakże postępy zrobione dotąd wyświetliły warunki badania prawdziwie naukowego, i badanie to już się rozpoczęło. Wszyscy oddający się téj pracy są solidarni wzajem; dokonywają jednego dzieła, opracowują różne części jednego planu, dążą do jednego celu. Użyteczném a nawet koniecznémby było, ażeby czuli się oni wszyscy w ściśléj jedni, i żeby usiłowania ich

były ujętę w pewien porządek, by się stać potężniejszemi. Rozmaite środki mogą prowadzić ku temu. Wychowanie wyższe, dobrze uorganizowane, przyczyniłoby się do tego najwięcéj. Towarzystwa naukowe poważne, również służą temu potężnie. Służyć może niemniéj i pismo specyalne (str. 35).

Otoż w obliczu tego, nowopowstający Przegląd Historyczny będzie się, jak zapowiada p. Monod (str. 35), zajmował właśnie tym przedmiotem. Ma on na celu nietylko wydawnictwo cząstkowych prac oryginalnych i poważnych; lecz nadto, i przedewszystkiém służyć ma za łącznik pomiędzy wszystkimi poświęcającymi się badaniom historycznym, ma podtrzymywać ich solidarność i dostarczać im informacyi ścisłych i wszechstronnych, o wszystkiém co się dzieje w chwili bieżącéj na bogatéj widowni nauk historycznych. Zadaniem jego będzie usiłowanie przygotowania odpowiedniego, przykładem dobréj metody, młodzieży chcącéj się oddać zawodowi dziejopisarskiemu; podniecać i utrzymywać na drodze tych, co po niéj już kroczą; nakoniec służyć dla wszystkich za ognisko zjednoczenia i informacyi.

Nowy ten Przegląd historyczny przyjmuje za swą podstawę najzupełniejszą bezstronność. Pragniemy, mówi autor przytoczonego artykułu i główny zarazem współredaktor rozpoczynającego się pisma (str. 36), pozostać niepodległymi względem wszelkiéj opinii politycznéj i religijnéj, a lista ludzi znakomitych, którzy przyrzekli swe poparcie Przeglądowi, dowodzi, że uważają oni program ten za wykonalny. Dalecy są oni od wyznawania jednostajnych zasad w polityce i religii, lecz sądzą, że historya może być traktowaną sama w sobie, bez względu na wnioski, jakie z niéj mogą być wyprowadzone, w obronie lub przeciw danym wierzeniom lub przekonaniom. Zresztą redakcya przyjmuje zdania i oceny sprzeczne, pod warunkiem jednak ażeby one opierały się na dowodach poważnie traktowanych, na faktach, a nie były pustemi twierdzeniami tylko. Przegląd więc ten historyczny będzie organem wiedzy pozytywnéj i swobodnéj dyskussyi, lecz ograniczy się na zakresie faktów i pozostanie zamkniętym dla teoryi politycznych lub filozoficznych. Stanowisko zaś ściśle naukowe, przyjęte zasadniczo dla pisma, będzie dostateczną rękojmią dla zapewnienia mu jedności tonu i charakteru.

Oto tedy główne idee, jakiemi myśli się kierować redakcya Przeglądu.

Oprócz powyższego artykułu p. Monod'a, jako wstępu ogólnego, rozpoczynającego nowe to historyczne pismo czasowe, w pierszéj części I-go tomu onego zawierają się prace, które wcale

obiecująco świadczą o przyszłym kierunku Przeglądu. Pomiędzy innemi znajdujemy tu p. *Duruy* „O zarządzie municypalnym w cesarstwie Rzymskiém w dwóch pierwszych wiekach naszéj ery,“ i *A. Castan'a* „Granvelle i mały cesarz Bezansonu“ (1518—1538), epizod życia municypalnego miejskiego i religijnego w XVI wieku.

Co do układu pisma: po artykułach większych, idą tu rozmaitości i mieszaniny, potém bulletyn historyczny, publikacye peryodyczne i towarzystwa naukowe, nakoniec sprawozdania krytyczne.

W mieszaninach znajdujemy: Pamiętnik Richelieu'go, wydany p. S. R Gardiner'a, i Rozmowę między Napoleonem I i Sismondim wydaną p. P. Villani. W bulletynie zaś piękne artykuły o obecnych pracach na polu dziejopisarstwa we Francyi, Niemczech i Anglii pp. Fagniez'a, Hartwig'a i Gardiner'a.

W następnym zeszycie zapowiedziane są, pomiędzy innemi, artykuły, z których bardziéj interesujące co do treści są: G. Perrat—Handel zbożowy w Atenach; Fustel de Coulanges—Prawa własności za ludów barbarzyńskich; A. Giry—Grzegorz VII i biskupi kambrejscy; A. Sprel—Studya nad dyplomacyą francuzką w czasie rewolucyi i in.

Możemy się też napewno spodziewać, że w dalszym ciągu pisma tego spotkamy nieraz prace, które też i nas bezpośredniéj żywo obchodzić będą.

A. Jabłonowski.

Odłamek z dziejów Lechii.

Bolesław Wstydliwy i Leszek Czarny. — Paryż, w księgarni Luxemburskiéj, Rue de Tournon 16, 1875.

Pod powyższym tytułem wyszło na widok publiczny w Paryżu obszerniejsze, dwadzieścia pięć arkuszy w ósemce liczące, ozdobne typograficznie dzieło, które z tém większém zajęciem wzięliśmy do ręki, im większy powód mamy być obecnie spragnieni poważnych książek historycznych o większych rozmiarach. Oczekiwanie nasze i zajęcie, zwiększyło się jeszcze po przeczytaniu krótkiego wstępu, z którego się pokazuje, że wydawcą dzieła jest nasz poeta Bohdan Zaleski, że bezimiennym jego autorem jest a raczéj był bezimienny przyjaciel poety. Sędziwy wydawca poleca dzieło uwadze czytelnika w następnych słowach: „S. p. autor, nie był, chowaj Boże nowicyuszem na polu literackiém, i owszem, od najrańszych lat pracował dużo jako publicysta, hi-

storyk i pisarz religijny. Myśliciel podniosłego ducha i zarazem niezłomnéj prawowierności, brał on słowem, piórem i czynem, gorący udział we wszystkich niemal ważniejszych sprawach naszego wieku, mianowicie w sprawach tyczących się kościoła i narodu polskiego. Wiele pism polemicznych i moralnych, szerszych i szczuplejszych, ogłaszał wcześniéj drukiem, bądź w osobnych dziełach, bądź po dziennikach krajowych i zagranicznych. Na dziesiątek lat przed śmiercią zamierzył był napisanie dziejów Lechii wschodniéj i zachodniéj w jedném, całkowitém ich zestawieniu i *nakreślił sobie tę pracę wedle nowego ideału*, zgodnego z własnym jego *sposobem widzenia rzeczy*. W tym celu podejmował długie i sumienne studya, spisując z niezmordowaną wolą i wytrwałością w księgach źródłowych, gromadząc z dnia na dzień ogromne zasoby wiadomości potrzebnych do dzieła zakrojonego na wielkie rozmiary. Śród całodziennych ślęczeń i żmudnych badań, na wypoczynek niejako i ku ochłodzie po znojach, wypracowywał luźne, większéj lub mniejszéj objętości ustępy, czyli jak je sam nazywał *odłamy*, z tego lub owego okresu dziejów lechickich. Tym sposobem z całokształtu zamierzonego dzieła, odłamał się i ustęp o Bolesławie Wstydliwym i Leszku Czarnym. Im daléj w lata, tém gorączkowiéj prawie śpieszył autor z pisaniem, snadź przeczuwając, że go Pan Bóg rychło do siebie powoła. W spuściźnie literackiéj po nim pozostało wiele tomów notat, uwag, urywków krótszych i dłuższych, a raczéj improwizacyi nieprzejrzanych i nieskończonych. Pozostałości te pierwotne, da Bóg, posłużą kiedyś za pomost i za szczebel w górę dla następcy i dziedzica przewodniéj, promieniejącéj myśli o dziejach Lechii, zawcześnie zgasłego pisarza. *In magnis voluisse sat est*... Tyle o książce. Osobiście czuję ucisk wielki w sercu na wspomnienie o człowieku, którego całą duszą miłowałem, wielbiłem, a o którym do czasu milczeć muszę. I naprawdę, będzie to melancholia, stać tak z palcem na ustach, chłodnym, bezmownym, kiedy tyle byłoby do powiedzenia... Bezimienny autor za żywota swego był mi druhem wiernym i opiekuńczym.“ Otoż to słowo wstępu Bohdana Zaleskiego, otoż rzewny głos przyjaźni, który z pewnością i my uczcić i uszanować jesteśmy skłonni, który jednakże mimo źródła z jakiego wychodzi, nie powinien nas powstrzymywać od spełnienia względem książki obowiązku krytycznego wedle prawdy i sumienia. Krytyka nasza w ogóle pyta zawsze tak dalece nie *co* kto pisze, lecz *kto* co pisze, umie tak dalece wynagradzać obszernemi sprawozdaniami zwolenników politycznych i religijnych przekonań, ubijać zaś milczeniem lub zbywać półgębkiem przeciwników, szukać tak dalece

w nowo ukazujących się płodach literatury nie wartości naukowéj, estetycznéj i artystycznéj, ale raczéj hołdu i uznania dla pewnych zasad, prądów czy dążności,—że prawda naukowa i sumienność krytyczna domagają się nareszcie uczciwych praw swoich w imię starożytnéj maxymy: *Amicus Plato, sed magis amica veritas.* Prawda ta zastosowana ze wszelką sumiennością do dziejów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego, poleconych tak gorąco słowem wstępném sędziwego naszego poety, jakiż wykaże rezultat? Zacny wydawca tłómaczy poniekąd z góry tyle sympatycznego sobie osobiście autora. Powiada, że dzieło jego, to raczéj fragment, to raczéj kontury dopiero mającego się skreślić obrazu, aniżeli pragmatyczna i organiczna całość. Przyjmując i uznając podobne stanowisko autora, nie posuwając się z naszemi pretensyami poza granice, jakie książce o Bolesławie Wstydliwym i Leszku Czarnym sam wydawca zakreśla, wyznajemy jednakże nie bez żalu dla sympatycznych i *nam* postaci tak wydawcy, jak bezimiennego autora, że w owym rzucie pierwszéj ręki nie podobna nam się dopatrzyć owéj głębokości nauki, owéj genialności pomysłów, o jakich Bohdan Zaleski w przedmowie swéj mówi. Z konturów Rafaelowych widać mistrza, z rzuconego na papier planu Schillera do jego *Dymitra* znać i poznać rozmiary dramatycznego widnokręgu, jaki poeta chciał nadać swemu niedokończonemu utworowi. Czemużby więc i z fragmentarycznie tylko, urywkowo jakoby tylko wykonanego szkicu pewnéj epoki dziejowéj, nie można było poznać badacza, spostrzegacza, myśliciela i pisarza dziejowego, skoro autor jest nim istotnie? Nie chcąc autorowi Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego wszystkich tych kwalifikacyi zkądinąd odmawiać, nie możemy przyjść przecież, mimo wszelkiéj dlań życzliwości, do przekonania, aby dowody ich złożył był w obecnéj książce. Czémże jest, zapytujemy, jego praca? Suchém, mozajkowém, niepowiązaném w całość, nieugrupowaném według treści i charakteru wydarzeń, opowiadaniem faktów, znanych zkądinąd dobrze, na szerokiéj widowni od brzegów Baltyku i od krańców Lechii zachodniéj aż do granic Dźwiny, Dniepru i brzegów morza Czarnego. W 62-letnim owym przestworze czasu od roku 1227 do 1289, wypełnionym panowaniami Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego, nie widzi się czytelnik, przez świadomego tajników owéj dawnéj epoki autora, oprowadzanym umiejętnie a pouczająco po dedalu książęcych zatargów na Litwie i Rusi, zdrad i zwad Konrada Mazowieckiego z bracią książęcą zachodniéj Lechii, sporów rozpoczynających się już z krzyżacką hydrą, zwad władzy świeckiéj z kościołem i jego niezawsze godnymi reprezentantami, najaz-

dów tatarskich czy litewskich, lecz jest, jeżeli wolno powiedzieć, zmuszonym *przeskakiwać* wraz z autorem olbrzymie przestrzenie między Lechią zachodnią a Litwą, między Pomorzem a Rusią, spoglądać, nie bez ciągłego tracenia wątku rzeczy, na bratnie sąsiadowanie rozdziału czy ustępu poświęconego Krakowowi lub Wielkopolsce z rozdziałem czy ustępem poświęconym litewskim Mendogom czy Litaworom lub ruskim Danielom, bez dostrzegalnego racyonalnie i artystycznie ogniwa. Opowiadanie faktów zewnętrznych tejże epoki, znanych jak co dopiero powiedziano, zkądinąd, nieprzechodzące źródeł znanych i drukowanych, niewyczerpujące ich nawet wcale, nie powiemy, by stwierdzało uwagę wydawcy: „iż autor podejmował dlugie i sumienne studya, iż szperał z niezmordowaną wolą i wytrwałością w księgach źródłowych.“ Książka jego przynajmniéj nie daje tego dowodów. Kromer, Długosz, Naruszewicz, Szajnocha i Przezdziecki z nowszych pisarzy, — otoż powoływane przez autora źródła do dziejów Lechii zachodniéj; Narbutt, Kronika wołyńska, Kronika arcybiskupa Daniela, Bielski,—otoż źródła autora do współczesnéj historyi Litwy i Rusi. Postęp nauki dziejowéj *ogólny* wskazuje i dla epoki *książąt* w Polsce odmienną metodę. Szkielet *faktyczny* owéj epoki jest znany, znany ze źródeł drukowanych, a jakkolwiek nie jesteśmy specyalnymi jéj znawcami, zdaje nam się, na podstawie tego co o niéj wiemy, możemy wnioskować z pewném prawdopodobieństwem, że dziedzina zewnętrznych faktów nie może już z nowych badań spodziewać się zbyt obfitego plonu. Za to pozostaje historykowi owéj epoki nietknięte wcale, a przynajmniéj bardzo niedostatecznie dotąd, pole społeczne, polityczne i plemienno-narodowe owéj epoki, a badania w *tym* kierunku podjęte, zapowiadają odkrycie nowych horyzontów, zyskanie nowych podstaw późniejszéj historyi polskiéj. W tym celu należałoby poddać troskliwemu zbadaniu dzieje współczesne owych „pokrewnych, lechickich rodów“ zamieszkujących nieznniemczone jeszcze naówczas zupełnie, ale ulegające powoli wpływowi germanizacyi ziemie Obotrytów, Pomorzan, Łużyczan i Szlązaków, zajrzeć w Arnolda z Lubeki i Kronikę lubecką, przejrzeć owe liczne zbiory źródeł dziejowych, wydawane ostatniemi czasy licznie dla każdéj z tych ziem przez Niemców, korzystać z prac Grünhagena i Wattenbacha, tyle ważnych dla Szlązka mianowicie. Zyskiem podobnéj metody badania dziejów owéj epoki byłaby znajomość, jeżeli tak wolno powiedzieć, stanu wysokości germańskiéj powodzi na słowiańsko-lechickiéj ziemi w XIII wieku, stosunku ustępującego żywiołu słowiańskiego do naciskającego germańskiego. Taka daléj me-

toda badania owéj epoki, rzuciłaby światło *politycznie:* na stanowisko władzy książęcéj wobec reszty narodu, na granice i zakres jéj kompetencyi, na żywioły jéj sprzeczne lub sprzyjające; *społecznie:* na stan ludu wiejskiego i miast tworzących się na prawie magdeburskiém, na genezę szlachty i władzy szlacheckiéj, na stanowisko kościoła względem władzy świeckiéj i względem ludności kraju, na wyrabiające się wśród podobnego przełomu staréj Polski Piastowéj ku nowszéj Polsce dwóch ostatnich Piastów i Jagiellonów, rodzime prawo polskie. Krótka ta rama wskazuje, jaka kalifornia nowego a niedotkniętego jeszcze materyału dziejowego téj epoki spoczywa dla chcącego się szczerze a gruntownie wziąć do niéj badacza poza ową lekką tkanką znanych, zewnętrznych faktów, których sfery autor niniejszego mianowicie dzieła nie przesięga. Nie można zaś powiedzieć, aby jak już wyżéj nadmieniono, postęp nauki dziejowéj w ostatnich czasach nie wskazywał historykowi téj epoki podobnych torów. Nie mówiąc o badaniach Lelewela złożonych w *Polsce wieków średnich*, nie mówiąc daléj o pracach uczonych niemieckich, zwraca się mimowolnie prawie oko niektórych naszych młodszych badaczy na owe nietknięte jeszcze archiwa grodzkie i klasztorne, które zapowiadają nader obfity plon dla dziejów książęcéj naszéj epoki. Owéj *nowéj* jéj fizyonomii obiecującéj się nam wychylić z badań i poszukiwań *podobnie* podjętych, nie zastąpią i nie wynagrodzą opowiadania znanych rzeczy o przykładném życiu Bolesława Wstydliwego i świątobliwości małżonki jego Kunegundy, o niegodziwościach Konrada Mazowieckiego i o niemieckich skłonnościach Leszka Czarnego, o napadach peryodycznie powtarzających się Tatarów, Litwy i Jadźwingów. Książka bezimiennego autora nie jest zaś niczém inném, a plan jéj i układ nie pozwalają nawet przypuszczenia, aby autor domyślał się choć najodległéj, że poza obrębem owéj mozaiki zewnętrznych wydarzeń, spoczywa jeszcze bogaty pokład dziejowego materyału, którego się dokopać trzeba, a bez którego owa epoka nigdy w jasném i zrozumiałém nie stanie świetle. Owym pierwiastkiem ożywczym a mającym przenikać *całość* opowiadania autora moralnie i zasadniczo jest, w zastępstwie materyału naukowego — bezwzględna cześć dla prawa i nauki kościoła. Pierwiastek z pewnością uznania godny, mianowicie jako moralny i cywilizacyjny czynnik epoki, którą autor traktuje. Bezwątpienia, nie można ani rozumieć, ani ocenić sprawiedliwie owéj epoki, jeśli się nie stanie na stanowisku jéj nastroju religijnego, a jednym z najważniejszych zarzutów, jakibyśmy uczynili profesorowi Caro w jego historyi polskiéj późniejszych już czasów,

jest, że nie rozumie i zbywa pewném lekceważeniem tyle potężny czynnik religijnego usposobienia całéj społeczności ówczesnéj i jéj głównych wyobrazicieli. Przesada jednakże i pod *tym* względem być może; a gdy autor zarzuca Czechom, że nie brali inwestytury swéj królewskości z Rzymu—gdy w każdym, jakimbądź zatargu między kościołem a jakimbądź żywiołem świeckim, upatruje z góry i bez bliższego zastanowienia racyą sprawy kościoła—gdy nawet w ukróceniu i powściągnieniu tak niegodnego człowieka i kapłana, jakim był biskup krakowski Paweł z Przemankowa, upatruje grzech ze strony Leszka Czarnego,—pozwalamy sobie nazywać podobne „traktowanie nowego ideału, zgodnego z własnym jego sposobem widzenia rzeczy,“ *przesadą w dobrém.* Wreszcie nie poprzestając na owém *zasadniczém* traktowaniu przedmiotu, opowiada autor spotkanie biskupa Pawła w celi dominikańskiéj w Krakowie ze złym duchem w postaci wilka, przyczém dodaje: „Niektórzy z nowoczesnych pisarzy całe to zdarzenie jako allegoryą podają, którą lud niecnoty biskupa swego wyrażał. Lecz je kronikarze jako rzeczywistość przytaczają, wielu świadków mającą. Objawienie się zmysłowe potęg piekielnych nie było nigdy i nie jest rzeczą niepodobną. Stało się rzadką w chrześciaństwie, w pogaństwie jest zaś niemal zwykłą. Dowodem prawdziwości zdarzenia jest poskromienie się biskupa Przemankowskiego przez lat kilka w życiu tak prywatném, jak i publiczném.“ Wymowna ta cytat charakteryzuje lepiéj niż wszystko inne, sposób zapatrywania się i stanowisko dziejopisarskie autora. Dodajmy do tego język niesmaczny i ciężki, przytém widocznie affektowany, a przyjdziemy nie bez żalu do przekonania, że polecone tak gorąco przez Bohdana Zaleskiego dzieło, nie jest niestety! ową drogocenną perłą niezrównanéj wartości, i że pochwała jego przez wydawcę, jest raczéj stwierdzeniem praktykującéj się także bardzo często maxymy: *Amica veritas, sed magis amicus Plato.*

Kazimierz Jarochowski.

Listy ambassadora hiszpańskiego don Pedro Ronquillo o elekcyi Jana Sobieskiego. Madryt, 1875 roku.

Dla badacza dziejów polskich dokładne zbadanie przebiegu elekcyi, które tak ważną odgrywały rolę, należy do pytań żywo interesujących. Poznanie tajemnych sprężyn i zabiegów różnych stronnictw może rzucić prawdziwe światło nie na jednę zawiłość

albo tajemnicę, i przez to przyczynić się do dokładniejszego wyświetlenia dziejów w okresie królów obieralnych. Jedném z najważniejszych źródeł w téj materyi są niewątpliwie korrespondencye i relacye posłów zagranicznych, którzy zjeżdżali do kraju stręcząc i zalecając swoich kandydatów.

Jednym właśnie z takich ambassadorów był don Pedro Ronquillo, którego wyprawił do Polski cesarz Leopold wraz z Maryą austryacką, królową-regentką hiszpańską, skoro tylko rozeszła się wiadomość o śmierci króla Michała Wiśniowieckiego. Pozornie miał on do spełnienia missyą konwenansowéj natury: wyrazić współczucie owdowiałéj Eleonorze siostrze cesarza; w istocie jednak chodziło o poparcie kandydatury Karola księcia lotaryńskiego, za którego miała następnie wyjść Eleonora i w ten sposób pozostać na tronie. Starania i zabiegi Ronquilla wraz z posłem austryackim Schafgotschem, trudności, jakie miał do pokonania, wreszcie zupełne niepowodzenie jego sprawy, należą do kwestyi ściśle łączących się z dziejami Polski za Jana Sobieskiego, i przez wzgląd na to korrespondencye i relacye posła hiszpańskiego mają dla nas pewną wartość, zwłaszcza jeżeli są to poufne zwierzenia przed przyjacielem (Spinola Dorea). Wydane zostały świeżo w Madrycie pod tytułem: „Mision secreta del embajador don Pedro Ronquillo en Polonia.“

Wobec tego nowego źródła do dziejów Jana III, nastręcza się pytanie, o ile przysporzy ono światła do rozjaśnienia spraw, których skutki—jak powiada wydawca, d. Villa—są zwykle widzialne, ale przyczyny pozostają tajemnicą albo na zawsze, albo też na czas długi.

Sprawa obioru Sobieskiego nie należy zapewne do tajemniczych; wszakże drobiazgowe okoliczności, towarzyszące jego wyniesieniu, niezupełnie są znane. Nie podaje ich przynajmniéj w całéj pełni Coyer, troskliwy zbieracz materyałów do dziejów Jana Sobieskiego, lecz przytém wszystkiém raczéj gorliwy jego wielbiciel aniżeli bezstronny dziejopis. Listy Ronquilla uzupełniają w cząstce jego pracę, i przez to w inném nieco świetle ukazują postać Jana III w chwili zabiegów o koronę.

Nie możemy orzekać stanowczo, o ile szczegóły zawarte w tych listach zasługują na wiarę, zwłaszcza że bawiąc w Polsce dla popierania kandydatury księcia Karola, nieprzychylnie patrzał Ronquillo na rywala, który potrafił zniweczyć jego zabiegi i pomimo licznych przeciwności osiąść na tronie. Z tém wszystkiém listy jego zawierają wiele ciekawych, a mało znanych zkądinąd szczegółów, malujących politykę Sobieskiego podczas elekcyi,

odsłaniają tajemne środki, któremi posługiwał się hetman wielki koronny dla osiągnięcia zamierzonego celu. A cel ten założył on sobie według słów Ronquilla—nie tak późno, jak twierdzi Coyer. „Wierzę mocno—pisze poseł hiszpański pod datą 25 Kwietnia—że Sobieski stara się o tron nie dla Kondeusza, ale dla siebie.“ Kondeusz, podany na listę kandydatów przez Sobieskiego, miał służyć tylko za czasowy pozór, za środek do osłabienia stronnictwa austryackiego, aby wywołać rozdwojenie, a następnie zjednać głosy dla siebie. „Obawiam się Sobieskiego więcéj, aniżeli wszystkich innych razem“—pisze daléj, a na inném miejscu usprawiedliwia swoje obawy stanowiskiem zwycięzkiego hetmana i jego zbrojną postawą wobec elekcyi. Około 6,000 żołnierza zgromadził Sobieski w okolicach Warszawy i zaczął energicznie zjednywać sobie stronników. „Stronnictwo jego—pisze już w pierwszym liście gorliwy rzecznik Karola i Eleonory—jest potężniejsze, niż się zdaje na pozór; tylko że wielu ma niechętnych, zwłaszcza między możniejszymi, lecz boją się go, bo ma wojsko pod swojemi rozkazami.“ Sprawę Karola popierają najgorliwiéj Litwini, ale wszystko się psuje skutkiem braku pieniędzy; napróżno woła o nie Ronquillo. Stronnictwo austryackie słabnie, a niespodziewana śmierć prymasa Czartoryskiego zadaje mu cios niepowetowany. Nadchodzi chwila stanowcza, Sobieski wydał 180,000 piastrów (reales de àocho), nie licząc summ pomniejszych, wydanych poprzednio. Przy wotowaniu wszyscy ci, którzy stanowili stronnictwo Kondeusza, oświadczyli się za Sobieskim, „a pierwszym, który go wymienił, był książę Dymitr Wiśniowiecki,“ uważany za sprzymierzeńca Karola. Sprawa przeciągnęła się do nocy. Wtenczas wprowadzono wielką ilość pospólstwa, które nie rozumiejąc tego co mówiło, zaczęło wołać Sobieskiego z za płotów i w arsenale i w innych miejscach. Do tego przyłączyło się wojsko zapłacone, i nikt już z pozostałych nie protestował. Litwa kapitulowała nazajutrz.

Zawód, jakiego doznał poseł hiszpański, przejął go oburzeniem i goryczą. „Osobliwsza to była elekcya—pisze on w cyfrowanym raporcie do Maryi austryackiéj,—widoczny dowód niegodziwości, łakomstwa i tchórzowstwa tego narodu; gdyż—są dalsze słowa raportu—„bardzo niewielu jest takich, którzyby nie uznawali szkodliwości i niebezpieczeństwa téj elekcyi i krzywdy wyrządzonéj tak dostojnéj pani, jaką jest królowa (Eleonora), oraz upadku ojczyzny czyli swobody,—a jednak wszyscy dali się przekupić albo zastraszyć.“ „I taki to już charakter tego narodu, że bardzo wielu

brało pieniądze od księcia lotaryńskiego — a później wziąwszy większe summy od Sobieskiego, opuścili księcia."

Sprawa elekcyi jest najbardziéj zajmującą stroną korrespondencyi Ronquilla; historyk posiłkując się niemi, potrafi wyświetlić niejednę okoliczność, towarzyszącą wyniesieniu Sobieskiego na tron, a w każdym razie, sprawdzić inne relacye, albo też je uzupełnić i sprostować. Najciekawsze są dwa cyfrowane raporta do Maryi austryackiéj: wyjątki z pierwszego przytoczyliśmy wyżéj; w drugim (str. 39—43) rozbiera autor politykę Sobieskiego za króla Michała. Znajdujemy tu między innemi wzmiankę o tém, że myśl o pozyskaniu korony snuła się już po głowie jeżeli nie samego hetmana, to jego małżonki, podczas konfederacyi gołąbskiéj, kiedy powstał projekt złożenia z tronu Wiśniowieckiego a książę de San Paul (Longueville) umarł niespodzianie. „Lecz wtenczas nie sprzyjały okoliczności, ani ludzie."

W dalszym ciągu powiada o zabiegach hetmana zaraz po śmierci króla Michała, wspomina o jego stosunkach z królem francuzkim i z Doroszenką.

Wogóle Ronquillo w korrespondencyach swoich jest przedewszystkiém politykiem. Lecz jakkolwiek ważną rolę w dziejach ówczesnéj Polski odegrały wpływy gabinetów wiedeńskiego i wersalskiego, znanych naszemu posłowi bardzo dobrze, jego uwag w téj mierze, jako znane, mniéj zapewne są pouczające.

Druga połowa listów Ronquilla mniéj ważna. Po doznanéj porażce na polu elekcyjném zaprząta się głównie losem Eleonory, którą—jako prawdziwy Hiszpan—pragnąłby otoczyć czcią przynależną jéj wysokiemu urodzeniu.

Kilkakrotnie nalega w swych listach, aby ją cesarz Leopold odwołał z Polski, gdzie dalszy pobyt, wobec „złéj Francuzki" (Maryi Kazimiery) uważa nietylko za kompromitujący, ale i niebezpieczny, bo—zdaniem jego—życiu „królowéj wdowy" zagraża ustawiczne niebezpieczeństwo.

Są w téj części i szczegóły, dotyczące samego Sobieskiego, jak naprzykład relacye o zachowaniu się nowego króla względem posłów zagranicznych i jego przygotowaniach do wojny z Turkami.

Edward Grabowski.

KORRESPONDENCYA.

Kraków, w Maju.

Tegoroczny sejm galicyjski krajowy, siódmy z kolei, odbywał się pod prezydencyą marszałka hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, i z ważniejszych ustaw i wniosków, będących przedmiotem jego obrad, przeszły następujące: ustawa policyi polowéj, ustawa przeciw pijaństwu, wniosek do rządu o powstrzymanie lichwy, powtórny wniosek o oddanie archiwów pod zarząd krajowy; przeszło tudzież kilka wniosków, tyczących się oświaty, a mianowicie: postanowiono prosić rząd o założenie przy uniwersytetach katedr pedagogii, dydaktyki i seminaryów dydaktycznych dla nauczycieli szkół średnich, o zaprowadzenie internatów dla nauczycieli szkół ludowych w celu dania im odpowiedniego religijno-moralnego wychowania, o założenie fakultetu medycznego przy uniwersytecie lwowskim i t. d. Obok dbałości o podnoszenie stanu oświaty, nie okazał sejm także skąpstwa i pod względem wydatków na cele naukowe; z uchwał w tym dziale zapadłych wspomnieć należy o podniesieniu rocznéj subwencyi dla akademii umiejętności, z 10,000 na 15,000 rń., o naznaczeniu 7,000 rń. na budowę szkoły sztuk pięknych w Krakowie i 4,500 rń. na restauracyą pomników.

Posłowie krakowscy po zamknięciu sejmu spieszno wracali do Krakowa, chcąc się przygotować na przyjęcie hr. Alfreda Potockiego, namiestnika Galicyi, i hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, marszałka sejmu, którzy przyjazd swój do Krakowa na pierwsze dni Maja zapowiedzieli. Jakoż zapowiedziani goście przybyli w dniu 2 t. m., wstąpiwszy po drodze do Tarnowa, gdzie w obecności ich i innych dostojników krajowych, miejscowy biskup ks. Pukalski dopełnił poświęcenia kamienia węgielnego pod nowo wznoszony budynek gimnazyalny.

Hr. Alfred Potocki, dopiero po raz pierwszy odwiedzający Kraków jako namiestnik, okazał szczególne zainteresowanie się miejscowemi szkołami i naukowemi instytucyami, zwiedzając po kolei prawie wszystkie. Między innemi także w dniu 3 Maja, jako zastępca protektora akademii, arcyksięcia Karola Ludwika, otworzył publiczne posiedzenie akademii umiejętności następującą przemową:

,,W imieniu najdostojniejszego protektora jego cesarskiéj wysokości arcyksięcia Karola Ludwika mam zaszczyt zagaić posiedzenie i powitać was, Panowie.

,,Znowu zamknął się jeden okres znakomitéj działalności téj wysokiéj instytucyi naukowéj, i znowu pomnożył się szereg prawdziwych zasług, jakie położyła około umiejętności. Jest to świadectwem gorliwéj pracy i prawdziwéj żywotności akademii, jest to oraz i szczęśliwą wróżbą, że instytucya ta coraz dzielniejszém stanie się ogniskiem nauki w jéj najpiękniejszém i najszczytniejszém znaczeniu. Jakkolwiek wolą najjaśniejszego pana powołany na nowe stanowisko, które w tylu odmiennych kierunkach wymaga mojéj pracy i uwagi, nie przestałem towarzyszyć z żywym udziałem publicznym objawom waszego działania, Panowie, i z prawdziwą spostrzegam radością, jak widownia prac akademii pomyślnie się powiększa, jak w coraz szersze koło garnie ku sobie poważne siły, jak mnożą się jéj publikacye, i jak nietylko w kraju, ale i w zagranicznym świecie naukowym, znajduje uznanie i szacunek.

„Instytucya, która w krótkim czasie swego istnienia tak znaczne wykazuje owoce, może z pełną otuchą spoglądać w coraz świetniejszą przyszłość i daje zupełną rękojmię, że pracując dla nauki i duchowego dobra kraju, zasługuje na łaskę miłościwie panującego nam monarchy, który ją do bytu powołał i najwyższą swą otoczył opieką.“

Na te słowa namiestnika, prezes akademii, dr. Majer odpowiedział, że dzień, w którym Npan objawił wolę założenia akademii w Krakowie pozostanie dla niéj na zawsze pamiętnym; wspomnieniu dnia tego poświęca akademia corocznie uroczysty obchód, i chcąc okazać monarsze wdzięczność za powołanie jéj do życia, stara się wznieść na stanowisko, godne swego założyciela. Następnie, zwracając się do vice-protektora akademii mówi, że ocenienie przez niego prac i usiłowań akademii jest dla niéj najlepszą otuchą na przyszłość, dziękuje mu za doznawaną dotychczas opiekę, prosi o dalszą, a w końcu wynurza mówca wdzięczność tak namiestnikowi jako i marszałkowi krajowemu, że zaszczyciwszy swoją obecnością to publiczne posiedzenie, dali poznać, że kraj

troskliwie i ze współczuciem spogląda na działalność i rozwój téj instytucyi.

Po téj krótkiéj ustnéj odpowiedzi na przemowę namiestnika, dr. Majer powtórnie głos zabrał i zajął się rzuceniem poglądu na kwestyą: o ile ruch naukowy, któremu inicyatywę dała akademia, osłabił niekorzystne dla nas uprzedzenia obcych, i jaką rolę zaczynają odgrywać prace polskich uczonych w szeregu badań cudzoziemców? Rozproszone, mówi czcigodny prezes, sporadycznie naukowe prace polskie, nie zwracały na siebie z tego powodu uwagi obcych uczonych, w czém niemałą przeszkodą był także i język polski, w pośród cudzoziemców bardzo mało rozpowszechniony. Lecz kiedy założoną została akademia, rozrzucone dotąd prace, skupiwszy się w jedném ognisku, nie mogły ujść uwagi obcych; ażeby jeszcze bardziéj rozbudzić to zajęcie się ich rezultatami badań naszych uczonych, postanowiła akademia ogłaszać w niemieckim i francuzkim języku jak najtreściwsze sprawozdania z każdego nowego wydawnictwa, każdéj pracy w taki sposób, ażeby z tych sprawozdań osądzić można było, co nowego dla nauki przynosi dana praca, lub czém poprzednie badania uzupełnia i prostuje. Tym tylko sposobem można niejako zmusić cudzoziemców, ignorujących dotąd naszę naukę i język, ażeby się z niemi bliżéj i częściéj znajomić chcieli. Dowodem tego, że stosunki dotychczasowe zaczynają się zmieniać na lepsze, jest współczucie i uznanie, jakie zagraniczne naukowe towarzystwa okazały naszéj akademii. Tak np. Instytut francuzki nadesłał 150 tomów prac swoich akademii; podobnež dary otrzymała akademia od takichże instytucyi w Monachium, Petersburgu i Wiedniu, tudzież od innych towarzystw z Berna, Budziszyna, Moskwy, Pragi, Zagrzebia, Zgorzelca, Chrystyanii, Kopenhagi, Dorpatu, Gdańska, Getyngi, Gradcu, Lubeki, Norymbergi, Rygi, Szwerynu, Warmii, Wisbadenu, Wrocławia, Bordeaux, Padwy, Cambridge, Londynu, Washingtonu, z któremi stosunki zawiązane zostały. Niemniéj uznania zyskują sobie akademia i prace jéj członków u pojedynczych zagranicznych uczonych: dowodem tego jest list dr. Roepell'a do akademii, w którym autor poświęca jéj swoje ostatnie dzieło, lub oświadczenie dr. Virchow'a na zjeździe antropologów niemieckich w Monachium, że poszukiwania antropologiczne w Galicyi treścią i rozciągłością o wiele uprzedziły podobne badania w Niemczech. Taki pogląd daje dr. Majer na stosunek krakowskiéj akademii umiejętności do zagranicy.

Co się zaś tycze kraju, to i tutaj działalność akademii jest rozumianą i skutecznie popieraną; objawia się to w coraz większéj

liczbie pracowników, nadsyłających jéj swoje prace, jako też i w czynnéj pomocy, jaką jéj okazują kraj i pojedynczy obywatele. I tak: w roku zeszłym dr. Kremer ofiarował na poparcie wydawnictwa 1,000 rń., nieznajoma osoba z Warszawy nadesłała 300 rs., niedawno zaś sejm w uznaniu naukowéj działalności akademii podwyższył jéj roczną subwencyą o 5,000 rń. Obok zasiłków pieniężnych otrzymała także akademia w roku ubiegłym bibliotekę po ś. p. Cypryanie Walewskim z Warszawy, zbiór dzieł przeważnie geologicznych od p. Zienkowicza z Medyolanu, cenne dzieła od pana Spasowicza z Petersburga, wreszcie ś. p. Karol Hoffman z Drezna testamentem zapisał jéj swój zbiór dzieł, obrazów, akwarel i rycin.

Oprócz prac ściśle naukowych dokonywała akademia rozmaitych wyjaśnień i opracowań na żądanie władz krajowych, rządowych lub autonomicznych, np. w sprawie: zaprowadzenia biura górniczego przy wydziale krajowym, fizyograficznego badania kraju, informacyi stypendystów górniczych, ochrony ziemiopłodów od niszczących owadów, determinowania i opinii co do owadów, które się pojawiły w rozmaitych miejscach powiatu Borszczowskiego i Zaleszyckiego, w sprawie podziału Galicyi wschodniéj na strefy gospodarskie, tudzież w sprawie zamierzonego zbierania wiadomości o stosunkach atmosferycznych i postępie wegetacyi główniejszych ziemiopłodów kraju, celem łatwiejszego oryentowania się w widokach handlu zbożowego. Osobna także komissya zajmowała się rewizyą tłómaczeń ustaw państwowych, ażeby ułatwić ich zrozumienie i zapobiedz skażeniu języka.

W ubiegłym roku z grona akademickiego ubyło dwóch członków zwyczajnych: Adolf Alexandrowicz i Karol Libelt, jeden czynny—Józef Kremer i jeden członek korrespondent—Karol Hoffmann. Z tych czterech miejsc, zapełnioném zostało w roku przeszłym tylko jedno przez wybór na członka korrespondenta w wydziale matematyczno-przyrodniczym p. Jana Frankego, professora i b. rektora akademii technicznéj we Lwowie.

W końcu swego sprawozdania dr. Majer wyraził nadzieję, że współczucie, okazywane akademii dotąd, nie przestanie być okazywaném jéj i nadal, opierając tę nadzieję na coraz większém zajęciu, jakie sprawy akademii obudzają w kraju.

Następnie prof. Szujski podniósł i uwydatnił przed słuchaczami całoroczną naukową działalność instytucyi.

Dr. Szujski, generalny sekretarz akademii, podobnie jak i dr. Majer zaznaczył najprzód fakt, że ruch naukowy, objawiający się coraz większą ilością nadsyłanych do druku prac, nawet osób sto-

jących poza akademią, nietylko bardziéj się wzmaga, lecz staje się poważniejszym; na ten wzrost wpływa zarówno chęć badaczów odszukania prawdy o przeszłości kraju, obecném położeniu i wszystkich w ogóle stosunkach, jak również pragnienie tychże, zdobycia na polu naukowém uznania dla siebie i dla swojego społeczeństwa. Działalność akademii objawia się w dwóch kierunkach: ogniskiem pierwszego, zajmującego się przyjmowaniem, sądzeniem i ogłaszaniem prac są wydziały, ogniskiem drugiego zaś, dającego inicyatywę i początek pracom—komissye wydziałowe. Szereg prac, dokonanych w ciągu ubiegłego roku przez wszystkie wydziały i komissye, poważny jest nietylko ilością, lecz i jakością, mianowicie zaś:

1) Wydziałowi matematyczno-przyrodniczemu przedstawione zostały następujące prace: a) z zakresu nauk matematycznych rozpraw sześć: dr. Oskara Fabiana: Obliczenie wartości szeregów nieskończonych, a zwłaszcza szeregów o bardzo słabéj zbieżności; czł. Wawrzyńca Żmurki: Przyczynek do rachunku przemienności, który wywołał: Uwagi dr. Fr. Mertensa: O funkcyi oskulacyjnéj Żmurki, i odpowiedź na te uwagi: O ważności i zastosowaniu funkcyi oskulacyjnéj w rachunku przemienności; dr. Dominika Zbrożka: Teorya planimetru biegunowego; czł. W. Zajączkowskiego: Teorya ogólna rozwiązań osobliwych równań różniczkowych zwyczajnych; b) z zakresu fizyki, astronomii i klimatologii, rozpraw pięć: czł. Karliński: Przyczynek do teoryi wahadła sekundowego, i O kresowych zmianach ciepłoty powietrza w Krakowie, rzecz oparta na pięćdziesięcioletnich spostrzeżeniach; czł. Kuczyński: Nowy sposób oznaczenia biegunów matematycznych w prętach magnetycznych, oraz ilości nagromadzonego w tych biegunach magnetyzmu wolnego, w mierze bezwzględnéj; dr. K. Olszewski: O dwóch bateryach galwanicznych swojego pomysłu; dr. Oskar Fabian: O linii prężności wody nasyconéj; c) z zakresu chemii dwie rozprawy: czł. kor. dr. Radziszewski: O działaniu siarki na sole borowe kwasów aromatycznych; czł. Czyrniański: Teorya mechaniczno-chemiczna na nowo rozwinięta; d) z zakresu nauk przyrodniczych, rozpraw pięć: czł. Alth: Rzecz o belemnitach a w szczególności o belemnitach krakowskich; dr. Godlewski: O powstawaniu i znikaniu skrobi w gałeczkach zieleni; dr. Janczewski: Poszukiwanie nad rozwojem płodnicy u krasnorostów; dr. Rostafiński: Historya wydętki korzonkowłoséj; dr. Kamieński: Porównawcza anatomia pierwiosnkowatych; e) z zakresu fizyologii i umiejętności medycznych, trzy rozprawy: dr. Zawilski: O prężności gazów w tkankach w stanie chorobowym; dr. J. Merunowicz: O wpływie środków wzniecających silny ruch robaczkowy jelit, na wydziela-

nie limfy; dr. T. Browicz: O pozimnicznych zmianach w wątrobie, śledzionie i szpiku kostnym. W ogóle było na tym wydziale rozpraw 21, przeciętnie 2 na jedném posiedzeniu wydziału.

2) W wydziale historyczno-filozoficznym czytano: a) z historyi, rozpraw sześć: czł. Szaraniewicza: Rzecz o beneficyach ruskich w czasach Rzeczypospolitéj; czł. K. Stadnickiego: Monografia o Koryatowiczach; czł. J. Szujskiego: Rzecz o zjeździe kaliskim r. 1343; czł. A. Walewskiego: Dalszy ciąg dziejów bezkrólewia po Janie III; dr. St. Smolki: Archiwa w W. K. Poznańskiém i Prussiech Zachodnich i Wschodnich; dr. A. Sokołowskiego: Elekcya czeska po śmierci Zygmunta Luxemburczyka; b) z zakresu archeologii, rozprawy trzy: A. H. Kirkora: Pokucie pod względem archeologicznym; tegoż: Sprawozdanie z archeologicznéj wycieczki w okolice Krakowa; czł. n. K. Hoszowskiego: Wiadomości historyczne o kościele katedralnym krakowskim, tudzież o rezydencyi prymasów i biskupów w Krakowie; c) z zakresu prawa, rozprawy cztery: czł. Burzyńskiego: O prawie bliższości w Polsce; czł. Zielonackiego: Czy w prawie rzymskiém można było zasiedzieć na mocy wyroku; czł. U. Heyzmanna: O uprawnieniu per subsequens matrimonium podług prawa kanonicznego; dr. M. Bobrzyńskiego: O nieznanym układzie prawa polskiego z XVI w. przez J. Sierakowskiego; d) z zakresu filozofii, dwie rozprawy: dr. Kruczkiewicza: O filozofii Lucyusza Anneusza Seneki; dr. M. Straszewskiego: J. Śniadecki. W ogóle wydziałowi przedstawiono prac 15.

3) Wydziałowi filologii, historyi literatury i sztuki przedstawiono: a) z zakresu lingwistyki polskiéj, trzy rozprawy: czł K. Mecherzyńskiego: Wzór odmian grammatycznych wedle Psałterza Floryańskiego; O. Kolberga: O właściwościach mowy w Wielkopolsce; Z. Glogiera: Nazwy weselne; b) z zakresu bibliografii dwie rozprawy: dr. Wisłockiego: Kazania niedzielne czeskie z manuskryptów biblioteki dzikowskiéj; dr. Celichowskiego: O autorze ustaw prawa ziemskiego polskiego; c) z zakresu historyi literatury i oświaty, rozpraw pięć: czł. K. Mecherzyńskiego: Konrad Celtes i jego pobyt w Polsce; czł. Z. Węclewskiego: Groddeck na uniwersytecie wileńskim; A. Wejnerta: O bractwach literackich w Polsce; A. Moszyńskiego: Kronika szkoły pijarskiéj w Międzyrzecu koreckim i kronika szkoły pijarskiéj w Lubieszowie; dr. Seredyńskiego: Rys działań dyrekcyi edukacyi w Warszawie, na podstawie urzędowego sprawozdania J. Głuszyńskiego. W ogóle przedstawiono wydziałowi rozpraw 13 — a wszystkim trzem wydziałom razem rozpraw 49.

Co się tycze wydawnictwa, wydział matematyczny puścił

w świat II tom Rozpraw i Sprawozdań, ma na ukończeniu II tom Pamiętnika, a w druku III tom Rozpraw. Wydział historyczny wydał III i IV tom Sprawozdań i Rozpraw, na ukończeniu zaś jest tom V. Na wydziale filologicznym wydano tom II i III, a drukuje się IV Rozpraw i Sprawozdań. Oprócz tego dwa ostatnie wydziały przygotowały Pamiętnik wyłącznie poświęcony archeologii i historyi sztuki, zawierający w sobie prace: czł. Wł. Łuszczkiewicza: O kościołach i rzeźbach Duninowskich; M. Sokołowskiego: O ruinach na ostrowiu jeziora Lednickiego. Wydano nadto oddzielnie pracę dr. Maurycego Straszewskiego o Janie Śniadeckim.

W dalszym ciągu sprawozdania dr. Szujski przechodzi do wyliczenia prac specyalnych komissyi, wykazawszy wprzód w krótkich słowach ich znaczenie i wypowiedziawszy parę słów uznania dla osób, które nie należąc do składu akademii, z chęcią przyjmowały i przyjmują udział w zbiorowéj pracy, podejmowanéj przez te komissye.

1) Komissya fizyograficzna w dziale meteorologicznym zajmowała się zbieraniem nowego materyału przez obserwacye, podróże i nadsyłane naukowe spostrzeżenia; zajmowali się têm mianowicie: członkowie Kuczyński i Karliński, oraz pp. Boehm, Łomnicki, Majewski, Wierzbicki, Trattnig. W sekcyi botanicznéj zajmowali się badaniem flory krajowéj pp. Ślendziński w Stanisławowskiém i Kołomyjskiém, w okolicach Krakowa i w Tatrach Kulczycki, w okolicach Janowa Król, w okolicach Biecza Kotowicz. W sekcyi zoologicznéj prowadzili badania nad szarańczakami p. Łomnicki, nad galasówkami, komarnicami i pasożytami p. Wachtl, nad pajączakami p. Kulczycki. W sekcyi orograficznéj pomiarami trudnił się p. Kuczyński i w Tatrach p. Kolbenheyer; badaniem geologicznêm Podola dr. S. Olszewski; czł. Alth badał trassę kolei tarnowsko-leluchowskiéj i dolinę Złotéj Lipy, aż po Zbrucz; tytońskie zaś warstwy w okolicach Rogoźnika i Maruszyny p. Zaręczny. Zbiory muzealne téj komissyi powiększyły się także zbiorém galasówek od p. Wachtla, szarańczaków od p. Łomnickiego, zielnikami od pp. Kulczyńskiego i Kotowicza, okazami geologicznemi od pp. Olszewskiego, Sochanika, Bernadzikiewicza, L. Kamieńskiego, Nałęcza, Kęszyckiego. Porządkowaniem tych zbiorów zajmowali się pp. Zaręczny i Kulczyński.

2) Komissya balneologiczna, niedawno zawiązana za inicyatywą prezesa akademii, zawiązała stosunki ze wszystkiemi zakładami wód mineralnych na ziemiach polskich i zabrała się do nowego naukowego ich zbadania.

3) Komissya antropologiczna, wypracowawszy, instrukcye

i tablicowe schemata do wypełnienia spostrzeżeniami nad fizycznością ludności, zebrała przeszło 4,000 obserwacyi od 27 starostw powiatowych i zajmuje się ich zużytkowaniem; professor Kosiński z Wadowic zajmował się statystycznemi badaniami żywotności etnicznie wyróżnionych rodów, tudzież ich śmiertelności i degeneracyi; rozpoznawano i determinowano czaszki znalezione na cmentarzach pokuckich i babickich i czaszkę z Daniłowicz. P. O. Kolberg z pomocą akademii odbył podróż do W. Ks. Poznańskiego, Pruss Zachodnich, ziem Kaszubskiéj, Michałowskiéj i Warmińskiéj, czego rezultatem był nowy tom jego etnograficznych badań, zawierający opis ludu i jego zwyczajów w W. Ks. Poznańskiém.

4) Komissya archeologiczna przedsięwzięła badanie najbliższych okolic Krakowa pod względem przedhistorycznych zabytków; w wycieczkach w tym celu odbytych przyjmowali udział pp. Kirkor, Umiński i hr. Strutyński; prowadziła w dalszym ciągu repertoarz archeologicznych odkryć i katalogowanie muzeum akademickiego; podjęła także myśl zebrania epigrafiki średniowiecznéj, do któréj są już pewne materyały, zebrane przez b. towarzystwo naukowe krakowskie. Z członków téj komissyi p. Kirkor wydał: Opis Pokucia pod względem archeologicznym, p. Sadowski przedstawił pracę: O drogach handlowych greckich i rzymskich przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna, a na posiedzeniach komissyi p. K. Hoszowski czytał: O domach Długosza w Krakowie, p. M. Sokołowski: O pracy p. Mierzyńskiego: Danae i Perseusz w Ermitażu petersburskim. Hr. J. Szembek zajął się rozbiorem brązów, znajdujących się w tutejszych muzeach.

5) Komissya historyczna dzieli się na dwa oddziały: jeden w Krakowie pod przewodnictwem dr. J. Szujskiego, drugi we Lwowie pod kierunkiem dr. A. Bielowskiego, nietylko we wspomnianych miejscach lecz i zagranicą w archiwach w Paryżu, Wiedniu, Florencyi, Monachium, Dreznie, Królewcu, Gdańsku, Braunsberdze ma swoich współpracowników. Współpracownik téj komissyi dr. S. Smolka zdał jéj dokładną relacyą o archiwach W. Ks. Poznańskiego i Pruss, dr. K. Kontecki o zbiorach inflanckich. W ubiegłym roku wydała księgę pamiętniczą Stefana z Proszcza Medekszy, przygotowaną do druku przez dr. W. Seredyńskiego; IV tom pamiętników prawa polskiego, zawierający Synodyki krakowskie XIV w. i Synodyki M. Trąby za staraniem prof. U. Heyzmanna. Na ukończeniu jest kodex Małopolski z 371 dyplomatów od 1178 do 1386 r. zebrany przez dr. F. Piekosińskiego z dokumentów klasztornych, tek Naruszewicza i oblat krakowskiego archiwum. Przygotowuje również ta komissya wydanie kodexu miasta

Krakowa, a drukuje się już zbiór aktów politycznych do XV w., których redakcyą zajmują się pp. J. Szujski i A. Sokołowski. Taż komissya powzięła myśl stosownemi wydawnictwami uczcić w roku 1879 pamięć kard. Hozyusza, w 1881 rocznicę śmierci Długosza, a w roku 1883 dwóchsetletni jubileusz zwycięztwa pod Wiedniem. Na ten cel przygotowuje się wydanie listów Hozyusza, Regesta życia Długosza i Acta Regis Joannis III. Opócz tych prac gotowe już są do druku: Najstarsze księgi miejskie krakowskie roku 1362, a więc czasów Kazimierza IV sięgające, Listy A. Zebrzydowskiego, przygotowane przez dr. W. Wisłockiego; Historya zakonu Jezuitów i Polski od r. 1579—1639 przez J. Wielewickiego. Drukuje się już także we Lwowie III tom Monumenta Poloniae Historica pod redakcyą dr. Bielowskiego; pomieszczone w nim będą Annales, w dalszym ciągu żywoty SS. Stanisława, Jacka, Jolanty, Kingi, Salomei.

6) Komissya prawnicza objęła po komissyi historycznéj dalsze wydawnictwo pomników prawa polskiego; zajęła się zbieraniem prawa zwyczajowego, przysłów i wyrazów prawnych w Polsce i podejmowaniem kwestyi prawnych, będących w kraju na porządku dziennym; członkowie jéj powzięli również myśl wydania Encyklopedyi nauk prawnych.

7) Komissya bibliograficzna pracuje nad bibliografią polską XVII i XVIII w.; bibliografia XIX w., wydawana ze współudziałem akademii, dociągniętą już została do litery P.

8) Komissya dla zadań w zakresie historyi literatury i oświaty w Polsce, została niedawno zorganizowana pod przewodnictwem czł. Tarnowskiego. Wzięła sobie za cel zbadanie aktów i listów po Kołłątaju, niemniéj jego archiwum prywatnego, zawierających materyały do dziejów komissyi edukacyjnéj i tyczących się działalności samego Kołłątają. Jeżeli środki w przyszłości się zwiększą, ma zamiar ta komissya wydawać rzadkości literackie, rękopiśmienne zabytki literatury i materyały do historyi oświaty w Polsce.

9) Komissya historyi sztuki urządziła w ubiegłym roku wycieczkę w okolicę Proszowic szczególniéj w celu zbadania romańskiego kościoła w Kościelcu, czego dokonał czł. Łuszczkiewicz. Liczny zbiór architektonicznych rysunków (ofiarowany przez p. Gebauera), tudzież zasób rysunków z budowli, obrazów i ornamentyki, wykonanych i sporządzonych przez p. Łuszczkiewicza, przedstawiają bogaty materyał dla pisma poświęconego historyi sztuki; pismo to zamyśla komissya wydawać w roku przyszłym.

10) Komissya językowa pracuje nad słownikiem języka polskiego. W wykonaniu częściowém tego planu przystąpiono do

opracowania słownika języka staropolskiego, aż do czasów M. Reja. Materyały do tych prac obiecali dostarczać pp. Rymarkiewicz, Parylak, Glogier, Wisłocki, Witkowski, Kosiński. Od p. J. Karłowicza otrzymała komissya niewydaną grammatykę języka litewskiego przes ks. Jana Czułdę. W przyszłym roku, jeszcze przed wydaniem słownika, przystąpi komissya do wydawnictwa średniowiecznych zabytków językowych, będących niejako przygotowaniem i materyałem do pracy poprzedniéj.

Obraz ten zakończył dr. Szujski wzmianką o niesłusznych, niemających wszakże większego znaczenia, opiniach, ganiących kierunek, jakiego się trzyma akademia, i wykazaniem ważności nauki dla naszego szczególniéj społeczeństwa. Rzecz dr. Mecherzyńskiego „O pobycie w Polsce Konrada Celtesa, i jego wpływie na rozbudzenie humanitaryzmu w naszym kraju,“ czytana przez samego autora, zakończyła posiedzenie, blizko trzy godziny trwające.

Bawił tu w tych dniach i odbywał konferencye z członkami towarzystwa rolniczego i przedstawicielami instytucyi kredytowych dr. Marchet, delegowany ministeryum rolnictwa. Celem jego przybycia do Krakowa było zbadanie stosunków rolniczych w Galicyi, szczególniéj zaś co się tycze małych posiadłości gruntowych, zamiarem bowiem jest rządu przyjść tymże w pomoc gwoli podniesienia rolnictwa. Po długich obradach nad kwestyami, odnoszącemi się do tego przedmiotu, debatujący zgodzili się na to, że uregulowanie małych posiadłości gruntowych i zaprowadzenie ksiąg hypotecznych zdołałoby skutecznie zaradzić złemu stanowi rolnictwa i przyczynić się do jego rozwinięcia. Że zaś ten zły stan istnieje, że mniejsi posiadacze gruntowi znajdują się w ciężkich warunkach, w skutku braku kredytu, dowodzi tego, między innemi pozbywanie się gruntów i wysiedlanie do Ameryki, które w ostatnich czasach przybrało tak znaczne rozmiary (w skutku także agitacyi rozmaitych spekulantów na grunta i agentów biur komisowych i wywiadowczych), że w Tarnowie np. interpelowano władze rządowe o to, jakich środków używają w celu powstrzymania téj emigracyi, a władze krajowe i duchowieństwo wezwano, ażeby przez wystawienie złych skutków i następstw, starały się odwodzić ludność od takiego dobrowolnego a gromadnego opuszczania rodzinnego kraju.

Podaję w końcu niniejszego listu warunki konkursu dramatycznego krakowskiego na rok 1877 i skład komissyi, która będzie sądziła nadesłane utwory. Prezydującym w téj komissyi jest pan Stanisław Koźmian, dyrektor teatru, a członkami jéj są pp. Karol

Estreicher, Antoni Kłobukowski, Alexander Podwyszyński (reżysser), hr. Edward Raczyński, Lucyan Siemieński, Maryan Sokołowski, Ignacy Skrochowski, Alexander Szukiewicz, Stanisław Tomkiewicz, tudzież ofiarodawcy hr. Franciszek Łubieński, hr. Artur Potocki, hr. Jan Zamojski i ks. Marceli Czartoryski. Warunki konkursu są następujące: 1) Nagrodę 600 złr. otrzyma najlepsza zdaniem komissyi komedya, osnuta na tle współczesném lub historyczném, zapełniająca cały wieczór, najmniéj w trzech aktach. 2) Nagrodę 300 złr. otrzyma najlepsza zdaniem komissyi sztuka ludowa ze śpiewami lub bez śpiewów. Gdyby nagroda 600 złr. nie została przyznaną, a komissya uznała to za potrzebne, podwyższy nagrodę sztuki ludowéj o 100 złr. z nieużytego funduszu. 3) Komedye i sztuki ludowe, zalecone przez komissyą do grania otrzymają 10% tantiemy od czystego dochodu za każde przedstawienie, a mogą być grane tylko za zezwoleniem autora. Utwory winny być nadsyłane pod adresem *Dyrektora teatru p. Koźmiana w Krakowie* przed d. 1 Stycznia 1877 r.; jednakże do dnia 15 Stycznia 1877 r., komissya przyjmować będzie nadsyłane utwory, lecz po tym ostatecznym terminie, przyjmować ich nie będzie. Imię, nazwisko i adres autora winny być dołączane do rękopisu w zapieczętowanéj kopercie. Komissya rozpocznie swoje prace d. 1 Stycznia 1877 r., a orzeczenie jéj zapadnie najpóźniéj z końcem Lutego 1877 roku. Zastrzeżenia uczynione na poprzednich konkursach co do sztuk drukowanych, granych lub odrzuconych przez komissyą, obowiązują i nadal. Komissya uprasza o nadsyłanie czytelnych rękopisów.

S. J.

KONIEC ZESZYTU SZÓSTEGO.

Redaktor i Wydawca *H. Benni.*



Przestrzenie mające być zalane, a leżące niżej powierzchni morza.

Szotty

Droga wyprawy niwellacyjnéj wysłanéj w r. 1874/5 pod przewodnictwem Kap. Roudaire i Henryka Duveyrier.

Granica pomiędzy Algierem a Tunis.

1: 1,600,000

0 5 10 20 40 60 Kilometer

OMYŁKI DRUKU.

Zeszyt IV.

Str.	*wiersz.*	*zamiast:*	*czytaj:*
2	9 i 13	Sohn	Sohm
4	18	także	takie
,,	30	naradzali	obradowali
10	14	główniejszéj	głośniejszéj
15	21	srogiemi	wrogiemi
16	1	króla należało	króla *nie* należało
,,	29	władzą	wiedzą
17	23	Warszawska	Wiedeńska
20	18	XIII-go	XIV-go
23	3	prawach	pracach

Zeszyt V.

Str.	*wiersz.*	*zamiast:*	*czytaj:*
329	30	kupujących	kupczących
331	3 (z dołu)	takie	także
334	9	się	je
335	6	panowie	posłowie
337	19	takim	tanim

REDAKCYA I EKSPEDYCYA

„ATENEUM"

przeniesione zostają od dnia 1-go Lipca r. b. do domu *nr. 5 przy ulicy Mazowieckiéj w Warszawie*, dokąd uprasza się adressować przesyłki prenumeraty, korrespondencye, reklamacye i artykuły.

Prenumerata w Warszawie oraz w guberniach Cesarstwa i Królestwa wespół z przesyłką pocztową i odnoszeniem do domu jednakowa:

Rocznie.	Rs.	**12**
Półrocznie.	„	**6**
Kwartalnie (tylko w Warszawie). . .	„	**3**

Prenumerować można także we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

